

Evans Max

MIASTECZKO HI LO

CZEŚĆ PIERWSZA MIASTECZKO HI LO

W podziękowaniu za cierpliwość, lojalność i zrozumienie niniejszym dedykuję Miasteczko Hi Lo Henry'emu Volkeningowi, Adzie Dryce, Ałowi Hartowi i Chuckowi Millerowi
Max Evans Taos, Nowy Meksyk

Rozdział pierwszy

Przyglądałem się, jak opuszczają Big Boya Matsona do grobu. Trumna była ogromna, a jednak na wpół spodziewałem się, że trzaśnie pod naporem wagi i wielkości faceta, który w niej leżał. Nie chodziło mi tylko o jego fizyczną wielkość, lecz o całokształt jego osoby.

Stałem powyżej tłumu mężczyzn w wielkich kapeluszach i kobiet w czarnych sukniach. Byłem sam. Nie tak dawno jeszcze byłem jednym z nich, lecz wyjechałem i osiedliłem się w innym zakątku kraju. Ludzie stawali mi się obcy równie szybko, co ja im, jednak ta kraina — ogromne połacie sfalowanej ziemi pod moimi stopami — nadal była moja, ja zaś należałem do niej tak samo jak mężczyzna, którego właśnie jej oddawali.

Kiedy kaznodzieja wypowiedział ostatnie słowa, a trumna zniknęła w dziurze, spojrział w dół omiatanego wiatrami wzgórza na miasteczko, na Hi Lo w Nowym Meksyku. Wydawało się zupełnie nieponiszone śmiercią swego najsilniejszego syna. Może wydarzenie to było od tak dawna wyczekiwane, że straciło całą swą moc.

Nawet ja, jego najlepszy przyjaciel, nie czułem smutku. Nie przelewałem łez. Była we mnie tylko pustka, jakby ktoś wydarł mi biceps z ramienia.

Umarł bardzo młodo, lecz wydawało się, że nic nie zostało zmarnowane. Dziwne to, bo wszak miał tyle do dania. Fakt, że umarł gwałtowną śmiercią, nie był dla mnie zaskoczeniem, lecz zdumiał mnie sposób, w jaki to się stało. To było tak, jakby wioska została opuszczona z powodu zbliżającej się powodzi, lecz zniszczył ją wybuch wulkanu.

Poszedłem do mojego pikapa, wsiadłem i po raz ostatni obejrzałem się za siebie.

— Żegnaj, stary sukinsynu — powiedziałem. — Mam nadzieję, że w piekle mają dzikie konie.

Miasteczko Hi Lo siedzi mocno przytulone do ziemi, jakby w obawie, że mocniejszy podmuch wiatru zmiecie je kurzawą w dół któregoś wyschniętego koryta rzeki. Jednak choć wydaje się pełne wątpliwości co do swego położenia geograficznego, to jest jeszcze bardziej niepewne swej pozycji społecznej. Domki zbudowane z suszonej na słońcu gliny rozrzucone są nieufnie po ! stosunkowo sporym terenie. Dawno temu, na początku tego stulecia, osadnicy ujarzmili ziemię, kupcy zaś przybyli zbudować miasto. Domy zbudowane z gliny i kamieni wyrosły na naturalnych, gęsto pokrytych trawą pagórkach, niczym drzewa w sadzie.

Mieszkańcy tych domów zapewnili mieścinie handel, a wtedy radni postanowili zbudować miasto. Budynki zaczęły wyrastać jeden obok drugiego, podczas gdy dokoła, na kilku milionach akrów pastwisk, sąsiedzi mieli między sobą po mniej więcej 160 akrów.

Pługi wgryzły się w trawę, konie mocno wpierały nogi w ziemię i rysowały za sobą zmierzwione paski skib. Posadzono drzewa, wykopano studnie, spłodzono dzieci, a pociętą glebę obsadzono fasolą, kukurydzą, trzcina i pszenicą.

Niektórym przez jakiś czas nieźle się powodziło. Zbierano i sprzedawano plony. Do nowych domów dobudowywano nowe pokoje. Kupowano nowe pługi i większe, silniejsze konie, kt&e by je ciągnęły. Ludzie mający najlepsze zbiory odkupywali ziemię od tych, którzy mieli najmarniejsze. Krok po kroku, z początku niezauważalnie, wiele farm malało, podczas gdy kilka rosło w siłę.

Później jednak ziemia zbuntowała się przeciwko temu wyzyskowi — choć na swój własny, subtelny sposób pomagała silnym w przejmowaniu słabych przy pomocy oszustwa: najpierw stopniowo, | potem ze wzburzoną siłą skiby wygładzały się na wyjąławiącym wietrze. Opuszczone domostwa rozpadały się, po kawałku, po kamyku. Ludzie, którzy to przetrwali, pozwolili,

by ich pługi zardzewiały, i pęd po pędzie, a po niezliczonym akrze, wróciła trawa. Ziemia stworzona dla zwierząt. Kraina bydła. I tak to na koniec było.

Panowanie objęły ogromne rancza. Tysiące sztuk bydła wędrowały po wzgórzach, górach i porośniętych krzewami kanionach. Ludzi na tej ziemi było niewiele i mieszkali porozrzucani po okolicy, miasteczko zaś, kiedy większość jego handlu znikła, skurczyło się do ledwie pięciuset mieszkańców.

Była to samotna kraina, a jej osadnicy przyjeżdżali do umierającego miasta Hi Lo w odwiedzinach, żeby pogadać o krowach i koniach albo żeby się upić, pograć w karty czy pouganiać za dziwkami. Hi Lo było centralnym punktem bezkresnej krainy pastwisk i dzikich wąwozów. Jednak ziemia także spuściła nań swe przekleństwo. Przez ponad trzysta dni w roku wiatr wwierca się w nie i wysysa, niczym przypomnienie bluźnierstwa pługów. Ranczerzy pamiętają o tym, rozumieją i znoszą wiatr ze zdumiewającą pobłażliwością.

Hi Lo ma swój kwartał biznesowy, choć równie mały co wszystkie inne części miasta. Każdy sklep wychodzi na autostradę, która biegnie równoległe do torów kolejowych. W lecie zyski przynoszą turyści, którzy zatrzymują się tu, aby zatankować, kupić jedzenie albo alkohol w drodze pomiędzy dziko rozrzuconymi oazami Nowego Meksyku.

Na jesieni ranczerzy przypędzają do miasteczka swoje bydło i ładują je na pociągi jadące do Denver czy innych wielkich miast w Teksasie, Illinois, Oklahomie lub Kansas. Zyski ze sprzedaży wyznaczają dobrobyt ranczerów, kowbojów i obywateli Hi Lo w ciągu zimy.

Wszzechobecny wiatr, rzecz jasna, wywołuje ogromne pragnienie. Hi Lo ma dwa przybytki stworzone do dawania ulgi tej torturze. Saloon „Dziki Kot” leży po południowej stronie autostrady, a dokładnie na wprost niego znajduje się saloon „Podwójny Obowiązek”. Te dwie knajpy wlepiają w siebie nawzajem oczy niby dwa młode byczki w stadzie. Pierwszy jest własnością niskiego, spasionego faceta nazwiskiem Nick Bames. Podaje on

drinki wolno, metodycznie i nieodmiennie powtarza: „Pijcie, dranie, i zamawiajcie następne kolejki. Nie przyszlście tu zamieszkać, tylko się zabawić”. Drugi saloon prowadzi — żeby tak to ująć — Lollypop Adams. Nikt nie wie, dlaczego tak ma na imię*. Lollypop jest wysoki i chudy, wygląda jak chart chodzący na dwóch nogach i składa się z samych kości z wyjątkiem brzucha, który ma lekko wystający. Ten brzuszek jest wynikiem zbyt częstego przysiadania się do klientów i dołączania do ich świętowania. Wszyscy przychodzą tu popić i pograć w karty, pokłamać i ogólnie wyładować się. Trzeba być w naprawdę fatalnym stanie, żeby dochrapać się wyrzucenia z tych spelunek. Interes nie zawsze idzie dobrze, a bójki rodzące się z czystej nudy i napiętych nerwów są równie popularne, co komary na zadku prosiaka.

Nieco dalej w dole ulicy znajduje się sklep ogólnohandlowy, coś w rodzaju supermarketu. Można tu dostać wszystko, czego potrzeba do przeżycia w tej głuszy, oczywiście jeżeli ma się pieniądze lub kredyt. Prawie wszyscy mają tu kreskę na rok — od jednego spędu bydła do drugiego. Właścicielem sklepu jest Mitch Peabody, mały facecik o świńskich oczkach. Jednak to jego żona—dwa razy grubsza od niego — pilnuje interesów i rozporządza zyskami. Ma na imię Rosa i posiada fortunę w piersiach. Pewien ranczer powiedział kiedyś, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat kupił ponad tysiąc funtów kobiecych piersi w sklepie Peabody'ego. Kiedy Rosa waży gwoździe, fasolę, cukier czy cokolwiek innego, co sprzedaje się na funty, zawsze jakimś cudem kładzie na wadze także i swoją pierś. Jest to nieuniknione ze względu na ich rozmiar. Jednak kiedy Abrahm Frink powiedział kiedyś: „JDwa tuziny zawiasów i funt cycka”, natychmiast ucięła mu kreskę.

Są tu trzy stacje benzynowe, przy czym w jednej znajduje się znacznie-mniej-niż-przeciętny mechanik oraz mały hotelik z restauracją, który nazywa się Hotel Collins. Jest też facet udzielający kredytów, Steve Shaw, lecz nie należy on do stałego wystroju

miasta, gdyż posiada ranczo i równie dużo czasu spędza w terenie, co w swoim biurze w Hi Lo.

Są tu i inni — rzecz jasna — lecz nimi raczej nie zaprzętam sobie głowy. Są z sobą tak blisko związani, że nie mają już własnych osobowości, po prostu złączyli się i spleli w jedną, jedyną tożsamość — przedstawicieli Hi Lo w Nowym Meksyku. To ci porozrzucani po ziemi wokół tworzą Hi Lo takim, jakie jest. Są silni i słabi w różnym stopniu. Wszyscy dają coś miastu, coś od siebie, każdy na własny sposób. Hi Lo nieraz nie widuje ich przez wiele miesięcy. Czeka, wiedząc, że kiedyś przyjdą. Myślę, że Hi Lo zawsze najbardziej wyczekiwało i najbardziej obawiało się Big Boya Matsona. Ale to nie jest po prostu opowieść o Big Boyu, czy o mnie, czy też o kobiecie imieniem Mona, obdarzonej ogromnymi pokładami miłości, poczucia winy i żalu. Nie, to nie wystarczy, aby dać wam pełen obraz krainy i miasteczka Hi Lo. Muszę tu włączyć wielu innych — kowbojów, bogatych rancze- rów, farmerów, wynalazców, artystów, pasterzy, złodziei, pijaków i zabójców. Oni wszyscy są promieniami wyrastającymi z centrum, którym jest miasteczko.

Orzeł lecący dokładnie nad Hi Lo, tak wysoko, jak tylko skrzydła go uniosą, zobaczyłby wszędzie pasące się białe-czerwone bydło. Na południu, na krawędzi pustyni, znajdują się niezliczone stada owiec i pasterze czujnie wypatrujący obecności dzikich drapieżników, które mogłyby zacić się na obrzeżach stada. Tu trawa z trudem wkrada się na pustynną glebę, a kaktusy i szalwia próbują wgrzyźć się w pastwiska. To wyjątkowo statyczna walka, która trwa już od tysięcy lat.

Na wschodzie i zachodzie, przez trzydzieści mil, albo więcej, trawa i koniczyna porastają ziemię gęstym dywanem, z wyjątkiem tych miejsc, gdzie wysokie, skaliste płaskowyże o urwistych zboczach wysuwają się z ziemi niczym ogromne, rozplaszczony węże. Te same trawiaste kobierce porastają łagodne zbocza ciągnące się przez ponad pięćdziesiąt mil na północ. Tu pagórki łączą się z górami, a cedry i pinie ustępują miejsca sosnom i świerkom. Żyją tu wszystkie pomniejsze stworzenia spotykane na otwartych

przestrzeniach — kojoty, rysie i lisy; można tu także spotkać niedźwiedzie, jelenie i pumy.

Choć Hi Lo bardzo się starało grać rolę cywilizowanego miasta, to nigdy do końca nie zdołało uciec od dzikości tych wolnych stworzeń. Często podczas wieczornych modłów w niedzielę monotonne, mrukliwe zawodzenia wiernych są przerywane szczekliwym, niezsynchronizowanym wyciem stada kojotów, które przybiegły w pobliże miasta na łowy. Temu stadu natychmiast odpowiadało wycie kojotów zgromadzonych po przeciwnej stronie miasteczka, a potem jeszcze innych, gdzieś dalej. I tak to się ciągnie w nieskończoność.

Podobnie jest z ludźmi żyjącymi na tej ziemi. Słuchają i słyszą zew dzikich zwierząt.

Rozdział drugi

Big Boya spotkałem po raz pierwszy na wiejskiej potańcówce. To ja byłem gospodarzem. Wydarzyło się to wkrótce po tym, jak kurzawa wczesnych lat trzydziestych zredukowała wszystkich do tego samego, niskiego poziomu. Wszyscy byliśmy splukani i na wpół zagłodzeni. Lecz teraz trawa zaczynała odrastać i można było tu i ówdzie zarobić dolara bądź dwa. Zatrudniłem dwóch meksykańskich muzykantów: jeden przyrzynał na skrzypkach, a drugi szarpał struny gitary. Wszyscy tańczyli, tupali, wrzeszczeli, pili whisky domowego pędzenia i ogólnie robili koszarne piekło.

Prawie wszyscy przybyli wozami lub konno. Na dworze stało zaledwie kilka starych samochodów i parę półciężarówek.

Big Boy podszedł do mnie, przedstawił się i powiedział:

— Jeżeli kiedykolwiek będziesz tu potrzebował kogoś do pomocy, daj znać.

Tamtej nocy nie rozmawiałem z nim po raz drugi, gdyż wtopił się w tłum i bawił równie dobrze, co wszyscy pozostali. W rzeczy

samej wydawało mi się dziwne, że nieznajomy facet składa mi taką propozycję. Dopiero później przekonałem się, jak poważnie mówił.

Usłyszałem o Matsonach zaraz po tym, jak się tu sprowadziłem, wiele lat temu, lecz nigdy nie spotkałem żadnego z nich. Big Boy miał dwóch młodszych braci, a jego matka i babka uzupełniały rodzinę. Big Boy był małym chłopcem, kiedy jego ojciec zmarł z powodu kuli, która utkwiła mu w płucu. Kulę tę nosił w sobie przez dwadzieścia lat, od chwili sprzeczki z sąsiadem o to, którądy dokładnie powinno przebiegać ogrodzenie. Mimo wszystko jednak to ona właśnie była przyczyną jego śmierci. Słyszałem, że dziadek Big Boya zmarł dokładnie w ten sam sposób, gdzieś w Teksasie, za to, że pobił faceta bydłęcym batem. Choć z drugiej strony dziadek nie przeżył dwudziestu lat z kulą, tylko zmarł, zanim jeszcze jego ciężkie ciało zważyło się na ziemię.

Big Boy szybko dorósł, w wieku czternastu lat przejął obowiązki głowy rodziny i nauczył się robić to jak najlepiej. Bycie odpowiedzialnym za całą rodzinę w tym wieku musiało stanowić niezłe wyzwanie i wydaje mi się, że już wtedy czarne chmury gromadziły się wokół niego, niczym niewyraźna powłoka — wyczuwalna, lecz nie do końca widzialna.

Mijał czas i stopniowo wszystko szło coraz lepiej. Ceny bydła poszły w górę; ogromnymi zrywami spadły deszcze i spowodowały, że trawa zaczęła rosnąć. Wreszcie można było zacząć robić plany na przyszłość. Nie widziałem się z Big Boyem od kilku miesięcy. Wszyscy byliśmy zbyt zajęci odkuwaniem się. Po raz drugi spotkałem go z powodu konia.

Od C-Barów kupiłem czteroletniego kasztanka. Był ujeżdżony przez ich szefa kowbojów, ładnie się prowadził i miał dobre hamulce. Niósł gładko, miał lekki klus i już zaczynał wyrabiać sobie instynkt do krów. Minął jakiś miesiąc, zanim pojechałem, żeby przyprowadzić go do domu. Osiodłałem go i ruszyłem w drogę. Zauważyłem na jego łopatce kilka zaleczonych blizn po

ostrogach, których wcześniej tam nie było, i zacząłem się nad I nimi zastanawiać. Po paru dniach przestałem.

Pewnego dnia wyjechałem na kasztanku (tak właśnie go na- I zywalem: Stary Kasztan) na poszukiwanie paru cielaków, które I odłączyły się od stada. Byłem jakieś dwie mile od domu. Podje- I chałem do płytkiego, błotnisteo bajorka, żeby się napił. Przeło- I żyłem nogę nad łękiem siodła i zapaliłem papierosa. Już prawie I zasypiałem. Stary Kasztan skończył pić, uniósł głowę, a kiedy I wyciągał nogę z błotnisteo dnia, rozległ się syk, a potem cmok- I nięcie ciśnienia w błocie. To mu wystarczyło. Wsadził łeb między I przednie nogi i tysiąc funtów końskiego mięsa wyskoczyło jak I z procy w powietrze. Kompletnie mnie zaskoczył i przy trzecim I podskoku wylądowałem w błocie na lewym barku.

Kiedy wstałem i otarłem oczy, Stary Kasztan mijał w podsko- I kach wzgórze i pędził ile sił w nogach ku ranczu. Mnie zaś czekał I dwumilowy spacer. Chyba mogę tu zaznaczyć, że się na niego I nieźle wściekłem.

Za każdym razem, gdy na nim jechałem, zdarzało się coś I niemiłego. Wystarczyło, że zobaczył cień rzucany przez ogrodzę- I nie, a już zaczynał wierzgać i cholerny sukinsyn za każdym razem I mnie zrzucał. Wierzgał potwornymi, nierównymi, skręcającymi I się, przyprawiającymi o mdłości wierzgnięciami, z którymi nie I potrafiłem sobie poradzić. Był z niego lepszy koń niż ze mnie I kowboj, i to byłoby na tyle. Wypróbowałem na nim wszystkie I sztuczki, jakie znałem. Na próżno. I

Dopiero teraz zrozumiałem te ślady po ostrogach. Szeł kow- I bojów był wściekły na szefa, że ten sprzedał mi kasztanka, I i dlatego, zanim przyjechałem odebrać konia, celowo zepsuł wierz- I chowca, okrutnie kancerując go ostrogami i ucząc wierzgania. I Szkoda, bo to stworzenie miało zadatki na wspaniałego konia.

Opowiedziałem o tym wszystkim Lollypopowi Adamsowi, I barmanowi w saloonie „Podwójny Obowiązek” w Hi Lo, i podej- I rzewam, że to on powtórzył wszystko Big Boyowi. Tak czy I inaczej, Big Boy i jego brat Sykes, który był od niego młodszy V o jakiś rok, może dwa, przyjechali pewnego dnia na moje ranczo.

Ludzie wołali na Sykesa Little Boy*. Był równie wysoki co Big Boy, lecz znacznie lżejszy.

— Pete — zaczął. — Słyszałem, że masz na głowie znarowionego konia.

— Taak, to prawda. Jest teraz tam z tyłu, w zagrodzie.

— Chodźmy go obejrzyć — odparł. Poszliśmy we trzech do zagrody, a Big Boy dwa razy obejrzał Starego Kasztana ze wszystkich stron.

Po paru minutach spytał:

— Ile chcesz za niego?

— Tyle, ile sam zapłaciłem — powiedziałem.

— Czyli ile?

— Siedemdziesiąt pięć dolarów.

— Biorę go — odrzekł i odliczył pieniądze.

Strasznie się ucieszyłem z tej sprzedaży. Big Boy zaczął rozsiodływać karosza, na którym przyjechał.

— Zamierzasz pojechać na nim do domu? — spytałem.

— Przecież po to go kupiłem — odparł.

Little Boy nie odezwał się ani słowem poza grzecznościowym „Jak leci?”, teraz jednak zsiadł, podciągnął spodnie i przygotował się do akcji, gdyby Stary Kasztan chciał coś kombinować.

Big Boy złapał konia i przywiązał do niedużego palika na środku zagrody. Potem osiodłał go, wdrapał się na pokład i ruszył. Czekałem, co będzie dalej, lecz nic się nie stało. Ten koń po prostu nie był aż tak głupi. Nawet nie usiłował sprzeczać się z Big Boyem.

— Jedziemy, Little Boy — mruknął do brata.

Sykes podążył za nim przez bramę, prowadząc karosza na postronku, i odjechali. Patrzyłem za nimi z dziwnym uczuciem. Do tej pory widzę oczyma wyobraźni, jak z łatwością i niezachwianą pewnością siebie siodła tego złośliwego konia.

Chociaż Big Boy mierzył zaledwie pięć stóp i jedenaście cali, wydawał się wyższy i cięższy niż te dwieście funtów, które ważył.

Poruszał się i mówił tak, że odnosiło się wrażenie, iż drzemiał w nim wspaniałe pokłady siły ledwie utrzymywanej w ryzach. Myślę o nim jako o ciemnym facecie, lecz to nieprawda: miał jasnokasztanowe włosy i ten dziwny typ skóry, prawie białej, z ledwie muśniętym oliwkowym odcieniem, który nigdy się nie opala ani nie spala, lecz zawsze zachowuje ten sam koloryt, bez względu na to, czy jej właściciel stale przebywa na dworze czy w domu. Miał długi, złamany nos, nie spłaszczony, lecz lekko skrzywiony na bok przez końskie kopyto.

Nie potrafiłem z taką łatwością jak on poradzić sobie ze złośliwym koniem i muszę przyznać, że podziwiałem jego talent. Gdybyż tylko ludzie bardziej przypominali konie, może Big Boy dożyłby starczego wieku.

Rozdział trzeci

Kilka miesięcy później zobaczyłem Big Boya w „Podwójnym Obowiązku”. Wypiliśmy razem drinka i zapytałem go o Starego Kasztana.

— Będzie jeszcze z niego dobry wierzchowiec — odparł i nalał bourbona z butelki. Potem dodał: — Jak na razie zachowuje się jak stary koń pasterski. Słucha wędzidła i pracuje z lassem tak, jakby sam je wymyślił. Ale nadal do końca mu nie ufam. Odkąd go kupiłem, nie śmiem go chwalić, ale nie chcę go sprzedać.

Powiedział to bez żadnej mimiki, lecz wyczułem w jego słowach sympatię i szacunek, które czuł do mojego znarowionego konia. Dokładnie to samo czuł w stosunku do wszystkich dzikich stworzeń, ale minęło jeszcze wiele czasu, zanim się tego dowiedziałem.

Cóż, nadeszła wojna. Nienawidziłem jej z wielu powodów, nie tylko masowego zabijania. Ziemia powoli, lecz nieustannie, dochodziła do siebie po oraniu, suszach i konsekwencjach kryzysu. Wszyscy z wolna odbijali się od dna. Ceny bydła szły w górę z roku na rok. Wszystko wreszcie zaczynało układać się pomyśl

nie dla tej ziemi i jej mieszkańców. Później, z dnia na dzień, ceny bydła podskoczyły. Cena ziemi i trawy uniosła się niczym suche żdźbła podczas trąby powietrznej. Po raz kolejny ziemia była przeludniona. Ludzie przekonają się o tym dopiero za parę lat, lecz jest to równie nieuniknione co miłość i nienawiść. Ludzie, którzy nie potrafili zajmować się ogródkiem o dziesięciu grządkach, nagle stawali się właścicielami ogromnych stad bydła. Wystarczyło, że pożyczili pieniądze z banku i kupili za nie krowy i trochę pastwisk. Nie mogli się powstrzymać. Skok cen już się tym zajął.

Starzy, leniwi i kulawi zostawali z tyłu i bogacili się. A my wszyscy pojechaliśmy za morze, żeby się bić. Nie chciałem jechać. Nadal nie rozumiem, dlaczego to zrobiłem, zwłaszcza że miałem wtedy już stado liczące sobie sto pięćdziesiąt ślicznych krów o białych pyskach i mogłem się wymigać.

Powiedziałem Big Boyowi:

— Szkoda, że nie mam żony i jedenaściorga dzieci. Może wtedy mógłbym tu zostać i nie mieć z tego powodu wyrzutów sumienia.

— Nie — odparł. — I tak byś je miał.

Obaj się zaciągnęliśmy.

Byliśmy przeciętnymi żołnierzami, może i to nie. Trudno było się nam przyzwyczaić do wojskowego życia, zwłaszcza że nawykliśmy do mieszkania jakieś osiemnaście mil od najbliższej wioski i do tego, że nikt — z wyjątkiem pogody — nie mówi nam, co mamy robić.

Wróciliśmy. To znaczy, większość z nas wróciła. Big Boy wrócił na swoje ranczo, lecz ponieważ Little Boy już tak długo był tam szefem, zostawił rzeczy jak się miały i zatrudnił się u Jima Eda Love'a, który miał największe ranczo w okolicy.

Nie rozmawialiśmy o wojnie zbyt wiele. Wiedzieliśmy, że była wojną nas wszystkich, lecz ta tutaj, dokoła Hi Lo, należała tylko do nas i będzie do nas należeć, dopóki stąd nie wyjedziemy albo nie umrzemy, a o jednym i o drugim myśleliśmy od czasu do czasu.

Zdaje mi się, że to ten znarowiony kasztanek, którego sprzedałem Big Boyowi, zapoczątkował naszą przyjaźń. Dał nam pretekst, żeby porozmawiać i wspólnie się napić. Big Boy uwielbiał przechwalać się tym, jak Stary Kasztan szybko się uczy. A ja lubiłem tego słuchać.

— I, na Boga wsze'mogącego, Pete... — Nie mam pojęcia, gdzie podłapał to wyrażenie; sam twierdził, że jest agnostykiem; — Ten stary konik niczego nie zapomniał od naszego wyjazdu.

Cóż, z czasem zaczęliśmy gadać o koniach, kobietach, rodeo i mnóstwie innych rzeczy.

Powiedział:

- — W Ragoon będzie dwudniowy pokaz. Warto byłoby się załapać.

— Świetnie — odparłem.

W dniu rodeo załadowaliśmy do półciężarówki mojego konia do chwytania bydła, niewielkiego bułanka, który ważył około dziewięciuset funtów, i jego konia do powalania cielaków, karo- sza mniej więcej tego samego rozmiaru, i wyruszyliśmy w drogę.

Nie wiem, dlaczego pozwoliłem, aby Big Boy namówił mnie do wzięcia udziału w ujeżdżaniu dzikich koni na oklep, bo nie mam ujeżdżania we krwi. Mojadziałka to chwytanie cieląt. Zdaje mi się, że zrobiłem to, by sprawić mu przyjemność.

On zgłosił się do powalania byków, ujeżdżania dzikich koni na oklep i ujeżdżania byków, lecz nie do konkursu z lassem. Chociaż nieźle radził sobie z linką w terenie i na równinach, to był zupełnie bezradny podczas pokazów na arenie rodeo.

Jak zawsze zebrał się ogromny tłum i zdawało się, że przyjechało z milion koni z całego kraju. To były pierwsze pokazy od czasów wojny i byłem podniecony niczym wiejski chłopak w dniu swego ślubu. Kiedy opuszczałem się ostrożnie na kościsty grzbiet tego starego, dzikiego konia, czułem, że każdy nerw w moim ciele stoi na baczność. Usiłowałem przełknąć ślinę i omal się nie udusiłem. Czułem pot pod pachami i wilgoć lecącą do oczu.

Skinałem do pomocników, żeby otworzyli bramkę, bo nie

było żadnej innej alternatywy. Przejechałem trzy podskoki z lewą dłonią przyspawaną do rączki popręgu biegnącego przez grzbiet konia. Zupełnie w niczym mi nie pomogła. Poleciałem w lewą stronę i przekoziółkowałem kilka razy, połykając kurz. Wstałem i rozejrzałem się za kapeluszem. Konisko nadal wzniecało kurzawę po przeciwnej stronie areny.

To był dobry dzień dla Big Boya. Przykleił się do grzbietu swojego dzikiego konia i zebrał pierwszą nagrodę. W ujeżdżaniu byków wylosował wirującego, szalonego, mocno wierzgającego bydlaka, jeździł na nim aż do gwizdka i zajął drugie miejsce. Przy obalaniu byków nie mogłem dotrzymać mu kroku. Leżał na cielaku i wykreczał mu głowę, zanim ja cokolwiek zacząłem robić. Osiem sekund jak obszył i znowu pierwsze miejsce. Jak na amatorskie rodeo, był to wspaniały dzień.

Zająłem trzecie miejsce w łapaniu cielaków na łąso. Zrobiłem ładną pętelkę na węźle i straciłem szansę na pierwsze miejsce o cztery sekundy.

Tej nocy świętowaliśmy i nieźle się upiliśmy. Około drugiej nad ranem wygonili nas z barów. Pojechaliśmy do otwartej całodobowo restauracji. Pełno było w niej kowbojów, kowbojek i najróżniejszej maści ludzi. Zamówiliśmy szynkę z jajkami i zajmowaliśmy się naszymi sprawami, kiedy wszedł niejaki Art Logan z Kolorado. Był tuż za Big Boyem w klasyfikacji.

— Witaj, ty krzywonosy sukinsynu — zaczął.

Jedna uwaga: w naszym kraju słowo „sukinsyn” może być przyjacielskim pozdrowieniem, naprawdę pełnym sympatii, lub koszmarną obelgą. Wszystko zależy od tonu głosu. Tym razem było obelgą. Nie było najmniejszych wątpliwości, że Art Logan jest zazdrosny o osiągnięcia Big Boya — pewnie czuł tę zawiść już od dłuższego czasu. Wiele osób ją czuło.

Art nie był tak wysoki jak Big Boy, lecz miał bary niczym młody bawół i kark gruby jak galonowe wiadro. Kiedy Big Boy Matson kogoś nie lubił, usiłował go spławić na wszelkie sposoby. Próbował tego też z Artem, ale nie pomogło. Art cały czas się go czepiał.

— Do diabła, człowieku, pewnie masz szwagra w komisji oceniającej ujeżdżanie dzikich koni, bo dostałeś co najmniej ze dwadzieścia punktów za dużo.

I tak to szło. W końcu Big Boy odłożył widelec, odsunął krzesło, nacisnął mocno kapelusz i wstał. Nie odezwał się ani słowem. Po prostu wyszedł na zewnątrz i czekał. Wszyscy w knajpie zaczęli wstawać, a wielu kumpli Arta wyszło na zewnątrz. Dwaj z nich przeszli się w dół ulicy, aby poszukać lepszego miejsca na bójkę niż cementowy chodnik.

Nagle Art zawirował i rąbnął Big Boya w policzek tak, że strącił go z krawężnika. Big Boy był już na kolanach, kiedy Art wałnął go obiema pięściami w twarz, lecz nie przeszkodziło mu to w podniesieniu się na nogi.

Podbiegłem do pikapa i wyciągnąłem z niego łopatę. Odwróciłem się do koleśków Arta.

— Cofnąć się! Nie mieszajcie się do tego! — wrzasnąłem.

Art zamachnął się tak mocno, że gdy nie trafił, przewrócił się.

Wałnął w glebę z takim dźwiękiem, jaki wydaje płaska deska, kiedy rąbnąć nią byka w zad. Big Boy brzydsko krwawił. Nie raz słyszałem o jego niezwykłych umiejętnościach walki wręcz, ale rozkręcał się strasznie wolno. Spokojnie mierzył swego przeciwnika i zbierał łomot.

Art zdesperował się nieco i zaczął młócić rękami bardziej na oślep. Bez wątpienia zastanawiał się, dlaczego Big Boy nie padł na ziemię..| albo kiedy zacznie się wreszcie bronić.

Cóż, gdy już zaczął, poszło to jak burza, tak szybko, że prawie tego nie zauważyliśmy. Kiedy Art przewijał się obok niego, Big Boy zdzielił go potężną prawą pięścią. Słychać było, jak żebra pękają niczym zapalki. Big Boy schwycił Arta, ściągnął go z ulicy i jakieś sześć razy przyłożył mu w twarz. Później puścił go i obrócił się po swój kapelusz.

Art został tam, gdzie leżał... i to przez dłuższy czas.

Następnego dnia pojawił się na rodeo w charakterze widza. Nie napatrzył się też zbyt na przedstawienie, gdyż tylko jedno oko miał sprawne, co widać było na odległość. Art Logan uzna-

wany był za najtwardszego zawodnika na amatorskich zawodach rodeo, lecz teraz ta reputacja została mocno nadszarpnięta. Kiedy następnego dnia Big Boy wygrał mistrzostwo zawodów, nie wzniesił wyjątkowej miłości w sercach Arta i jego koleśków.

9

Jednak dostał od nich to samo, do czego przyzwyczał się w Hi Lo — strach i szacunek.

Rozdział czwarty

W naszym powiecie nie ma zbyt wiele okazji do spotkań towarzyskich. To jeden z powodów, dla których zazwyczaj pijemy dość whisky, gramy dostatecznie dużo w karty i uganiamy się za dostatecznie wieloma kobietami, żeby starczyło nam tego na najbliższe pół roku. Bo i tyle czasu może minąć, zanim się znowu spotkamy.

Tamtej konkretnej nocy wszystko działo się bardzo szybko: Big Boy i ja zakochaliśmy się w tej samej kobiecie.

Postanowiliśmy pojechać na fiestę do meksykańskiej wioski Sano, która znajduje się na południe od Hi Lo. Droga wiodąca do Sano pozostawia wiele do życzenia. Nie jest ani wybrukowana, ani dobrze utrzymana. Dwa razy w roku delegacja polityków zbiera się w Ragoonie i robi piekło z powodu tej drogi. Ponieważ mają tu niewielkie, lecz ważne grono wyborców, droga jest oceniana i kwalifikowana do napraw, które nigdy jakoś nie nadchodzą.

Te łagodnie sfalowane wzgórza obfitują w kaktusy, robaki i gady. Tu i ówdzie, w niewielkich dolinach, cienkie źdźbła rrawy z trudem wyrastają spod spieczonej, suchej ziemi, zapewniając marne pożywienie nielicznym stadom owiec i kóz.

Wioska Sano zbudowana jest z gliny, na której stoi. Wydaje się, że wyrosła na chybił trafił, jak trawa w dolinie, a nie, że została wzniesiona przez ludzi.

Mieszkańcy Sano utrzymują się z maleńkich splechetek

fasoli, kukurydzy i kabaczków, które są nawadniane z leniwie płynącego, pustynnego strumyczka chowającego się w piasku zaledwie dwie lub trzy mile za wioską. Wieśniacy suszą kabaczki i kukurydżę na słońcu, aby przygotować je na zimę. Fasola, wysuszona przez słońce i wiatry, jest jedynym stabilnym czynnikiem ich beznadziejnej ekonomii. Prawie wszystko, co zbiorą, przechowują w jutowych workach w suchych spiżarniach na długie, zimowe dni.

Na zachód od Sano znajdują się purpurowe wzgórza upstrzone szczeciniastymi sosnami. Od wioski do wzgórz wiedzie wąska droga i tym szlakiem kilka razy w roku odbywają się pielgrzymki po drewno na opał. Jeżeli jakimś cudem ten, kto przyjechał po drewno, napatoczy się na pasącego się jelenia, zazwyczaj podniesie z podłogi wozu strzelbę kaliber trzydzieści-trzydzieści i ustrzeli biedaka, zwłaszcza jeżeli leśniczy znajduje się właśnie w sąsiednim okręgu. Takie mięso także się suszy na rodzinne zapasy. Ogólnie rzecz ujmując, ludzie ci ledwie wiążą koniec z końcem.

To wszystko ma tylko jedną, zdecydowanie pozytywną stronę: pracy jest mało, bo nie ma gdzie pracować. Te niewielkie ilości gotówki, które przeciekają do wioski, pochodzą z emerytur, rent — jeśli ktoś się do renty kwalifikuje — oraz od krewnych, którzy wyjechali do miasta bądź znajdują się w wojsku. Większość pieniędzy wydawana jest na ubrania, wino i piwo.

Szkolny autobus przyjeżdża do Sano pięć razy w tygodniu i zabiera dzieci do Hi Lo, aby odebrały swe wykształcenie. Kiedy już skończą albo rzucą szkołę, zazwyczaj wyjeżdżają do Albuquerque, Santa Fe, Utah albo Kalifornii, więc w większości Sano zamieszkałe jest przez starców i dzieci. Jednak na doroczną tę zjeżdżają się tłumnie ludzie z Hi Lo, Ragoonu i okolicznych rancz.

Spoglądałem na kaktusy, podczas gdy Big Boy prowadził pikapa wyboistą, zakurzoną drogą. Za nami wznosiła się ogromna chmura kurzu, która powoli osiadała na pylistej drodze. Zastanawiałem się, co kryje się za odległymi, purpurowymi wzgórzami.

Z pewnością znajdują się tam tony złota tylko czekające na to, by ktoś je odkrył. Równie święcie przekonany byłem o tym, że w sercu gór znajduje się piękna dolina pełna gęstej trawy i wysokich drzew.

Już miałem spytać Big Boya, czy kiedykolwiek zapuścił się w te rejony, lecz wtedy właśnie zamajaczyła przed nami wioska. Przybyliśmy wcześniej; do zachodu słońca brakowało jeszcze około godziny. W miasteczku pełno było samochodów w większości zaparkowanych przed jedynym w Sano barem.

Stary Delfino Mondragon, znany wszystkim moczymorda, wybiegł do nas, wołając:

— Amigos! Drinka dla moich amigos z Hi Lo!

Weszliśmy; potem postawiliśmy wszystkim obecnym kolejkę. A potem jeszcze dwie. Zapadła noc. Dzienny skwar minął i w powietrzu czuć było chłód nocy. Nadeszła pora na tańce.

Zastanawiałem się, czy nie pójść w dół uliczki i nie wyciągnąć z domu Josephy O'Neil, pół-Meksykanki, której ojciec prowadził jedyny sklep w Sano. Dawno temu Jim O'Neil ożenił się z piękną, meksykańską dziewczyną. Miał z nią sześcioro dzieci, które, poza Josephą, dawno wyjechały z rodzinnej wioski. Wielu zastanawiało się, dlaczego taka ładna dziewczyna jak ona chowa się w tym samotnym i odizolowanym od świata miejscu. Mnie także to zastanawiało. Spotykałem się z nią od czasu do czasu, odkąd skończyła się wojna. Bywały chwile, kiedy czułem, że chyba się w niej zakochuję, lecz nigdy nie byłem tego pewien. Postanowiłem nic o niej nie mówić BigBoyowi. Pewnie i tak zjawi się na tańcach.

Pojechaliśmy w górę uliczki, dwie przecznice od barn, do miejsca, gdzie kiedyś był ratusz miejski. Potancówka była już w toku. Orkiestra składała się z gitarzysty, skrzypka i gościa grającego na banjo. Kiedy weszliśmy, właśnie grali starą hiszpańską balladę miłosną. Światło padające z latarni było równie łagodne co piosenka. Natychmiast ogarnął mnie słodki spokój, wywołany na wpół muzyką, a na wpół wypitą whisky.

Zerknąłem na niezbyt zatłoczony parkiet, a potem na ławkę po przeciwnej stronie, gdzie siedziało kilkanaście seniorit i żony

ranczerów. Mężczyźni nadal jeszcze stali zbici w nieduże grupki, omawiali interesy i od czasu do czasu wymykali się na drinka. Za jakąś godzinę będą tańczyć, aż pójdą drzazgi, wrzeszczeć i świetnie się bawić.

Zobaczyłem Josephę; przyglądała mi się. Była śliczna z tymi czarnymi włosami Meksykanki i jasną, piegowatą irlandzką cerą. Miała ogromne, lśniące, łagodne oczy, które stanowiły doskonałe uzupełnienie dla ponętnego ciała. Właśnie szedłem ku niej, kiedy zobaczyłem Monę.

Mona Birk była żoną Lesa Birka, szefa kowbojów na ranczu C-Barów, na północny wschód od Hi Lo. Widywałem ją w okolicy od lat, kilka razy nawet z nią tańczyłem, lecz tak naprawdę wcale jej nie znałem. Włosy miała prawie tak czarne, jak Josepha, lecz z rudawym połyskiem. Rysy jej twarzy były bardziej wyraziste — wyraźnie wystające kości policzkowe i mocno zaznaczona szczęka sprawiały, że przypominała mi grecki posąg, który kiedyś widziałem w jakimś czasopiśmie. Oczy miała nie za duże, lecz sprawiające wrażenie głębokich i bystrych. Kiedy patrzyłem w te jej oczy, zawsze miałem wrażenie, że gdyby tylko chciała, mogłaby odpowiedzieć na każde pytanie na świecie. Jej skóra była bida i przezroczysta, jakby krew krążyła bardzo blisko powierzchni, płynąc nie przez żyły, lecz zwartą masą.

Kiedy stanęła przede mną, odezwała się tym łagodnym głosem, który zawsze przypominał szept:

% Witaj, Pete.

Wtedy po prostu złapałem ją za ramię i poprowadziłem na parkiet.

— Co u ciebie słychać. Mono?

Zbliżyła się do mnie niczym srebrna mgła.

— Wszystko świetnie — odparła. — Doskonale.

— A dzieci w porządku? — zapytałem.

— Owszem.

Nie miałem pojęcia, co jeszcze mogę powiedzieć. Zdawało mi się, że składa się tylko z zapachu i ciepłego nacisku rąk. Nagle zrobiło mi się gorąco. Przetąńczyłem z nią — z drobnymi prze-

rwami — prawie godzinę. Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie sobie darować, bo jeszcze jej mąż pomyśli, że dobrze się bawię.

Wyszedłem na dwór z Big Boyem. Whisky już zaczęła na niego działać; odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie okrzyk, który przy sprzyjającym wietrze można by usłyszeć aż w Hi Lo.

— Na Boga wsze'mogącego, Pete — mruknął. — Co za świetna zabawa!

— Taak — odparłem i wychyliłem drinka. Później sam wrzasnąłem; to jakoś oczyszcza duszę.

Big Boy powiedział:

— Pić whisky i wydawać takie okrzyki można, albo kiedy jest się samemu, albo z kimś. To doskonałe lekarstwo na wrzody.

Już chciałem powiedzieć mu o Monie, lecz odezwał się zew natury i musiałem przejść za róg ratusza, aby odwiedzić zarośla. To był błąd.

Kiedy wróciłem do środka, Big Boy tańczył z Moną, i nie było sensu, żebym się co do nich oszukiwał. Pasowali do siebie jak dwa czarne muły w zaprzęgu. Tańczyli z przytulonymi policzkami, niczym kopulujące jeżozwierze, a ta niewidoczna, czarna chmura, która drżała zawsze nad głową Big Boya, zdawała się spowijać w tym tańcu ich oboje.

Poczułem chłód w trzewiach, zupełnie jakbym połknął pięcio- funtowy kawał lodu. Zakochałem się w niej. Zawsze byłem w niej zakochany, lecz zwalczałem to w sobie, bo była żoną innego — mężczyzny, który nawet nie był moim przyjacielem. Ale to nie miało znaczenia dla Big Boya Matsona. Zjawił się i wysadził mnie z siodła dokładnie w tej samej chwili, kiedy zorientowałem się, dokąd jadę. Zabolało. Podobnie jak wiele innych osób miałem wreszcie powód, żeby go zabić. Lecz był moim przyjacielem i kompanem. Cóż, powinienem był mu powiedzieć. Gdybym mu powiedział, nie tknąłby jej, przenigdy. Taki właśnie był wobec tych, których lubił... wobec tych kilku nielicznych.

Noc się rozgrzewała, podobnie jak muzykanci. Wszyscy się śmiali i krzyczeli; nigdzie nie było widać smutnych min. Tylko mi było źle. Zobaczyłem Josephę, która tańczyła z pijanym kow

bojem i gestem poprosiła mnie, żebym mu ją odbił. Odwróciłem się, poszedłem do pikapa i pociągnąłem spory łyk z butelki.

Stałem tak sam przez kilka minut, aż naraz usłyszałem:

— Zostaw nieco dla mnie. — To była Josepha. Podałem jej butelkę. Pociągnęła nieduży łyzeczek. —

Dlaczego nie zatańczyłeś dziś ze mną? — spytała. — Czekałam.

Odwróciłem wzrok.

— Przepraszam — odparłem i naprawdę było mi przykro. Ijjjg Mona Birk?

— Do diabła, skąd. — Ale powiedziałem to za szybko i za głośno.

W^r Jest piękna — odezwała się Josepha cichutko.

— Ty też. Chodźmy. Pojedźmy gdzieś.— Wsiadliśmy do pikapa. — Masz ochotę pojechać do kina? — spytałem.

W Sano? Zwariowałeś.

— Wiem.—Zapuściłem silnik. — Pojedźmy do Ragoonu— zaproponowałem, zapominając, że to półcięzarówka Big Boya.

Nie dzisiaj. Po prostu chciałam z tobą porozmawiać.

Jechaliśmy w milczeniu, a potem ja powiedziałem:

— Martwisz mnie. Dlaczego zostałeś tu, w Sano? Jesteś śliczną i mądra. Mogłabyś wieść znacznie lepsze życie w Ragoonie:

•—Wszyscy mnie o to pytają.

— No więc, dlaczego?

— Chodzi o ojca—odrzekła.—Jest tu szczęśliwy. W innych miastach widziałam tyle nieszczęścia, że może boję się wyjechać.

Dotknąłem jej włosów.

— Żle by było, gdyby ktoś taki jak ty nie był szczęśliwy.

Dlaczego tak mówisz?

— Bo jesteś dobra. Na świecie jest wystarczająco wielu łajdaków. To oni powinni cierpieć.

— Wszyscy jesteśmy źli. Kiedy ostatnim razem tańczyłam z tobą w Hi Lo, miałam złe myśli. —

Uśmiechała się.

Zatrzymałem pikapa i przyciągnąłem ją do siebie. ; — To dobrze.

Przed nami na drodze rozjarzyły się światła samochodowe

i szybko rozjaśniły nam twarze, jak gdyby właśnie nas chciały wyszukać w ciemnościach.

— Do diabła — powiedziałem. — Na tym świecie nie ma miejsca, w którym można być samemu.

— Ależ jest. Jedź dalej, to ci je pokażę. Przed nami jest droga, która prowadzi do rzeki.—A minutę później dodała:—Skręć tutaj.

Dróżka była wąska, lecz przejezdna. Kaktusy rosły tu bardzo gęsto, sztywne i czarne.

— Ostrożnie — ostrzegła Josepha. — Nie jedź zbyt blisko brzegu. Czasem zapadają się i możemy wpaść do rzeki.

— Rzeki? Ty to nazywasz rzeką? — Roześmiałem się.

— Cóż, dla nas to rzeka. Te niewielkie ilości wody to wszystko, co mamy.

Wąski strumyk co trochę znikał pod ziemią, aby znowu pojawić się, z trudem wyprysnąc spod kamieni. Śpiew cykad nie milkł ani na chwilę. Światło księżycy falowało lekko.

Przytuliłem ją mocno; potrzebowałem tego.

— Josepho, powiedz, co tak naprawdę o mnie myślisz?

— Wstydzę się powiedzieć.

— Nie wstydz się. Powiedz mi, proszę.

Ujęła moją twarz w obie dłonie.

— Gdybyś mnie teraz zostawił, byłabym strasznie nieszczęśliwa.

— Zamierzasz mieszkać tu przez całe życie? — spytałem.

— W tej chwili niczego nie jestem pewna. Powiem ci później.

— Przespacerujemy się nad rzeką. — Ująłem ją za rękę i staliśmy tak, wpatrując się w wodę. W oddali zawył kojot. — Posłuchaj tylko. Strasznie lubię to ich wycie.

—• Wiesz, że Indianie Nawaho wierzą, iż kojoty będą ostatnimi żywymi stworzeniami na ziemi?

Zastanowiłem się przez chwilę.

— Może i mają rację.

— Stara Meesa mówi, że to zmarli kochankowie, którzy wrócili na ziemię pod postacią kojotów i teraz wyją po nocach za miłością, której nigdy nie zaznali.

p§i|< Meesa?

— To czarownica. Potrafi uleczyć prawie wszystko i rzucać urok.

— Wierzysz w to?

Owszem. Ty też byś wierzył, gdybyś ją znał..

— Chodź tutaj. Później porozmawiamy o czarownicach.

Przyszła do mnie; całowaliśmy się przez bardzo długą chwilę.

Przytuliłem ją mocno do siebie. Potem puściłem ją, ująłem za ramię i poprowadziłem z powrotem do pikapa.

Wyjąłem z samochodu ogromną, ciężką baranicę Big Boya i rozłożyłem na piasku. Czekala w milczeniu.

Ująłem ją za rękę i pociągnąłem na posłanie.

— Obiecuj mi — szepnęła. — Obiecuj mi jedno. Jeżeli nigdy nie zdołasz mnie tak naprawdę pokochać, powiedz mi to teraz. Proszę.

Ależ kocham cię, naprawdę.

Znowu odezwał się kojot, odległy i samotny. Zahukała pustynna sowa. Dokoła nas rosły czarne kaktusy.

Udawałem, że to słodkie ciało pode mną należy do Mony.

Rozdział piąty

Potem dowiedziałem się, że mąż Mony, Les, usiłował pobić Big Boya tamtej nocy. Ludzie ich rozdzielili, lecz nic nie było w stanie naprawić szkody. Plotka poszła w świat. Tamtego ranka, w drodze powrotnej do Hi Lo, Big Boy nie wspomniał o tym ani słowem, ale parę razy słyszałem w mieście, że Les przysiągł dorwać Big Boya i odpłacić mu w ten czy inny sposób.

Wiele myślałem o Monie i przypomniałem sobie, że zawsze kręciło się wokół niej wielu facetów, nawet kiedy Les był w pobliżu. Nie zwracał na to uwagi, a przynajmniej nie dawał tego po sobie poznać. O ile wiem, nigdy go tak naprawdę nie zdradziła, po prostu flirtowała. Może to nawet nie było to. Może chodziło

raczej o to, że miała instynkt do mężczyzn, a przynajmniej im się tak wydawało. Bez wątpienia co niektórzy miewali i inne myśli na jej temat, lecz w pewnym momencie Mona zaczynała zachowywać się lodowato, tak że czuło się, iż następny krok będzie naruszał ustalone zasady gry. W ten sposób zachowywała się w stosunku do mnie. Lecz w przypadku Big Boya było inaczej. Dla niego zburzyła mury i otworzyła bramy.

Miała w sobie to coś, co sprawia, że kobieta wyróżnia się na tle innych, bez względu na to, czy jest piękna, czy nie. Było w niej coś głębokiego, niewykorzystanego. Nie mogłem zrozumieć, co ona takiego widzi w Big Boyu, i miałem do niego o to żal.

Tydzień później spotkałem go u Lol ly popa i wypiliśmy wspólnie piwo.

— Nie będę już więcej pracował u tego ciułacza, Jima Eda Love'a—odezwał się.—Nająłem się na ranczu Hoovera Yunga.

— Ale chyba nie płaci ci aż tak dobrze? — spytałem.

— Nie, ale sam jest starym kowbojem. To jedyny gatunek ludzi, który jest jeszcze coś wart.

— Lollypop, daj nam jeszcze piwa — odpadem.

Chciałem spytać go o Monę, lecz nie zrobiłem tego. On natomiast zaczął mi opowiadać niestworzone historie o Koniokradzie Willym, jednym z jego ulubieńców w Hi Lo, ja zaś zrewanżowałem mu się opowieścią o najnowszych wyczynach Abrahama Frinka, mojego najbliższego sąsiada i jednego z lepszych wariatów w okolicy. Obaj śmialiśmy się do łez i pomyślałem sobie, że nawet jeśli Abraham nigdy w życiu nie zrobił nic dobrego, to przynajmniej przysporzył mnie i Big Boyowi masę śmiechu.

Kiedy tylko co sprowadziłem się do Hi Lo i kupiłem moje małe ranczo, natychmiast usłyszałem o Abrahamie Frinku. Słyszałem uwagi w stylu: „Nieźle miejsce sobie wybrałeś, tyle że z paskudnym sąsiadem”. Albo: „Nikt nie potrafi na dłuższą metę wytrzymać z tym starym jaszczurem. Zawsze tak było”. Albo: „Mieszka tu od czterdziestu lat i do tej pory jedynie przysparzał ludziom kłopotów”. I tak to szło. Byłem zdeterminowany zostać tym, który go ugłaska.

Abraham był właścicielem małego rancza, na którym pośrodku gęsto zarośniętych trawą pastwisk hodował kukurydzę i fasolę. Proponowano mu dwa razy tyle pieniędzy, ile ranczo było warte, tylko po to, żeby się go pozbyć, ale wydaje mi się, że żadna suma nie skłoniłaby go do przeprowadzki. Za bardzo lubił przysparzać ludziom kłopotów. Był jednym z ostatnich osadników — Gniazdowników, jak nazywali ich ranczerzy. Jego dom znajdował się zaledwie pół mili w dół zbocza od mojego rancza. Powodem dla tak daleko posuniętej zażyłości w tym kraju odlud- ków była woda — źródła po obu stronach płotu, który nas rozdzielał. Do kolejnego sąsiadującego z nami rancza w każdym kierunku biegła długa droga.

Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, miał siedemdziesiąt pięć lat i był na wpół ślepy; nie chciał się przyznać ani do jednego, ani do drugiego. Kiedy naprawdę zależało mu na tym, żeby coś zobaczyć, nakładał okulary, które kupił za dwa dolary w sklepie „Sto i Jeden Drobiazgów”. Był wysoki, chudy i wyprostowany, jakby połknął pogrzebacza. Chodził tak wyprostowany, że aż się nieco odchyłał do tyłu, sztywny i suchy; zdawało się, że raczej się złamie, niż pochyli.

Prawdopodobnie przyjechał do powiatu Hi Lo w tym swoim starym kapeluszu. Jego rondo, zamiast podwijać się ku górze, zawijało się w dół. Kiedy stał na deszczu, woda spływała po nim, niczym po spadzistym, gontowym dachu.

Pewien Holender, który był jego sąsiadem jakieś dwadzieścia lat temu, przyłożył mu kiedyś w fizjonomię ogromną kłodą drzewa. Dzięki temu Abraham miał dokładnie połowę uzębienia na dolnej i na górnej szczęce, wszystko po jednej stronie twarzy. Tą stroną, po której miał zęby, przez cały czas żuł tytoń, a czekoladowego kolom sok wyciekał mu drugą stroną ust, co Abraham ścierał wierzchem ręki, a potem ocierał dłoń o koszulę. Braki w uzębieniu spowodowały, że sok tytoniowy z łatwością opuszczał jego usta, i Abraham potrafił pluć napięć jardów w lewą stronę bez obracania głowy.

Jego żona prawie dorównywała mu wzrostem, miała ogromne, płaskie stopy, grube kostki i była tak głupia, że śmiała się ze

wszystkiego, co się do niej mówiło. Gdyby ktoś jej powiedział, że w Ragoonie wybuchła epidemia cholery i tysiąc ludzi padło trupem już pierwszego dnia, ona tylko spojrzalaby na mówiącego, klepnęła się po udzie i zaczęła się śmiać do łez. Pewnego ranka powiedziałem jej: „Dzień dobry”, i pozbieranie się po tym zajęło jej dziesięć minut. Może tylko w ten sposób zdołała przetrwać tyle lat na fasolowej farmie ze wszystkimi tymi dziećmi. Ich dzieci wszędzie było pełno; miały od dwóch do dwudziestu dwóch lat. Nigdy nie usiłowałem ich policzyć; nie wydaje mi się, żeby i Abrahm je liczył.

Pewnego wieczora zaprosili mnie na kolację i kiedy skończyliśmy toczyć bój z dziećmi o to, co znajdowało się na stole, byłem zbyt zmęczony, żeby rozmawiać, lecz posiadałem jeszcze dość dobrej woli, żeby słuchać. Abrahm wieszał psy na wszystkich w okolicy. Według jego słów, w odległości tygodniowej jazdy wierzchem nie było ani jednego choćby na wpół uczciwego człowieka. Każdy obywatel powiatu Hi Lo, co do ostatniego, był podstępny, kłamliwym oszustem. Kłamcy, złodzieje, zdrajcy, szantażyści i koniokradzi to wyjątkowo łagodne określenia, a wszyscy w jakiś sposób wyrządzili krzywdę biednemu, staremu Abrahmowi. Rząd zrujnował maluczkich, jak on, i oddał wszystko sukinsynom pokroju Jima Eda Love'a.

Tr- Ale na miły Bóg, ja im jeszcze pokażę! Tym niewdzięcznym łajdakom! Ci dranie nigdy nie dostaną mego rancza! — warczał. Potem wypluł świeży sok z dopiero co napoczętej prym- ki i dodał: —Wy, cholerne dzieciaki, wynoście się stąd do diabła, żeby dorośli mogli spokojnie porozmawiać!

Odgłos, który rozbrzmiał, przypominał armię chińską w odwrocie. Te małe diablęta co rusz oglądały się na mnie i szeptały coś między sobą, jakby znały wspianą tajemnicę, do której ja nie byłem dopuszczony. Małe dziewczynki i duże dziewczyny, mali chłopcy i ogromne chłopaczyska oraz średnich rozmiarów chłopcy i dziewczęta... Nie mam pojęcia, jakim cudem ten facet zdołał hodować fasolę, ale gdyby istniał rynek zbytu na dzieciaki, zakasowałby konkurencję.

Abraham nie zwolnił ani ciut. Kiedy już na cał unurzał wszystkich w błocie, zatrzymał się na Big Boyu Matsonie. Urwał, a po chwili rzekł:

— Oto facet, który ma dość odwagi, żeby do czegoś w życiu dojść. To najlepszy kowboj w powiecie, oczywiście, kiedy lubi swego szefa. Problem polega na tym, że on nikogo nie lubi, chyba że znajdzie starego kowboja-wyjadacza, bądź coś zupełnie nadzwyczajnego w człowieku. Nie, panie szanowny, kiedy tak się teraz nad tym zastanawiam, to widzę, że on do niczego nie dojdzie. Poza tym, to i tak nie robi nikomu różnicy; ktoś go kropnie, zanim facetowi stuknie trzydziestka. Zapamiętaj moje słowa.—Ciekaw jestem, czy Abraham pamięta, że powiedział mi kiedyś coś podobnego.

Nadeszła moja kolej, żeby zamówić piwo. Zrobiłem to i przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu; wyglądaliśmy przez okno na mały cmentarzyk, który znajduje się na wzgórzu za Hi Lo. Aby oderwać myśli od tego gęsto zaludnionego kawałka nieruchomości, wspomniałem czasy, kiedy pożyczyłem od Abrahama czwórkę koni do pługa.

Doszedłem do wniosku, że jednym sposobem na życie z nim w pokoju było znalezienie i wykorzystanie czegoś, co mamy wspólne. Powiedziałem mu, że planuję zaorać kawałek ziemi i zasiać na nim kukurydzę, żeby mieć na zimę paszę dla koni. Zdawało się, że nieźle to przełknął. Zaproponował nawet, że pożycz mi swoje konie do pracy i dwukołowy pług. Doszedłem do wniosku, że wszyscy ci ludzie, którzy przeklinają Abrahama, są w błędzie. Pożyczenie swoich koni innemu człowiekowi jest jedną z najhojniejszych rzeczy, jakie można zrobić. Problem polegał na tym, że tylko dwa z czterech koni kiedykolwiek wcześniej ciągnęły pług. Trzy dni zajęło mi założenie im uprzęży, zaprzęgnięcie do pługa i wyjechanie w pole. Natomiast wystartowanie pod kątem czterdziestu pięciu stopni, pęd w dzikim galopie, skoszenie dwóch płotów z drutu kolczastego, zniszczenie pługa i o mały włos odcięcie nim nogi jednego z koni zajęło nam zaledwie trzy minuty. Kiedy skończyłem spłacać szkody (bez

wartościowy plug i jeszcze gorsze konie), miałem w plecy sto pięćdziesiąt dolarów, żeby nie wspominać już o straconym czasie i stanie, w jakim znajdowały się płoty.

— Nie mam pojęcia, co mogłeś sknocić — powiedział Abrahm. — Nigdy nie miałem najmniejszych problemów z tymi starymi, łagodnymi szkapinami.

Nie ciągnąłem tematu. W końcu to JA byłem zdeterminowany obłaskawić JEGO.

Opowiedział mi jeszcze, że jego system pracy z końmi polega na tym, iż tuczy je ile wlezie, a jeśli nie pracują jak trzeba, zabija je i zjada.

— Taa — mruknąłem, zaciskając zęby.

Później spróbowałem czegoś innego. Kupiłem od niego trzy worki fasoli po najwyższej rynkowej cenie. Gdybym przez następne dwadzieścia pięć lat jadł tylko fasolę, i tak jeszcze by jej zostało; było tylko jedno ale: fasola była pół na pół zmieszana z piachem i drobnym żwirkiem.

Powiedziałem mu tylko:

— Abrahm, coś nie za dobrze spisałeś się przy przesiewaniu tej fasoli.

| — Niby o co ci chodzi? — odparł; odrzucił głowę do tyłu i omal nie utopił mnie w soku z tytoniu. — Sam osobiście ją przebrałem. Pewnie ci się wysypała, a kiedy zbierałeś ją na powrót do worków, wrzuciłeś razem z fasolą trochę ziemi.

Zanim zdążyłem mu odpowiedzieć, zaczął opowiadać mi o swojej bójce z Tomem Hallem na głównej ulicy w Hi Lo.

— Tom oskarżył mnie, że wrzucam żwirek do fasoli. Wiedziałem, że to kłamstwo, i odparłem mu, że to jego niesprawna waga ciąży mu na sumieniu. Wytarłem starym Tomem główną uliczkę Hi Lo i ani przez moment nie wyjąłem tytoniu z ust.

Więc to także puściłem mu płazem. Kiedyś powiedziałem Abrahmowi, że jadę do miasta i spytałem, czy czegoś nie potrzebuje. Cóż, odrzekł, że przydałyby mu się dwie prymki tytoniu i worek mąki.

Kupiłem, co chciał, a potem posunąłem się o krok dalej:

kupiłem ogromny worek cukierków dla jego dzieci. Te dzieciaki wcinały cukierki niczym świnie pomyje. Sprawiało to, że czułem jakąś miękkość w sercu i pomyślałem, że może zażyłość z dziećmi umożliwi mi lepsze stosunki z Abrahamem. Zdawało się, że działa to całkiem niezłe, do czasu, kiedy kupiłem flaszkę czegoś mocniejszego tylko dla niego. Dodawanie do rachunku ogromnego wora fikuśnych cukierków i flaszki whisky za każdym razem, gdy jechałem do miasta, było nieco drogie, lecz doszedłem do wniosku, że warte jest to naszej przyjaźni. Musiałem jednak ograniczyć wyjazdy do miasta.

Za każdym razem, gdy widziałem Abrahama, pytał: — Kiedy znowu wybierasz się do miasta?

A kiedy spotykałem któreś z jego dzieci, natychmiast pytało: — Wybierasz się dziś do miasta?

Pewnego dnia pojechałem do Hi Lo po lekarstwo na przeziębienie dla mojego konia; martwiłem się, że zwykle przeziębienie może się przerodzić w zapalenie płuc, i załatwiłem wszystkie zwykłe zakupy Abrahama, lecz zapomniałem o deserze.

— A gdzie whisky? — spytał odchylony do tyłu; wpatrywał się we mnie zmrużonymi oczkami i był tak wściekły, że nawet nie żuł tytoniu.

— Przepraszam — odparłem. — Strasznie się spieszyłem.

Ale zaraz jego dzieciaki dobrały mi się do pikapa i zaczęły po nim skakać, pytając, gdzie, u diabła, są ich cukierki. Tego było już za wiele. Wypróbowałem już wszystkie znane mi metody, żeby żyć z nimi w pokoju.

Kiedy następnym razem pojechałem do miasta, kupiłem flaszkę whisky i trochę się upiłem. Wypiłem wszystko, poszedłem do sklepu i namówiłem Mitcha Peabody'ego, żeby napełnił butelkę terpentyną.

Pojechałem do Abrahama, który wybiegł mi na spotkanie żwawym kłusikiem, śliniąc się, jak się patrzy. Zdjął kapelusz jedną ręką, a drugą już szukał po siedzeniu flaszki. Ponieważ ostatnim razem nic mu nie przywiozłem, był strasznie napalony, żeby nadrobić stracony czas. Odkręcił zakrętkę i uniósł naczynie. Zdaje

mi się, że chciał wypić jak najwięcej, zanim poproszę, żeby dał mi się poczęstować. Choć nie trwało to aż tyle. Chyba po trzecim łyku zawahał się, jakby przyszło mu do głowy poważne podejrzenie, a potem wszystko dostało odwróconego ciągu i nagle zaczęło go dusić. Spojrzał na butelkę i wypuścił ją, jakby była skorpionem. Potem chwycił się za gardło, padł na ziemię i zaczął się rzucać, wydając przy tym przedziwne odgłosy.

W tym czasie nadciągnęły ogromną kolumną dzieciaki, żeby odebrać swój worek cukierków. Kiedy zobaczyły swego staruszka tarzającego się po ziemi, zatrzymały się z szuraniem. Miały nieco bardziej wybałuszone oczy niż zazwyczaj.

— Zdaje się, że wściekły pies ugryzł waszego ojca—powiedziałem. — Lepiej weźcie drag i walnijcie go nim w łeb, zanim pokąsa któreś z was.

Wszyscy ruszyli biegiem do chałupy. Nadepnałem na gaz i zatrzymałem się dopiero w domu. Od tamtej pory nie utrzymujemy z Abrahamem stosunków sąsiedzkich.

Ale i tak się na mnie zemścił.

Miał najpaskudniejszego, skundlonego byka, jakiego w życiu widziałem. Nie byłby dobrym rozplodowcem nawet dla suki. Abraham znalazł palik ogrodzenia dobrze ukryty za krzakami, wyjął gwoździe, podciągnął drut kolczasty do góry i wpędził bydlę pośród moje rodowodowe jałówki rasy hereford. Ja wypędzałem byka, a on go do mnie przypędzał.

Wreszcie złapałem byka nieopodal mojej zagrody. Zapędziłem go w róg i złapałem na lasso. Wierzgał i ryczał przez jakiś czas, a potem spokojnie stanął obok płotu. Zsiadłem z konia i przeszedłem za niego. Wziąłem solidny kawał drutu kolczastego i owinąłem go dookoła jąder zwierzęcia, po czym przywiązałem do słupa ogrodzenia. Kiedy otworzyłem bramę, odciąłem lasso od kuli siodła, tak że byk był wolny. Nie przeszkadzało mi, że straciłem bardzo dobre, prawie nowe lasso — liczył się cel.

Kiedy byk poczuł, że wiążące go lasso zwiotczało, pochylił głowę i skoczył. Zanim opadł na ziemię, nie był już bykiem. Potem nie nadawał się już na rozplodowca, ale w gonitwie w dół

zbocza zawstydziłby każdego konia wyścigowego. Przeleciał przez moją zagrodę niczym odrzutowiec, a kiedy dotarł do płotu dzielącego moją ziemię od pól Abrahama, słysząc było trzask pękających drutów, który przypominał pioruny walące w drzewa. Przeleciał przez płot ogradzający zagony, przemknął obok obory i wyciął w krzaki, opowiadając całemu światu o swym nieszczęściu.

Dzieciaki wspinały się na szczyt domu, kłębiły się na wiatraku, podczas gdy Abraham biegał po podwórku, machał rękami i usiłował zorientować się, co się, u wszystkich diabłów, dzieje. Żałowałem, że jest na wpół ślepy. Choć z drugiej strony, parę dni później dziękowałem za to Bogu.

Był już prawie zmierzch i na terenie pomiędzy naszymi szacownymi włościami zaczęły wyć kojoty. Na takie właśnie okazje zawsze trzymałem w domu parę myśliwskich psów. W podskokach ruszyły w kierunku ogrodzenia. Ja także pobiegłem za nimi, łapiąc w biegu strzelbę kaliber trzydzieści-trzydzieści. Kiedy dotarłem na miejsce, byłem zbyt zasapany, żeby celnie strzelać. Ale widziałem, co się stało. Kojoty wywiodły moje psy na mały, skalisty pagórek za domem Abrahama. Wszędzie aż się od nich roило. Kojoty celowo zastawiły pułapkę na moje zwierzęta. Psy toczyły zaciętą walkę, usiłowały wycofać się, lecz kojoty siedziały im na karku. Wystrzelałem cały magazynek, ale nie mogłem strzelać zbyt blisko, w obawie, że trafię jednego z moich psów. A potem usłyszałem, jak coś przelatuje mi nad głową. To Abraham strzelał. Bum! Bum! Ba-bum! Jedna z kul wyrzuciła w powietrze całą garść tego żwirku od fasoli, i to niecałe sześć stóp ode mnie. Padłem na ziemię.

— Zaraz wystrzelam te cholerne kojoty! — wrzeszczał Abraham. — Zabiję wszystkie! Nic się nie martw, Pete!

Ucieszyłem się jak cholera, kiedy wreszcie skończyły mu się naboje. Gdyby miał dość amunicji, mógłby zabić moje psy.

Postawiłem pustą szklaneczkę na barze, wstałem i przeciągnąłem się.

— Big Boyu, muszę zabrać swój leniwy tyłek na rancho i popracować co nieco dla odmiany — powiedziałem.

— Cóż, Pete, wpadnę niedługo i zobaczę, jak ci leci.

Kiedy wyjeżdżałem z miasteczka, nadal myślałem o Abrahamie Frinku. Dawał mieszkańcom Hi Lo powód do śmiechu, a kiedy było naprawdę źle, przeklinanie tego starego łajdaka przynosiło im ulgę. To chyba nie takie złe usprawiedliwienie dla istnienia tego człowieka.

Rozdział szósty

Odwiązałem Siwka od koniowiązu i wsiadłem. Raz jeszcze pomacałem się po kieszeniach czapsów*, aby upewnić się, czy mam chloroform. Tydzień wcześniej złapałem na łąsku starą, bezpłodną krowę i kiedy szarpnęła łbem, ułamała sobie jeden róg. Stara wariatka co rusz zawracała, kiedy usiłowałem przegnać ją wraz ze stadem na nowe pastwisko.

Dzień wcześniej zauważyłem ją przy wodopoju nieopodal domu. Głowę nosiła dziwnie przekrzywioną na jedną stronę. Oznaczało to tylko jedno — w ułamanym rogu zagnieździły się jej robaki. Miałem nadzieję, że chloroform się nimi zajmie.

Dzień był piękny. Trawa miała już z osiem albo i dziesięć cali i kołysała się na wietrze. Ostatnie kilka lat było dobrych dla ziemi — nie za mokre i błotniste, a jednocześnie nie upalnie piekące. Teraz było odrobinę za sucho i jeżeli deszcz nie spadnie w ciągu najbliższych tygodni, sytuacja może się stać poważna. Mimo to było dość trawy, żeby starczyła nam na zimę, jeśli ta nie będzie zbyt ostra. Jeśli jednak okaże się ostra... cóż, zobaczymy.

Ceny bydła stały wysoko, więc wszyscy farmerzy mieli krów, ile tylko się dało, i doili z ziemi każdy funt wołowiny i każdego dolara, jakiego tylko się dało.

Nad górami znajdującymi się na północy wisiały obłoki. Tu

i ówdzie błękitne strugi deszczu leciały strumieniami do kanionów, ale te deszcze spadały tylko w najwyższej położonych miejscach. Widziałem w oddali pieski pustynne, stojące na tylnych łapkach, pulchne i tłuste; słyszałem ich bez troskie poszczekiwanie. Przez jakiś czas siedziałem z nogą przerzuconą przez kulę siodła i przyglądałem się ich zabawom. Potem jednak zanurkował orzeł i pochwyił jednego z nich, podczas gdy reszta w popłochu uciekła do swych jam. Zawsze napatoczy się ktoś, kto gotów jest popsuć ładnie zapowiadający się dzień, pomyślałem.

Choć kiedy jechałem wśród mego bydła, to w istocie wcale się tak nie czułem. Ciężarne krowy leżały w trawie tak grube, że ledwie oddychały. Kilka pasło się, jakby śmiertelnie znudzonych długą trawą. Cielaki skakały i bawiły się niczym pieski preriowe, od czasu do czasu odwracając ku mnie ogromne, podobne do jelenich oczy i białe, zdumione mordy. Policzyłem je ze starego przyzwyczajenia, które płynęło z wielu lat pracowania na ogromnych ranczach i które czasem się we mnie odzywa. Tu, na moim małym ranczu, gdzie ogrodzenia były szczelne, zupełnie nie było takiej potrzeby.

Poczułem, jak mój stary pastuszy koń spina się pode mną; miał nastawione uszy i odwrócił głowę. Jakąś milę dalej zobaczyłem jeźdźca: Big Boya. Poznałem go po sposobie, w jaki siedział w siodle, i po tym staroświeckim kowbojskim kapeluszu, który nosił mocno naciśnięty na uszy. Rondo tego kapelusza było prawie dwa cale szersze niż rondo współczesnych kapeluszy. Buty Big Boya także były staroświeckie, o wysokim obcasie i wklęsłe na podeszwie, żeby wygodniej było utrzymać strzemię. Zauważałem coraz więcej rzeczy, które przeniósł po swoim ojcu do nowoczesnego Zachodu. Zdawało się, że Big Boy trzyma się starych metod i ignoruje nowoczesne rozwiązania stosowane z powodzeniem na wielu ranczach.

Wiedziałem, że zmierza do pastwiska dzierzawionego przez Hoovera Younga na południe od mojej ziemi. Big Boy mógł dojechać tam i wrócić pikapem w trzy godziny. Dojechanie tam i z powrotem konno zajmie mu trzy dni. Ale zarówno on, jak

i Hoover, wierzyli w te jego metody. Dlatego tak dobrze się dogadywali. Poza tym Hoover miał najlepsze konie wyścigowe rasy quarter-horse i najlepsze konie do bydła w całym powiecie.

Big Boy nie raz mi powtarzał, zwłaszcza gdy był już mocno pijany:

— Do diabła z samochodami, ciężarówkami i samolotami, z brukowanymi drogami i wszystkim innym. Nie ma to jak dobry koń i piękna kobieta.

Wiedziałem, że to podejście do płci przeciwnej w liczbie pojedynczej oznacza tylko jedno: Monę. Kiedy myślałem o niej, trudno mi było pomachać do niego i uśmiechnąć się na powitanie, jakbym tego chciał.

Jechał na Starym Kasztanie i kiedy się zbliżyli, ich wzajemny szacunek był wyraźnie widoczny. Zdaje mi się, że nikt inny nie potrafiłby poradzić sobie z tym koniem.

— Cześć — odezwał się.

— Dokąd jedziesz?

— Na pastwisko Hoovera.

— Dobrze, że przyjechałeś. Mam tu krowę z robakami w głowie i akurat mi się przydasz do pomocy.

— Jasne, świetnie. — Przyjrzał się stadu. — Na Boga wsze'mogącego, Pete — dodał i wyrzucił ramiona nad głowę jak zawsze, kiedyś się czymś podniecił. i§§ Ale będzie popijawa w Hi Lo, kiedy na jesieni przywieziesz te tłusciutkie cielaki. Lollypop nie zdoła cię wyrzucić z baru, będzie cię musiał wyturłać!

— Jak myślisz, ile będą ważyć w połowie października? — spytałem.

— Pewnie i ze czterysta, coś około... może nawet więcej — odparł.

Zapaliliśmy, a potem ruszyliśmy przez stado na poszukiwanie chorej krowy. Miło było pracować z kimś, nawet jeśli tylko przez krótki czas. Zastanawiałem się, dlaczego w tym jałowym, samotnym świecie nie ruszyłem się z miejsca, nie ożeniłem z Josephą i nie załatwiłem sprawy raz na zawsze. Potem pomyślałem o Monie i już wiedziałem dlaczego.

Zauważyłem chorą krowę; stała w cieniu rzucanym przez cedrowy zagajnik.

— Głowa czy nogi? — spytałem.

— Nogi — odparł. — Jesteś znacznie lepszy ode mnie w chwytaniu za łeb.

Wyparliśmy ją na płaski kawałek pastwiska, a ja w tym czasie odwiązałem rzemień z lasa. Zaciągnąłem pętlę na jednym końcu i zacisnąłem ją na kuli siodła. Potem ułożyłem pętlę na drugim końcu, a Stary Siwek bryknął lekko pode mną, szykując się do galopu. Pochyliłem się, a on wystrzelił, od razu w pełnym pędzie. Krowa już wyczuła, że coś się święci, i usiłowała umknąć między pagórki, lecz odciąłem ją i podjechałem bardzo blisko na Siwku. Zawirowałem pętlą i wypuściłem linkę w powietrze. Gładko zacisnęła się na szyi zwierzęcia; poszło jak z płatka. Zebrałem luz i zawróciłem konia. Kiedy krowa znalazła się na końcu lasa, szarpnęło nią i omal nie podniosło z ziemi. Zacząłem ciągnąć ją w kierunku Big Boya. Podjechał z przeciwnej strony i upuścił niedużą pętlę pod jej tylne nogi. Weszła w laso i za chwilę leżała już bezradnie między nami. Do licha, pracować z kimś, kogo się lubi i kto świetnie się zna na swojej robocie, to diablo miłe uczucie. Zsiadłem z konia i podszedłem do zwierzęcia.

Wyciągnąłem pojemniczek z lekarstwem z kieszeni i usunąłem robaki z rogu. Później zalałem róg chloroformem. Zasma- rowałem ranę sosnową żywicą i puściliśmy zwierzę. Odeszło niepewnie na chwiejnych nogach i potrząsnęło głową. Moi., i będzie wyglądać głupio bez jednego rogu, lecz robaki z pewnością nie będą już jej niepokoić.

Zwinęliśmy laso i skierowaliśmy konie do domu.

— Zostaniesz na noc? — spytałem.

— A jak myślisz, dlaczego wybrałem właśnie tę drogę?

Wypuściliśmy konie do zagrody, a ja podrzuciłem im nieco siana. Weszliśmy do domu, rozpałiłem ogień na palenisku i postawiłem czajnik.

— Robi się sucho — mruknąłem.

— Taak, nic dziwnego. Jim Ed Love ma zachomikowane całe

miliony ton siana, za które ktoś zapłaci własną krwawicą, jeśli przyjdzie kolejna susza.

— To podobne do tego starego drania — odrzekłem.

Drewno na palenisku zaczęło strzelać, a kawa zapyrkotała w czajniku. Kiedy fusy nieco opadły, nalałem nam po dużym kubku. Zwinęliśmy sobie papierosy.

— Co tam u Mony?—spytałem, starając się, żeby zabrzmiało to zwyczajnie i spokojnie.

— Naprawdę fajnie — odpowiedział. — Poza tym, że ten jej cholerny mąż prawie nie spuszcza jej z oka.

— I trudno mu się dziwić — rzekłem — kiedy kręci się dokoła niej taki kogucik jak ty.

— W takim razie powinien się nią lepiej zajmować—powiedział Big Boy, zdjął kapelusz i walnął nim o stół.—To za ognista kobietajak dla niego. Do diabła, z niego jest nawet mamy kowboj, już nie mówiąc o mężczyźnie.

— Ale odstrzeli ci dupę, jeśli kiedykolwiek cię z nią przy- łapie.

— Cóż, Pete, jak to powiedział mój dziadunio, po tym, jak obrabował Pierwszy Narodowy: „Najpierw muszą cię złapać”. Poza tym ona warta jest ryzyka.

— Taak, zdaje się, że masz rację — odparłem.

— Każda dobra czy przyjemna rzecz na tym świecie jest ryzykowna — ciągnął. — Weź na przykład ujeżdżanie dzikich koni: to jest dokładnie tak, jak wykładałem kiedyś memu bratu... Powiedziałem: „Na Boga wsze'mogącego, brachu, przestań się martwić o to, co się stanie, kiedy polecisz z któregoś z tych koni... pomyśl o tym, co ty zamierzasz zrobić jemu”.

— A co tam słyhać u LitUe Boya? — zapytałem.

— Aj, nie wiem, Pete, czy z niego w ogóle coś będzie. Jemu się zdaje, że stare sposoby są głupie i że teraz mężczyzna powinien uganiać się za krowami w cadillaku. Zdaje się, że on nie znosi, kiedy mu cokolwiek mówię. Te młode gnojki pozjadały wszystkie rozумы.

Wiedziałem, że zgodnie z ostatnią wolą ich ojca. Big Boy

odziedziczył całą ziemię, lecz wiedziałem także, że przekazał ją w całości Little Boyowi, matce i najmłodszemu z braci, Patowi, żeby mieli jakiś dochód. Czuł, że nie powinien wydawać pieniędzy z tego rancza na pokera, whisky i takie tam, jak był do tego przyzwyczajony.

Następnego ranka przy śniadaniu spytał:

— Ćwiczyłeś ostatnio chwytanie na łąso?

— Niee, trzymałem się blisko domu, naprawiałem ogrodzenia i takie tam...

— Słuchaj — dodał tej może wpadniesz do miasta w sobotę po południu i spróbujemy zagrać gdzieś w pokera?

— Jasne — odrzekłem.

— Urządzimy sobie prawdziwą sesję — ciągnął. — Jedną z tych, co to trwają cały dzień i całą noc... co pomagają odróżnić uczniów od prawdziwych zawodowców. Spotkajmy się u mnie w domu — dodał. — Potem pojedziemy razem.

Zgodziłem się, lecz kiedy już odjechał, zastanowiłem się, dlaczego nie wyglądam soboty z utęsknieniem.

Rozdział siódmy

W sobotę pojechałem na ranczo Matsonów, tak jak się umówiliśmy. Matka Big Boya otworzyła mi drzwi.

— Wejź, Pete.

— Jak się pani miewa, pani Matson?

— Dobrze, nie ma co narzekać. Robi się trochę za sucho, nieprawdaż?

Taak, to prawda — odparłem. — Ale krowy jak na razie sobie radzą. Mieliśmy też sporo deszczu wczesną wiosną.

— To dobrze — powiedziała.

Pani Matson to prawdziwa kobieta z zachodu: jej zniszczona, spięta twarz jasno wskazywała, że przeszła już w życiu wszelkie możliwe sztormy. Od tej pory zaakceptuje bez narzekania czy

oporu wszystko, dobre czy złe, co nadejdzie. Uplywające lata powykrzywiały jej dłonie i pochyliły ramiona, lecz spokojna siła kryjąca się w jej spojrzeniu sprawiała, że wydawała się niezniszczalna, że będzie trwać wiecznie.

— Big Boy się goli — dodała — Zaraz skończy.

Dopiero wtedy zauważyłem siedzącą w kącie staruszkę, babkę

Big Boya.

— Witaj, ślicznotko — powiedziałem.

Przestała układać pasjansa i podniosła wzrok zdziwiona, jakby niesłychanym było, żeby ktoś się do niej odezwał.

— Witaj, młodzieńcze — odrzekła, a jej pomarszczona twarz rozplynęła się w bezzębny uśmiech.

— Co porabiasz, babciu? — spytałem, wskazując na karty. — Ćwiczysz, żeby rozłożyć chłopców z Hi Lo na obie łopatki przy pokerze?

— Cóż, synku, jedno ci powiem. Ten pasjans to żadna gra, ale z drugiej strony jedyna, w którą może sobie pograć taka stara kobieta jak ja. — Przez jakiś czas rozmawialiśmy o kartach, a potem spytała: — Kiedy to wraz z Big Boyem znajdziecie wreszcie kobietę, żebyś się mógł ożenić? Mężczyźnie potrzeba kobiety w domu. Samotność nie jest dobra.

— Zgadzam się z tobą, babciu, w zupełności, ale i ja, i Big Boy jesteśmy tak wybredni, że jeszcze nie zależliśmy tej wyjątkowej.

— Tak nie można — odpowiedziała, —r- Lepiej znaleźć po prostu kogoś, z kim można żyć. To najtrudniejsze ze wszystkiego.

W tej chwili pojawił się Big Boy wystrojony w czyste dżinsy, świeżo wyprasowaną koszulę i buty, na które położył chyba z pół pudełka pasty. Otrzepał z kurzu swój stary kapelusz, zapalił papierosa i zaczął przysłuchiwać się słowom babci.

Jego matka odłożyła koszulę, którą łątała dla Little Boya.

— Gdzie są chłopcy? — zapytałem ją.

— Pat pojechał na noc do dzieci Millerów, a Little Boy do Hi Lo.

— A co on robi w mieście o tak wczesnej porze? — spytał Big Boy.

— Gra w bilard, jak mi się zdaje — wyjaśniła matka. —. Dopiero co się nauczył i teraz tylko o tym myśli.

— Cóż, powiedz mu, kiedy wróci, żeby lepiej wziął się do naprawiania płotów w okolicy i żeby polatał zagrodę przy domu. Jak to zrobi, może iść grać w bilard. Tu się wszystko rozpada.

Jego matka siedziała w milczeniu i szyla.

Kiedy Big Boy zapalał papierosa, zawsze kaszłał kilkakrotnie. Może to było kolejne wspomnienie po ojcu i jego przebitym kulą płucu.

— Czy ty tak kaszlesz po papierosach, Big Boyu? — spytała babcia.

— Skądże — odparł. — To po whisky.

— A, w takim razie nie ma sprawy. Tytoń to prawdziwy zabójca.

Wyszliśmy na dwór, zostawiając w domu dwie kobiety, i dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że mężowie obu zginęli gwałtowną śmiercią. Usłyszałem jeszcze słowa staruszki:

— Ten chłopak jest taki sam jak jego dziadek... jakby skóra z niego zdjęta.

Naciągnęliśmy kapelusze mocno na uszy, żeby wiatr nam ich nie zerwał i poszliśmy do samochodu.

— Spójrz tylko na płot dokoła podwórka — odezwał się Big Boy. Jf! Druty wiszą tu luźno niczym gatki starej Marie. — (Marie była starą dziwką z miasteczka, z którą chyba każdy młody byczek w powiecie Hi Lo stracił cnotę.) Big Boy gadał dalej o bracie: — Ten dzieciak tylko się szlaja po barach. Będę musiał zdrowo przetrzepać mu skórę, bo inaczej nic z niego nie wyrośnie.

Cóż, droga do Hi Lo nie zajęła nam zbyt wiele czasu, zwłaszcza że wiał suchy wiatr i była dobra pogoda; nie traciliśmy też czasu i już wkrótce znaleźliśmy miejsce dla naszych łokci przy barze w saloonie Lollypopa.

Wypiliśmy kilka kolejek, po czym Big Boy wyrzucił ramiona w górę i rzekł:

— Chodź, Pete, zobaczymy, czy po drugiej stronie ulicy wieją równie silne wiatry.

Chodziło o to, że w Hi Lo nigdy nie wiadomo, w którym z barów odbędzie się gra. Tego wieczoru okazało się, że w saloonie „Dziki Kot” Nicka Barnes’a.

Nick podawał drinki, jakby zupełnie mu się nie spieszyło, lecz jednocześnie dość szybko, żeby nikt nie narzekał. Melvin Bali, kowboj od C-Barsów, właśnie kończył opowiadać Nickowi jakąś historyjkę.

— A wtedy ona wyszła na ulicę, w biały dzień... pończochy miała podarte, sukienkę przekrzywioną i wymiętą. W jednej ręce miała dwudziestodolarowy banknot, a w drugiej puszkę piwa. „Wszyscy wy stróże porządku tylko gapicie się na moją dupę, wy zasrane, tchórzliwe sukinsyny!”, wrzeszczała. Dokładnie tak się darła. Nie mam pojęcia, jak takie słownictwo uchodzi jej na sucho.

Choć Nick usiłował udawać zainteresowanego tą historyjką, słyszał już wszystko, co tylko możliwe na tym świecie, i tak naprawdę zainteresowany był tylko sprzedażą towaru, który tak ładnie rozwiązywał ludziom języki.

Big Boy spojrział na butelki ustawione za barem i powiedział:

— Hej, całe tam mnóstwo interesujących pomysłów.

— Przyjrzyjmy się paru zaproponowałem. Czuję się dzisiaj nieco ograniczony.

— Nie mam pojęcia dlaczego — odparł. Przecież tutaj tylko ty jeden chodziłeś na studia.

— Jeden rok—powiedziałem. — Uniwersytet to nie miejsce dla spracowanego kowboja. Ale rząd dawał nam wcale niezłą kasę, żebyśmy poszli na studia...

- Na Boga wsze'mogącego, Pete, spójrz tylko, kogo przywiało do miasta!

Był to stary Delfino Mondragon z Sano.

— Hej, Delfino!¹— wrzasnął Big Boy. Delfino to ogromny, kudłaty Meksykanin o ostrym, paskudnie wyglądającym wąsiku i małych, przekrwionych oczkach. — Chodź, napij się!

— Jasne, Beeg Boyu—odparł Delfino i wpadł do baru razem z wiatrem.

— Co będzie? — spytał Nick.

— Podwójna whisky z odrobiną wody—powiedział Delfino. — Dzięki, Beeg Boyu. Cześć, Pete. — Położył nam dłonie na ramionach. — Mam wielkie kłopoty. — Wychylił drinka i otarł usta rękawem. — Mam dziś potężne zmartwienie. Umarł mój szwagier.

— To przykre, Delfino — rzekłem.

— Jasne. Pamiętacie tego forda, model A, który miałem mu sprzedać? Nie zapłacił. Mam teraz naprawdę potężne zmartwienie—wyjaśnił, uderzając się mocno w pierś.

Delfino nie należał do ulubieńców Hi Lo, lecz był jednym z naszych. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, stałem dokładnie w tym samym miejscu, a on właśnie wygramolił się z ciężarówki, z jedną nogą w gipsie. Poszedł do saloonu Nicka o kulach. Wychylił cztery, pięć, a może sześć, czy nawet siedem drinków, a potem powiedział:

||§Nf- Muszę coś załatwić dla mojego szefa. Taak. Nick, zaraz wrócę, najwyżej za trzy minuty. Ty tu na mnie zaczekaj.—Jakby Nickowi przyszło kiedykolwiek do głowy wypiąć się na jednego z najlepszych klientów.

Potem obrócił się i wyszedł z baru bez swoich kul. Krótką chwilę później wrócił, niosąc pod każdym ramieniem po stufun- towym worku z karmą. Kiedy Nick przypomniał mu o kulach, Delfino zatrzymał się, upuścił karmę, potarł się po zmierzwionej czuprynie i mruknął:

ip^ A niech mnie szlag. — Potem zaś wykuśtykał z saloonu niczym pies o trzech nogach.

Jedno muszę wam wyjaśnić: Delfino był jednym z najlepszych pracowników w powiecie. Był silny niczym koń pociągowy i potrafił robić wszystko, od zaganiania bydła po zbudowanie domu, ale miał jedną, podstawową wadę: kiedy się upił, wlaził do każdego środka transportu, jakim się właśnie poruszał, wrzucał wsteczny, dociskał gaz do dechy i jechał, póki się nie zatrzymał. Generalnie oznaczało to, dopóki kogoś nie przejechał albo na coś nie najechał.

Na grzywny i pokrycia zniszczeń wydał tyle pieniędzy, ile komuś innemu starczyłoby na kupno ziemi i sporego stada krów na dodatek. Weźcie, na przykład, tę złamaną nogę. Dzień, w którym ją sobie rozwalił, na długo zostanie w pamięci mieszkańców tych okolic.

Delfino był wtedy pod wpływem wina i marihuany (ma własną uprawę wkładki do skrętów) i kiedy wyjeżdżał z miasta w ciężarówce pełnej ładunku kostek paszy przeznaczonej dla krów jego szefa, robił to na swój zwykły sposób. Tyłem. Wycofał się pospiesznie przez autostradę, walnął w dystrybutor paliwa przed warsztatem i zatrzymał się na słupie telefonicznym. Potem wrzucił bieg i wyniósł się z Hi Lo. Kiedy dotarł do mostku znajdującego się nad strumykiem jakieś trzy mile przed Sano, pół ciężarówki jechało już przydrożnym rowem. Samochód wykonał obrót, worki z karmą wyleciały w powietrze, Delfino zaś wylądował twarzą w dół, do połowy głowy pod wodą na środku strumienia.

Akurat jechał tamtędy jakiś ranczer i zobaczył katastrofę. Załadował Delfino na tył swojego pikapa, bo najwyraźniej uznał go za zmarłego. Kiedy dojechał do Sano, nieco się zdziwił, kiedy zobaczył Delfino siedzącego na pace i masującego się po kosmatej łepetynie. Droga do Sano jest tak wyboista, że wykonała niezłą robotę reanimacyjną na starym moczymordzie.

Pociągnąłem kolejny łyk i wspomniałem czasy, kiedy wybrałem się z nim do szkoły w Ojo na meksykańską potańcówkę. Byłem tam jedynym gringo, co jest bardzo dobrym rozwiązaniem. Ci ludzie nie czepiają się gringo, jeśli delikwent jest sam i pilnuje swojego nosa. Chód jeśli zgromadzi się dwóch czy trzech gringo, kłopoty są murowane. Byłem pewien, że tej nocy Delfino zabije nas obu. Znowu znajdował się pod wpływem swojej ulubionej mieszanki wina i marihuany. Zaczął tańczyć tak dziko, że porozpychał wszystkich ludzi na parkiecie. Wcale nie chciał być niegrzeczny, po prostu w ten sposób wyrażał swój naturalny entuzjazm. Kilku chłopców poprosiło go, żeby się nieco uspokoił. Delfino nie spodobała się insynuacja, że się źle zachowuje, i zaprosił jednego z nich na dwór. Pierwszy stanął przy drzwiach. Facet się zawahał.

— W takim razie niech wyjdzie dwóch. No, już. Dwóch cabrónes — powiedział na to Delfino.

Wszyscy stanęli jak wryci. A Delfino tylko się zniescierpliwiał.

— W takim razie trzech! — ryknął. — Chodźcie, tchórze! — Potem się nieco zdesperował. — No, dobra, wyłaźcie wszyscy! Niech wyjdą na dwór wszyscy tchórze! Niech każdy sukinsyn, wstrętny tchórzliwy kojot stanie do walki z Delfino!

Rzucił wyzwanie całej tancbudzie — lecz nie było chętnych do bitki. Nie chodziło też o to, że nikt nie dałby mu rady. Po prostu nie warto było ryzykować. Poza tym większość obecnych znała go i lubiła.

Ja sobie cały czas tańczyłem, lecz czułem się coraz bardziej nieswojo, kiedy on się tak wydzierał na dworze. Przeprosiłem moją partnerkę, wziąłem butelkę i wyszedłem do niego. Podałem mu alkohol i powiedziałem: | t— To dla ciebie, Delfino. Pij.

Tchórze — mruknął, uniósł flaszkę i przełknął tak z siedem łyków. Potem padł na pysk. Zawołałem kogoś do pomocy i załadowaliśmy go do pikapa. Po wszystkim wróciłem na parkiet i świetnie się bawiłem.

Cóż, tymczasem w „Dzikim Kocie” sprawy zaczęły się posuwać naprzód. Wszyscy zapomnieliśmy o pokerze i skoncentrowaliśmy się tylko na picciu. Co jakiś czas ktoś wychodził do wychodka, który znajdował się na dworze. To osuszające i wietrzne przeżycie sprawiało, że delikwent z jeszcze większą chęcią wracał do środka, jak najdalej od tych niewidzialnych, przesywających mocy.

Na drinka wpadł także Ramón Sónchez, który pracował na kolei.

— Cześć, Ramón — powitałem go. — A cóż ty porabiasz dziś w mieście?

— Mam wolne — odparł. — Przyjechałem po gwoździe, żeby naprawić przeciekający dach.

— W takim razie napij się jeszcze raz przed powrotem — zaprosiłem. Wypił już chyba ze sześć kolejek. Potem poszedł

kupić gwoździe. Wkrótce zauważyłem go po drogiej stronie ulicy u Lollypopa, z torbą gwoździ. Doszedłem do wniosku, że poszedł pożyczyć młotek.

Potem do baru wszedł Jim Ed Love, a przed nim przepychało się jego ogromne brzuszysko, udekorowane złotym łańcuszkiem od zegarka. Sygnet z diamentem lśnił na jego palcu, niczym pusta butelka po whisky na słońcu.

Zaraz za nim wszedł Steve Shaw, lichwiarz. Poczulem, jak Big Boy tężeje. Nie minęło zbyt wiele czasu, odkąd rzucił pracę u Jima Eda i powiedział mu, gdzie może sobie wsadzić swoje kilka tysięcy akrów, zakładając, oczywiście, że ominie przy tym nos Steve'aShawa.

— Witajcie, chłopcy — odezwał się Jim Ed; uśmiechał się jak człowiek, który dopiero co połknął wór złotych samorodków.

Wszyscy skinęli głowami, z wyjątkiem Big Boya, który po prostu siedział zgarbiony na swoim miejscu za barem.

— Witaj, Big Boyu — dodał Jim Ed.—Czyżby schwycił cię kolejny cug? — Roześmiał się, żeby wyglądało to na zwyczajny dowcip, lecz słycać w nim było jad.

Big Boy wyprostował się, uniósł drinka i odpowiedział:

— Do licha, skąd. To cały czas ten sam cug.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, w czasie której każdy poprawił się na stołku. Nick podbiegł do szafy grającej i wcisnął w nią całą garść miedziaków i to rozładowało atmosferę. Wszyscy wrócili do swych drinków.

Delfino porzucił whisky i zabrał się za swoje ulubione wino. Podszedł do Jima Eda i powiedział:

— Słyszałem, że potrzebujesz kogoś do pracy przy krowach. Ile płacisz?

Jim Ed zerknął na Big Boya, zanim odpowiedział:

— Tyle, ile wydaje ci się, że jesteś wart, Del.

Delfino chrząknął i podrapał się po kosmatej głowie.

— Za tyle nie będę pracował. Powiem ci coś. Daj mi sto dolarów na miesiąc, a sam się zjem. Albo daj mi siedemdziesiąt pięć dolarów i ty mnie zjedz. Dobrze mnie potraktujesz, to idź do

diabła, a ja pójdę z tobą. W przeciwnym razie niech cię szlag, rzucam robotę.

Wszyscy się roześmieli. Nawet Big Boy wyszczerzył zęby do swojego drinka.

— Więcej wina, więcej whisky — dodał Delfino i mrugnął porozumiewawczo do Big Boya.

Sprawiedliwości wśród przyjaciół stało się zadość.

Wrócił Ramón ze swą torbą gwoździ i uśmiechem szerokim, niczym pętla na kowbojskim lassie. Podszedł do mnie i Big Boya, po czym rzekł:

— Za późno już, żeby remontować przeciekający dach. I tak przez wiele tygodni nie spadnie już ani kropla deszczu! — Otworzył torbę, wysypał gwoździe na bar i zaczął je wszystkim rozdawać! — To do przypiecztowania naszej przyjaźni. Hurra! A niech sobie pada!

Big Boyowi to się spodobało, więc wyrzucił ramiona w górę i wrzasnął:

Zaśpiewajmy, sukinsyny!

Nick Barnes z trudem złapał powietrze. ||p Pijcie, pijcie, do wszystkich diabłów! —[^] krzyknął. — Nie pojawiliście się na tym świecie na całą wieczność! Nie traćcie czasu i bawcie się!

Jim Ed Love i Steve Shaw zaczęli się zbierać do wyjścia. Jim Ed podszedł do Big Boya, wyciągnął dłoń i powiedział:

— Cóż, synu, bawcie się dobrze.

Big Boy podniósł wzrok i odezwał się cicho: — Boję się ją uścisnąć, Jimie Ed. Nigdy nie wiem, kiedy chowasz w niej nóż.

Zdaje się, że nikt poza mną tego nie usłyszał. Wszyscy byli zbyt zajęci chlaniem. Jim Ed strasznie poczerwieniał i wypadł gwałtownie z baru. Big Boy znowu zrobił sobie kolejnego śmiertelnego wroga — tym razem z kogoś, kto posiadał zarówno pieniądze, jak i władzę.

Delfino podszedł do nas i zagaił:

— Obrabujmy bank, wypędźmy z miasta wszystkich sukin-

synów, spalmy wszystkie kościoły, kupmy saloon, zaprosimy wszystkich, drinki na koszt firmy i miejmy jedną wielką balangę do skończenia świata.

— Poczekaj minutkę, muszę tylko załadować rewolwer — odparł na to Big Boy.

Podszedłem do szafy grającej i wybrałem najdzikszą melodię, jaką udało mi się znaleźć; potem wykonałem kilka tanecznych kroków, ot tak, żeby się rozgrzać.

Melvin Bali znowu gadał o kobietach. Opowiadał Delfino o Marie.

— Pewnego razu przygwoździła mnie tuż przed publiczną wygodką i dopiero dała mi popalić...

— Melvin, ty masz niedobrze w głowie — odrzekł na to Delfino. — Cały czas nic, tylko dajesz babom forszę. Do diabła, jeżeli ja dam jakiejś dolara, to i tak jest dużo. One mają z tego taką samą satysfakcję, co i my, faceci. Szalony Melvin. Poza tym i tak wszyscy w Hi Lo kochali się z tą twoją Marie.

Melvin zrobił jakąś taką smutną minę.

— A co tam, do licha, Delfino — mruknął. — Hi Lo to wcale nie takie duże miasto.

Delfino wzruszył ramionami i obrócił się do Ramóna.

- Mam poważny kłopot, Ramón. Umarł mój szwagier. I ani centa nie zapłacił mi za tego forda model A, który mu sprzedałem. Przed śmiercią powiedział mi: „Cały czas nic, tylko chodzę do miasta. Rozwaliło się zawieszenie. Przedtem jeździł tylko na jednym cylindrze, a jeszcze okazało się, że świece nie dają iskry”. Paskudna sprawa z tym szwagrem nieboszczykiem.

Sprawy szły w coraz lepszym kierunku. Przyjechało paru owczarzy spod Sano wraz z żonami i podrośniętymi córkami. Wszyscy oddali się tańcom, podskokom i wrzaskom.

Po jakimś czasie Melvin zaczął nabijać się z Big Boya, żartować o Monie i o tym, co mu Les zrobi. Big Boy słuchał tego bez słowa może z minutę. A potem Melvin rąbnął go łokciem w żebra i powiedział z paskudnym uśmiechem:

— Nie mogę powiedzieć, że nie rozumiem, dlaczego po-

dejmujesz takie ryzyko. To najlepsza dupa w całym Nowym Meksyku.

Big Boy obrócił się ku niemu, trzepnął go w bok głowy, a potem cisnął nim przez całą długość pomieszczenia, do kąta, gdzie stała szafa grająca.

Na moment wszyscy przestali tańczyć, ale Melvin pozbierał się na nogi i wyjaśnił:

— Nic się nie stało, kochani. Nie przeszkadzajcie sobie. Po prostu poślizgnąłem się na tej cholernej podłodze.

Po jakimś czasie pomyślałem, że byłoby fajnie, gdyby Ramón poszedł do domu po gitarę, albo skrzypce, i sam coś zagrał. Ramón, a może ty nam coś zagraasz? — zaproponowałem:

— Jasne — odparł. — Pójdź po moją żonę i skrzypki, a ja w tym czasie dokończę drinka.

— A co, jeżeli ona nie będzie chciała przyjść, Ramón? — spytałem.

— Poproś ją ładnie, Pete. Na pewno przyjdzie.

Cóż, pojechałem do domu Ramóna, który znajdował się na obrzeżach Hi Lo. Julia, jego żona, wpuściła mnie do środka. Wyjaśniłem jej, jak się mają sprawy, i zobaczyłem, że ma wielką ochotę przyjść, bez względu na to, czy ją ładnie poproszę, czy nie. Przyjrzałem się jej uważnie; nie była taka znowu brzydka. Trochę za gruba w talii, lecz poza tym skonstruowana wcale przyjemnie dla oka. Objąłem ją i wciągnąłem do płuc mocny zapach jej tanich perfum.

— Zabawmy się trochę przed wyjściem—zaproponowałem.

Roześmiała się i zaprowadziła na kanapę. Doszedłem do wniosku, że proszę ją tak ładnie, jak dobry stary Ramón by sobie tego życzył.

Kiedy przyjechaliśmy pod „Dzikiego Kota”, paru facetów biło się na ulicy. Nie zwróciłem większej uwagi na to, kto się bije; po prostu chciałem jak najszybciej schować się przed wiatrem. Zdaje się, że wszyscy mieli takie podejście, bo bijący się nie mieli żadnej publiczności.

Big Boy znajdował się właśnie pośrodku parkietu, tańczył

samotnie i machał rękami. Odkąd zaczął swój romans z Moną, nie tańczył z żadną inną kobietą, żeby już nie wspominać o chodzeniu do łóżka z którąkolwiek. Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć. Nick wyłączył szafę grającą, a Ramón i Julia zaczęli grać na skrzypcach i gitarze. Chciałbym tu zaznaczyć, że wszyscy, kowboje, owczarze, pracownicy kolei, obiboki i moczymordy Hi Lo, bawili się doskonale.

Big Boy chwycił jakieś krzesło i połamał je w drobny mak o blat stołu. Potem wskoczył nań, żeby dalej tańczyć. Stół załamał się pod jego ciężarem i spoczął na podłodze obok szczątków krzesła. Big Boy poleciał na plecy, wywijając nogami w powietrzu i drąc się wniebogłosy.

Jacyś ograniczeni umysłowo barmani mogliby mieć coś przeciwko podobnym zachowaniom, ale nie Nick. I tak miał w budzie najtańsze meble. Poza tym mniej więcej co dziesięć minut podwajał zyski na opłatach za wyrządzone szkody.

Niedługo potem Delfino doszedł do wniosku, że jest tygrysem, i zaczął ryczeć, a także spróbował wspinać się na ściany. Potem rąbnął głową w ogromną szybę okienną. Krew płynąca z trzycalowego rozcięcia na jego czole sprawiła, że zatrzymał się na moment i przemyślał sprawę.

— Już się zdecydowałem—oświadczył.—Wracam do domu.

Nagle przy drzwiach zrobił się straszliwy tłok, kiedy wszyscy rzucili się usuwać swoje samochody i ciężarówki z drogi, zanim Delfino wsiądzie do swojego pojazdu. Silniki wyły, skrzynie biegów skrzypiały żałośnie i pojazdy rozpierzchały się na wszystkie strony, niczym kurczęta przed pikującym jastrzębiem.

Delfino odpalił maszynę i popędził tyłem. Zdjął jakieś sześć cali z rogu saloonu „Podwójny Obowiązek”, po czym nabierał prędkości, dopóki nie zatrzymał się na kurniku Mitcha Peabody'ego. Wtedy zmienił bieg z okropnym zgrzytem, wyjechał przez tę samą dziurę, którą sam przed momentem zrobił, i ruszył na autostradę. Słychać było, jak ciągle przyspieszając, pędzi na południe, w stronę Sano. Spłacenie szkód zajmie mu z pół roku, a Hi Lo nie zobaczy go, dopóki nie zdobędzie tych pieniędzy.

Zabawa właściwie się skończyła. Zresztą po tym, jak Delfino wybił okno, do saloonu zaczął wpadać wiatr i prowadzenie rozmowy stało się co najmniej niewygodne.

Rozdział ósmy

Ta zabawa w Hi Lo chodziła za mną przez jakiś czas. Siedziałem w domu i pracowałem — naprawiałem ploty, zreperowałem stodołę i zawiesiłem nową bramę na zagrodzie. Woda w źródleku nieco opadła z powodu suszy, więc zaprząłem moje konie robocze do pługa, pogłębiłem je i nieco oczyściłem. Źródleko na wyżej położonym pastwisku dawno już wyschło, ale krowy jeszcze nieźle sobie radziły.

Przez jakieś trzy tygodnie nie pokazywałem się w Hi Lo. W rzeczy samej, w ogóle nie wyjeżdżałem z rancza. Chciałem odwiedzić Josephę, ale cały czas to odkładałem.

Kiedy wreszcie pojechałem do miasta, rozglądałem się za pikapem Big Boya. Wreszcie zobaczyłem go, zaparkowanego przed dwuizbową, owiniętą dzikim winem chałupiną należącą do Leviego Gómeza. Levi był najlepszym przyjacielem, jakiego z Big Boyem mieliśmy w Hi Lo. W istocie Big Boy powiedział mu pewnego razu:

- Levi, jesteś najlepszym Meksykaninem w Hi Lo. Kiedy tak się nad tym zastanawiam, to jesteś najlepszym Meksykaninem w całym stanie!

Levi był przedziwnym człowiekiem. Płynęła w nim jedna czwarta krwi Francuzów, jedna czwarta krwi Apaczów, a w połowie był Meksykaninem. To mały, nieśmiały człowieczek, którego twarz wyglądała tak, jakby jakiś słynny rzeźbiarz wykuł ją jako model dla przyszłego dzieła. Pasowało to do niego, bo sam Levi potrafił pięknie rzeźbić. Drewno cedrowe było jego medium. Robił najróżniejsze stojące rzeźby świętych, które Meksykanie nazywają bultos. Te rzeźby miały w sobie jakąś elegancję, grację

i wyjątkowy rodzaj godności. Patrząc na kilka stojących obok siebie, aż miało się ochotę uwierzyć w jakąś religię. Ale co więcej Levi był poetą. Ludzie w naszym kraju uważają, że każdy, kto pisuje wiersze, musi być przynajmniej trochę szalony. Ale ja uważam, że człowiek ma takie samo prawo pisać wiersze w Hi Lo, jak w Paryżu, we Francji. Kiedy Levi spotykał przyjaciela, nie odzywał się do niego, jak to ludzie czynią zazwyczaj. Nie mówił: „Cześć”, ani: „Jak się masz?”, ani nawet: „Witaj”. Jeżeli kogoś lubił, nie odzywał się ani słowem.

Wszedłem do jego domu i usiadłem. Krzątał się po malusieńkim pokoju, przygotowując mi kubek kawy. Nalał też sobie i powiedział:

— Słyszałeś o Big Boyu?

Coś lodowatego zadrgało mi w trzewiach.

~ Nie, co się stało? — odparłem, lecz wiedziałem już, że to Les Birk przestrzelił go na wylot.

— Siedzi w więzieniu — odparł Levi swoim bezakcentowym angielskim.

— Za co?

— Cóż, to było tak, Pete — wyjaśnił. — On ostatnio ciągle tylko myślał o Monie; niedawno przyjechał do miasta dokładnie przedwczoraj... zaszedł do mnie i powiada: „Chodź, Levi. Przejdziemy się do Lollypopa i zalejemy w trupa”. Potem zaczął mi opowiadać o sobie i Monie, i tym, jak to nie ma dokąd z nią pójść. Chciał z nią uciec, Pete. Wtedy, tamtego dnia. Powiedział, że nic go nie obchodzi, co pomyślą ludzie. Ze są dla siebie stworzeni i nikt ich nie rozdzieli, chyba że go najpierw zastrzeli. Potem zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że musi wszystko przeczekać. Wygra fortunę w karty, albo w co innego, i wyjedzie z nią z szykiem. „Na Boga wsze'mogącego, Levi — dodał. — Nie mogę przeprowadzić się z królową do szałasu na prerii”. Zdawało się, że jest mu już lepiej i zaczęliśmy się dobrze bawić, kiedy do baru wszedł Martin Felder.

Pomyślałem o ogromnym, tępym Martinie. Zawsze mi się wydawało, że jego głowa cała składa się z litej kości, może

z wyjątkiem małego, pustego miejsca w samym środku, które i tak jest wielkości orzecha. Wychowała go matka i „wujek”. Miał już trzydzieści pięć lat i stale mieszkał w domu rodziców. Usiłował ułożyć sobie życie z kilkoma dziewczynami, ale żadna nie podobała się jego mamie. Aprobowała jedynie Neldę Spruce, lecz Nelda uciekła kiedyś z Big Boyem do Ragoonu, na weekend. To ją zdyskwalifikowało w oczach Mamy Felder. I nie polepszyło stosunków Martina z Big Boyem.

— Znowu czepiał się o tę sprawę z Neldą? — spytał Leviego.

— No, nie. Nie do końca. Martin wszedł i zaczął wlewać w siebie jedną whisky za drugą, jakby go bebecy paliły. Potem zaczął sobie jeździć na Big Boyu; wygadywał takie różne rzeczy, w stylu: „Niektórzy mężczyźni nie wiedzą, jak odróżnić, co jest ich, a co do nich nie należy”. Bardzo szybko Big Boy odpowiedział mu, że niektórzy mężczyźni są tak małe, że kiedy wychodzą ze swojej dziury w ziemi, potrafią tylko mrugać oczkami i rozmyślać o tym, co posiadają inni, a czego oni sami nie mają. Cóż, Martin miał już wtedy mocno w czubie, więc odparł: „Niektórzy mężczyźni to złodzieje. Jedni kradną kurczęta. Inni kradną złoto, a jeszcze inni cudze żony”. Było zupełnie oczywiste, o co mu chodzi. Wiedziałem, na co się zanoszą, no i kilka sekund później Martin już się zbierał z podłogi. Wstał i nie patrząc na nikogo, poleciał do samochodu. Wyciągnął strzelbę i ruszył z powrotem do baru. Ostrzegłem Big Boya, a on podszedł do drzwi, i kiedy Martin wchodził do środka, wyrwał mu strzelbę z rąk. Odciągnął kurki i kazał Martinowi wracać do samochodu, włożył na tylne siedzenie i zmusił Martina, żeby siadł z przodu i prowadził. Przez okno wrzasnął jeszcze: „Niech nikt nie waży się za nami jechać. Załatwimy to na osobności!” Cóż, kazał Martinowi jechać starym szlakiem, aż na prerię, a potem zmusił go do tego, żeby wysiadł. Wtedy Martin już płakał i błagał, żeby Big Boy nie strzelał. Ten jednak stał naprzeciw niego i mierzył mu prosto między oczy. Martin upadł na kolana. Wtedy Big Boy powiedział, że odrzuci strzelbę i załatwi to sprawiedliwie, po męsku. I tak

się stało. Szarpnięciem postawił Martina na nogi, a potem rozłożył go jednym ciosem na ziemi. Postawił go na nogi i znowu walnął. W górę i w dół. W górę i w dół. Ciągnął to tak, dopóki nie zabrakło mu sił. Potem kopnął Martina w bok i złamał mu parę żeber. Powiedział, że następny sukinsyn, który będzie wtrącał nos w jego sprawy, oberwie jeszcze gorzej. Mam wrażenie, że Martin nie wyobraża sobie, aby mogło być jeszcze gorzej. — Levi potrząsnął głową, upił łyk kawy i kontynuował:—Cóż, kiedy Big Boy wrócił do miasta, szeryf Tom Ezzard spytał go, co się stało z Martinem. A on na to: „Kiedy go ostatni raz widziałem, właśnie wykopywał biednego, kalekiego, starego susła z jego jamy i wczołgiwał się na jego miejsce”. Szukali Martina przez całą dobę, podczas gdy my z Big Boyem piliśmy, a on mi to wszystko opowiedział. Wczesnym rankiem znaleźli Martina przy szosie, gdzie doczołgał się nieźle poobijany i wystraszony. Spaliśmy, kiedy Tom Ezzard przyszedł po Big Boya.

— Co oni chcą z nim zrobić? — spytałem.

— Nie wiem.

— Chodźmy.

Pojechaliśmy najpierw do Lollypopa, gdzie kupiłem półlitrową flaszkę whisky dla sędziego pokoju, Eldona Howarda. Był to bardzo sympatyczny starszy dżentelmen z Kentucky o grzywie siwych włosów, które upodabniały go do wypłowiałego stracha na wróble. Przyjeżdżając do miasteczka, często go odwiedzałem i zawsze przywoziłem mu pół literka trunku, który pędzono w jego rodzinnych stronach. Byliśmy starymi przyjaciółmi.

Wszedłem do niego i podałem mu flaszkę.

— Witam, panie Howard — powiedziałem od progu.

— Ależ witaj, synu—odparł. — Miło cię widzieć.

Nie traciłem czasu.

Co zamierzacie zrobić z Big Boyem?

— Nic, synu — odrzekł. — Pozwolimy mu wytrzeźwieć i to wszystko. Wszyscy przecież wiedzą, choć niektórzy twierdzą inaczej, że Martin groził mu strzelbą.

— A co, jeśli Martin umrze?

—Nie umrze. Dopiero co dzwoniłem do szpitala w Ragoonie. Doktor powiedział, że chłopak nieco pocierpi, ale dojdzie do siebie.

—To dobrze — powiedziałem. — Kiedy wypuscicie Big Boya?

—Dziś po południu, synu. Może dopilnujesz, żeby na jakiś czas zniknął z miasteczka?

—Jasne — odpowiedziałem.

Wraz z Levim pokręciliśmy się po mieście, żeby wy badać nastroje. Okazało się, że ludzie mają mieszane uczucia, lecz nie są zbyt nieprzyjaźnie nastawieni. Zatrzymaliśmy się u Nicka na lekkie piwo. Czekaliśmy na zmierzch, żeby wywieźć Big Boya z miasta.

—Wiesz, zupełnie się nie dziwię Big Boyowi — odezwał się Levi. — Mona to wspaiała kobieta, a jej mąż to parszywiec.

—A jeśli nie parszywiec, to przynajmniej cholerna hołota— dodałem.

—Wiesz, że to on tak pokancerował ostrogami Starego Kasztana, aż go zepsuł... i to tylko dlatego, że ty go kupiłeś?— spytał Levi.

—Nie! — odparłem. — Cóż, faktycznie jest szefem kowbojów u C-Barsów, ale nigdy go o to nie podejrzewałem. Teraz dokładnie się z tobą zgadzam. Czy Big Boy wie o tym?

—Owszem. >■ -- -' -fr —r. A niech mnie gęś kopnie. Jeżeli Big Boy nie ukradnie mu kobiety, sam to zrobię. — Omal się nie udławiłem tymi słowami. Czuję, jak krew zaczyna mi szumieć w uszach. Powiedziałem pospiesznie: —1 Nick, jeszcze jedno piwo.

Levi spojrzał na mnie tak jakoś dziwnie. Byłem bardzo zadowolony, że jest moim przyjacielem. Wróciłem myślami do tego czasu, kiedy po raz pierwszy go spotkałem, zaraz po tym, jak wprowadziłem się do powiatu Hi Lo.

Grał w rzutki u Nicka. Zauważyłem, że strasznie trzęsą mu się ręce, i od razu zrozumiałem, że jest szalenie wrażliwy. Przeholował i przegrał z kretelem. Kupiłem butelczynę i zabrałem go do domu. Wtedy był brygadziwą na odcinku kolejowym i mieszkał w służbowym domku jakieś cztery mile na wschód od miasteczka.

Słyszałem, że był najlepszym fachowcem w branży. Dowiedziałem się tamtej nocy, że kiedy pojechał na wojnę, jego żona urodziła dziecko jego własnemu wujowi. Potem rozwiodła się z Levim, kiedy ten nadal stacjonował we Włoszech. Załatwili to z sądem tak jakoś, że nie tylko przydzielono jej opiekę nad dzieckiem, ale dostała też prawo do wszystkiego, co Levi posiadał na tym świecie. Kiedy wrócił do kraju, podjął się starej pracy. Lecz poprosił o przeniesienie do Hi Lo, z Trinidadu w Kolorado.

Po tym wszystkim zaczął uprawiać hazard i pić nałogowo. Zwolnił się z pracy na kolei, zanim zdążyli go wylać. Potem zaczął studiować sztukę na kursach korespondencyjnych i rzeźbić tych stojących świętych. Jeszcze później zajął się pisaniem wierszy. Omal nie zagłodził się na śmierć. Aż pewnego dnia przyjechał do niego facet z Dallas w Teksasie i kupił czternastu świętych, po dwieście dolców za łepka, po czym powiedział, że jeśli kiedykolwiek Levi będzie potrzebował gotówki, niech mu po prostu wyśle kolejną figurkę.

Cóż, jedyną rzeczą, którą po tym wszystkim Levi zmienił w swoim życiu, było to, że zbudował sobie kibel w domu, żeby nie musieć za każdym razem narażać się na wiatr.

Kiedy przyjeżdżałem do miasta, zawsze dość długo u niego przesiadywałem. Nie chodzi o to, że nie podobał mi się Hotel Collins, ale po prostu lubiłem patrzeć na tych drewnianych świętych.

Levi od czasu do czasu zniknął dla świata i pracował; potem wymyślał się na stację ekspresów z figurką zaadresowaną do Dallas. Wyliczył sobie, ile czasu zajmie paczce dojechanie na miejsce i ile może iść czek w drugą stronę, a potem wędrował na pocztę, żeby go odebrać. Mitch Peabody realizował mu go i sprzedawał miesięczny zapas żarcia, Levi zaś kierował się do saloonu, żeby poszaleć.

Pewnego dnia przyjechałem do miasteczka i właśnie piłem najuczciwszą colę, kiedy zerknąwszy na drugą stronę ulicy, na saloon Nicka, zobaczyłem Leviego, jak wypada przez frontowe drzwi. Omal nie rozdeptał pary turystów, którzy udawali się na drinka; odskoczyli na boki, a potem w pośpiechu wgramolili się

do swego ogromniastego, paskudnego wozu i odjechali. Levi darł się wniebogłose i biegał w kółko, machając ramionami, jakby właśnie kręcił lassem. Potem zeskoczył ze swego urojonego wierzchowca i pobiegł wzdłuż linki; nigdy nie widziałem żadnego zawodnika na rodeo, który tak szybko jak on spętałby cielaka.

Potem ruszył do naszych drzwi. Otworzył je i wpadł głową naprzód w stołek barowy, który obrócił się dookoła własnej osi, niczym koło do wozu, które właśnie odpadło. Wstał i szedł chwiejnie wzdłuż baru, dopóki nie doszedł do mnie.

— Cześć, Pete — rzekł. — Jestem Pancho Villa, lecz skończyły mi się naboje.

Nie mam pojęcia, co miał przez to na myśli; wątpię, by w ogóle cokolwiek. Zawsze wygadywał jakieś niestworzone rzeczy. Później pobiegł w dół ulicy do Mitcha Peabody'ego i wrócił z całym naręczem nowiusieńkich szczotek.

: f— Daj nam drinka, Nick — powiedział. — Mamy suszę, a chmury wyszły z mody.

Opróżnił szklaneczkę i wybiegł na chodnik, ciągnąc miotły za sobą. Krew ciekła mu po policzku, bo wcześniej rozciął sobie twarz o stołek. Uniósł te miotły nad głowę i rąbnał nimi o krawężnik, wrzeszcząc przy tym:

— Wuuuuuuu-piiiiiii!

Kawałki mioteł rozsypały się po drodze i chodniku. Powtarzał manewr, póki mu się nie skończyły. Rozejrzał się, otrzepał ręce i wrócił do baru Nicka. Nikt nie odezwał się ani słowem — wszyscy tylko patrzyli.

Levi podszedł chwiejnie do baru.

— Daj mi następną kolejkę, Nick. Chcę, żebyście, dranie, wiedzieli, że nie zamierzam sprzątać niczyich brudów, poza własnymi!

Uwierzyłem mu.

Usiłowałem się z nim upić, lecz to po prostu był jeden z tych razów, kiedy to zupełnie nie idzie. Byłem zbyt zmęczony) albo co. Siedzieliśmy przy barze do dziesiątej w nocy, aż wreszcie powiedziałem Leviemu:

— Levi, muszę pójść do ciebie do domu i położyć się na chwilę, zanim wrócę na ranczo.

Była chyba druga czy trzecia nad ranem, kiedy usłyszałem ciche skomlenie. Musiałem zasnąć. Poczłapałem do drzwi; pod ścianą siedział Levi i wył do księżycy. Podniosłem go, wciągnąłem do środka i włączyłem światło. Cała jego twarz składała się z zakrzepłej krwi. Musiał siedzieć przed domem dłuższy czas, zanim go usłyszałem. Zaprowadziłem go do małej łazienki, z której był tak dumny, zmoczyłem ręcznik i przyłożyłem mu do gęby. Wtedy rozległ się śmieszny dźwięk — ping, ping. Jeszcze raz przetarłem mu twarz. Ping! Ping! Na Boga, ten dźwięk wydawał żwirek, który odklejał się od jego twarzy i wpadał do zlewu. Ktoś dosłownie wdeptał go w ziemię.

Dopiero następnego ranka wyciągnąłem z niego, że to Julian Cisneros i kilku jego koleśki tak go załatwili. Był spuchnięty niczym krowa ukąszona przez grzechotnika i musiałem zabrać go do lekarza, żeby go poskładał do kupy. Zapytałem, o co poszło, lecz nie potrafił sobie przypomnieć.

Po tym zabrał się do pracy ze zdwojonym zapalem i w całej okolicy Hi Lo rozeszła się plotka o szalonym rzeźbiarzu-poecie. Rzeczą naturalną było, że wraz z Big Boyem bardzo szybko się z nim zaprzyjaźniliśmy.

Kilka miesięcy później wszedłem do jego chatki i zobaczyłem, że na ogromnej, płaskiej desce stoi komplet postaci z Ostatniej Wieczery. Widziałem, że jest z nich strasznie dumny. Ksiądz, który prowadził coroczne spotkania religijne w kościele, usłyszał o tym obiekcie i przyszedł odwiedzić Leviego. Wypili wspólnie po piwie i pogadali sobie od serca. Levi był tak zadowolony, że niewiele myśląc, po prostu podarował rzeźby kościołowi. To był ogromny błąd.

Ten ksiądz powiedział swojej trzódce, że na ostatnim spotkaniu odsłoni cenny dar, niespodziankę od jednego z ich współobywateli. Ksiądz bardzo przypominał z wyglądu młodego Abe'a Lincolna i pewnie był równie dobrym mówcą, bo zanim stary Levi zrozumiał, co się dzieje, już obiecał przyjść na tę ostatnią mszę.

Cóż, nie starczyło mu odwagi, żeby pójść samemu, więc namówił mnie, abym mu towarzyszył. Mnie także nie starczyło odwagi dla nas obu, więc dogadałem się z Big Boyem, że pójdzie z nami. Zdaje mi się, że on miał najwięcej odwagi z nas wszystkich, bo nie namówił na pójście do kościoła już nikogo innego.

Nie mieliśmy pojęcia, o której ma się to wszystko zacząć, więc okazało się, że przyszliśmy pierwsi. Nie prezentowaliśmy się też najgorzej, muszę przyznać. Levi miał na sobie prążkowany garnitur i wyglądał całkiem znośnie; ja miałem na sobie czyste dżinsy i nową błękitną koszulę. Natomiast Big Boy poszedł na całość i wystroił się w porządną czarny garnitur, białą koszulę i wściekle czerwony krawat. Każdy łowca talentów z Hollywood rzuciłby się na niego z otwartymi ramionami.

Jednak całe to strojenie i tak nic nam nie pomogło. Ludzie zaczęli schodzić się do kościoła, po dwie, trzy osoby na raz, lecz wszyscy siadali jak najdalej od nas. Rozejrzałem się po ławkach stojących w pobliżu, żeby się przekonać, czy zostały niedawno pomalowane, czy jak, ale wyglądało, że wszystko jest z nimi w porządku. Przyjrzałem się wszystkim oknom po naszej stronie, żeby przekonać się, czy przypadkiem od któregoś nie ciągnie, lecz wszystkie były szczelnie zamknięte, niczym szczęki buldoga. Przyszło mi do głowy, że może siedzimy nazarezerwowanych miejscach. Spojrzałem w górę, aby przekonać się, czy dach nie zapadł się w tym miejscu, ale wyglądał solidnie. Miałem ochotę unieść rękę i spytać księdza, czy Bóg ma coś przeciwko ludziom, którzy siadają po lewej stronie nawy w kościele. Wreszcie mnie oświeciło — ci ludzie nie chcieli być widziani w naszym towarzystwie.

Martwiłem się, jak znosi to biedny stary Levi. Big Boy wyznał mi później, że też się o to niepokoił. Ksiądz miał dziwną minę, lecz skinął nam głową i uśmiechnął się do nas. Reszta kongregacji nie raczyła obdarzyć nas choćby drugim spojrzeniem. Kiedy już się usadowili, zbiorowo zaczęli cierpieć na zeszywnienie karku; zadarli też nosy aż pod sufit

Ksiądz zaczął od śpiewów i wszystkich tego typu rzeczy, a potem wstał i podszedł do pulpitu.

— Moi drodzy — odezwał się, bardzo cicho i spokojnie, -i-. Zaraz odkryję waszym oczom wspaniałe dzieło sztuki. Bóg zainspirował ten przedmiot nieskończonego piękna i podarował talent jednemu z was.

Pomyślałem, że może i Levi jest jednym z nich, lecz oni nigdy w życiu się do niego nie przyznają.

. — Patrzcie! powiedział ksiądz i zamasztył ruchem zdjął obrus z postaci Ostatniej Wieczerzy. — Patrzcie i cieszcicie oczy tą bożą inspiracją!

Cóż, słyszałem już w życiu niejedną ciszę, na przykład taką, która panuje po tym, jak dziecko napluje na obrus podczas niedzielnego obiadu, albo kiedy pies zeżre najlepszą nioskę w kurniku, lub kiedy w Hi Lo, w Nowym Meksyku, wiatr przestaje wiać na jeden dzień w roku. Ale wszystko to przypominało rozsadzający uszy, przyprawiający o ból głowy huk w porównaniu z ciszą, która zapadła teraz w kościele.

Ksiądz czekał. Jedyną reakcją na jego słowa było to, że jakaś kobieta odkaszlnęła, druga zaś upuściła śpiewnik. Chcę tu jedno wyjaśnić: ten ksiądz był prawdziwym mężczyzną, a Pan z pewnością obdarzył go zdolnością wściekanią się. Szarpnął się na tych wiernych niczym schwyty w pułapkę lew.

— Panie Gómez, niech pan wstanie, z łaski swojej.

Levi był bliski omdlenia, więc wraz z Big Boyem ujęliśmy go pod ramiona i podnieśliśmy między nami. Sięgał nam obu mniej więcej do barków.

Tym samym spokojnym, miarowym głosem ksiądz powiedział:

— Chcę, żeby każdy z was, który w głębi duszy uważa, że to dzieło sztuki jest piękne i ze szczerego serca podarowane nam przez pana Gómeza, wstał. — Z wahaniem, jeden po drugim, wstawali. Na swoich miejscach został może raptem z tuzin wiernych. Uj A teraz wy, którzy wstaliście, przejdźcie na tył kościoła i stańcie pod ścianą. — Zrobili tak, a on ciągnął tym swoim kontrolowanym głosem: — Teraz chcę powiedzieć tylko jedno: to, co zrobiliście, jest dostatecznie złe, lecz nawet w połowie nie tak złe, jakczyn tych hipokrytów... — wykrzyczał ostatnie słowa

którzy stoją tura, a którzy skłaniali, żeby uratować swoje twarze tu, w domu bożym.—Dźgnął powietrze palcem; miał tak groźną minę, że niektóre osoby uczyniły gest, jakby się uchylały przed ciosem. A on przemawiał grzmiącym głosem, w którym słychać było gniew boży: — Każdy z was... bez względu na to, czy teraz stoicie, czy siedzicie, popełnił grzech przeciw Bogu i bliźniemu! Jest to tak mały, paskudny i obrzydliwy grzech, że aż nie chce mi się dziś tu o nim mówić. W rzeczy samej, nie będę o nim mówić, bo wszyscy zdajecie sobie z niego sprawę. Ale powiem wam jedno, moi kochani. Powinniście paść na kolana i bić czołem o podłogę, modląc się o przebaczenie, i choć nie mam prawa sądzić was ani wydawać wyroku, chętnie kazałbym wam czołgać się przez kaktusy i rozgrzane do czerwoności kamienie, a dopiero potem błagać tego młodego człowieka o wybaczenie.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy kongregacja padła na kolana, czy nie, bo Levi wyrwał się nam i popędził przez środek kościoła ku drzwiom. My zaś pobiegliśmy za nim.

Nick podawał nam piwo za piwem, jedną kolejkę nawet nam postawił.

—Najwyższa pora ruszyć się stąd i zabrać Big Boya z ciupy — odezwałem się.

—■ Jeszcze chwila — odrzekł Levi. — Napisałem nowy wiersz i chciałbym, żebyś rzucił na niego okiem.

Wstał i pobiegł klusem do swej chatki. Minutę później wrócił, lekko zdenerwowany. Kiedy podał mi kartkę papieru, była mokra od potu na jego dłoniach. Rozwinąłem ją i zacząłem czytać:

Dzikus krzyknął do Matki Księżycy: „Jestem wspaniały! ” Księżyc wiszący na niebie nie odpowiedział.

Dzikus ponowił swe wołanie, głośniejsze: „Jestem wspaniały!”

Cisza była jeszcze wyrazistsza.

Wtedy Dzikus z furią zamachał chudymi ramionami I potrząsnął pięściami: „O, Matko Księżycu, czy Ty mnie nie słyszysz? Jestem wspaniały”. Cisza ■ Cicho, zgarbiony rzekł: „W takim razie, czym jestem, Matko Księżycu? Złamanym głosem, Matko Księżycu? Odezwij się do mnie. Niech twoje wspaniałe światło otuli mnie”. Cisza.

Dzikus rzucił się na ostre skały I walił w nie okrwawionymi pięściami. „Matko Księżycu! Po tych ruistępnych słowach Nie odezwę się więcej. O, Matko Księżycu, wiem już, czym jestem. Jestem niczym”. Z niebios rozległ się wspaniały, poważny głos. Winorośl zadrżała na wietrze. Kurz zawirował wokół Dzikusa. Kurz pokrył Dzikusa. I usłyszał słowa: „W tej właśnie chwili, mój Dzikusie, Osiągnąłeś wielkość ciała i kości. Jesteś wspaniały! ”

Przez chwilę siedziałem w bezruchu.

— Levi, to mi się bardzo podoba—powiedziałem na koniec. Nje miałem pojęcia, czy to dobry wiersz, czy zły; wiedziałem tylko, że bardzo mi się podoba.

Wziął ode mnie kartkę papieru, złożył ją i wsadził do kieszeni koszuli.

— W takim razie chodźmy wyciągnąć naszego przyjaciela z więzienia — rzekł.

Rozdział dziewiąty

Nie mogłem dłużej czekać. Musiałem wiedzieć. Zazdrość szarpała mnie, jak wygłodniały pies szarpie trzewia świeżo zabitego zająca. Sprawiała, że wróciłem myślami do Josephy.

Muszę spotkać się z nią na osobności, po trzeźwemu i dać nam obojgu czas i uczciwą szansę. Nie byłem pewny, czy potrafię ją kochać, ale bardzo tego chciałem. Z pewnością czułem jakąś dziwną czułość w stosunku do niej i zawsze dobrze mi się z nią rozmawiało. Ale to wydawało się szalenie mizerne w porównaniu z uczuciem, które żywiłem do Mony. Ona ogarniała całe moje jestestwo, jak chmury deszczowe ogarniają niebo.

Tak czy inaczej, pojechałem po Josephę do jej rodzinnej wioski, Sano, w Nowym Meksyku. My, tu na tym naszym pustkowiu, uważamy, że Sano to najdalej wysunięty na południe przyczółek Hi Lo. Ale i tak to nie było miejsce dla Josephy. Czy siedziała tu z mojego powodu? To była wielce pochlebna myśl. Lecz jednocześnie sprawiała, że czułem się nieswojo. Nie mogłem jej zapytać, poza tym i tak by mi nie powiedziała.

—Jeśli chcesz, możemy pojechać do chaty papy — powiedziała. — Znajduje się dziesięć mil w głąb pustyni. Mają, odkąd pamiętam. To stara działka górnicza, a on nigdy nie przestał wierzyć w jej nieograniczone możliwości.

—Dobrze—= odparłem. — Tam możemy być sami.

—Owszem, sami —* powiedziała jak echo, tak cicho, że ledwie ją usłyszałem.

Nie odzywaliśmy się więcej podczas tej wyboistej drogi. Miło było nie musieć rozmawiać. Tak wiele rzeczy w niej mi się podobało.

Przed nami, jakby nieco w dole, na długiej półce skalnej, widziałem chatę. W promieniach popołudniowego słońca wydawała się opuszczona. Zdawało się, że nikt nigdy w niej nie mieszkał. Gdyby ktoś teraz pojawił się w drzwiach i wyszedł nam na powitanie, uwierzyłbym w zmartwychwstanie. Ogromna przestrzeń otaczającej ją pustyni tylko podkreślała delikatność rzeczy wykonanych

przez człowieka. Wiatr będzie owiewał ją kurzem, wiewał go do środka, aż cząsteczka po cząsteczce, drzazga po drzazdze, kompletnie ją zdeintegruje. Lecz dziś i w nocy spełni swą rolę.

Na północny zachód znajdowało się urwisko długie na półtorej mili. Na całej jego długości widać było rozrzucone tu i ówdzie kaktusy, kamienie, a czasem nawet kępy trawy. W cieniu wystającej skały wylegiwał się kojot; jeżor wisiał mu z pyska niczym psu. Dyszał, czekając na nadejście nocy. Przy świetle księżycy wysmyknie się na poszukiwanie myszy bądź zająca, czegokolwiek, co zapełni mu żołądek. Jeśli mu się nie poszczęści, będzie musiał zadowolić się świerszczem, mrówkami, chwastami — czymkolwiek, co żyje i omija człowieka.

Pół mili w dół płaskowyżu, w płytkiej norze, wyobraziłem sobie szarego zająca wylegującego się w chłodnej ziemi. On także czeka na nadejście nocy, żeby móc paść się na nędznych pędach pustynnych roślinek. Będzie nasłuchiwał i uważnie wypatrywał kojota, orła, sowy, lecz nigdy nie umrze ze starości.

Czterdzieści jardów dalej, za zającem, oczyma duszy widziałem jaszczurkę grzejącą się w słońcu na nagrzanym kamieniu. Trwa w zupełnym bezruchu. Wtapia się w ziemię, jakby była jej częścią. Jeśli napatoczy się jej robak albo insekt, wystrzeli lepkiem językiem tak szybko, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło. Następny dzień i kolejny po nim niczym nie będą się od siebie różnić dla jaszczurki, zająca i kojota.

Orzeł krążący wysoko na niebie, wolno, płynnie, paskudnymi oczyma wypatrzy błysk słońca na dachu naszego pikapa, kiedy tak jedziemy do czekającej na nas chaty. Będzie się nam przyglądał z czystej ciekawości; nie stanowimy dla niego łupu.

Jechaliśmy ciągle naprzód, przez jary i parowy, skręcaliśmy to w prawo, to w lewo. Dźwięk silnika dosłyszało pewnie z tysiąc najróżniejszych stworzeń zamieszkujących tę porośniętą kaktusami ziemię.

Zatrzymaliśmy się. Ująłem ją za rękę i pomogłem jej wsiąść. Miała małe, ciepłe dłonie. Stworzone wprost do dotykania i trzymania.

Przeszliśmy obok chaty bez słowa, jakby w bezdźwięcznym porozumieniu. Źródełko było tak małe, że aż dziwiłem się, iż ktokolwiek je odkrył. Dawało jednak życie ogromnej połaci kraju. ─ Ślady zwierząt na błotnistym gruncie opowiadały własną historię. Siedzieliśmy na małej kępce trawy i wpatrywaliśmy się w wodę. Z jakich głębin wypływa? A jeśli nadciągnie susza, jak się tego obawialiśmy, czy przetrwa, czy też schowa się w głębi ziemi, aby poczekać, aż chmury i deszcze znowu wywabią je na powierzchnię? A może będzie dzielne, nie da się wysuszającej, brunatnej śmierci, zostanie, by oddawać się odważnie i hojnie wszystkim stworzeniom, które się z niego żywią?

Zerwał się wiatr, lecz nie tak silny jak zazwyczaj; przegonił małą falę po powierzchni płytkiej wody i uniósł długie, gęste włosy z ramion Josephy.

Wcisnąłem twarz w zagłębienie między jej szyją a barkiem i tuliłem się do niej przez dłuższą chwilę, rozkoszując się zapachem jej ciała. Przez moment czułem spokój. Powoli wyczułem, jak zaczyna wrzeć w niej krew. Pocałowałem ją w usta, a ona przytuliła się do mnie, spokojnie, bez zdenerwowania. Ciepło i słodczy wszystkich ziemskich owoców ogarnęły nas całkowicie.

Leżeliśmy na nagiej ziemi. Słońce opadło na niebie i ucichł wiatr. Nadszedł chłód.

Wstaliśmy i wolno poszliśmy do chaty. Josepha otworzyła drzwi. Zapaliła lampę naftową i rozejrzała się po pokoju. Na wszystkim leżała gruba warstwa kurzu. Podeszła do łóżka, zdjęła z niego pokrowiec, po czym zgasiła światło i położyła się.

Stałem bez ruchu pośrodku pokoju. Zmrok rzucał niebieskie błyski światła po ścianach. Przez małe okienko widziałem ciemnozielone kaktusy, prawie czarne. Wszystko stało w bezruchu. Potem usłyszałem subtelny dźwięk opadających kobiecych łasek.

Poszedłem za nią i położyłem się obok. Było to nieomal najdoskonalsze przeżycie, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem bądź doświadczę.

Później rozmawialiśmy cicho, pogodzeni ze sobą nawzajem i z samymi sobą.

— Powiedz, że mnie kochasz, Pete. Powiedz to.

— Kocham cię — odparłem i miałem nadzieję, że tak jest naprawdę.

Delikatnie objęła moją głowę i przyciągnęła ją sobie do piersi.

— Kochanie -r-^, szepnęła, głaszcząc mnie po skroniach. g|| Wiem — szepnąłem, lecz nie wiedziałem.

Kojot uniósł głowę, wyszczerzył kły i zawył prosto do nieba. Josepha zadrżała i przytuliła się do mnie mocniej. Wiedziałem jednak, że to nie wystarczy. Jeszcze nie.

Rozdział dziesiąty

Kiedy Big Boy Matson miał dziesięć lat, jego ojciec zaczął go wypożyczać do roboty na sąsiednich ranczach. Kiedy skończył dwanaście lat, potrafił poradzić sobie z pracą przy krowach odpowiednią dla dorosłego mężczyzny.

Jednym z jego pracodawców był Koniokrad Willy. Big Boy zawsze bardzo go lubił. Wiele z jego przemyśleń dotyczących życia pochodziło od tego człowieka, który kiedyś został oskarżony o kradzież konia. Nic mu nie udowodniono, lecz przydomek został mu na całe życie. Poznanie ludzi takich jak Koniokrad Willy, Delfino Mondragon czy Levi Gómez jest podstawą do zrozumienia miasteczka Hi Lo.

Koniokrad polubił Big Boya i nauczył go wielu dawnych sztuczek użytecznych przy ujeżdżaniu i trenowaniu koni. On też zapoczątkował jego manię ujeżdżania na oklep dzikich koni na rodeo.

Wyjaśnijmy jedno: Koniokrad potrafił świetnie ujeżdżać dzikie konie, lecz jeśli byśmy zapytały, co jeszcze potrafi, odpowiedź na to pytanie byłaby bardzo trudna. Jedno jest pewne: umiał narozrabiać gorzej niż jakikolwiek ze znanych mi ludzi.

Na przykład, pewnego razu podjął się zbudowania płotu C- -Barom, a oni stracili na tym interesie trzy mile kwadratowe ziemi. Na początku Koniokrad wytyczył linię płotu jak należy, lecz potem zaczął pić whisky pędzoną przez Vince' a Moore'a, po czym płot skrzył nagle pod kątem czterdziestu pięciu stopni w niewłaściwą stronę. Nie tylko to — zanim szef go na tym przyłapał, Koniokrad wykopał dziury, wbił słupy i rozciągnął drut dobrą milę w środek ziemi należącej do rządu federalnego.

Cóż, Koniokrad mógł się spodziewać, co bimber Vince'a z nim zrobi; pracował dla niego ponad miesiąc. Pewnego dnia Vince zabrał całą rodzinę do miasteczka na ślub córki. Powiedział Koniokradowi, że pora już zacząć karmić bydło kiszonką. Trawa była mama, bo zbierało się na zimę.

Vince miał mnóstwo kwaśnej miazgi naciągającej w aparaturze do pędzenia bimbru, przeznaczonej do późniejszego butelkowania i rozprowadzenia między wybranych klientów w Hi Lo. Ponieważ Koniokrad nie miał żadnego wcześniejszego doświadczenia z pędzeniem bimbru, pomylił miazgę z kiszonką dla zwierząt. A że chciał jak najlepiej wywiązać się z powierzonego mu zadania, nakarmił stare krowy Vince'a od serca. Co nieco dostało się także psom.

Kiedy Vince wrócił do domu z weselnego przyjęcia, wszystko było zrujnowane. Jeden z psów stracił przytomność na ganku z głową zwieszoną pod poręczą; innemu przywidziało się, że zagonił coś na wiatrak, i krążył teraz wokół niego, wściekle ujadając i upadając co krok. Trzeci z psów pobiegł pomóc Koniokradowi w opanowywaniu zbiegłego bydelka. Krowy były wszędzie, trykały się łbami niczym stado młodych byczków. Koniokrad zajeździł dwa porządne konie i właśnie zabierał się do siodłania trzeciego, kiedy zjawił się Vince.

— Na Boga, rzucam pracę! — zawołał Koniokrad na widok szefa. — Każde jedno stworzenie w tym cholernym obejściu straciło rozum!

Kiedy Vince zorientował się, co się stało, Koniokrad nie musiał już nawet składać wymówienia.

Jednak sprawą, która zaważyła na tym, że trudno było mu znaleźć zatrudnienie u okolicznych ranczerów, był numer, który wywinał Jimowi Edowi Love'owi. Jim Ed zabiłby Vince'a, gdyby miał pewność, że ujdzie mu to na sucho. Wybrał się w podróż, aby kupić wspaniałe młode byczki, których chciał potem używać jako byki rozplodowe do powiększania swego stada. Zajechał aż do północno-zachodnich stanów w ich poszukiwaniu; zapuścił się też do Kanady. Kiedy tylko kupił pełen wagon, wysłał go do Hi Lo. W drodze powrotnej do domu zatrzymał się na parę dni w Den ver, żeby się pochwalić i opowiedzieć przyjaciołom o tych bykach. W końcu całą paczką załadowali się do pociągu i przyjechali obejrzeć te niesamowicie płodne zwierzęta. Koniokrad z dumą zaprowadził ich na pastwisko i wyjaśnił: Na Boga, Jimie Ed, to najpiękniejsze woły, z jakimi w życiu pracowałem. Z całego stada straciliśmy zaledwie dwa. Zazwyczaj przy kastracji cielaków w tym wieku traci się około dziesięciu procent pogłowia.

I Jim Ed wraz z przyjaciółmi obejrzał sobie ogromne stado najdroższych, wykastrowanych wołów na świecie. Nie trzeba chyba nadmieniać, że umowa o pracę Koniokrada uległa natychmiastowemu rozwiązaniu. Wszyscy w powiecie śmiali się i żartowali sobie z Jima Eda, więc przez dobry miesiąc w ogóle nie pokazywał się w Hi Lo.

Koniokrad znał się na jednej rzeczy, i tylko na jednej — na koniach. Nikt nigdy nie narzekał na konia, którego mu Koniokrad ujeździł. Albo konisko łagodniało, albo Koniokrad je zabijał. Albo koń dawał sobą powodować jak baranek, albo łamał sobie kark. Potrafił pracować przy lassie, lub robił wszystko, co w jego mocy. Jednak nic tak nie obrazuje braku talentu Koniokrada do mechanicznych przedmiotów jak ten czas, kiedy kupił sobie chevy'ego z 1935 roku. Ten mały diabeł wcielony o krzywych nogach, wystającym brzuszku i spalonej słońcem twarzy wyglądał w samochodzie równie nie na miejscu, jak zakurzony kowboj wyglądałby w angielskim saloniku. Lecz pracował przy tym samochodzie dzień i noc. Oczywiście trzeba zrozumieć, że Ko

niokrad wiele podróżował, od jednej roboty do drugiej. Nieomal za każdym razem, gdy się gdzieś jechało, można było spotkać Koniokrada, jak pcha swój samochód albo wyciąga go z rowu przy pomocy pary koni, lub też wymienia zawory, albo jeszcze co innego.

Kiedy chłodnica zaczęła mu przeciekać, po prostu wsypał do niej całą torebkę tytoniu Buli Durham. Nie spełniło to swego zadania, ale Koniokrad wyjaśnił Big Boyowi:

— Cóż, do diabła. Wrzuciłem tam parę garści końskiego nawozu i od tej pory nie wyciekła ani kropelka. Trzeba by zacząć pakować gówno i sprzedawać je na kilogramy.

Nie przyznał się Big Boyowi, że miał cholerne problemy z powstrzymaniem silnika od samozapłonu. Koński nawóz zatrzymał nie tylko wyciek z chłodnicy, ale i wszystko inne.

Zatrudnił sąsiada, żeby oczyścił mu chłodnicę. W rzeczy samej, każdy, kto żyw w okolicy, pomagał mu przy tym samochodzie. Jak jeździł — pozostało tajemnicą. Wreszcie doszło do tego, iż silnik był już tak zajechany, że Koniokrad musiał wozić z sobą pięciogalonowy kanister zużytego oleju, aby dojechać do Hi Lo ze swego małego rancza położonego jakieś dziewięć mil od miasteczka. Nie tylko to — musiał wozić także beczkę wody. Pokonanie tej drogi, wraz z wyskakiwaniem i wskakiwaniem do wozu, dolewaniem to oleju, to wody, zajmowało mu prawie cały dzień. Nic dziwnego, że zostawał w miasteczku czasem na dwie, a nawet trzy noce, odpoczywając przed powrotną drogą.

Wreszcie musiał się poddać i przehandlować chevy'ego na nowszy model. Pewnego dnia wczółgał się pod ten model z roku 1939 i wąż ugryzł go w nogę. Kiedy dojechał do miasteczka z wozu się dymiło, metalowe pręty zawieszenia wydostały się na świeże górskie powietrze, a noga Koniokrada była czarna i spuchnięta.

Musieli odciąć mu tę nogę w kolanie. To na jakiś czas powstrzymało go przed braniem udziału w rodeo, ale rok później rozeszła się pogłoska, że Koniokrad ma wystąpić na kucu szetlandzkim w pętaniu byków. Wszyscy przyjechali to obejrzeć.

Wraz z Big Boyem objaliśmy się cały dzień i właśnie siedzieliśmy na płocie, kiedy spiker ogłosił:

— Kochani, a teraz mamy dla was specjalny występ dawnego mistrza w ujeżdżaniu dzikich koni, Koniokrada Willy'ego. Spęta on ważącego tysiąc funtów byka, wściekłego jak sam tygrys... a zrobi to z małego, starego szetlandzkiego kucyka, który nie waży nawet trzeciej części tego co byk. To jeszcze nie wszystko, kochani, Koniokrad twierdzi, że położy tego byka, zsiądzie z konia i spęta go jak należy.

Wszyscy tak przyzwyczailiśmy się do wyglądu Koniokrada, że zupełnie zapomnieliśmy o tej jego drewnianej nodze. W końcu nawet za bardzo nie kulał. Lecz na rodeo przyjechało mnóstwo ludzi spoza miasta i wielu turystów, którzy zupełnie nie znali Koniokrada.

— Spójrz tylko na tego grubego skurczybyka—mruknął Big Boy. — On naprawdę chce to zrobić.

Wjechał na arenę na tym szetlandzie i choć miał krótkie nogi, prawie włókł nimi po ziemi. Wjechał do start boks i potrząsnął lassem. Pomocnik wypuścił byka na arenę. Byk pomknął w podskokach, a Koniokrad spiął kuca ostrogami i skoczył za nim. Byk nie biegł zbyt szybko — zdaje się, że przeciwnicy nie zrobili na nim większego wrażenia—lecz gdy dotarł do przeciwnej strony areny, Koniokrad nadal pędził z najwyższą szybkością. Byk obrócił się, sapnął i skoczył w jedną stronę, podczas gdy szetland i Koniokrad skoczyli w drugą. Pętla wystrzeliła i spadła bykowi na potężne łopatki. Każdy z obecnych kowbojów skrzywił się, wiedząc, jak potężne szarpnięcie nastąpi, gdy tylko skończy się luz na linie.

Cóż, kiedy to zobaczyłem, spadłem z płotu. Publiczność oszalała. Rozległy się wrzaski i gwizdy, a ośmiu turystów zemdlało. Byk po prostu biegł dalej, na końcu linki zaś, objając się o ziemię, leciała sztuczna noga Koniokrada.

Koniokrad spadł z kuca i wył na arenie, zachowując się jak człowiek w wannie pełnej skorpionów. Potem przestał wrzeszczeć i zaczął się śmiać.

Wkrótce wszyscy załapali dowcip. Prostak specjalnie przywiązał linkę do swojej sztucznej nogi; posunął się tak daleko, że

nawet pomalował ją na czerwono. Linkę na łąku siodła zawiązał tak, aby mieć pewność, że zwolni się przy szarpnięciu. Zebrał niesamowite oklaski. Był to wspaniały sposób, żeby przejść na emeryturę.

Big Boy pojechał do miasteczka, kupił całą skrzynkę whisky i wrócił z nią na rodeo, my wszyscy zaś, obecni tam kowboje, do upadłego piliśmy zdrowie naszego świeżo przeszłego na emeryturę kolegi.

Mimo wszystko Koniokrad dał miasteczku Hi Lo powód do miłości.

Rozdział jedenasty

Kiedy Nick Barnes powiedział nam, że znaleziono Steve'a Shawa martwego, Big Boy wyrzucił ramiona w górę i wrzasnął: gNa Boga wsze'mogącego, chłopaki, trzeba to uczcić!

— Nie można tak wyrażać się o zmarłych — odparł na to Nick.

— Świat jest o niebo lepszy bez niego, Nick. A fakt, że nie żyje, wcale nie zmienia tego, jakim był skurczybykiem.

Musiałem się z tym zgodzić.

Dwie noce wcześniej siedziałem z chłopakami, grając w pokera, kiedy Big Boy wyłożył Steve'owi Shawowi kawę na ławę. Zazwyczaj razem ze Steve'em grał też Jim Ed, lecz przestał przychodzić do Nicka w te wieczory, kiedy bywał tam Big Boy.

Steve zawsze miał po kieszeniach tyle forsy, że licytował wysoko, często blefował i wygryzał z gry ciężko pracujących kowbojów. Ale Big Boy dostał z rozdania kartę, na którą czekał całe życie: najlepszą w talii— królewskiego pokera. Steve Shaw miał wysokiego fula, a ja jedynie dwie pary, więc odpadłem z gry bardzo szybko. Steve gapił się na forszę leżącą na stole, jakby to była naga królewna-dziewica. Wreszcie Big Boy położył na stole kolejną stówę i Steve zawahał się.

■

— Do diabła, pobitem cię — powiedział Big Boy. — Mam królewskiego pokera.

Steve wlepił w niego ślepią, a potem spod zmrużonych powiek zerknął w swoje karty.

— Dalej, Steve, wyłóż, co masz, na stół, żebyś mógł zobaczyć moje śliczności.

Na żółtej, wychudłej twarzy Steve'a pojawił się pot, a jego paskudne, niebieskie oczka lśniły. Bał się. Za taką pulę mógłbym wykupić hipotekę za moje rancho.

— Naprawdę masz tak dobre karty, Big Boyu?

— Płacisz i oglądasz, Steve. Szkoda, że nie ma tu Jima Eda, żeby za ciebie pomyślał.

To była ostatnia kropla. Ciężko oddychając, Steve dorzucił do puli. Musiało być tego ze czterysta, jeśli nie pięćset dolarów.

Big Boy nie czekał. Rzucił swoje karty Steve'owi w twarz i zgarnął szmal. Drżącymi dłońmi Steve podniósł karty Big Boya i spojrział w nie; potem je upuścił, wstał i wyszedł bez słowa. Przeszedł pół przecznicy do mieszkania, które miał w Hi Lo, i padł nieżywy na łóżko, kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły. Minęły dwa dni, zanim znaleziono ciało.

[g] Pomyślcie tylko — mruknął Big Boy. — Zabiłem sukinsyna, ani razu nie wystrzeliwszy. Daj wszystkim drinka na mój koszt.

Trudno zrozumieć tę gruboskórność, jeśli nie znało się Steve' a Shawa. Jim Ed dostarczał pieniędzy, Steve zaś je pożyczał. Był niczym chodzący bank. Wspólnie przejęli kilka niewielkich ranch, stada bydła oraz niezliczenie wiele samochodów, ciężarówek i domów. Steve miał nosa do zbierania podpisów na wekslach właścicieli ziemskich, którzy nie mogli w terminie oddać pożyczki.

Miał całe mnóstwo talentów w tym kierunku. Na przykład, jeśli w sprawę zamieszana była cenna działka, Steve kazał właścicielowi podpisać akt sprzedaży i złożyć go w depozycie. Jeśli delikwent nie zwrócił pożyczki w terminie, nie następowały żadne przydługie walki o rozdysponowanie majątku. Steve po

prostu jechał do sądu okręgowego, składał tam akt sprzedaży, brał ze sobą szeryfa i przejmował ziemię.

Tuż przed bramą posiadłości Steve'abiegła bita droga—skrót od jednej autostrady do drugiej. Pewnego dnia przy zjeździe pojawił się znak: ZAOSZCZĘDŹ CZAS I DROGĘ. POJEDŹ BITĄ DROGĄ DO AUTOSTRADY NUMER 286. Wiele osób skorzystało z rady.

Na większej części powierzchni droga była nierówna i wyboista, lecz najgorszy fragment znajdował się tuż przy posiadłości Steve'a. W głębokim dole zawsze stała woda, a przynajmniej błoto. Dwa samochody na trzy utykały w niej po osie. Rzeczą naturalną było, że szukali pomocy na ranchu Steve'a, gdyż było jedynym w okolicy. Często ludzie myśleli, że mają sporo szczęścia, że to nieszczęście przydarzyło im się akurat w tym miejscu.

Steve zawsze chętnie pomagał. Miał cztery silne konie pociągowe, które trzymał w pogotowiu, gotów do spełnienia sąsiedzkiego obowiązku. Nie tylko: miał nawet wysokie do biodra gumowce, które cierpliwie nakładał i szedł taplać się w błocie niczym Dobry Samarytanin. Konie zapierały się mocno w ziemię i samochód wyjeżdżał z dziury jak po maśle.

Oczywiście biedne sieroty mówiły:

— Nawet pan nie wie, jak bardzo jesteśmy wdzięczni za pomoc. Ile się należy?

Nigdy nie czekali długo na odpowiedź.

— Pięć dolarów.

To się szybko dodawało, licząc, że kilka samochodów dziennie utykało na wyboistej drodze. Oczywiście, kiedy przychodziła susza, Steve miał wiele bezsennych nocy, które spędzał na wlewaniu wielu wiader wody do dziury, żeby błoto się utrzymało i przynosiło zyski.

On i Jim Ed stanowili doskonały zespół. Jim Ed strasznie się zmartwił jego śmiercią. Teraz będzie musiał sam wyłazić na światło dzienne i własnoręcznie zbierać pieniądze. To stawiało wielu pomniejszych mieszkańców naszego okręgu na lepszej pozycji do negocjacji.

Jim Ed był największym ranczerem w okolicy. Jego tatko zapoczątkował zbieranie splachetków ziemi do kupy, a dokonał tego, sprzedając podczas suszy jedzenie na kredyt meksykańskim ranczerom i owczarom. Posługiwał się tymi samymi metodami co Jim Ed i Steve nieco później. Ranczo Love'ów rozrastało się i w końcu zaczęło przypominać rozmiarami całe królestwo. Kiedy stary umarł, Jim Ed odziedziczył to wszystko wraz ze smykałką tatusia do nabywania ziemi innych za bezcen. Wiele dużych rancz zostało zbudowanych w ten właśnie sposób.

Pewnego razu Jim Ed sprzedał facetowi stado byków liczące pięćset sztuk, choć tak naprawdę w interes zamieszanych było może ze sto zwierzaków. Zgodzili się, że Jim Ed spędzi bydło, a kupcy je policzą, potem zaś wypuści się je na kolejnych parę dni z powrotem na pastwisko, do czasu, aż nabywca będzie mógł zabrać je do siebie. Okazało się, że Jim Ed przepędzał dokoła wzgórza aż pięć razy te same sto krów. Zrobiło się piekło, lecz Jim Ed odpowiedział, że nic nie poradzi na to, że facet nie jest dość sprawnym kowbojem, żeby złapać, co do niego należy. To miało miejsce jeszcze w latach dwudziestych, pod czujnym kierownictwem tatusia.

Potem rozeszła się historia, że Jim Ed posiada lekarstwo przyprawiające krowy o zatwardzenie. Ludzie mówili, że Jim Ed sprzedaje cięższe cielaki niż ktokolwiek inny — dopóki parę dni później się nie wysrają.

Miałem przecucie, że Jim Ed już wkrótce wykona swój ruch przeciwko Big Boyowi, i nie myliłem się. Zamierzał się na nim zemścić w ten czy inny sposób. I nie zamierzał robić tego na udeptanej ziemi, w uczciwy sposób.

Levi Gómezdał mi cynk.

— Pete, Les Birk rzucił starą robotę i przeniósł się do Jima Eda Love'a. Ma u niego pracować.

— A niech mnie szlag trafi — odrzekłem. — Więc to o to chodzi. A to sukinsyn. Wiedziałem, że drań chce odplacić Big Boyowi, lecz nie przyszło mi do głowy, że zrobi to w ten sposób.

— Les był tu jakiś tydzień po pogrzebie Steve'a — wyjaśnił

mi Levi. — Nachlał się i zaczął się przechwalać, jak to pracuje na największym ranczu w okolicy. I jak to zapłacą mu za dorwanie Big Boya. Powiedział jeszcze, że sprawa jest załatwiona i nikt nic nie może na to poradzić. Że Jim Ed ma dość pieniędzy, aby załatwić dosłownie wszystko.

— Czy Big Boy wie już o tym?

— Nie wydaje mi się.

— Cóż, lepiej mu powiedzmy, Levi.

— Taak, lepiej mu powiedzmy.

Widziałem już, jak Jim Ed knuje i podpuszcza Lesa; miałem też przeczucie, że posłuży się do tego Moną. Jeśli nie spodoba się jej jego paskudne metody, to pokaże jej pieniądze. Zamierzał uderzyć Big Boya tam, gdzie go najbardziej zaboli. Komuś stanie się krzywda. I to wielka krzywda. Najgorsze było to, że nikt nie mógł przewidzieć, kiedy to się stanie. Może za miesiąc, może za rok — a może już jutro.

Rozdział dwunasty

Ucieszyłem się na wiadomość, że Big Boy pojechał do Ragoo- nu z kilkoma końmi quarter-horse Hoovera Younga, na zakończenie sezonu wyścigowego. Pojechałem się z nim zobaczyć. Był w stajni i grał w kości z kilkoma końskimi trenerami i małym Murzynem, najpaskudniej wyglądającym facetem, jakiego w życiu widziałem.

— Pete, poznaj Whingo — odezwał się Big Boy.

— Whingo, i co dalej? — spytałem.

Whingo podniósł wzrok i zsunął na kark niebieski (tak jest: niebieski) kapelusz; uśmiechnął się od ucha do ucha, pokazując rząd zębów, które wyglądały jak elastyczna złota bransoleta do zegarka.

— Po prostu Whingo, stary. To wszystko.

Było jasne, że Big Boy wygrywa, i to niewąsko. Ostatnio miał

cały ciąg powodzeń w kartach i przy kościach. Zacząłem już myśleć, że zdołał odłożyć dość kasy, żeby uciec z Moną. I choć bardzo chciałem, nie potrafiłem życzyć mu aż tyle szczęścia.

Coś wskoczyło w sam środek gry, schwyciło pieniądze z puli i z piskiem uciekło przez padoki. Jeden z trenerów poderwał się na równe nogi i wrzasnął:

— Whingo, ja ci kiedyś tę przeklętą małpkę zabiję!

— Najpierw będziesz musiał zabić Whingo!—odparł tamten i wyprostował swe wysokie na pięć stóp ciało. Oprócz niebieskiego kapelusza miał na sobie żółte buty, w które wepchnął nogawki spodni.

- Uspokójcie się—powiedział Big Boy. —Wyłożę tyle, ile zwierzę ukradło.

Wszyscy z powrotem kucnęli, a Big Boy rzucił kośćmi. Udało mu się wygrać, więc spytał:

— Wchodzisz do gry, Pete?

Nie, chyba nie, Big Boyu. Nie chcę odmieniać twojego szczęścia.

Wyczyszczenie ich zajęło Big Boyowi następne pół godziny. Trener odszedł, przeklinając małpkę, jakby była jedyną przyczyną jego niepowodzenia.

Whingo sięgnął do swego żółtego buta i wyciągnął półlitrową flaszkę whisky. Wszyscy pociągnęliśmy po łyku.

— Skąd masz tę małpkę? — spytałem.

— Z Alabamy, chłopcze. Ot, skąd. Ukradłem ją na festynie.

— Przy tej małpce Whingo nigdy nie będzie głodny — dodał Big Boy, — W zeszłym tygodniu ukradła trzy zegarki, pierścionek z brylantem i pudełko chusteczek higienicznych.

— To najlepszy złodziej w siedmiu stanach. — Whingo parsknął śmiechem.

— Co to za gatunek małpy? — spytałem.

— Do diabła, nie mam pojęcia. Jednak nie potrafi mówić. Ale powiem wam jedno. Nigdy nie bierzcie tych małp, co to mają czerwone tyłki. — Znowu pociągnął z butelki, a jego zębyomal mnie nie oślepiły.—Moja stara miała kiedyś taką. Paskudne toto!

A gryzie! Spójrzcie. — Podciągnął rękaw. — Przegryzła mi ścięgno w nadgarstku. Z tego powodu musiałem na jakiś czas zaprzestać jeżdżenia na koniach wyścigowych. Od czasu do czasu odwiedzam moją staruszkę; muszę brać ze sobą pałkę. Zdaje się, że ta stara jędra nic nie robi, tylko siedzi na ganku, kiwa się na fotelu w tył i w przód, w tył i w przód, w tył i w przód, i czeka na mnie. Kiedy taka czerwonodupa małpa cię ściga, nie pomoże nawet wdrapywanie się na drzewo. Można tylko rąbnąć ją deską w łeb i wiać do domu. Nie wiem, czy wrócę do domu, zanim nie dowiem się, że ta małpa wyciągnęła kopyta. Powiadam wam, nigdy nie bierzcie małpy z czerwonym tyłkiem.

— Dobrze, że mnie ostrzegłeś Whingo — rzekł na to Big Boy. — Niedawno jakiś facet usiłował mi sprzedać taką jedną... całkiem fajna była. Ale powiedziałem mu, że przyjaciel mi odradzał taki interes.

— I dobrze zrobiłeś, Big Boyu—powiedział Whingo, opróżniając flaszkę.—To kolej na rzecz, przed którą trzeba się mieć na baczności: handlarze czerwonodupymi małpami.

Doszliśmy do wniosku, że konie wyścigowe przez jakiś czas dadzą sobie radę same, i pojechaliśmy do Ragoonu. Whingo zaczepił łańcuszek do obroży małpki i zabrał ją z nami.

— Jak ją nazwałeś? — spytałem.

—Zwyczajnie: Małpa Shine, stary, to wszystko. W skrócie: Shine.

— Witaj, Shine — powiedziałem, ale ona zupełnie nie zwróciła na mnie uwagi; wpatrywała się w drogę oczyma, które przywodziły na myśl oczy węża.

Pierwszym i ostatnim barem, do którego zajrzeliśmy przed pójściem do więzienia, był Bar Szefa. Było to miłe, przytulne miejsce, barmanowi zaś małpka zdawała się zupełnie nie przeszkadzać. W rzeczy samej od razu zobaczył, że stworzonko przyciąga uwagę i potencjalnych klientów.

Siedzieliśmy tam i złopaliśmy z godzinę, kiedy podeszła do nas ładna, rudowłosa kobieta i zaczęła pieścić małpkę. Wstała od stolika, przy którym siedziała z czterema mężczyznami i dwiema

kobietami. Obserwowali nas z minami, które nie pozostawiały żadnych wątpliwości, co do ich uczuć. Lecz zaczęło się od tego, że dziewczyna miała naszyjnik wpadający za nisko wycięty dekolt bluzki. Nagle Shine wsunęła w wycięcie łapkę aż po łokieć i zerwała świecidełko. Kobieta wrzasnęła i cofnęła się gwałtownie, przyciskając obie dłonie do piersi. Podejrzewam, że wyglądało to tak, jakby któryś z nas nie potrafił utrzymać łap przy sobie.

Wszyscy czterej poderwali się z krzeseł i skoczyli na nas. Jeden z nich rąbnął Big Boya w bok głowy, a kiedy niespecjalnie go to ruszyło, rzucił się na mnie. Zająłem się nim przez jakiś czas, ale panował taki rwetes, że nie za dobrze pamiętam, co się działo.

Wreszcie udało mi się wytrącić chłopaka z równowagi, przy- dzwoniłem nim o szafę grającą, a potem wypłaciłem parę prostych w gębę. Kiedy był już spokojny, rozejrzałem się za Big Boyem, czy nie potrzebuje pomocy. Jednego z napastników ogłuszył i wrzucił pod stół, drugiego zaś trzymał za gardło i wyduszał mu mózg uszami. Lecz Numer Cztery nadal podskakiwał za jego plecami i uderzał go w tył głowy. Podniosłem dużą, ciężką szklaną popielniczkę i przypasałem gościowi szklaną zapecz- kę. To odciążyło nieco Big Boya, więc poniosł swego jeńca do drzwi.

W tym czasie kobiety zaczęły się drzeć i robić piekło, a Whingo gonił małpkę po barze. Shine stracił co najmniej połowę z butelek stojących nad barem, więc whisky wyciekała na podłogę i powodowała, że zrobiło się ciut ślisko. Whingo ślizgał się po podłodze we wszystkie strony. To dało Shine sporą przewagę.

Big Boy najwyraźniej pozbył się przeciwnika, bo właśnie wrócił do baru po kapelusz. Mniej więcej w czasie kiedy wkładał go na uszy, a pozostali zbierali się na nogi, barman wybiegł zza baru i zaczął wymachiwać kijem baseballowym na Shine. Przegonił go aż do frontowego okna. Shine zwisał z zasłony, trąkotał ile wlezie i wymachiwał naszyjnikiem tamtej dziewczyny. Barman zamachnął się kijem i wybił szybę. Whingo podbiegł do niego i wgrzył mu się w nogę swymi złotymi zębami, a małpa wskoczyła barmanowi na głowę. Biedak upuścił kij i rozplakał

się. Big Boy znalazł na wpół pustą butelkę whisky, pociągnął spory łyk i podał ją mnie.

— Chodźcie! — wrzasnął do wszystkich. — Napijcie się na koszt firmy. I tak będziemy musieli ją kupić.

Dołączyli do nas i zaczęli pić. Big Boy dodał: . — Zostańmy przyjaciółmi. Nic tak nie cementuje przyjaźni, jak dobra bójka pomiędzy przyjaciółmi.

Cóż, o cemencie dowiedzieliśmy się więcej wkrótce potem. Barman wyrwał się swym ciemieżcom i Rognał po policję. Whingo wbiegł za bar i wsunął po kilka butelek whisky do butów. Powinniśmy byli wyjść stamtąd, póki barman nie wrócił, lecz cała ta darmowa whisky niejako uderzyła nam do głów.

No i rzecz jasna, przyszli policjanci; wypełnili lokal tymi swoimi granatowymi mundurami o mosiężnych guzikach.

Barman wskazał na mnie, Big Boya i Whingo, który opanował już swoją małpkę.

— To oni! Oni zaczęli tę bójkę! — wrzasnął.

Cóż, wyciągnęli nas z baru i powlekli do więzienia; tam wrzucili nas do celi dla pijaków. Było dopiero tuż po zachodzie słońca i nie mieliśmy zbyt liczного towarzystwa. Przez moment policjanci zastanawiali się, co zrobić z małpką, lecz wreszcie jeden z nich rzekł:

— Do diabła, oni i tak wszyscy są do siebie podobni!

I zamknęli Shine razem z nami.

Nie było nawet tak źle, choć cementowa podłoga okazała się strasznie twarda do siedzenia. Na szczęście butelki, które Whingo upchnął w butach, bardzo pomogły w złagodzeniu naszego cierpienia.

Wypiliśmy wszystko i obudziłem się dopiero na dźwięk śpiewów. Najpierw pomyślałem, że umarłem i poszedłem do nieba: ktoś śpiewał Jestem coraz bliżej mego Pana. Później zaś chórek dołączył się do Święci przyszli po mnie. Doszedłem do wniosku, że to mój pogrzeb, że ktoś się pomylił i chowają mnie na wpół żywego. Usiadłem, i to, co zobaczyłem, sprawiło, że chciałem od razu z powrotem się położyć. Big Boy stał przed piętnastoma

może pijaczkami. Zbił ich w ciasny rząd i dyrygował śpiewaniem hymnów.

Potem Whingo, z Shine przycupniętym na ramieniu, wstał i powiedział:

— Pastor Matson wznosił wasze dusze do nieba tymi wspaniałymi śpiewami, a teraz ja zmówię modlitwę, za was, zgubione, potępione, grzeszne duszyczki. — Tu zdjął kapelusz i skłonił głowę. Zanim zdążyłem pomyśleć, także skłoniłem głowę na piersi. — Panie, wybacz tym biednym, głupim grzesznikom, albowiem nie wiemy, co czynią. Są słabi, a Ty postawiłeś przed nimi kuszące, niebiańskie duchy. Taak, Panie! — Ten grzmiący głos dobywający się z małego ciała był niczym wystrzał armatni dobiegający z pistoletu kaliber dwadzieścia dwa. — Ze wszystkimi zmartwieniami tego świata na barkach, czy te biedne, nieszczęśliwe dusze mogły postąpić inaczej? Pytam Cię, Panie, czy mogli postąpić inaczej? Słyszę Cię, Panie, i wiem, że jesteś przebaczący i że pomożesz się nam stąd wydostać i żyć w świetle prawości. Tak, Panie, słyszę, jak przemawiasz do mnie. Zajmę się tym, Panie, dostarczę im Twoje słowo. Chwalmy Pana, Jezus łkał, Mojżesz łgał, Piotr zaś przyszedł na klęczkach. Amen. — Whingo z poważną miną trzymał przed sobą niebieski kapelusz, denkiem w dół. — Weź przeciwny róg ronda, bracie Matson — rzekł. — Pan powiedział mi, że te biedne, zgubione duszyczki odkupią swe winy, przekazując dary dla naszej sprawy.

— Dawać! 1|| Big Boy wyrzucił potężne ramię w górę, niczym Samson. Pijacy mruzcili coś niechętnie, lecz mimo to grzecznie zaczęli przeszukiwać kieszenie. Denko kapelusza zaczęło się wypełniać.

Pewien przesiąknięty tanim winem staruszek powiedział:

- Ja miałem osiem dolarów i scyzoryk.

— Nie przejmuj się scyzorykiem — odparł Big Boy.

— Ale nie mogę ich znaleźć — zapiszczał tamten. — Ktoś mi je ukradł. Nie ma ich, przysięgam!

Big Boy włożył wszystkie zebrane pieniądze do kieszeni i powiedział:

— A teraz pójdę dogadać się z sędzią w naszej sprawie. — Podeszedł do drzwi i zaczął się drzeć: — Hej, straż! Straż!

Minutę później ktoś mu odrzyknął:

— Sędzia przyjdzie dopiero o dziewiątej rano! Zamknij się, albo spędzisz tu cały tydzień!

Noc była długa.

Wreszcie nastąpiła dziewiąta rano i naszą gromadkę zabrali na dół.

Big Boy zapłacił naszą grzywnę, potem zaś rzucił resztę pieniędzy na biurko sędziego i powiedział:

— Wysoki Sądzie, proszę nie traktować zbyt surowo tych biednych grzeszników i spłacić część ich grzywny z tych pieniędzy dzięki szczodroblewości brata Whingo.

Sędzia zamrugał z nieszczęśliwą miną, zauważył Shine i rzekł:

— A zmiatajcie mi stąd w tej chwili!

Więc poszliśmy.

W więzieniu dla pijaków w Ragoonie nie dają śniadań, więc udaliśmy na poszukiwanie miejsca, w którym można by coś zjeść; Usiedliśmy w restauracji, Whingo zaś wyciągnął z kieszeni osiem zwiniętych banknotów dolarowych i scyzoryk. Pogłaskał Shine po łebku i rzekł:

— Ta stara małpa nigdy nie śpi. Ja stawiam śniadanie. — Więc zamówiliśmy szynkę, jajka i czarną kawę.

Big Boy powiedział mi potem:

— Whingo to jedyny absolutnie szczęśliwy człowiek, jakiego znam, Pete. Nic go nie obchodzi. Nie boi się zrobić z siebie głupca czy pomylić. To właśnie jest główne zmartwienie tego świata. Wszyscy boją się popełniać błędy. — Potem, jakby to miało coś wspólnego, dodał: — Mona dziś przyjedzie. Fajnie, nie? — I uśmiechnął się.

Byłem głodny, lecz jakoś nie mogłem nic przełknąć. Big Boy zjadł swoją porcję i moją.

Rozdział trzynasty

Big Boy porzucił swoje konie poprzedniego dnia w południe, więc poprosił mnie, żebym zajął się Moną. Załatwiłem jej pokój w tym samym motelu, w którym i ja nocowałem. Później wyszedłem jej na spotkanie na dworzec autobusowy. Przyjechała, lecz napisała Big Boyowi, żeby się z nią tam spotkał.

— ^ Witaj, Mono — powiedziałem.

— -- Witaj, Pete, miło cię widzieć.

Słyszałem pytanie w jej głosie, więc wyjaśniłem:

— Big Boy utknął z kołmi wyścigowymi Hoovera. Kazał cię przeprosić i powiedzieć, że przyjdzie później. Gdzie masz samochód?

— Na ulicy.

— Masz ochotę coś zjeść, zanim pójdziesz do swojego pokoju?

— Chętnie — odparła. Uśmiechnęła się i ujęła mnie pod ramię mocną, miękką dłonią.

Nie wiem, jak się czułem, idąc z nią pod ramię ulicą, wiem tylko, że ocknąłem się dopiero, kiedy zamówiliśmy lunch. Dopiero wtedy ośmieliłem się na nią spojrzeć. Zdaje mi się, że ukryłem to, co do niej czułem, ale pewnie była przyzwyczajona, że mężczyźni się na nią gapią, i nie zwracała już na to uwagi. Miała zwyczaj błędzenia wzrokiem gdzieś w oddali, dopóki się do niej nie odezwałeś; wtedy patrzyła ci prosto w oczy. I sprawiała, że czułeś się jak nikt inny na świecie, a to, co mówiłaś, miało ogromną wagę. Nie potrafiła poświęcać swej uwagi czemuś na pół gwizdka. To było niemożliwe; była tak doskonałą kobietą, że wszystko, co robiła, robiła na sto procent. Zdaje mi się, że to dokładnie wyjaśnia moje położenie. Miała za sobą ciężkie czasy, kiedy wraz z Lesem jeździła to za jednym stadem bydła, to za drugim, kiedy żyła na granicy wytrzymałości i z pensji, która pokrywała jedynie najbardziej konieczne wydatki. To było najdziwniejsze. Czarna sukienka, którą miała na sobie wyglądała, jakby wyszła spod ręki markowego projektanta, ona sama zaś mogłaby być kochanką najbogatszego faceta w Teksasie.

— Widziałeś się z Leyim? — spytała, ponieważ wiedziała, jaką sympatią darzył go Big Boy. — Strasznie chciałam pojechać do niego i obejrzeć wszystkie te rzeźby, ale Les dostaje szału, kiedy tylko o tym wspomnę.

— To szkoda — odpowiedziałem. — Chłopak ma ogromny talent.

— Wiem. Big Boy mi o tym mówił — rzekła. — A gdybyś się martwił, chyba powinnam ci powiedzieć... jestem obecnie w Kolorado, w odwiedzinach u rodziców.

Nic nie odpowiedziałem. Nie podobało mi się, że biorę udział w tej schadzce, i żałowałem, że to nie ja jestem tym, do którego tu przyjechała.

Kelnerka przyniosła nam pieczonego łososia i przez jakiś czas jedliśmy w milczeniu.

— Jak on się miewa, Pete? — spytała wreszcie.

— Cóż... zdaje się, że jest dość zadowolony z tych koni wyścigowych. Przecież wiesz, że jemu podoba się każdy koń, byle był dobry, a jeśli nie jest, to Big Boy już sprawi, że stanie się dobry. Spójrz tylko, jak wyszkolił Starego Kasztana.

— Wiem — powiedziała i zarumieniła się z lekka.

— Przepraszam — rzekłem.

— Nie masz za co przeproszać — odparła. — Cóż, chciałabym doczekać czasów, kiedy Big Boy będzie miał własne ranczo... żadnych krów, tylko konie, które mógłby hodować i trenować...

— Wydaje mi się, że ty mu wystarczasz do szczęścia — powiedziałem.

Uśmiechnęła się i przykryła moją rękę dłonią.

— Dziękuję, Pete, to bardzo miłe słowa. Zwłaszcza że jesteś jego najlepszym przyjacielem. — Zamyśliła się na chwilę, a potem dodała: — Wiesz, on nigdy nie będzie w pełni szczęśliwy.

— Nikt nigdy nie jest — rzekłem.

— Wiem, ale my wszyscy usiłujemy znaleźć jakiś kompromis.

— Ale nie Big Boy. Wiesz, co mi kiedyś powiedział? Powiedział, że nikt na tym świecie nie może być usatysfakcjonowany,

ponieważ wszystko konkuruje ze wszystkim innym. Każde źdźbło trawy konkuruje ze źdźbłem rosnącym obok niego. Każdy kojot usiłuje zeżreć więcej niż jego brat; każdy sęp ma nadzieję, że znajdzie więcej padliny, każdy strumyk próbuje prześcignąć ten potok obok w drodze do oceanu, a każdy cholerny kaktus robi co w jego mocy, żeby wgrzyźć się korzeniami jeszcze głębiej w piaski pustyni, niż jego sąsiedzi.

— Kowboj-filozof—mruknęła bez sarkazmu.

— Taak — powiedziałem. — Ale on nie narzekał, wiesz? Jemu ten stan rzeczy nie przeszkadza. Jeśli chodzi o Big Boya, to taki po prostu jest ten świat.

— To jeden z powodów, dla których go kocham, Pete — odparła.—Ale jego głównym problemem jest to, że on nie pasuje do teraźniejszości. On tęskni za dawnymi czasami, kiedy słowo mężczyzny musiało być wiążące, bo nie istniały papier i pieczęcie. On chce, żeby sprawiedliwość była sprawiedliwością. Pete, gdyby rzeczy miały się obecnie tak, jak miały się za czasów jego ojca i dziadka, to Big Boy wystrzelałby do tej pory połowę ludzi w kraju. Jeśli samochód się zepsuje, to Big Boy jest zupełnie bezradny, natomiast daj mu znarowionego konia, a zapanuje nad ni m bez problemu.

— Koniarze jeszcze znajdują sobie miejsce — powiedziałem. ■— On, na przykład, lubi rodeo, lecz nie na tyle, żeby zrobić tu karierę. To dla niego po prostu ogromna frajda i już.

— Wiem — odrzekła i nagle zaczęła mówić o rzeczach, o których nie chciałem słuchać: — Pete, ja go kocham bardziej niż cokolwiek na świecie. Jestem gotowa pójść z nim...—urwała —wszystko jedno gdzie, wszystko jedno kiedy. Ale on powtarza mi, że chce wygrać fortunę, żeby mógł się mną dobrze zaopiekować. Do diabła. A mnie wystarczyłoby to, żeby po prostu był tu ze mną, nic więcej. Żeby tylko był przy mnie. Nic więcej. Pasujemy do siebie, Pete. Nie ma na to żadnych górnołotnych słów. Zaskoczyliśmy i to wszystko.

Ta prawda bolała; ale byłem już stracony, więc powiedziałem tylko:

— Nie rozumiesz, że jesteś jedyną rzeczą na tym świecie, poza wzniecaniem piekła i dobrą zabawą, którą on może powiązać z dawnymi czasami? Jesteś równie wyjątkowa, co samotna kobieta pionierka pośród twardych górników, traperów, myśliwych i kowbojów. — Nie wiem, skąd się wzięły we mnie te myśli, i nie wiedziałem, czy powinienem je mówić, lecz wydawało się, że pomagają jej coś zrozumieć.

Skończyliśmy, a ona pojechała za mną swoim samochodem do motelu. Otworzyłem pokój urządony w meksykańskim stylu i odciągnąłem zasłony. Potem wyniosłem jej bagaże z samochodu, a ona poszła przede mną. Światło padające przez okno rozświetliło jej włosy, które rozbłysły łagodnym, miedzianym blaskiem; widziałem krzywizny jej ciała pod sukienką. Wdychałem subtelny zapach, który był charakterystyczny tylko dla niej. Niczym odcisk palca, należał do niej pośród miliarda kobiet Był Moną.

Patrzyłem, jak porusza się po pokoju w spokojny, płynny sposób, i wlepiłem oczy w łóżko. Przez moment wyobrażałem sobie, jak by to było znaleźć się tam z nią, trzymać ją z całą czułością, na jaką mnie stać. Przyłapała mnie na tym i omal się nie rozkleiłem. A potem zrobiłem coś, o co nigdy bym się nie podejrzewał — po prostu nie mogłem się powstrzymać, nie zatrzymałbym się nawet, gdyby Big Boy walił do drzwi: złapałem ją i przycisnąłem usta do jej warg. Nie panując nad sobą, złapałem ją za włosy i z płaczem pociągnąłem na łóżko; całowałem jej twarz, szyję, czubki piersi i czułem, jak świat się pode mną rozplywa.

Potem usłyszałem jej cichy, spokojny głos:

— Proszę, Pete, przestań.

Odpychała mnie lekko, wcale nie gwałtownie. Wstałem, drżąc na całym ciele, dysząc ciężko, czując lekkie klucie pod skórą twarzy, kiedy napływała mi do niej krew.

Usiadła na łóżku i zupełnie opanowana, poprawiła sukienkę.

— Podaj mi moją torebkę, proszę — powiedziała.

Podniosłem ją z podłogi, gdzie musiałem ją zrzucić. Wzięła chusteczkę i małe lusterko; otarta usta, na których rozmazałem jej szminkę, a potem zaczęła czesać włosy.

Stałem jak wmurowany i usiłowałem coś powiedzieć. Wreszcie spytałem:

— Czy zamierzasz powiedzieć o tym Big Boyowi?

Spojrzała na mnie i przez chwilę się zastanawiała.

. — Nie — powiedziała na koniec.

Nagle nogi się pode mną ugięły i musiałem usiąść na najbliższym krześle. Cóż, właśnie ocaliła mnie od śmierci. Później walnęło mnie prosto w splot słoneczny, gdzie, jak wierzę, kryje się sumienie: Jak wredny może być jeden człowiek dla drugiego? Weź zaufanie mężczyzny, jego przyjaźń, a potem spróbuj mu ukraść kobietę... kobietę, dla której sam ryzykuje życie. Ale czy ja nie byłem gotów na to samo? Bez względu na wszystko, nie mogłem się z tego wytłumaczyć ani zagłuszyć wyrzutów sumienia.

Było to prawie niemożliwe, lecz odwróciłem się i poszedłem do drzwi.

— Powiem Big Boyowi, że się tu urządziłaś — rzekłem. — Przyjdzie za jakiś czas.

— Dzięki, Pete — odparła. — Dziękuję za wszystko. — Po czym dodała: — Zjedz z nami kolację.

Big Boy skończył pracę przy koniach około czwartej, umył się w siodłami, ogolił i przebrał w czyste ubranie.

Wspólnie pojechaliśmy do motelu; wysiadłem z samochodu i poszedłem do pokoju.

Jakąś godzinę później Big Boy zapukał do moich drzwi i wrzasnął:

Chodź, Pete, idziemy na górę.

— Nie — odparłem. — Idźcie sami.

— Do diabła, nie — mruknął. — Chodź z nami.

— W takim razie, poczekajcie chwilę, tylko się umyję. — Usiłowałem zasnąć i zapomnieć, że są tu sami w pokoju motelowym. Nie chciałem iść z nimi, lecz sam też nie chciałem być.

Poszliśmy do takiej jadłodajni, która miała wydzielone miejsce na bar, i wypiliśmy parę drinków przed kolacją.

Wypiłem dwa, a oni po jednym i kiedy zamawialiśmy steki, czułem się już nieco lepiej. Big Boy uśmiechał się i gadał jak najęty; skończył stek, zanim ja zdążyłem mój napocząć. Mona jadła wolno, rozko-

kzując się każdym kęsem; spoglądała na Big Boya lśniąco bczyma. On zaś opowiadał historyjki o ludziach, których lubił, i o tych, za którymi nie przepadał. I — Byłeś tam, Pete, kiedy stary Delfino zalał się w trupa, a wszyscy śpiewali? — Potem wrzasnął: — Śpiewajcie, ptaszęta, zanim rozedrę wasze gniazdko!

— Taak — mruknąłem. — Stary, zwariowany Delfino.

— Czy opowiadał ci kiedyś o swoim szwagrze? Zawsze na niego narzeka. Pewnego razu powiedział mi: „Nie widuję jego twarzy, lecz zawsze słyszę jego kroki. Wali mnie przez łeb, kiedy tylko odwrócę się do niego plecami”.

Zamówiliśmy następną kolejkę, żeby popić steki, a Big Boy cały czas gadał, jakby dopiero się nauczył mówić i strasznie mu się to spodobało.

— Parę dni temu siedziałem w kafejce w Hi Lo wraz z Levim. Jedliśmy stek mniej więcej tak duży, jak te tutaj, a tu wchodzi Jim Ed Love z jednym ze swoich pomagierów. Stary Levi podniósł głowę i mówi: „Patrzcie no na tego bogacza, Jima Eda, i jego kolesia, zaraz zamówią miskę chili i dwie łyżki!”

Po jakimś czasie przeszliśmy do saloniku; wszyscy mężczyźni wpatrywali się w Monę jak w obrazek i wcale im się nie sędniedzi wiłem. Dziwna była ta jej zdolność do przyciągania męskich spojrzeli i jednoczesne wysyłanie bardzo jednoznacznego sygnału: „Łapy precz!” Nie przypominam sobie, żeby mężczyźni kiedykolwiek próbowali ją macać czy robili się zbyt poufali w rozmowie z nią. Zdaje mi się, że było to powodowane tym, iż kiedy rozmawiała z mężczyzną, była absolutnie pewna siebie.

Podszedłem do szafy grającej i wrzuciłem kilka monet, a Mona i Big Boy tańczyli. Nie chciałem na to patrzeć, ale chyba miałem ochotę trochę się potortuować. Zaskoczyli, jak powiedziała Mona. Dwoje wspaniałych, fajnych ludzi, razem. A ja, ich najbliższy przyjaciel, powinienem był cieszyć się ich szczęściem. Cóż, bardzo się starałem.

Tańczyli bardzo długo. Potem zobaczyłem, że Big Boy kiwa do mnie głową i zrozumiałem, że powiedział Monie, aby ze mną

zatańczyła- To była naprawdę ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę, lecz nieładnie by wyglądało, gdybym odmówił.

Usiłowałem nie przyciskać jej do siebie, lecz ona naturalnie tańczyła bardzo blisko partnera. Dłonie zaczęły mi się pocić, płuca mnie bolały, jakbym dopiero co skończył pętać cielaka, który waży z pięćset funtów. Ten jej zapach przeciekał przez moje ubranie, pory w skórze i wwierał się do szpiku kości.

Potem musiałem wypić trzy szybkie drinki. Zrobiło mi się niedobrze. Powiedziałem im, że wychodzę rozejrzeć się za starą przyjaciółką. Zbiegłem po schodach i wróciłem do swojego pokoju. Późno w nocy wrócili Big Boy z Moną.

Jak na świty, ten był całkiem ładny.

Rozdział czternasty

Czas spędu była w Hi Lo. Wszyscy kowboje wyjeżdżają na wzgórza i w kaniony, krzyczą, pocą się, walą zwiniętymi lassami i dłońmi w rękawicach o skórzane czapsy. Małe gromadki czerwonych krów gromadzi się w większe stada, a potem na koniec liczy — wielkość stada jest proporcjonalna do wielkości i bogactwa rancza. Cielaki i roczne wykastrowane byczki odcina się od stad, ładuje na ciężarówki albo do wagonów kolejowych i transportuje do Hi Lo, gdzie zbierają się kupcy z Illinois, Kansas, Teksasu i innych stanów, kupują, ważą i ładują na następne wagony. Potem cielaki są wstawiane do boksów, pasione dobrą, bogatą paszą, a na koniec, z rzeźni, trafiają na miliony stołów we wszystkich miastach Ameryki.

W tym okresie w Hi Lo wrze jak w mrowisku. W sklepach pełno jest ranczerów splanających długi, które zaciągają, przez jedenaście albo i dwanaście miesięcy, lub kupują dla rodzin rzeczy, które muszą starczyć na następny rok. Kobiety zaś planują wypad do Ragoonu na małe zakupy.

Wszędzie czuć zapach pieniędzy. Bary pękają w szwach, na stołach zaś pojawia się zielone sukno do gry w pokera bądź

w kości. Na całej długości ulicy widać nowe samochody i pikapy. Spłaca się kredyty w bankach i odnawia lokaty. Był to czas Imnogości. Działo się tak już od paru lat. Ludzie zostali ululani poczuciem bezpieczeństwa. Lecz brali zbyt liczne stada jak na możliwości swych pastwisk, by do maksimum wykorzystać wysokie ceny bydła. Trawy było w bród, aby dobrze wypaść bydło, zanim nastąpi zima. Muszę przyznać, że w moim przypadku było to równie prawdziwe jak w przypadku moich sąsiadów. Mimo że silne wiatry zaczęły owiewać podsychającą trawę, kupiłem tylko jeden stóg siana i powiedziałem: „Do licha, jestem gotów na przyjście zimy”. Nie myślałem. Już wkrótce zacząłem żałować z całego serca, że nie kupiłem trzech stogów zamiast nowego pikapa, litrów whisky i wielu nocy przy pokerze.

Wołowina się sprzedawała, a z nią nadpływały pieniądze. Na wzgórzach i w kanionach krowy, dzięki którym powstało całe to mięso, z coraz większym trudem znajdowały coraz mniej pożywne źdźbła trawy. Ale jeszcze nie było źle; przez jakiś czas pomoże im warstwa tłuszczu zgromadzona w lecie, lecz mimo to będą musiały sporo się napracować przy gryzieniu trawy, zanim zima na dobre się zadomowi.

Mężczyźni pędzący bydło naciągali mocno kapelusze na uszy, a oczy ciągle im łzawiły od kurzu wzniesanego przez stado. Wiatr to zrywał się, to cichł, to znowu zrywał. Przepychał się między wzgórzami, pochylał brązową trawę, wpychał się w góry, targał gałęzmi drzew i krzaków. Wszystko zaczęło poddawać się jego bezlitosnym, suchym podmuchom. Wiał dzień i noc, odbierając życie wszystkim roślinkom, które niegdyś zasadził. Lecz kto by się teraz martwił wiatrem? Z kieszenią pełną pieniędzy i spłaconymi rachunkami mogliśmy pozwolić sobie na siedzenie w domu i chowanie się przed nim.

Pomogłem Big Boyowi i Hooverowi zagonić ich bydło. Przez trzy dni jeździliśmy po pastwiskach i zamęczyliśmy dziesięć koni. Krowy były grube i rozbrykane po całym lecie wolności, my zaś straciliśmy sporo na wadze, uganiając się za nimi i gromadząc je w stada dość duże, żeby można je było spędzić na równiny.

Big Boy był szczęśliwy. Pracował z końmi, krowami i facetami, którzy znali się na swojej robocie. Jeepy, samoloty i prawa jego kraju zeszyły na dalszy plan. Do kwatery głównej zjeżdżaliśmy na noc, zmęczeni do cna, na wpół zagłodzeni, a kiedy tylko napełniliśmy żołądki, padaliśmy na prycze jak zabici.

O świcie byliśmy już w zagrodzie dla koni i pętailiśmy je, żeby łatwiej było je później złapać w dzień. Tak miały się sprawy za dawnych czasów i tak chcieli to robić Big Boy i Hoover. Kiedy zebraliśmy ostatnie stado i odcięliśmy cielaki od krów, zapędziliśmy je do Hi Lo, polykając kurz, a Hoover stracił przez ten marsz mięso warte jakieś dwa tysiące dolarów. Lecz oni chcieli to robić w ten właśnie sposób.

Jim Ed Love miał niewielki kawałek ziemi jakieś półtorej mili od miasteczka. Miał ogromne ciężarówki, z których wyładowywał tam swoje stada liczące po kilka tysięcy sztuk, i stamtąd, na krótkim odcinku, pędził bydło na rynek. Przez wiele dni nieprzerwany strumień bydła wpływał do zagród, żeby cały świat widział bogactwo i potęgę Jima Eda Love'a. Ten krótki odcinek marszu bydła kosztował go trochę, jeśli idzie o wagę zwierząt, lecz doszedł do wniosku, że nadrabia tę stratę prestiżem. I choć niechętnie, to przyznaje, miał rację.

Les Birk, mąż Mony, przyjechał do miasta wraz z wieloma innymi kowbojami. Lecz w tym czasie nikt nie myślał o wszczynaniu bójek. Wszyscy byli zbyt zajęci, żeby tracić czas na nienawiść. Jednak później, kiedy robota była zakończona, sprawy wróciły na dawne tory.

Rozdział piętnasty

Big Boy wpadł się ze mną spotkać.

— Posłuchaj, Pete — powiedział. — Znasz tych przyglupich chłopaków Adkinsa?

— Clema i Ake'a? — zapytałem.

—Taak. Chcą, żebyśmy podjechali po wuja Boba i jego psy i przyjechali do nich na polowanie. Mówią, że tam u nich aż roi się od szopów.

— Jak daleko za ranczem Hoovera mieszkają?

—Jakieś jedenaście, dwanaście mil, jak mi się zdaje — odparł.

—Dobra, to jedźmy. Załadujemy wuja Boba i jego psy na ciężarówkę i dojedziemy tam akurat na czas na polowanie.

Pojechaliśmy jego pikapem do miasta, po wuja Boba. Wiedziałem, że Big Boy zadał sobie mnóstwo trudu, aby zdobyć od wuja Boba pozwolenie na polowanie w tamtych rejonach, lecz czuł się związany z tym starym myśliwym bardziej, niż z własnym bratem.

Wuj Bob mieszkał jakieś trzy mile za Hi Lo z kaleką żoną i niezliczonymi psami myśliwskimi. Miał twarz zawodowego boksera włącznie z na wpół wypalonym cygarem wiecznie wystającym z kącika ust. Nosił niebieski kombinezon i wiecznie śmierdzący szopami, kojotami, rysiami i skunksami. Czasem myślałem, że smród tych zwierząt, i wielu innych też, wżarł się w jego skórę tak, że dzikie stworzenia po prostu uznawały go za jednego ze swoich. Wiem, że kiedy zakładał swe stalowe pułapki* właściwie nie przejmował się tym, że stoi z wiatrem, bo i tak zawsze miał wyjątkowe szczęście. Miał chartopodobne psy na kojoty, psy tropiące na szopy, niedźwiedzie i pumy, lecz to kojoty najbardziej go fascynowały.

Big Boy strasznie go podziwiał. W pewien sposób byli do siebie bardzo podobni. Jeśli kiedykolwiek istniał inny człowiek nie pasujący do tych czasów, to był nim właśnie wuj Bob. Był dziki i swobodny niczym zwierzęta, na które polował. Gdyby żył za czasów Kita Carsona, byłby bogatym i sławnym myśliwym. Miał też — podobnie jak Big Boy — całe mnóstwo kłopotów dokoła Hi Lo. Lecz jego kłopoty były innej natury.

Wuj Bob po prostu nie mógł się powstrzymać przed podszcypywaniem kobiet. Jego zniszczona twarz nie raz zbierała cięgi od jakiejś oburzonej damy. Nic nie pomagało: kiedy tylko wiatr podwiał czyjaś spódnicę albo szybki ruch obciągnął ją na siedze-

niu, wuj Bob po prostu musiał uszczypnąć. Miał kciuk i palec wskazujący, które przypominały obcegi, i jedynym sposobem, aby go powstrzymać, byłoby mu je obciąć. Wiele osób znosiło jego słabość w obecnych czasach, zwłaszcza że robił się coraz starszy. W przeszłości wuj Bob wycierpiał niezliczone razy, lecz z drugiej strony sam zaaplikował równie wiele w obronie swych psów. Facet, który tłukł go do nieprzytomności za podszczypywanie jakiejś kobiety, mógł się przekonać, że spadnie na niego taka sama przyjemność, jeśli obrazi któregoś z psów wuja Boba.

Wuj Bob polował na każdy możliwy sposób, z wyjątkiem z samolotu. Polował na piechotę, konno i w swoim starym ply- mousie coupe. Przez całą zimę utrzymywał żelazne pułapki i w ten sposób zarabiał na drobne wydatki, lecz to polowanie, dzikie i swobodne, poruszało mu krew w żyłach. Główną satysfakcją jego życia było gonić ofiarę. Sam kiedyś omal nie zginąłem, usiłując dotrzymać mu kroku.

Polowaliśmy konno w porośniętym drzewami i krzakami kanionie. Wuj Bob jechał na swojej starej, bułanej klaczy, Mandy. Stara była już na tyłu polowaniach, że kiedy psy ruszyły naprzód, zupełnie naturalnie pobiegła za nimi. Nie miało większego znaczenia, dokąd biegna, Mandy zawsze szła za nimi.

Miałem z sobą parę psów na długiej linie przeciągniętej przez kółka przy obrożach; luźne końce trzymałem w prawej ręce. Gdybyśmy zaskoczyli kojota, wystarczyłoby, abym puścił koniec linki, a wysunęłyby się z kółek, nie hamując biegu psów.

Wuj Bob trzymał dwa wilkopodobne psy w dokładnie ten sam sposób. Jechaliśmy wolno skrajem urwiska, szukając miejsca, w którym moglibyśmy zjechać. Doszliśmy do wniosku, że jeden z nas powinien jechać dołem. Właśnie wtedy wyskoczył kojot i mszył, wzdłuż urwiska. Psy skoczyły, a konie natychmiast ruszyły za nimi.

Kiedy zbliżyliśmy się do ofiary, zobaczyłem, że ogon zaczyna kojotowi drgać, co było nieomylnym znakiem, że daje z siebie wszystko. Kojot także o tym wiedział, bo gdy jeden z psów skoczył na niego, prysnął w drugi kraniec kanionu.

Cóż, nie miałem ochoty na rzucanie się z tej sterty głazów i krzaków, lecz kiedy stara Mandy i wuj Bob przelecieli obok nas, mój mały kasztanek ruszył za nimi.

To nie była przyjemna przejażdżka. Widziałem tylko ogon Mandy podskakujący w górę i w dół, przy każdym podskoku zyskujący odległość. W chwili, kiedy zacząłem już myśleć, że kasztanek jednak utrzyma się na nogach, uderzyliśmy w miejsce, niezbyt odległe od dna, gdzie nie było żadnych kamieni i tam właśnie potknęliśmy się i zaczęli koziółkować przy pełnej prędkości. Moment i siła rozpędzonego konia wyrzuciły mnie w powietrze; walnąłem potężnie w ziemię, i minęło parę chwil, zanim oprzytomniałem. Usiadłem, obmacałem się i nie mogłem wprost uwierzyć, że nic sobie nie zламаłem.

Zachwiałem się i przeszedłem odległość dzielącą mnie od konia. Po dziś dzień nikomu nie powiedziałem, jak to było daleko. Nikt by mi nie uwierzył.

Kiedy postawiłem kasztanka na nogi, wspólnie wzięliśmy kilka głębokich oddechów. Potem wsiadłem z powrotem na siodło i wróciłem na szczyt kanionu. Wtedy już nigdzie w okolicy nie widać było wuja Boba i psów. Jakies ćwierć mili na zachód dosłyszałem jego wrzaski. Dałem koniowi ostrogę i pogalopowaliśmy. Wreszcie zobaczyłem psy, które z głowami przy ziemi i podniesionymi ogonami żuły wnętrzości Pana Kojota. Wuj Bob i Mandy stali obok, z pochylonymi głowami, wpatrzeni, nieomal jednakowo zainteresowani widzowie spektaklu.

Jakąś godzinę później na równinie nakryliśmy trzy kojoty. Psy się rozdzieliły, a potem zwariły szyki i odcięły jednego z nich. Biegł na południe; miał nadzieję ukryć się w gęstym poszyciu kanionu.

Kiedy zobaczyliśmy je po raz pierwszy, były jakies dwieście jardów za nami, teraz wysunęły się przed nas, ziemia zaś uciekała pod ich płynnymi, rytmicznymi krokami. Kojot wytężył siły; jego małe nogi waliły w glebę, a futro rozwiewało się na wietrze. Życie uciekało z niego z każdym przemierzonym jardem, z każdym krokiem, z każdym calem, który zostawał za nim.

Kiedy psy się z nim zrównały, jeden z nich wyciągnął pysk

i schwycił kojota za szyję. Poleciał na ziemię w kłębie kurzu. Pozostałe trzy psy przeleciały obok, a potem, szczekając, zawirowały i rzuciły się na niego, kłusząc go po piersi, gardle i brzuchu; zadusiły go, wyparły z niego ostatni dech.

Potem zbliżyliśmy się do płotu — wysokiego, zrobionego z czterech poziomych drutów. Jechałem wzdłuż niego i rozglądałem się za bramą. Nie było żadnej w pobliżu. A wuj Bob i Mandy? Do diabła, przelecieli ze stopę nad ogrodzeniem i znowu doganiali ofiarę.

Wybierając się na konne polowanie z psami i z wujem Bobem z Hi Lo, człowiek podejmował ogromne ryzyko, ale kiedy mknął obok niego na samochodową wyprawę, było tysiąc razy gorzej. Wiele razy zjawiał się rankiem na moim ranczu, ciągnął cygaro, żeby mu tylko nie zgasło, lecz wydmuchiwał tylko parę z ust; jego przedpotopowy samochód rzeźił i dygotał gotowy do drogi.

Bez pudła wiedział, gdzie ukrywają się kojoty, jechaliśmy przy ryku silnika, ja drżący z zimna, on zaś nawet bez rękawiczek, z szybą w oknie opuszczoną do samego dołu — żeby lepiej widzieć — i nigdy nie narzekający na chłód. Żuł martwe cygaro, wpatrywał się intensywnie i wytrwale we wszystkie wzgórki i dołki, w każdy krzak; dążył do tego jedyne, upragnionego celu — ofiary. Kiedy widział kojota, dociskał pedał gazu do podłogi. Stary plymouth ruszał z kopyta do przodu, dopóki wuj Bob nie dochodził do wniosku, że jest już dostatecznie blisko; wtedy nadeptywał na hamulec i wrzeszczał do mnie:

— Wypuszczaj je!

Wtedy ja wypadałem z samochodu, dosłownie wypadałem, bo stary grat cały czas jechał i szarpnięciem otwierałem tylne drzwi, a dziko podniecone psiska wypadały z jazgotem i podskakiwały bezmyślnie, póki nie zobaczyły kojota. Następnym problemem było wrócenie do samochodu, zanim wuj Bob ruszy za nimi.

Wtedy darliśmy do przodu, wpadając w kępy wysokich traw, omijając głazy i kaktusy, zsuwając się po niebezpiecznych urwiskach, wuj Bob zaś w tymczasie polykał mniej więcej całe cygara. Stary samochód zazwyczaj wytrzymał taką wyprawę i przy-

bywaliśmy na czas, żeby zobaczyć, jak psy przygważdżają swą ofiarę. Wedle kodeksu wuja Boba niestawienie się na kulminację przedstawienia było nie tylko niewybaczalnym grzechem, lecz także kompletną hańbą i upokorzeniem.

Nie zawsze mieliśmy szczęście. Pewnego dnia zaskoczyliśmy starego, białego kojota, którego wuj Bob ścigał od trzech lat. Wypuściłem pierwszą sforę psów i wskoczyłem z powrotem do samochodu. Przez chwilę wydawało się, że całkiem łatwo go dopadną, lecz kojot kluczył między wieloma ostrymi głazami i okulał psy. Wypuściliśmy na niego kolejną sforę, lecz nie miały szans. Kojot okrążył stóg siana i wpadł kłusem prosto w sam środek pasących się krów, dzięki czemu zgubił psy. Ale to nie powstrzymało wuja Boba.

Odcięliśmy kojota na równinie jakieś trzy mile od kanionu. Szukanie bram na pastwisku i miejsc, żeby przekroczyć wysokie brzegi koryt wyschniętych rzek, nieco nas spowolniło, lecz nie traciliśmy zwierzaka z oczu.

— Przygotuj strzelbę! — wrzasnął na mnie wuj Bob.

Wsadziłem naboje do strzelby kaliber trzydzieści-trzydzieści, opuściłem szybę w oknie i zacząłem strzelać. Wystrzelałem wszystkie i ani razu nie trafiłem bliżej niż dziesięć jardów od kojota. Kiedy tak pędziliśmy przez prerię, samochód podskakiwał i trząsał, chwiało się niczym dziki koń na rodeo.

Wtedy wuj Bob naprawdę się podniecił.

— On zwalnia! — powiedział. — Popatrz tylko! Nie ma już zupełnie siły!

Miał rację. Kojot przez wiele mil biegł najszybciej, jak potrafił. Zbliżaliśmy się do niego bardzo szybko, więc znowu załadowałem broń. Wtedy nagle wyrosło przed nami ogrodzenie. W jego rogu znajdowała się wąska bramka przeznaczona dla jeźdźca na koniu. Wuj Bob ocenił sytuację; a wiedział, podobnie jak ja, że pół mili za płotem znajduje się głęboki kanion.

Docisnął gaz do dechy i wrzasnął na mnie, bym wyskakiwał i otwierał bramkę, choć obaj doskonale wiedzieliśmy, że jest za wąska dla samochodu. Mimo to otworzyłem drzwi, wypadłem

z pojazdu, przetoczyłem się i przypadkiem raz wystrzeliłem w powietrze. Wreszcie dogadałem się z wirującym światem i pobiegłem do bramy. W tym samym czasie wystrzelałem wszystko, co miałem w strzelbie, i raz omal nie trafiłem kojota.

Wuj Bob zwiększał prędkość; jechał po obrębie ogromnego koła. Otworzyłem bramę jakąś sekundę przed tym, jak on w nią rąbnął. Nie do końca zmieścił się między słupkami, lecz prędkość przeniosła go na drugą stronę. Jeden ze słupków podtrzymujących bramę pękł na dwoje, a drugi skulił się, jakby go zabołało. Rozległo się potworne skrzywienie metalu, ale wuj Bob był już po drugiej stronie i nabierał prędkości. Kojot zbliżał się do kanionu i przez minutę zdawało mi się, że wuj Bob pojedzie tam za nim. On jednak skręcił gwałtownie kierownicą, nadepnął na hamulce i wypadł z samochodu. Kojot był tak zmęczony, że ledwie się ruszał. Wuj Bob schwycił kamień i mszył za zwierzakiem na piechotę. Kiedy kojot był już na krawędzi kanionu, wuj Bob rzucił w niego tym kamieniem i trafił go dokładnie w zad. Pomogło mu to tylko szybciej dotrzeć do bezpiecznego kanionu.

Wuj Bob poleciał na ziemię od siły zamachu i przeorał twarzą parę stóp gleby, co i tak niewiele zaszkodziło jego rysom. Zobaczyłem, że szybko wstaje i rusza na krawędź kanionu; wygrażał pięścią. Przeklinał jak szalenciec. Lecz w jego głosie słyhać było także szacunek.

Samochód był w fatalnym stanie. Błotniki i zderzaki były strasznie pocięte, a obie klamki u drzwi starte na gładko. Całe szczęście, że mieliśmy opuszczone szyby w oknach. Wleźliśmy do niego i smutno wróciliśmy do domu, szukając po drodze wycieńczonych psów.

Mniej więcej o tej porze roku obaj cierpieliśmy na ciężki przypadek kojotowej gorączki. Kupiłem stary wojskowy samochód z gniazdem na karabin na pace, który nie posiadał nic oprócz stojaka; nie miał nawet przedniej szyby.

Big Boy powiedział nam, że wypatrzył stado kojotów niedaleko rancza Hoovera Younga. Nawet pojechał z nami tamtego dnia. Znaleźliśmy je wcześniej, niż się spodziewaliśmy.

Wypuściliśmy psy i ruszyliśmy za nimi pełną parą. Mieliśmy za sobą jakieś trzy czwarte mili w dół zbocza, kiedy między dwoma wzniesieniami trafił się nam problem. Nie wiedziałem o tym, lecz w chłodnicy było mało wody i po przejechaniu pół mili silnik strasznie się zagrzał. Potem zobaczyłem dym wyłazący ze schowka. Wrzasnąłem do wuja Boba, żeby go otworzył i wyciągnął stamtąd pudełko amunicji, zanim wybuchnie.

Ale on tylko jechał wczepiony pacami w miejsce, gdzie kiedyś była szyba i darł się:

— Zaraz go dorwą! Zaraz go dorwą! Pospiesz się! Pospiesz się!

Jechałem tak szybko, jak tylko mogłem, lecz jednocześnie nie uśmiechało mi się, żeby pudełko amunicji do strzelby miało wybuchnąć tuż obok. Big Boy podskakiwał na pace, z trudem utrzymując się na samochodzie. Dusilem gaz do dechy, a jednocześnie jedną ręką usiłowałem dostać się do amunicji. Niepotrzebnie się martwiłem, bo gdy wjechaliśmy w dół szeroki na trzy stopy i na trzy stopy głęboki, samochód wykonał salto i nasza wyprawa dobiegła końca. Ponieważ samochód nie miał dachu, wszyscy trzej zostaliśmy wyrzuceni w górę niczym trio wielgaśnych ptaszysk.

Ocenienie zniszczeń zajęło nam trochę czasu. Wuj Bob złamał sobie obojczyk i dodał kilka szram do i tak pokancerowanej gęby; ja miałem zmiażdżone lewe przedramię, Big Boy zaś dorobił się trzech pękniętych żeber i złamanej kostki u nogi.

Samochód nie nadawał się już na nic, poza złomem. Najgorsze jednak było to, że ominął nas moment zabijania kojota przez psy.

Wuj Bob wyświadczał powiatowi przysługę, z której niewiele osób zdawało sobie sprawę: utrzymywał kontrolę nad populacją szkodników. W innych regionach kraju ranczerzy stale apelowali do koła łowieckiego, żeby przeredzili kojoty. Oczywiście, jak zwykle, robili to aż za dobrze. Kiedy nie było już kojotów, zające i susły zajęły ich miejsce i narobiły jeszcze więcej szkód. Później ci sami ranczerzy modlili się o powrót kojotów. Lecz nic podobnego nie miało miejsca w okolicach Hi Lo — to było terytorium

łowieckie wuja Boba. Utrzymywał populację w ryzach, zabijając tylko tyle kojotów, ile trzeba, nigdy więcej.

Mieliśmy zwyczaj zabierać ze sobą lornetki i całe dnie siedzieć na jakimś płaskowyżu, wypatrując kojotów. Kiedyś obserwowaliśmy, jak taki jeden goni zającą. Biegł jakieś trzydzieści, może czterdzieści jardów za nim, nie za blisko. Wyglądało, że to zachowanie celowe, i takim też się okazało. Gonił zającą po ogromnym okręgu i nagle pokazał się inny kojot, wcześniej ukryty w trawie, który przejął gonitwę. Pracował równie dobrze, co świetnie wyszkolony koń ze zbiegłym cielakiem. Przy trzecim okrążeniu wstał pierwszy kojot i dobił zającą przy pierwszym sprincie. Wtedy zaczęła się uczta. Wuj Bob aż się zachłysnął z wrażenia.

— Nigdy nie widziałem nic podobnego—powiedział.—Te zwierzaki naprawdę myślą.

Innym razem przyglądaliśmy się kojotowi, który leżał w kępie chwastów niedaleko nory pieska preriowego. Siedział tak w bezruchu prawie dwie godziny. Wreszcie piesek preriowy zapuścił się dostatecznie daleko od swej kryjówki, żeby kojot mógł zaatakować. Szybkim, śmiertelnie groźnym ruchem porwał pieska preriowego w pysk i pokłusował do samotnego kanionu na lunch.

Pewnej zimy wuj Bob ściągnął skórę z przeszło stu kojotów. Wypatroszył każdego, żeby przekonać się, co jadły.

— Wiesz, że tylko jeden z nich miał w brzuchu domowe zwierzę, a i to tylko kurę. Reszta miała myszy, susły, zające, koniki polne i pasy krowiej skóry zdarte z już martwej sztuki. Dokładnie tak, jak mówiłem wam, chłopcy, z tysiąc razy: nie należy igrać z naturą. Te kojoty robią więcej dobrego niż złego. — Zastanawiał się przez chwilę, po czym dodał: — Oczywiście, może ich być zbyt wiele, ale już wasz stary wuj Bob się o to zatroszczy.

To było ciekawe. Był człowiekiem, który poświęcił swe życie destrukcji jedynych stworzeń, które tak mocno bronił i podziwiał. Ale dla wuja Boba to wcale nie było dziwne—nieledwie naturalne.

Wraz z Big Boyem pojechaliśmy do rozpadającej się chaty wuja Boba; psy ujadły z każdej strony. Wuj Bob wylazł z domu, jedną ręką przyciskając do przodu kombinezonu, drugą zaś naciskając kapelusz na oczy. Kiedy wyszliśmy z pikapa, szarpnął nami porywisty wiatr.

— Cześć, chłopaki — powitał nas.

Powiedzieliśmy mu, że wybieramy się na polowanie z Adkin- sami, oczywiście pod warunkiem, że będzie tak miły i pojedzie z nami, biorąc z sobą psy.

Oczy mu się rozjaśniły.

— Powiem tylko starej, że idę, i wezmę psy — mruknął.

Załadowaliśmy na pakę pikapa pięć psów przeróżnej maści o klapniętych uszach i pojechaliśmy na północ, na ranczo Adkinsów.

— Jakim cudem zaproszono cię na polowanie w tamte strony? — spytał wuj Bob. — Ja starałem się o to przez piętnaście lat. Oni są najbardziej szalonymi, dzikimi pustelnikami w całym Nowym Meksyku!

— Parę dni temu pomogłem im znaleźć w górach pięcioletniego byczka — wyjaśnił Big Boy. — Zapytali, jak mogą mi się odwdziżyć. Przypomniałem sobie, że widziałem tam całe mnóstwo śladów szopów, i pomyślałem o tobie, wuju Bobie.

Wuj Bob był tak wzruszony, że nie potrafił wykrztusić ani słowa — tylko żuł to swoje cygaro.

Zazwyczaj nie braliśmy alkoholu na polowania, lecz Big Boy wziął butelkę dla Adkinsów.

— Oni są strasznie nieśmiali i pomyślałem, że to może ich nieco rozluźni — powiedział.

Big Boy umówił się z nimi na skrzyżowaniu dróg o ósmej. Listopadowy księżyc stał na niebie jasny i iskrzący się niczym brylant. Przyjechaliśmy trochę za wcześnie, więc wuj Bob wypuścił psy z pikapa i przywiązał je na smyczach. Nagle wszystkie zaczęły się wiercić i warczeć. Podnieśliśmy wzrok i zobaczyliśmy dwóch jeźdźców ze strzelbami. Uśmiechali się, choć wyraźnie był to dla nich wielki wysiłek.

Wszyscy się przywitaliśmy, a Big Boy podał im whisky.

— Ja jestem Ciem — odezwał się jeden z nich. — A to jest mój brat, Ake. — Obaj wyglądali, jakby już sobie tego popili, i może dzięki temu byli tacy rozmowni. — Ake jest cholernie paskudny—dodał Ciem z dumą.—Chcecie, żebym opowiedział wam, jak raz wybrał się do dużego miasta z całym workiem skórek z szopów?

— Pewnie.

— No cóż... — ciągnął Ciem. — Ake miał pełen wór ślicznych skórek z szopów, na które polował całą zimę. To były jeszcze dni, kiedy można było dostać za takie skórki mnóstwo pieniędzy. Ake dostał niezłą sumkę i szedł sobie taką cementową ścieżką, co to biega w większych miastach, kiedy z bocznej uliczki wylazł chłop, co miał czarną szmatę zawiązaną na gębie i czarny rewolwer w ręce. Ten gość mówi do Ake'a: „Dawaj je do góry!” Ake pyta, co ma dać do góry. A ten mu mówi, że ręce ma podnieść wysoko, jakby zrywał jabłka.— Ciem roześmiał się, a po minucie domyśliłem się, że historia dobiegła końca. Ale nie. —Ten gość mówi Ake'owi, żeby dał pieniądze, bo inaczej strzeli mu prosto w łeb. Ake pracował cholernie ciężko całą zimę i nie bardzo mu się spodobał pomysł, że facet ot tak, go okradnie. Więc mówi mu: „Mam pieniądze w kieszeni, weź sobie”. Kiedy facet szukał pieniędzy, Ake znalazł swój kozik. Pokaż im swój kozik, Ake.

Ake wyciągnął z kieszeni kawał kija, z którego otwierało się ostrze; w sumie wyglądało to bardziej na kawaleryjską szablę niż na nóż. Ake machnął nim sugestywnie w powietrzu, a potem zaczął sprawdzać ostrość klingi na kciuku.

— Jak już mówiłem—kontynuował Ciem—Ake wyciągnął kozik i ciachnął gościa, zanim ten zdążył zabrać mu pieniądze. Ten gość miał taką trochę zdziwioną minę i spytał Ake'a, co się stało z jego spluwą. A Ake mu powiada..., Co ty mu powiedziałeś, Ake? — spytał brata.

— Powiedziałem, że leży tuż przed nim... i żeby ją podniósł. Haczyk polega na tym, że musiał to zrobić drugą ręką, bo palce tej, w której na początku trzymał rewolwer, leżały na ziemi tuż

obok niego. Taa, jestem całkiem wredny. — Na tę konkluzję obaj bracia wybuchnęli śmiechem. Była to dość interesująca historia, lecz żaden z nas trzech się nie roześmiał. Jednak udało się nam przywołać na oblicza mizerne uśmiechy, żeby nie urazić gospodarzy. Nagle obaj się wyprostowali i Ciem spytał: — To jak, chcecie jechać dziś na polowanie, czy nie? | — Jasne, że chcemy — odrzekł wuj Bob. — Ale zanim [wyruszymy, co powiecie na po jednym na szczęście? — Potem Tozpiliśmy butelkę i odwiązaliśmy psy.

— Aieź dobre — skomentował Ciem, wysączywszy ostatnie krople z butelki. — Ależ pyszności... — Otarł wielką gębę potężnym łapskiem.

— Nie za mocne, ale pyszne — ocenił Ake. Wyruszyliśmy. Ciemność rozpościerała swe mroczne skrzydła, intensyfikując światło księżyca w pełni. Ciem niósł latarnię, Ake zaś miał potężną latarkę. Podążyliśmy za nimi z długouchymi, zmęczonymi, smutno wyglądającymi psami.

— Tam dalej jest strumyk, który wpływa do jeziora — odezwał się Ciem. — Tam będziemy polować. — Potem zaczął nam opowiadać o tym, jak to kiedyś poszli z Ake'em na ryby nad ten strumyk i zaskoczył ich strażnik leśny. Ponieważ połów w tym konkretnym strumyku był prawnie zabroniony, Ciem i Ake puścili sieć i uciekli galopem.

— Ake biegł pierwszy, bo ma dłuższe nogi — opowiada Ciem. — Słyszał, jak pyrgam przez krzaki za jego plecami. Caiy czas myślał, że ja to strażnik, i dogoniłem go dopiero trzy mile dalej. Ake jest szybki. — Potem dodał: — Do diabła, teraz musimy być cicho. Niech psy zaczną węszyć.

Psy krążyły z ogonami wyciągniętymi w górę i nosami przy ziemi. Poszycie było tu gęste jak sierść na grzbiecie skunksa. Na tle nieba widać było zarysy drzew.

Rozdzieliliśmy się. Nagle w ciemności dał się słyszeć głos Ake'a:

— Dwa psy przepląnęły na drugą stronę, Ciem. Chyba przeskoczę za nimi. Strumyk nie jest tu za szeroki, co?

— Nie, poradzisz sobie — odparł Ciem i dodał w naszym kierunku: — Ake potrafi nieźle skakać.

Widzieliśmy tylko latarkę, która podskakiwała niczym pijany robaczek świętojański, kiedy Ake wycofywał się dla rozbiegu. Brzmiało to tak, jakby stado krów panicznie bojących się wody uciekało przez zarośla. Przez moment była cisza, a potem rozległ się plusk, jakby księżyc wpadł do Pacyfiku.

Ake wydał gulgoczący dźwięk. Potem powiedział z zamyśleniem w głosie:

— Skoczyłem dość daleko, ale chyba zsunąłem się ciutkę z brzegu.

— Miałeś czas, żeby napisać list podczas tego skoku — odpowiedział Ciem. — Musi, że wyskoczyłeś prosto w górę.

Ake wreszcie dotarł na drugi brzeg. Kiedy się wygramolił, przypominał aligatora; podniósł latarkę, którą rzucił na sąsiedni brzeg, kiedy zrozumiał, że sam tam suchy nie dotrze.

Wkrótce znowu ruszyliśmy. Psy, którym przyczyna opóźnień była obojętna, buszowały w poszyciu i teraz były spory kawałek przed nami.

Nagle Big Boy zatrzymał się i przekrzywił głowę.

— Posłuchajcie. Co to takiego?

— To tylko psy... stara Bess i Blue wyją za szopami. Chodź, idziemy! — zawołał podniecony wuj Bob.

W zaroślach trzaskało teraz jak w wysuszonej kukurydzy w upalny dzień. Ciem szedł szybko przed nami, a my usiłowaliśmy dotrzymać mu kroku. Po drugiej stronie strumienia Ake pędził przez krzaki i tylko czasami migała nam jego postać podobna do stracha na wróble. Udało mu się zniknąć nam z oczu kawał z przodu.

Przeszukaliśmy chyba już tysięczną milę kwadratową zarośli, które tłukły nas, drapały i kłuły przy każdym kroku, lecz wreszcie dotarliśmy do Ake'a, który stał na drugim brzegu i darł się wniebogłosy. Jednocześnie naszą uwagę przyciągnęło okropne zamieszanie w wodzie. Ake wycelował w nią swą latarkę.

Tłusty, przerośnięty szop chciał uciec przed psami drogą

wodną. Czuł się tu znacznie lepiej niż psy, które podążyły za nim. Szansę miały sześć do jednego, lecz szop walczył tak zaciekle, Hpłynął tak szybko i znał tak wiele diabelskich sztuczek, że psom chyba wydawało się, iż cały wszechświat pełen jest wrogo nastawionych szopów.

Zwierzak podpłynął blisko do brzegu — po stronie Ake'a — gdzie chciał poszukać schronienia na szczycie jakiegoś wysokiego drzewa. Jednak tak naprawdę wspiął się na Ake'a. Cóż, Ake był może wysoki, ale nie moge zrozumieć, jak szop tak doskonale przystosowany do przetrwania mógł go wziąć za drzewo. Ten konkretny szop posiadał umiejętności walki godne niedźwiedzia grizzly i okrucieństwo kobry, lecz teraz wpadł po uszy. Był jednak w dobrym stanie w porównaniu z Ake'em, który darł się wniebogłosy i ciskał na wszystkie strony.

Psy wylazły wreszcie ze strumyka i rzuciły się do nich. One też usiłowały wspiąć się na Ake'a. W rezultacie padł niczym drzewo pod naporem wiatru.

Szop uciekł na kolejną grzędę — tym razem było to prawdziwe drzewo — i zaczął się wspinać jak najwyżej. Ake może i spojrząłby na pomyłkę szopa pobłażliwym okiem, gdyby nie sześć potężnych, ociekających wodą, śliniących się psów, które nagle się na niego rzuciły. Skupione jedynie na ofierze, zdeptały każdy cal jego twarzy, oczu i uszu, a także otwartych ust. Tego już było dla niego za wiele. Szop to wszystko zaczął i Ake był teraz zdeterminowany mu odpłacić. Podbiegł do drzewa i świecił na nie latarką tak długo, aż znalazł łotra i zaczął się wspinać, wrzeszcząc dziko.

My wszyscy żarliwie mu kibicowaliśmy. — Złap tłustego drania, a będziesz jadł mięso z szopa na kolację przez tydzień-tt- wrzasnął Big Boy.

Jednak przeciwko Ake'owi pracowała jedna poważna rzecz — latarka. Trudno mu było ją nieść i jednocześnie się wspinać. Ale w końcu mu się to udało. Szop był znacznie lepszy we wspinaniu się, lecz skończyły mu się gałęzie na drzewie. Wreszcie znalazł się na końcu gałązki, a Ake wyciągał po niego długie

łapsko. W normalnych okolicznościach zaczęłyby potrząsać gałęzią, dopóki szop nie spadłby na ziemię, pośród oczekujące psy. Jednak ta sprawa była dla Ake'a zbyt osobista. Kiedy tylko jego dłoń dotknęła szopa, wypuścił latarkę. Głos, który potem usłyszeliśmy, godny był zapamiętania. Pisk dzikiego szopa, trzask gałęzi i kości Ake'a, ujadanie i wycie psów oraz połączone krzyki myśliwych ^wszystko to rozbrzmiało w mroku nocy.

Ciem uniósł latarnię tak wysoko, jak tylko mógł, i wpadł pędem w strumyk. Do czasu kiedy dotarł na drugi brzeg, wrzaski się wzmogły. Teraz światło latarni odsłoniło u stóp drzewa Ake'a, który potrząsał ramieniem, jakby pompował wodę ze studni. Na końcu jego ręki wisiał żywy szop.

— Czy on cię gryzie, Ake?! — wrzasnął Ciem.

Ake wydał pełen bólu skrzek.

— Nie, skądże, ty głupi draniu. Po prostu potrząsam prawicą tego przyjacielskiego małego sukinsyna.

Psy się kotłowały, bo wszystkie naraz chciały dopaść szopa. W podnieceniu drapały Ake'a i wreszcie poprzestały na ponownym stratowaniu go.

Szop zanurkował do wody. Psy, widząc, że zwycięstwo wysmykuje im się z oślinionych pysków, poddały się. Zaprzestały pogoni tam i w tamtej chwili. Nic już więcej nie zmusiło ich do podniesienia ogonów.

Wróciliśmy zmęczeni do pikapa, gdzie napiliśmy się nieco wody z bukłaka. Niektórzy z nas byli mokrzy, jeden podrapany i nieźle poturbowany, a wszyscy zmęczeni i senni.

— Trzeba było przywieźć więcej psów—zauważył wuj Bob, kiedy wracaliśmy do domu. A po chwili ciszy dodał:—Ale trzeba oddać sprawiedliwość temu cholernemu szopowi. Wydupczył nas wszystkich! — I wybuchnął śmiechem.

Rozdział szesnasty

Zabrałem Josephę do Ragoonu i zabawiliśmy tam kilka dni. Dogadywaliśmy się całkiem dobrze i moje uczucia względem niej dojrzewały, lecz obraz Mony cały czas stawał między nami. W drodze powrotnej do Sano chyba zaczęła czytać mi w myślach.

— Pete?

— Taak?

— Strasznie dużo gada się w okolicy na temat Mony i Big Boya.

— Wiem — odrzekłem.

— Ale to jest poważne — powiedziała; oparła się wygodnie o fotel pikapa i odwróciła do mnie.

— Wiem—powtórzyłem.

— Jim Ed Love rozpuścił plotkę, że Les Birk dorwie za to Big Boya.

— Słyszałem to już wcześniej — rzekłem. — Nie starczy mu odwagi.

— To prawda—powiedziała—ale Jim Ed już wymyśli, jak to zrobić, żeby Les wymigał się od odpowiedzialności.

— Nie interesuje mnie, jak cwany jest Jim Ed; Lesowi to się nie upiecie.

—| Dlaczego? — spytała.

— Bo ja dorwę go w dokładnie taki sam sposób, jak on dorwie Big Boya — wyjaśniłem. — Poza tym Big Boya nie tak łatwo zaskoczyć.

— Przecież wiesz, że ma wielu wrogów — mruknęła.

- Taak, wiem. Popędził kota wielu cwaniaczkom, lecz każdemu dokładnie się to należało.

— A jednak nie spodobało im się to—powiedziała Josepha. — I jeszcze jedno: wiele dziewczyn czuje zawód. Nigdy im się nie podobało, kiedy mężatka zabiera się do sprzątanania im sprzed nosa kawalera.

Po raz pierwszy Josepha zaczęła mnie drażnić.

— Jasne, narobił sobie wrogów w całym powiecie. Ale tak

się zawsze dzieje, kiedy ktoś jest pewny siebie i postępuje tak, jak uważa za słuszne. Pewnie, że nadepnął niektórym na odciski. Ale powiem ci tylko jedno: Big Boy nie zaczął jeszcze nikogo, kto by mu wcześniej nie zaszedł za skórę.

— A co z Moną? — spytała cicho.

Wtedy zrozumiałem, że do tego właśnie zmierzała od samego początku.

— To ich sprawa — odpowiedziałem. Kochają się i zamierzają być razem. Podziwiam ich. Mają razem coś, czego boi się większość ludzi na tym cholernym, popieprzonym świecie. Nawet jeśli ktoś przez to zginie, to nie wydaje mi się, żeby to miał być Big Boy.

Milczała przez chwilę i spoglądała na wymiecioną przez wiatr drogę. Wiedziałem, że chce, bym powiedział coś jeszcze, ale nie potrafiłem. Wisiało to w powietrzu i dławiło mnie w gardle.

Mój związek z Josephą był czymś, czego nawet w skrytości ducha nie potrafiłem zanalizować. Kiedy patrzyłem na nią, widziałem, że jest nawet piękniejsza od Mony i równie wyrafinowana. Zawsze była czysta, zawsze miła, potrafiła okazać ogromny entuzjazm, a jednak nie podniecać się zbyt. Zdawało się, że wydostała się z ognia irlandzkich i meksykańskich przodków ze spokojną akceptacją charakterystyczną dla starszych Latynosów. Samotne, odizolowane od świata Sano było jej ojczyzną i pozostała tam, poświęcając czas wielu smutnym, straconym sprawom. Prowadziła sklep ojca, kiedy on wyjeżdżał na wzgórze do starych kopalń w poszukiwaniu tej jedynej, bogatej żyły. Była nie tylko jego córką, lecz w pewien sposób także matką i żoną. Była najmłodsza z ogromnej rodziny i jedyna, która została w domu.

Kiedy zacząłem się z nią umawiać, chodziła do ostatniej klasy szkoły średniej i co dzień tłukła się sześćdziesiąt kilka mil autobusem do Hi Lo. Wiedziałem, tak samo jak wszyscy, że miała wiele okazji, aby wyjść za mąż. W rzeczy samej, wszyscy oczekiwali, że się pobierzemy zaraz po ukończeniu przez nią szkoły, lecz zaczęła się wojna — i cóż, odłożyłem to na nieokreślone później. Kiedy ja byłem za morzem, została w Sano i wiernie

pisala do mnie, opowiadajac wszystkie nowinki z Hi Lo i dajac mi odczuc, ze bardzo za mna tęskni.

Kiedy wróciłem, byłem pewien, że się z nią ożenię. Pod każdym względem była równie idealna dla mężczyzny, co ta nieprzewidywalna ziemia — towarzyska w zabawie, źródło spokoju, zaufania i stabilności w życiu prywatnym. Ale... czy to właśnie na Monę podświadomie czekałem? Nie wiemi. Chciało mi się wyć.

Kto tak naprawdę znał Monę? Czy choćby Big Boy znał ją, a może też tylko dostał się do zastawionej na przynętę z seksu pułapki?

Josepha była czysta i jasna niczym letni poranek po całonocnej ulewie. Na pierwszy rzut oka widać było, kim jest i czym może być dla mężczyzny. I dlaczego nie miałem odwagi przyznać, że odrzuciła spory kawał życia, czekając na mnie? Boże, jakże ona musiała cierpieć przez te wszystkie samotne noce. Wykazała odwagę i cierpliwość, a ja zachowywałem się jak tani sukinsyn i kombinowałem tylko, jak pójść do łóżka z kobietą najlepszego przyjaciela.

A teraz Josepha zaczynała walczyć. Jej pazury, ta kobieca broń, która potrafi wdrzeć się głębiej niż meksykański sztylet, ujawniły się i zaczęły szukać celu.

Rozeszliśmy się, nie wyjaśniliśmy nic. Oboje byliśmy tym zdenerwowani. Kiedy wjechałem do Hi Lo, zobaczyłem pikapa Big Boya zaparkowanego przed sklepem Mitcha Peabody'ego. Stałem obok niego. Minutę później wyszedł na dwór i wrzucił zakupy na tył samochodu.

— Jedziesz na ranczo? — spytałem.

— Nie, pomyślałem, że zatrzymam się u Lollypopa i zobaczę, co słychać w tym wyschniętym miasteczku.

Po jego niezwyklej bladości i sposobie, w jaki zaciskał szczęki, poznałem, że słyszał już plotki. Jeśli się upije, ktoś może solidnie óberwać.

— Posłuchaj, Big Boyu — usłyszałem własne słowa. — Właśnie wybierałem się do Tinkera Gritsa po zawiasy do bramy- Może pojedziesz ze mną, dotrzymasz mi towarzystwa?

— A jak długo zamierzasz u niego siedzieć?

— Tylko tyle, ile będzie trzeba — odparłem.

— Dobra.

Wiem, że zawsze lubił gadać z Tinkerem. Może gdyby udało mi się wpędzić go w dobry nastrój, wróciłby na ranczo Hoovera Younga, trzymał się z dala od miasta i przez jakiś czas nie robił zamieszania.

— Nie widziałem Tinkera od dwóch czy trzech miesięcy — odezwał się po drodze. — Pewnie pracuje nad jakimś nowym, wspaniałym wynalazkiem.

— Jak zawsze—odrzekłem.

— Wiesz — dodał Big Boy — ten stary sukinsyn wynajdzie pewnego dnia coś, co zatrzęsie światem.

— Wcale bym się nie zdziwił — mruknąłem, lecz trochę zdziwił mnie podziw Big Boya dla Tinkera, gdyż wiedziałem, że na krótki czas przed śmiercią jego ojciec, Old Man Matson, zabrał wszystkie oszczędności swoje i Big Boya i zainwestował je z Tinkerem w bezwartościową operację poszukiwania złota. Wiedziałem także, że Big Boy oszczędzał cztery lata, żeby kupić sobie nowe siodło. Zapytałem: — Powiedz, jaki to interes z tym złotem kręcił wtedy Tinker? Słyszałem z pięćdziesiąt różnych wersji.

— Cóż, to był zupełnie niespotykany rodzaj poszukiwania złota — odrzekł. — Tinker planował odzyskać złoto z oceanu atlantyckiego. Doszedł do wniosku, że nie warto zwracać sobie głowy Pacyfikiem, bo w sześć miesięcy po rozpoczęciu całej operacji tak czy inaczej będzie mieć dość złota, żeby kontrolować światową ekonomię. W rzeczy samej mówił, że całe tony złota trzeba będzie trzymać w rezerwie, lub jego cena pójdzie w dół, jak kamień. Do diabła, nieźle sobie chłop wykombinował, nie, Pete?

Mruknąłem potakująco, a on zaczął się rozgrzewać.

— Cóż, trochę trudno to wytłumaczyć, ale tak czy inaczej, wreszcie wynalazł środek chemiczny, który pomoże odzyskać ukryte złoto. Doszedł do wniosku, że pewna ilość metalu ma

postać ciekłego gazu, a kiedy podgrzewa się go dla oceny próby stopu, złoto ucieka i wydostaje się do atmosfery pod postacią oparów. Ten jego środek chemiczny chwytł złoto i ściągał je do stałej postaci. Wiesz, że jedną z najpopularniejszych metod odzyskiwania złota są miedziane talerze pokryte rtęcią? Cóż, dodawał niewielką ilość tego środka chemicznego do talerzy i kiedy płynne złoto wchodziło z nimi w kontakt, łąpało je tak, jak magnes chwytł opiłki żelaza. Potem bardzo powoli oczyszczając, zamieniał złoto w proszek i stapiał na czysty metal. Tinker całkiem satysfakcjonująco udowodnił swą teorię grupie osób, włącznie z moim tatkiem, odzyskując złoto z próbek wydobytych ze starych kopalni. Nigdy nie zawodziła. Próba złota, które odzyskał, zawsze była wyższa niż w próbce. Wszyscy inwestorzy robili co w ich mocy, żeby naciągnąć Tinkera na opatentowanie procesu. Ale on zwyczajnie odmówił. Powiedział: „Kiedy rejestruje się jakiś wynalazek w biurze patentowym, jest otwarty do publicznej inspekcji. Choć mógłbym każdego powstrzymać przed sprzedawaniem albo przejmowaniem patentu, duże firmy i tak posługiwałyby się moją metodą, oczywiście lekko zmienioną, i trudno byłoby im cokolwiek udowodnić”. Cóż, doszło do takiego momentu, w którym wpadł na pomysł odzyskiwania złota z oceanu atlantyckiego. Twierdził, że znajduje się tam ono w płynnej postaci odpowiedniej do tego, by poddać je działaniu chemikaliów. Miał pomysł, żeby wygiąć w półkole ze spadkiem w środku wzmocniony kawał blachy miedzianej szeroki na sto jardów. Ten spadek miał być wypełniony rtęcią i miksturą jego własnego wyrobu. Potem przyczepi się pływak do blachy tak, żeby można ją było ciągnąć tuż pod powierzchnią wody. Jego plan zakładał, że to koryto będzie ciągnął statek parowy. Przeliczył sobie, że każda podróż przez Atlantyk i z powrotem do Nowego Jorku będzie w stanie przynieść złoto warte kilka milionów dolarów. Choć z wody oceanu można uzyskać ledwie kilka centów z tony, wiedział, że przeczesane tym wynalazkiem zostanie za każdym razem kilka miliardów ton wody. Do diabła, gdyby miał dziesięć statków, które płaciłyby same za siebie, przewożąc ładunek, ludzi

i takie tam, przejście kontroli nad światowym rynkiem złota zajęłoby mu raptem pięć czy sześć miesięcy. Boże wsze'mogący, tylko pomyśl!

— Myśle.

— Cóż, w każdym razie, zanim zdołał cokolwiek zorganizować, zużył już wszystkie pieniądze, które dostał od inwestorów. Więc założył spółkę giełdową. To był jego błąd. Poniosło go i zapomniał zarejestrować ją czy to w stanowej, czy w federalnej komisji papierów wartościowych. Zgromadził jakieś sto tysięcy dolarów i pojechał na wybrzeże, żeby zawiązać spółkę prze-woźniczą dla całej operacji, kiedy gazety coś zważały i rozmazały jego plan po pierwszych stronach. Jako żart bardziej niż cokolwiek innego. W ciągu trzech dni ta darmowa reklama przyczyniła się do tego, że zarobił na akcjach dodatkowo siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Lecz inni także czytali gazety. Czwartego dnia przedsięwzięcia zgarnęli go federalni i przeczytali mu jego prawa. Biedny Tinker spędził w więzieniu półtora roku, a kiedy wyszedł, wsadził przepis na ten środek chemiczny do sejfku z instrukcjami, żeby go nie otwierać, póki od jego śmierci nie upłynie co najmniej trzydzieści lat. Potem zapomniał o wszystkim i zajął się innymi rzeczami.

Tinker wyglądał jak rasowy pijaczyna. Miał ogromny nos w kształcie kartofla, głęboko osadzone, wodniste oczy i szkarłatną cerę. Jego ogólny wygląd wskazywał na kogoś, kto pije przez cały boży dzień, lecz nic bardziej mylącego — Tinker był absolutnym abstynentem.

— Ón jest taki czerwony, bo stale wymyśla nowe rzeczy — wyjaśnił mi kiedyś Big Boy.

Tinker był niemal średniego wzrostu i nawet do najbrudniejszej roboty zawsze ubierał się w garnitur i krawat. Krawat rzadko kiedy był porządnie zawiązany, raczej wisiał luźno, był poplamiony i pełen dziur wypalonych przez różne kwasy i środki chemiczne. Reszta jego podupadającego stroju była zazwyczaj w podobnym, oplakanyim stanie.

— I co zrobił potem? — spytałem.

— Cóż, po tym spotkaniu nos w nos z prawem odzyskał prawie całą fortunę — ^ wszystkie pieniądze ze sprzedaży akcji wróciły do prawowitych właścicieli — na sprzedaży fasoli. To nie była ta łaciata fasola, którą wszyscy hodują tu w okręgu Hi Lo, lecz ogromna, importowana z Ameryki Południowej. Tinker bardzo dawno temu zniszczył swoją ziemię różnymi eksperymentami z dziwnymi nawozami i nawet teraz tylko najtwardsze chwasty z trudem tam rosną. W każdym razie namaczał tę fasolę w tanich perfumach, a potem chodził po okolicy i sprzedawał ją gospodyniom. „Niech pani tylko pomyśli — mawiał. — Cały ogród pachnącej fasoli, ogromnej jak pani kciuk. Wystarczy potrzeć się jedną z nich za uchem i nosić w torebce, a zapach ogrodu Allaha będzie z panią zawsze i wszędzie". To dotarło do wiejskich kobiet i bardzo szybko Tinker sprzedawał swoją fasolę za pięć dolarów sztuka. Najlepsze jest to, że po jednym razie wrócił do każdej ze swych ofiar. Wszystkie powiedziały mu, że fasola rośnie całkiem dobrze, ale zupełnie nie pachnie. Każdej odpowiadał: „Cóż, proszę pani, to strasznie przykre, ale pewnie musiała pani kupić złe nasiona. Jest pani jedyną osobą, która narzeka. Wynagrodzę to pani: sprzedam dwa nasiona po cenie jednego. Do zobaczenia w następnym roku". Wyobrażasz sobie tyle tupetu, Pete?

Potrząsnąłem głową z szacunkiem.

Big Boy kontynuował:

— Kobiety nie donosiły na niego po drugiej transakcji, bo za bardzo wstydziły się, że się dały nabrać. Och, miał się najróżniejszych zajęć. Eksperymentował z raketami, samochodami na powietrze i myślącymi maszynami... oto coś dla ciebie, stary: myślisz, O co ci chodzi, a maszyna ci odpowiada, bezgłośnie; odpowiedź słyszysz w głowie. „Wiedza poza granicami najdzikszych marzeń I najbardziej szalonych pragnień człowieka"—tak to określił. Stary sukinsyn gada jak jakiś poeta. Pete, słyszałem, jak mój ojciec godzinami rozwodzi się, jaki to Tinker ma wspaniały umysł. Starzy ludzie nazywali go idiotą albo szaleńcem, ale mój tatko podziwiał drania i wierzył, że w końcu dowiedzie swego geniuszu.

Jasne było, że Big Boy odziedziczył wiarę ojca. A ja? Sam nie wiem.

Podjechaliśmy do rozpadającego się domostwa Tinkera i wysiedliśmy w kurzawę niesioną wiatrem. W ogromnych górach dokoła domu piętrzyły się instrumenty, rurki, tuby, silniki, butelki i setki innych przedmiotów. Tysiące snów rdzewiało na zrujnowanej ziemi Tinkera. Przeszliśmy między tymi szczątkami do ganku. Wisiał luźno, jakby w każdej chwili wiatr mógł unieść go prosto do nieba.

Big Boy schylił głowę, podszedł do drzwi i zapukał. Po chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich — wypełniając je szczelnie

— buldożer, nie kobieta, Indianka, żona Tinkera. Kiedy przekonała się, że to Big Boy, uśmiechnęła się i powiedziała:

— Tinker jest na pastwisku za domem. Pracuje.

— Dzięki — odrzekł. — Pojedziemy tam do niego.

Zamknęła drzwi w milczeniu.

Gdy podjechaliśmy na miejsce, zobaczyliśmy ogromny zbiornik wielki jak stóg siana, z czymś na górze, co przypominało lejek; Tinker siedział na górze tego interesu i wlewał jakiś płyn z żelaznej beczułki.

— A cóż to za cholerstwo, nad którym teraz znowu pracuje?

— zastanawiał się z podziwem Big Boy.

Tinker był zupełnie nieświadom naszej obecności, dopóki Big Boy nie zawołał:

— Hej, Tinker, co tam robisz? Chcesz wysadzić świat w powietrze?

Spojrzał w dół na nas i na jego rumianej twarzy pojawił się bezzębny uśmiech. Miał wszystkie zęby, lecz były tak czarne i poplamione, że z tej odległości zupełnie nie było ich widać. Dokończył dolewać coś z galonowej butelki, po czym zszedł na ziemię.

— Panowie, panowie — powitał nas i radośnie wyciągnął ku nam małe, tłuste ręce, z dłońmi, które działały niczym precyzyjne instrumenty. — To cud boski, że wybraliście akurat ten moment na przybycie. Zaraz będziecie świadkami mojej pierwszej próby

działania najwspanialszego wynalazku w dziejach ludzkości! Ponieważ byłeś obdarowany tak wspaniałym ojcem, z pewnością zrozumiesz, o co mi chodzi. — Mówił wprost do Big Boya. — Wiem, że waga, wstrząsająca światem doniosłość tego odkrycia, nie zostaną stracone na tak płodny i otwarty umysł, jak ten, którym zostałeś szczerze obdarowany.

— A co to jest? — spytałem, a z czystej ciekawości zaczęło mi już brakować tchu.

— Co to jest? — Spojrzał na mnie, jakbym dopiero co zlał z drzewa. — Co to jest?! — wrzasnął, a jego twarz z purpurowej zrobiła się karmazynowa. — Toż to bardzo proste. To, panowie, jest maszyna produkująca wodę! Woda jest jedyną rzeczą, której człowiekowi nie udało się podbić czy kontrolować. Nawet teraz, choć wyciągnął palec w kosmos, poniósł haniebną porażkę na ziemi. Woda! Woda! To odpowiedź na wszystko! Spójrzcie. Poczujcie to! — krzyknął, machając rękoma w obłokach kurzu niesionego wiatrem. — Oto mamy najsuchszy wiatr po tej stronie pustyni Mohave, ale czy wiecie, że jest on pełen życiodajnej wilgoci aż po najwyższe poziomy kosmosu? Każdy cal sześciennej zawiera wilgoć, której nie sposób zniszczyć. Nic nie można zniszczyć! Ten wiatr wyje jak potępiony wilk, ale nie można go zniszczyć. Człowiek i jego wybryki nie mogą tego dokonać. Można z niego tylko czerpać. A ja, Tinker Grits, będę z niego czerpać, ile wlezie. Jeśli Szekspir był chirurgiem duszy, ja będę lekarzem umysłu. Co jest warte zachodu, jeśli nie pomysły, panowie?

Nie potrafiłem zrobić nic poza przełknięciem śliny i skinieniem głową. Big Boy stał jak zaczarowany.

— Za chwilę, panowie, będziecie świadkami wydarzenia, które sprawi, że wynalezienie koła i kontrolowanie rozpadu atomu będą wydawać się zabawką opóźnionych w rozwoju dzieci. Przekręcę ten mały wlew i środek chemiczny wyjdzie przez ten szeroki lejek prosto do powietrza, gdzie skondensuje się i zdestyluje wodę, którą ściągnie z przestworzy w dół lejka, aż do zbiornika... — Wskazał na bojler. — A potem będzie ją można

wydobyć przez ten kranik... — Wskazał na osiemnastocalową, stalową rurkę, jakie można spotkać w największych studniach artezyjskich. — Woda popłynie niczym nektar króla wszystkich bogów na jałową ziemię i wszystko stanie się płodne, i Rajski Ogród pokryje całą ziemię. Listowie będzie tak grube i gęste, że ten wieczny, cholerny wiatr nie zdoła się przez nie przedrzeć i nigdy więcej nie będzie nas dręczyć. Wyobraźcie to sobie, panowie... — dodał, zataczając krąg przypominającymi szczypcę dłońmi —... na szczytach gór i na pustyniach na południu będą stały rzędy moich maszyn, niczym żołnierze pokoju i miłości zjednoczeni do bitwy dobra przeciw złu. Z kranów zaś będzie leciał nieskończony strumień życiodajnego i wspaniałego płynu, wody! Wody! — wykrzyknął ostatnie słowo i omal głos go nie zawiódł. — Wody!

Byłem pewien, że zaraz dostanie wylewu.

Na twarzy Big Boya malowało się napięcie.

— Pokój — kontynuował Tinker. — Pokój. Nigdy więcej wojen. Po co walczyć, panowie, skoro wystarczy dla wszystkich? Wyobraźcie sobie nowe rzeki o brzegach porośniętych gęstą trawą i sady pełne pięknych owoców; jeziora wypełnione po brzegi silnymi, srebrnymi rybami i lasy pełne zwieżąt wszelkiego rodzaju. To będzie nie tylko świat mnogości, lecz i szczodrej obfitości. Nigdy więcej przelewu krwi, żadnych barykad czy schronów. Nie! Wszystko będzie spokojne, pełne miłości, pokoju i zadowolenia!

Tinker urwał z jedną dłonią nadal uniesioną w powietrzu.

— Posłuchajcie — rzekł. — Wycie wiatru zamiera. Teraz muszę uderzyć! Patrzcie! Patrzcie na kran! — Tu zawirował, wdrapał się na stalową drabinę prowadzącą do beczki i przekręcił kurek. Przez moment nic się nie działo; później wrzasnął: — Patrzcie, panowie! — i wskazał w górę.

W rzeczy samej ze zbiornika unosiła się chmura, niczym duch przenoszący się do królestwa niebieskiego. Patrzyliśmy i czekaliśmy. Tinker dołał więcej swojego środka chemicznego. Chmura zgęstniała.

Po chwili Big Boy odezwał się:

—Na Boga, spójrz! Oto jest! I w rzeczy samej, maleńka kropelka wody wydostała się z kranu i spadła na suchą jak popiół ziemię, znacząc maleńką, mokrą plamkę. Kilka sekund później już jej nie było.

Dziesięć minut później spadła kolejna kropla. Tinker tańczył dokoła w porywach szczęścia.

—Sukces! Sukces! To działa! Wiedziałem! Świat należy do mnie! Panowie, przynieśliście mi szczęście! Dam wam dowodzenie nad moją wielką armią! Big Boyu Matsonie jesteś moim głównodowodzącym, ty zaś, Pete, zostaniesz marszałkiem Armii Pokoju i Miłości. Teraz to już nie potrwa długo. Skończył mi się środek chemiczny i będę musiał zrobić kilka poprawek, żeby jakoś powiększyć wydajność, ale sukces mamy już w zasięgu ręki. Wkrótce będzie nasz. Zaprawdę ulice naszych miast będą brukowane złotem!

W drodze powrotnej do miasta rozmawialiśmy o jego eksperymencie.

Wiesz — powiedziałem — w obecnej chwili środki chemiczne są tak drogie, że wyprodukowanie galona wody będzie go kosztować ze sto dolarów.

Ale jest na dobrej drodze — odrzekł Big Boy. W jego głosie brzmiała absolutna lojalność wobec Tinkera. — Jeśli on nie zdąży przed śmiercią tego udoskonalić, zrobi to ktoś inny.

Pewnie tak. Kiedyś — rzekłem.

—Ale stary sukinsyn myli się co do jednej rzeczy.

—Co do czego?

—Miłości i pokoju.

—O co ci chodzi?

—O to, że ludzie lubią walczyć — odparł.

Mimo wszystko zadziało to dokładnie tak, jak miałem nadzieję, że zadziało. Big Boy był w dobrym nastroju i zapomniał o tej bitce, na którą miał taką ochotę.

Rozdział siedemnasty

Gadanie, gadanie, gadanie. Za dużo gadania. Słuchając historii krążących dokoła Hi Lo, można by pomyśleć, że setki kul znajdujących się w lufach odbezpieczonych pistoletów miały na sobie wygrawerowane imię Big Boya Matsona.

Jim Ed Love, Felderowie i całe mnóstwo innych odwalilo kawał solidnej brudnej roboty. Wypalający ziemię wiatr sprawiał, że ludzie stali się bardziej podenerwowani niż zazwyczaj. Nie chcieli winić siebie za to, co działo się z ich ziemią i w ich życiu, więc Big Boy stał się chętnie przyjętym i wygodnym celem dla ich powstrzymanej złości. Było też wielu takich, którzy lubili słuchać, a którzy nigdy nie lubili Big Boya, bo zawsze się go bali.

Zastanawiałem się, jak Mona to znosi. Nie widziałem jej od dłuższego czasu. Wiedziałem, że Big Boy się z nią spotyka, lecz nie miałem pojęcia, jak i kiedy. W moim umyśle nadal palił się znak zapytania dotyczący Josephy i nie potrafiłem wygonić z niego Mony tak na amen. Gdyby Big Boyowi udało się wreszcie jakoś wygrać te pieniądze, o których mówił, mógłby wyjechać z Moną, a ja zająłbym się wreszcie własną przyszłością. Gdyby chodziło o jakąkolwiek inną kobietę, Big Boy oczekiwałby po niej, żeby szła za nim, bez grosza przy duszy, od jednej roboty przy krowach do drugiej. Ale chodziło o Monę. Jak mogłem krytykować jego rozumowanie, skoro ja sam byłem w niej tak bardzo zakochany, że naprawdę zastanawiałem się nad zabiciem go?

Poprosiłem Big Boya, żeby pojechał ze mną do Two Mesa, gdzie szalał hazard. Zasugerowałem, że może tam znajdzie odrobinę szczęścia, której tak desperacko potrzebuje. Wiedziałem, że od jakiegoś czasu intensywnie studiuje gry hazardowe i przy całej jego pracy domowej, połączonej z naturalnym szczęściem, może wreszcie mu się udać. Lecz mój prawdziwy motyw leżał zakopany i nieświadomiony, niczym lont z prochem w szybie wiertniczym.

Tak więc pojechaliśmy do Two Mesa, osławionej górskiej wioski składającej się z trzech kultur — Meksykanów, Indian i gringo. Miasteczko zbudowane z gliny i kurzu siedziało przy-

cupnięte pomiędzy dwoma ogromnymi łańcuchami górskimi, tak jak zmęczony wędrowiec może położyć się na puchowej pierzynie. Pełno było w nim artystów, pisarzy; miało też tyłu biznesmenów, ilu można znaleźć wszędzie. Ale miało swój urok i było inne. I po brzegi zapchane stołami do gry w kości.

Wynajęliśmy pokój w zajeździe zbudowanym z stylu pueblo, zaczęliśmy się golić i myć. Zauważyłem, że Big Boy używa starej, zwykłej brzytwy do golenia. Na wpeł zażenowany ogoliłem się elektryczną maszynką, którą Josepha dała mi na Boże Narodzenie.

||g Masz, potrzyj mi — powiedział nagle Big Boy i podał mi skórzany pas; ostrzył na nim brzytwę w tę i z powrotem, wyraźnie rozkoszując się wydawanym przez nią dźwiękiem. Bez wątpienia dokładnie tak samo postępowali przed nim jego ojciec i dziad. On chyba też o nich pomyślał, bo odezwał się: — Wiesz, Pete, w dawnych czasach nie usiłowalibym wyskrobać tych paru dolarów. Znalazlibym drugiego konia, równie dobrego co Stary Kasztan, dla Mony, i obrabowalibyśmy gdzieś bank. W dawnych czasach, jeśli udało ci się obrabować bank i ujsć z tego z życiem, wszystko potem szło już jak z płatka. Jeśli złodziej miał najlepszego konia i znał wzgórze, mógł żyć wolny i swobodny. Mógł osiedlić się w południowej Arizonie albo na tych ogromnych obszarach w Teksasie, czy nawet w Meksyku i nikt nigdy by się o tym nie dowiedział. — Sprawdził ostrość brzytwy i dodał: — Ale gdybym teraz miał obrabować bank, w ciągu pół godziny szukałby mnie każdy stróż prawa w promieniu dwustu mil. Policja stanowa zarządziłaby blokadę dróg. Telefonicznie przekazano by wszędzie moje zdjęcie. Nawet gdyby nie zgarnęli mnie w ciągu pierwszych pani godzin, wezwaliby FBI i szukaliby mnie z samolotami, motocyklami i najszybszymi samochodami. A jeśli to nie załatwiłoby sprawy, wystawiliby Gwardię Narodową, żeby czatowała na mnie za każdym krzakiem w trzech stanach.

— Trzymają cię za gardło — przytaknałem.

— Spójrz tylko na starego Tinkera Gritsa — kontynuował Big Boy; w jego oczach pojawił się ten sam odległy, zamyślony

wyraz, który czasem widać było w oczach Tinkera. — Gdyby udało mu się zrobić ten środek chemiczny do odzyskiwania złota jakieś czterdzieści lat wcześniej, zarobiłby z dziesięć milionów dolarów i nikt by go nie nakrył. Wtedy nie było jeszcze wszystkich tych praw, które zabijają ludzi mających pomysły i odwagę. Do diabła, wtedy człowiek mógł koizystać z odwagi i rozumu i wiedział, że gdzieś tam czeka na niego raj.

— Prawa są potrzebne — wtrąciłem.

— Taak, wiem, ale nie takie błahe, małe, ograniczające cię prawa. — Wyrzwał przez okno w kierunku gór i powtórzył: — Małe, ograniczające cię prawa.

Posypaliśmy się talkiem pod pachami i wyszliśmy trochę się rozejrzeć. Zajazd miał ogromny hol na dole, w którym pełno było dywaników Nawahów, meksykańskich santos i obrazów olejnych. Był tam długi bar, a po prawej stronie od baru znajdował się olbrzymi pokój pełen maszyn do gry, ruletek i stołów do gry w kości. Po jednej stronie, pomiędzy barem a pokojem gier, znajdował się mały parkiet taneczny. Całość była wyraźnie widoczna i łatwo było się do niej dostać z baru. Napiliśmy się po drinku, a Big Boy spytał barmana, kiedy zaczyna się gra. s?ilitr Około ósmej — odrzekł tamten. — Macie jeszcze prawie dwie godziny.

— Chodźmy — mruknął na to Big Boy. — Rozejrzyjmy się po mieście.

Niektóre miejsca były już czynne, więc Big Boy stracił około dwudziestu dolarów. Widziałem, że rozgląda się za czymś, lecz nie miałem pojęcia za czym. Weszliśmy do każdej speluny; potem postanowiliśmy wrócić do naszego zajazdu.

Podczas naszej kilkugodzinnej nieobecności wszystko zmieniło się nie do poznania. Przy barze było tłoczono, stoliki zaś na wpół zapełnione. Słyszałem buczenie, zgrzytanie i szum maszyn do gry. Przy jednym ze stolików siedziało kilka kobiet. Jedną z nich była wysoka blondynka, na oko czterdziesto-, może pięćdziesięcioletnia. Gapiłem się na nią, bo wiedziałem, że czasami widy wałem jej zdjęcie w gazetach. Przez moment zdawało mi się,

że ona także mi się przygląda, lecz, oczywiście, miała oko na Big Boya.

Nie zwracał na nią uwagi, lecz przyglądał się jednemu ze stolików do gry w kości, gdzie rozdawał mężczyzna o twarzy łasicy.

Pochylił się ku mnie i rzekł cicho:

—Posłuchaj, Pete, kiedy podejdziesz do tamtego stolika, pójdz zaraz za mną, stań koło tego małego sukinsyna i gap się na niego tak, jakbyś miał zaraz zastrzelić go dla samej zabawy. Jednocześnie patrz uważnie na mnie i kiedy odsunę kapelusz na tył głowy, przypadkowo wpadnij na gościa tak mocno, żeby dostał zeza.

Zrozumiałeś?

Skinąłem głową.

Napiliśmy się jeszcze po drinku, a potem Big Boy mruknął:

—Teraz.

Podeszliśmy do stolika.

—Jaki jest limit? — spytał rozdającego i jednocześnie wyciągnął z kieszeni ogromny, pomięty zwitek banknotów. — Kupię mojej pani nowy szyb naftowy — dodał i położył na stole żetony za sto dolarów.

Rozdający zerknął na niego i powiedział:

—Powodzenia.

Cóż, przyglądałem mu się natarczywie, lecz cały czas odsuwał mi się z drogi. Big Boy zagrał kilka razy, a ja zacząłem już rozumieć, o co chodzi. Rozdający doszedł do wniosku, że Big Boy jest bogatym nafcierzem i dał mu pierwszy zestaw kości bez piątek i asów. Nie mógł nie trafić. Rozdający zamierzał dać mu wygrywać przez jakiś czas, wprawić go w dobry nastrój, a potem, kiedy zacznie wysoko obstawiać, znowu zamienić kości.

Rozdający był już ugotowany. Jak na razie przestraszyłem go na tyle, że nie próbował zamieniać kości. Big Boy miał diabło ogromną górę żetonów przed sobą. Cały czas dawałem mu znaki, żeby wreszcie skończył, ale nie zwracał na mnie uwagi. Potem zepchnął kapelusz na tył głowy, więc szturchnąłem rozdającego w żebra i złapałem go mocno pod ramię, jakbym wypił w barze o kilka drinków za dużo.

Hej, panie szanowny, jak i ja mogę się dostać na ten pociąg z melasą?

Big Boy opowiedział mi później, co się zdarzyło. Obserwował rozdającego bardzo uważnie i kiedy ten zamienił kości, Big Boy przesunął kapelusz. Kiedy ja wytrąciłem go z równowagi, Big Boy sam zamienił kości — na własny zestaw.

Postawił wszystko na dziesięć i wygrał za trzecim wyrzuceniem. Rozdający wiedział, że jest w pułapce, a na dodatek ma przechlapane u szefa. Złamał mahoniowy kubeczek i powiedział: Gra zamknięta. — Zgromadził się dumek i zaczął robić mu piekło. — Gra skończona — powtórzył, a twarz lśniła mu od potu.

Big Boy zamienił żetony na gotówkę i zabrał ją z sobą do baru.

— Daj wszystkim drinki na mój koszt — powiedział barmanowi.

— Jak myślisz, ile wygraliśmy? — spytałem.

— Nie mam pojęcia. Jakies dwa albo trzy tysiące.

— Na Boga, to całkiem nieźle. Możesz obstawić w całym mieście, a i tak wyjedziesz stąd z dostatecznie dużą ilością gotówki, żeby przekupić partnerów Jima Eda Love'a.

.. — Nie, to już koniec — odparł. — Ten sam człowiek kontroluje hazard w całym mieście i na pewno już się plotka rozeszła. WWk 1111 — mruknąłem.

Wypiliśmy kilka drinków, a potem zauważyłem, że blondynka wstaje i idzie do baru, zostawiając swą nieco pospolitszą w wyglądzie towarzyszkę przy stoliku. Poruszała się jak ryś polujący na tłustego wróbla.

— To twoja szczęśliwa noc, kowboju — powiedziała.

Big Boy spojrział na nią, nie obracając nawet głowy, jak stary, zmęczony pies.

— Każda noc jest dla mnie szczęśliwa.

— Zatańcz ze mną — powiedziała, angażując w to tyle wdzięku* że omal nie zemdląłem, choć dotarło do mnie tylko echo fali uderzeniowej.

— Nie tańczę — rzekł Big Boy i wziął kolejnego drinka.

Widziałem, że blondynkę nieco to zastopowało, ale wygładziła spódnicę w stylu sąaw na zgrabnym ciele modelki i odparła:

— Może wolałbyś zatańczyć z koniem.

Big Boy obrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

— Szanowna pani, mój tato powiedział, że mężczyzna żeni się z kobietą, a nie z koniem, ale zaczynam się zastanawiać, czy to dobry wybór.

Cóż, w tym momencie poszedłem do tamtego stolika i usiadłem przy tej drugiej kobiecie. Wiedziała, że tak naprawdę nie jestem nią wcale zainteresowany, lecz mimo to zachowywała się przyjaźnie.

— Kim jest twoja przyjaciółka? — spytałem, kiwając głową w kierunku baru, gdzie Big Boy i blondynka nadal wiedli dyskurs.

— Jestem jej sekretarką — odrzekła.

— A jaki biznes ona prowadzi? — zapytałem.

Kobieta roześmiała się i odparła:

. — Biznes? Cóż, ona jest dziedziczką.

Wtedy przypomniałem sobie, kto to taki: Sandra Compton, dziedziczka majątku wycenianego na przeszło pięćdziesiąt milionów przesiąkniętych ropą dolarów. Przełknąłem ślinę ze dwa, trzy razy.

— Chyba podoba się jej mój partner.

— Zdaje się, że masz rację — powiedziała.

Zamówiłem dla nas drinki i spytałem:

.. Jak masz na imię?

— Irene.

—fA ja Pete — odrzekłem. — Miło mi cię poznać.

Przyglądałem się, co się dzieje przy barze, i widziałem, że panna Compton nic z Big Boya nie zdoła wycisnąć. Trochę było mi jej szkoda: nie wiedziała, jaką ma konkurencję. Ale mimo to, co by mu zaszkodziło z nią zatańczyć? Do licha, pięćdziesiąt dolarów to kawał forsy.

Nagle Big Boy schwycił ją za łokieć i zaprowadził z powrotem do stolika. Klęła pod nosem i miała szkarłatne plamy na policzkach. Big Boy wpatrywał się w nią twardo, a kiedy spróbowała wstać, siłą przycisnął ją do krzesła.

— Zostań tu, moja droga — powiedział. — I uważaj, co robisz, bo możesz sobie napytać biedy.

Rozpłakała się.

— Chodź, Pete, zmywamy się — dodał Big Boy.

Pożegnałem się z Irene, ale zanim zdążyliśmy wyjść, panna

Compton poderwała się i zaczęła błagać Big Boya:

— Nie odchodź. Proszę. Błagam. Przepraszam. Porozmawiajmy. — Łzy rozmazały jej makijaż.

Big Boy zawirował na pięcie, dał jej kopa w tyłek i wynieśliśmy się stamtąd w diabły. Przez całą noc, w powrotnej drodze do Ragoonu, spodziewałem się zobaczyć jedną z tych blokad dróg, ale nic się nie stało. Może panna dziedziczka lubiła brutalne traktowanie.

Dojechaliśmy do Ragoonu na czas, żeby kupić flaszkę przed zamknięciem barów. Wyszczyliśmy ją prawie do dna, zanim jeszcze zawitaliśmy do Hi Lo. Nie bardzo pamiętam, jak położyłem się do łóżka tamtego ranka, lecz gdzieś koło południa obudziłem się w domu Leviego Gómeza. Odstąpił nam swoje łóżko, a sam przespał się na kanapie. Przygotował też dzbanek kawy i usmażył mnóstwo jajecznic.

Spędziliśmy u niego jakąś godzinę, leżąc kaca czarną kawą, śmiejąc się i opowiadając mu o wyczynach poprzedniej nocy.

Zaczęliśmy się czuć tak dobrze, że Big Boy zaproponował: Chodźmy, chłopcy. Udajmy się całą bandą wiernych do Lollypopa i poddajmy cudownemu aktowi upicia.

— Teraz gadasz jak Tinker Grits — powiedziałem—ale nie mam nic przeciwko.

W barze był już Koniokrad Willy i paru ranczerów. Koniokrad widział, że mamy za sobą rozrywkową noc, i kiedy Big Boy opowiedział mu o naszym ekspresowym wyjeździe z Two Mesa, zrewanżował się nam opowieścią o swoich wyczynach poprzedniej nocy w Ragoonie.

Wyszło na to, że przejechał znak stojący na środku drogi, na którym było napisane: DROGA JEDNOKIERUNKOWA — 15 MIL NA GODZINĘ (nie sądzę, by kiedykolwiek miał samochód, który jechałby więcej).

— Wetknąłem nogę w gaźnik, a z mojego starego forda omal wszystkie śrubki nie wyskoczyły, tak szybko wynosiłem się z Ra- goonu. Miałem jakieś dwie minuty na to, żeby umknąć przed tamtejszym wymiarem sprawiedliwości, a wydałem im jeszcze minutę i pięćdziesiąt jeden sekund reszty! Właściwie nie przekraczałem prędkości, tylko leciałem niebezpiecznie nisko nad ziemią. — W tej chwili stary wariat trzepnął się po drewnianej nodze i wrzasnął: — A co to za miasto, do cholery? Dajcie nam następną kolejkę!

Jakimś cudem zaczęła już krążyć plotka o wygranej Big Boya i do baru zaczęło napływać coraz więcej osób. Nawet ci, którzy mieszkali na wzgórzach za miastem, dowiedzieli się niej w jakiś sposób. Przed zachodem słońca w barze było już pełno. Big Boy nadal stawiał drinki. Zabawa trwała.

— A niech sobie ten cholerny wicher wieje mruknął Koniokrad. — Do szczęścia wystarczy mi tylko klimatyzowany bar, i wszystko.

Zastanawiałem się nad zadzwonieniem do Josephy i ściągnięciem jej tu z Sano, lecz kiedy rozglądałem się za telefonem, nagle w całym barze zapadła cisza. Tłum, który zgromadził się wokół Big Boya, nagle się przeizedził. Widziałem, że jest już mocno pijany.

Zatoczył się do swego pikapa i wyjął coś ze schowka na rękawiczki. Wsadził to coś do wewnętrznej kieszeni kurtki i wrócił do baru. Stał w drzwiach na chwilę, a wiatr wył mu za plecami. Potem zamknął je. Przestraszyłem się.

Podszedł do baru i powiedział cicho:

— Nalej wszystkim.

Lollypop obudził się i zaczął nalewać drinki tak szybko, jak tylko potrafił. Zrozumiałem, że ktoś powiedział coś o Monie, pewnie tylko zwyczajnie napomknął. Nic bezpośredniego. Ale Big Boyowi wystarczyło. Nie wybrał sobie nikogo konkretnie; był wściekły na całą cholerną społeczność.

Wszyscy wypili swoje drinki i jeden po drugim zaczęli przechodzić na drugą stronę ulicy do „Dzikiego Kota”. Big Boy nie rozglądał się na boki.

— Nalej jeszcze raz, Lollypop—rzekł, podsuwając mu pustą szklaneczkę. Ta ostatnia kolejka nie była zbyt duża, bo wtenczas w barze nie było już nikogo poza nim, mną, Levim i Koniokradem.

Już chciałem poprosić go, żeby oddał mi broń, lecz zdecydowałem, że lepiej się nie wychylać, a może mu przejdzie. Niestety tak się nie stało. Po prostu cały czas tankował whisky.

Po jakimś czasie odezwał się:

H Chodźcie, chłopaki, zobaczymy, jak się mają rzeczy na południowej stronie ulicy. Lollypop ma tu całkiem fajną knajpę, ale robię się samotny.

Powlekliśmy się na drugą stronę ulicy, czując, jak alkohol tętni nam między uszami. Jednak bez względu na to, co się stanie, my trzej postanowiliśmy nie zostawiać go samego. Big Boy prowadził. Wszyscy się odwrócili, a Nick Bames stał za barem sztywny, z wytrzeszczonymi oczami.

— Uciekajcie przed wiatrem chłopcy i naoliwcie się nieco— powiedział, lecz w jego głosie brzmiało napięcie.

Big Boy stał w bezruchu przez chwilę i rozglądał się dokoła. Potem sięgnął do kieszeni, wyjął trzydziestkę ósemkę special i położył ją z hukiem na barze.

Mp Drinki na mój koszt dla wszystkich — zarządził. — De zdołają wypić. — A potem wyjął z kieszeni prawie dwa tysiące dolarów. Nick zajął się interesem. Było cicho, z wyjątkiem wycia wiatru na dworze, ciężkich oddechów i stukania szklanek o bar oraz blaty stolików. Byłem już na wielu alkoholowych libacjach w Hi Lo, lecz to była pierwsza, która przypominała pogrzeb, ale bez śpiewów.

Słońce zaszło, wiatr wył po mieście, ciągnąc i gnąc oszołomione drzewa oraz budynki niczym rozmowny duch.

Zobaczyłem, że Lollypop wyłączył światła w swoim barze, pozamykał drzwi i wynosi się z miasteczka. Short McCullough, z drużyny Jima Eda, zaczął się skradać do drzwi. Big Boy zobaczył go w lustrze. Położył dłoń na broni i nie ruszając się nawet, powiedział:

— Shorty, nie skończyłeś jeszcze drinka.

Short stał tam chyba z minutę.

— Masz rację, nie skończyłem — izekł na koniec i wrócił do stolika.

Wiatr przybierał na sile i zagłuszał ciężkie oddechy w barze. Big Boy wypił dwa razy więcej niż wszyscy pozostali; przez cały dzień zamawiał podwójne drinki. Obrócił się z łokciami na barze i nie patrząc na nikogo w szczególności, ani nie mówiąc do nikogo w szczególności, odezwał się tak, jakby mówił do mnie: — Posłuchaj, Pete... Jestem sukinsynem, który potrafi poznać się na kobietach. To dlatego odesłałem do diabła tę dziedziczkę w barze w Two Mesa. Niewielu mężczyzn na świecie potrafi poznać się na kobiecie. Wielu z nich potrafi poznać się na koniach, jeśli idzie

O dobre ścięgna czy wiek, ale człowiek, który naprawdę zna się na koniach, nie musi nawet zaglądać im w zęby. Potrafi rozpoznać starego konika po zapadniętych powiekach, po opadającej dolnej wardze, kościstych kolanach i zapadniętym zadzie. Ale trzeba mistrza, żeby rozpoznał, który koń ma charakter. Niektóre z najlepiej wyglądających koni na świecie nie mają charakteru i zawiodą cię przy pierwszej robocie. Cóż, mężczyzna nie może, rozglądając się za kobietą, patrzeć na jej kościste kolana czy zapadnięty zad. Niby jak? Trzeba zdać się na wyczucie. Dobra kobieta jest jak dobry koń; ma charakter. Weźmy na przykład taką Monę Birk. To piękna kobieta, ale to nie wszystko. Ma w sobie to coś, co ma też twój Stary Kasztan. To konisko może galopować dzień i pół nocy, a potem wierzgnąć tak, że cię zrzuci, lecz kiedy pracujesz przy bydle, wiatr urywa ci łeb, a wściekła krowa właśnie usiłuje uciec w krzaki, Stary Kasztan będzie biegł, zawracał, skręcał i zapracuje się dla ciebie na śmierć, póki mu serce nie pęknie. A Mona... ta Mona, którą wszyscy tak cholernie się tu interesują, będzie dla mnie równie dobrym partnerem co Stary Kasztan, i żadna zgraja tchórzliwych, plotkujących zdrajców mnie przed tym nie powstrzyma. — Odwrócił się, wsadził pistolet i pieniądze z powrotem do kieszeni.—Niech to do was dotrze, dranie! — Potem wstał

I poszedł do pikapa, tylko trochę chwiejnie, i wyjechał z miasteczka drogą prowadzącą na rancho Hoovera Younga.

Wszyscy w barze zaczęli na nowo oddychać i rozmowy rozbrzmiały tak gwałtownie i głośno, że przez moment zagłuszyły nawet skowyt wiatru.

— Tu można było zginać — odezwał się ktoś.

— Taak, niewiele brakowało — mruknąłem do Leviego G6- meza.

Rozdział osiemnasty

W ciągu długich nocy wypełnionych wyciem wiatru rozmyślałem o Monie. Nie powiedziała „Nie”, ale też nie powiedziała „Tak”. Czułem się zbrukany i zawstydzony. Z drugiej strony, gdybym tamtej nocy wszedł na tańce przed Big Boyem, sytuacja mogłaby być teraz dokładnie odwrotna. Chęć spotkania się z nią znów na osobności, stawała się dla mnie z dnia na dzień coraz bardziej nieodparta. Dziwnym trafem to wściekle wietrzys- ko działało mi na nerwy i sprawiało, że byłem na granicy wytrzymałości.

Zacząłem przyjeżdżać codziennie do Hi Lo i rozglądać się za jej samochodem. Przez wiele godzin czekałem w barach i w salonie do gry w bilard, wyglądając jej przez okna. Jeśli zamiastniej widziałem pikapa Big Boya, wyjeżdżałem do Ragoonu. Po prostu nie potrafiłem mu teraz spojrzeć w oczy. Pozwoliłem, żeby robota na rancho poszła w diabły. Po raz pierwszy w życiu piłem i nie sprawiało mi to żadnej przyjemności. Jeździłem w tę i z powrotem nieopodal rancza Jima Eda Love'a w nadziei, że ją spotkam. I przez cały czas czułem się winny, że to robię.

Aż wreszcie, kiedy byłem już przekonany, że zaraz zwariuję i zacznę rozbijać się po kraju, strzelając do kogo popadnie, zobaczyłem jej samochód na drodze. Serce tłukło mi się o żebra i czułem straszne ciśnienie w płucach. Teraz dowiem się prawdy.

Zwolniłem, a potem zobaczyłem, że jest z nią Les. Obleciało mnie zimno, zupełnie tak, jakbym dostał się w podmuch północ-

ziemi.

Bydło było chude i nerwowe, podobnie jak ludzie, którzy się nim zajmowali. Prawdziwe straty nadal nie były zbyt wielkie, lecz wszystko wykończą wiosną potężne zawieje śnieżne. Natura zabawiła się tu w dziwne paradoksy: jeśli dużo śniegu spadnie, kiedy bydło jest chude i słabe, padnie ono z zimna, a jeżeli śnieg w ogóle nie spadnie, wiosenne deszcze zaś będą słabe, krowy zdechną z głodu.

Ludzie usiłowali walczyć, lecz było już raczej za późno. Mieli za sobą parę dobrych lat i większość mogła zaciągnąć długi pod zastaw ziemi. Ja sam zapożyczyłem się ciężko, biorąc pod uwagę rozmiary mego niewielkiego rancza. Zużyłem wszystkie pieniądze na siano sprowadzane z Kolorado i na paszę przywożoną z Teksasu. To utrzymało moje bydło przy życiu. Jednak krążyła przerażająca plotka, że zaciąga się na kolejny rok 1934.

Nadeszła wiosna, a ja wykorzystałem już swój kredyt; siana zostało mi na najbliższe trzy dni. O Hi Lo zapomniałem już dawno temu. Jeździliśmy do miasta tylko wtedy, kiedy było to konieczne, a potem wracaliśmy, żeby na powrót dokarmiać krowy sianem i paszą. Na pastwiskach było tak mało trawy, że krowy stały zbite w małe grupki i odwrócone ogonami do wiatru, czekając tylko na wóz z sianem. Teraz pikap był ich pastwiskiem. Na dźwięk silnika podnosiły głowy i z porykiwaniem kłusowały w jego kierunku na drżących nogach.

nego wiatru. Przejechałem kawałek, zawróciłem i podążyłem za nimi do Hi Lo.

Przejechałem przez miasto bez zatrzymywania i pojechałem na swoje ranczo, gdzie wiatr rozdzierał moje włości dokładnie tak, jak myśli o Monie rozdzierały mi serce. W obu przypadkach najgorsze było jeszcze przede mną.

Nie było sensu temu zaprzeczać: trwała susza. Zimowe wiatry połączone z desperackim wygryzaniem trawy przez stada zostawiły ziemię prawie nagą. Zaledwie dwa czy trzy razy padał śnieg i ta odrobina wilgoci przepadła w kurzu i pyłe wzniesionym przez potężny, nie pochodzący z płuc oddech, który erodował oblicze

Dzień po tym, jak zużyłem ostatnie naręcze siana, zacząłem zastanawiać się, czy nie pójść na kolanach do Jima Eda Love'a, który miał stogi siana długie na dwie przecznice miejskie i pieniądze, żeby kupić jeszcze dziesięć razy tyle. Właśnie rozmyślałem o tym ponuro, kiedy dwie ciężarówki podjechały z warkotem na wzgórze.

Kierowca pierwszej wysiadł i spytał: Pan jesteś Pete West?

— Taak.

— No, to gdzie mamy zwalić to siano?

— Nie rozumiem — odparłem. — Nie zamawiałem żadnego siana. — Spoglądałem na nie z tęsknotą.

— Ale Big Boy Matson zamówił je dla pana — odparł kierowca ze zniecierpliwieniem; chciał jak najszybciej wykonać robotę.

Oszołomiony, wskazałem na miejsce, gdzie stały poprzednie stogi.

— Tam.

Big Boy ocalił mnie na jakiś czas, a jednocześnie odłożył na później swoje plany dotyczące ucieczki z Moną. Kupno tego siana musiało kosztować go dwie trzecie oszczędności. Czułem zimno w żołądku, kiedy dziękowałem przyjacielowi. Chociaż nikt go nie prosił, dał mi coś, co znaczyło dla niego znacznie więcej niż jakiegokolwiek stado bydła. Jego przydomek był w pełni zasłużony.

Mimo wszystkich kłopotów, które spadły na krainę Hi Lo, doroczne rodeo odbyło się jak zaplanowano. Nawet gdyby armia rosyjska stała na granicy z Arizoną przygotowana do ataku, Hi Lo nadal bawiłoby się na rodeo.

O tej porze roku wszyscy mieszkańcy okolicznych bezdroży zjeżdżali się do Hi Lo. Przyjeżdżali poplotkować i opowiedzieć sobie nawzajem o swoich kłopotach; pojawił się Delfino Mondragon, żeby się spić i wzniecić jakąś burdę. Abrahm Frink przypomniał ludziom, że jest dość wredny, by przetrwać bez szkody. Koniokrad miał sędziować, wuj Bob przybył przechwalać się

swoimi psami. A Big Boy i ja chcieliśmy znaleźć się w samym centrum tego wszystkiego.

Jednak tego roku bałem się. Nie był to najlepszy czas dla Big Boya na przebywanie w tłumie. Napięcie zbyt wyraźnie wisiało w powietrzu. Ale oczywiście przyjechaliśmy. Miasteczko pękało w szwach. Na te dwa dni i dwie noce Hi Lo przygarnęło do piersi swych synów i córki. Później znowu wypłuje ich na samotne prerie, żeby walczyli z odwiecznym wrogiem.

Ulice zastawione były samochodami, pikapami, przyczepami na konie i dziećmi. Susza niezbyt im przeszkadzała; największym problemem było zmieszczenie w brzuchach jak największej ilości wody sodowej. Większość młodych mężczyzn i kobiet wypucowała swe korne na wysoki połysk. Na paradę. Potem wyjechali na główną ulicę miasta: kowboje i kowbojki, starzy poganiacze bydła oraz młodzi zapaleńcy, wszyscy łączyli się w tej mieszaninie przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, która teraz wyglądała tak niepewnie. Jednak ci ludzie już raz podbili tę ziemię i zrobią to po raz drugi... kiedy ziemia im na to pozwoli. Więc dosiadali dumnie swych koni, a muskularne zwierzęta poruszały się w dół ulicy niczym namacalne urzeczywistnienie marzeń Big Boya: dawne dni panowania koni wróciły.

Wszyscy naciskaliśmy mocno kapelusze w wysuszającym wszystko wietrze, który gotował kurz na arenie rodeo i przypominał nam o problemach, które staraliśmy się strząsnąć na jakiś czas.

Tłumy wypełniły ławki i pokaz się rozpoczął. Spiker musiał się nieźle nabiedzić, żeby było go słychać, ale nikt się tym nie przejmował. Miejscowi ludzie nie mieli z czego się cieszyć tamtego dnia. Byłem jedynym zawodnikiem, który w miarę się pokazał, a i to dzięki sztuczce.

Koniokrad dał mi lasso zaraz przed tym, jak wjechałem do boks startowego na moim kasztanku. Linka była mocno nawo- skowana, aby przecięła wiatr i poleciała tam, gdzie każą jej moje oczy i ręce. Szybcy profesjonaliści mieli bardzo małą kontrolę

nad linkami w porywistym wietrze, nie trafiali wcale albo mamie zarzucali pętle. Wyjechałem, wsadziłem pętlę na szyję cielaka, pociągnąłem go na ziemię, podbiegłem, przycisnąłem i spętałem. Zajęło mi to osiemnaście sekund, ale i tak zgarnąłem wygraną. Szło mi wolno, lecz bezbłędnie.

Dziki koń Big Boya był niewypałem i zostawił go bez pieniędzy. Ja sam spadłem tuż przed gwizdkiem. Art Logan odegrał się na Big Boyu tego dnia i zgarnął nagrody w ujeżdżaniu dzikich koni zarówno w siodle, jak i na oklep.

A teraz do rzeczy: Little Boy niezbyt lubił rodeo. Tak naprawdę, kowbojskie zajęcia w ogóle nie bardzo mu leżały. Tylko i wyłącznie pod namową Big Boya zapisał się do konkursu ujeżdżania byków. Znacznie bardziej niż preria podobały mu się sale do bilarda w Hi Lo i Ragoonie. Odziedziczył tę skłonność po którymś z przodków, o którym Big Boy nigdy nie wspominał. Rozumiałem, jak się Little Boy czuje, bo sam bardzo lubiłem łapanie cielaków na łąso, Big Boy zaś od lat namawiał mnie na ujeżdżanie dzikich koni. Jedyne, co na tym zyskałem, to złamana noga i mnóstwo siniaków.

Big Boy wylosował byka, na którym nikt nie jeździł od dwudziestu siedmiu prób, i spadł na arenę, zanim jeszcze na dobre się na niej znalazł.

Potem była kolej jego brata. Big Boy był z nim, pomagał mu przywiązać się mocno do byka, dawał mu ostatnie wskazówki i nawet otworzył mu bramkę. Wążąca tonę bestia wypadła na zewnątrz, a białą skórę miała mniej więcej w tym samym odcieniu, co Little Boy twarz. Byk skoczył w górę, okręcił się wkoło i spadł na ziemię z tak grzmiącym skrzętem, że Little Boy wyleciał na ziemię jak z procy.

Byk pochylił głowę i zaczął go turbować. Kłown usiłował odwrócić jego uwagę, lecz kurz był zbyt gęsty i zwierzę go zignorowało. Big Boy wyskoczył tuż przed byka, rąbnął go między rogi i wrzasnął:

— Haa! Ty sukinsynu! Haa!

Byk runął na niego, a Big Boy skoczył na bramkę boksu

startowego, lecz zwierzę dopadło go, rozrywając rogami jego prawą nogę po obu stronach, po czym przerzuciło go przez płot, do boksu. Kiedy byk się odwrócił, wreszcie kłownowi udało się przyciągnąć jego uwagę i odciągnąć go od bezwładnego ciała Little Boya, który uratował życie i uchronił się przed poważnym poturbowaniem dzięki temu, że pozostał w bezruchu na ziemi i dzięki Big Boyowi, który zaryzykował własne życie w tej jednej, krytycznej sekundzie. Little Boy miał kilka siniaków, ale to wszystko. Jeszcze pięć sekund, a nie byłoby co po nim zbierać.

Tamtej nocy zostaliśmy wraz z Big Boyem u Leviego. Little Boy miał inne rzeczy do roboty. Big Boy przez cały wieczór smarował sobie nogę jakimś mazidłem, bo była w paskudnym stanie, całe miasteczko zaś upijało się w trupa. Następnego dnia ledwie mógł chodzić, nie wspominając już o dosiadanu konia.

Wygrałem o sekundę w pętaniu cieląt i miałem najlepszą średnią z dwóch dni. Potem nadszedł czas na moje ujeżdżanie dzikich koni na oklep. Big Boy stał tuż obok mnie i poprawiał mi samopoczucie. Wylosowałem małego, złośliwego konia o imieniu Brudne Gatki—tego samego, który trzy lata wcześniej złamał mi nogę. Chciałem się wycofać, ale oczywiście nie mogłem tego zrobić. Bałem się; byłem śmiertelnie przerażony.

— Pete West w boksie startowym numer jeden — rozległ się głos spikera w głośnikach nad areną.

Nacisnąłem kapelusz na uszy i powoli podszedłem do boksu. Wiedziałem, że zasady ujeżdżania dzikich koni na oklep są jasne: „Jeździec musi być przygotowany do jazdy, kiedy nadejdzie jego kolej, albo zostanie zdyskwalifikowany”. Cóż, bardziej gotowy nie będę już nigdy.

— Nie myśl o tej nodze — powiedział mi Big Boy. — Ten stary konik będzie brykał, ale i tak zgarniesz pieniądze.

Wolałbym, żeby trzymał głowę na kłódkę. Wtedy, może, nie pomyślałbym o tej mojej nodze. Wiedziałem jednak, że to nie tak. Znałem ten strach od wielu lat — nie tylko poczucie chłodu w żołądku, lecz zwyczajną panikę.

Spojrzałem bez sympatii na Brudne Gatki; mały czarny wa

łach stał w boksie z nisko opuszczoną głową. Nie wyglądał na najpaskudniej wierzgającego zwierza w powiecie Hi Lo, lecz był nim.

Sprawdziłem pasy, które Big Boy zapiął koniowi pod brzuchem. Wszystko było przygotowane. Reszta zależała tylko ode mnie.

Wdrapałem się na boks i stanąłem w rozkroku nad niedużym karoszem z nogami nadal wczepionymi w deski boksu. Spojrzałem na małą obrozę z mocnej skóry przymocowaną na pasie biegnącym dokoła klatki piersiowej zwierzęcia — miejsce na tylko jedną rękę.

Strasznie to się różniło od tego, jak dosiadałem dzikich koni na prerii. Wtedy miało się tyle czasu na osiodłanie konia, ile dusza zapagnie, i wsi adało się dopiero wtedy, gdy zwierzak był solidnie przywiązany do palika pośrodku zagrody. Nie było też wokół wszystkich tych ludzi — mężczyzn, kobiet i dzieci — którzy zapłacili Ciężkie pieniądze, żeby obejrzeć twoją porażkę, a może i śmierć.

Nacisnąłem kapelusz na Uszy, poprawiłem pasek u spodni i powoli opuściłem się na grzbiet Brudnych Gatek. Wsunąłem lewą dłoń w uchwyt i mruknąłem:

r— I co, draniu, tym razem złamiesz mi drugą nogę?

Wyszczrzyłem zęby do Big Boya, kiedy to mówiłem, ale w środku czułem oszałamiający strach i słabość, które sprawiły, że byłem jak wąty krzak pod naporem wichury. Gdybym wylosował jakiegokolwiek innego konia, wszystko byłoby dobrze, ale nie — musiałem wyciągnąć jedyne zwierzę, którego naprawdę się bałem: stare Brudne Gatki. W ciągu ostatnich siedemnastu prób tylko jeden jeździec dojechał do gwizdka — i był to Art Logan, jeden z najlepszych.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałem na rodeo i zacząłem brać udział w pokazach, zupełnie się nie bałem. Czułem tylko podniecenie, z którym nic na ziemi nie może się równać. Człowiek i koń byli wrogami na tej arenie. Człowiek miał za zadanie twardo siedzieć na grzbiecie konia, który wierzgał, kopał, kąsał, rzucał się i robił wszystko, żeby pozbyć się przeciwnika z grzbietu.

We wczesnych dniach moich popisów na rodeo, nawet kiedy już dość zmadrzałem, żeby zacząć się bać, zarabiałem całkiem sporo pieniędzy. Big Boy powiedział mi, jakie pieniądze zarabiają najlepsi, więc ciągnąłem to.

Choć słyszałem, że spiker coś mówi, nie słuchałem go. Staralem się przełożyć ciężar całego ciała jak najbardziej z przodu, przy lewej ręce. Poczulem, że Brudne Gatki drgnąły pod mną—dziewięćset funtów podskakującej śmierci.

Potem otworzono boks startowy i pokaz się zaczął. Zasady mówią—ażeby dostać pieniądze, trzeba grać zgodnie z zasadami — jeździec musi uderzyć konia ostrogami wysoko po łopatkach zaraz przy pierwszym skoku po opuszczeniu boksu startowego, a potem spinać ostrogami jego boki i barki. Jedna ręka musi być uniesiona wysoko w powietrze i ani razu nie może dotknąć zwierzęcia. Jeździec musi zostać na koniu przez osiem sekund". Najdłuższe osiem sekund w życiu człowieka na pokładzie.

Przyglądałem się wyleniałej grzywie Brudnych Gatek w miejscu, w którym schodziła na paskudny, poznaczony szramami łeb. Wiedziałem, że planuje wyrzucić mnie jak najwyżej w powietrze, a potem kopać ile wlezie, póki nie spadnę na ziemię. W tej chwili wolałbym być na moim ranczu i robić cokolwiek — nawet budować płot albo reperować wiatrak. Po prostu cokolwiek.

Dłoń w uchwycie miałem już mokrą od potu. Czułem, jak wnętrzności przewracają mi się w środku, oczy zaś zamglily mi się tak, że nie widziałem nic poza wąskim, drewnianym boksem i czarnym, kościstym grzbietem konia pod mną. Poczulem skurcz w żołądku. Przełknąłem ślinę i krtań nagle mi się zacisnęła. Serce waliło jak młotem i zdawało mi się, że krew mam tak gęstą, iż nie chce w ogóle płynąć. Naciągnąłem ponownie kapelusz i dałem znak Big Boyowi.

No i proszę otwartą przestrzeń przed nami. Teraz było już za późno, żeby się wycofać. Ta jedna sekunda, w której Brudne Gatki machnął szyją i łbem, a potem opuścił ziemię, wydawała mi się wiecznością. Stare przyzwyczajenie, żeby spiąć konia ostrogami, zadziało i uniosłem nogi. Rąbnąłem go nimi dokład

nie w tej samej chwili, gdy koń spadł z powrotem na ziemię. Przynajmniej nie straciłem równowagi. Wielu dobrych jeźdźców spada przy pierwszym skoku, nawet jeśli z przyzwyczajenia trzyma się przez parę następnych.

Poczułem, jak całym ciałem zawisam na lewej ręce, która była wczepiona pod skórzany pas. Mięśnie się naciągnęły, łokieć odgiął się w tył tak mocno, jak to tylko możliwe, a ja znowu spiąłem bydlę ostrogami, zanim po raz drugi wystrzeliliśmy w powietrze. Po drugim skoku moje wnętrzności tak się zakotłowały, że poczułem tępy ból od czaszki po palce u nóg.

Potem Brudne Gatki zaparował i zawirował prosto w kierunku boksu startowego. Poczułem, jak moment siły ciągnie mnie za jego prawy bok; musiałem mocno zacisnąć prawą rękę, żeby nie użyć jej do odzyskania równowagi. Nie widziałem przed sobą już nic poza wściekle falującą czarną grzywą.

Brudne Gatki znowu się obrócił, a za każdym razem, gdy spadał na ziemię, jego kopyta głębiej wgryzały się w piach na arenie. Dokoła nas kotłował się tuman kurzu. Moja głowa strzelała w przód i w tył, a kapelusz spadł jak pocisk. Zacisnąłem kolana, lecz piętami pracowałem w tę i z powrotem od barków do boków konia. Muzykę ostróg słyszeli pewnie wszyscy na widowni — poza mną.

Potem poczułem to — długi skok i rozrywający plecy skręt, który strząsnął więcej jeźdźców niż jakikolwiek inny. Całe moje ciało trzasnęło niczym bat i wykrzychałem stary kowbojski okrzyk w wycie wiatru. Stare Brudne Gatki pokazał już wszystko, co potrafił.

Od tej chwili jechałem już swobodnie i pewnie, z idealną równowagą, a każdy podskok sprawiał mi więcej rozkoszy niż bólu. Kiedy ponownie zanurzyłem ostrogi w końskim boku, usłyszałem gwizdek oznaczający koniec ośmiu sekund.

Zanim dwóch jeźdźców zdążyło podjechać i ściągnąć mnie z konia, zeskoczyłem sam.

Big Boy wybiegł mi na spotkanie, kulejąc jak nieszczęście, prawie ciągnąc jedną nogę za sobą.

— Doskonale, stary! — krzyczał. — Chciałem, żebyś tak właśnie pojechał!

Nie potrafiłem mu wtedy tego powiedzieć, ale to był koniec. Ta jazda była moją łabędzią pieśnią. Nigdy, do końca życia, nie wsiądę więcej na oklep na dzikiego konia i nikt, nawet Big Boy Matson mnie do tego nie namówi.

Rozdział dziewiętnasty

Byłem zdziwiony i niezbyt zachwycony, kiedy później Big Boy zaproponował: — Chodźmy na tańce.

Levi kupił sobie flaszkę i właśnie był w jej połowie.

— Jestem gotowy — powiedział, po czym wsadził sobie do kieszeni ze trzy stopy łańcucha grubego na pół cala.

— Po co to robisz? — spytałem.

— Ci dranie, którzy ostatnim razem wdeptali mi łeb w żwir, pewnie tam będą i nie chcę ryzykować.

Spojrzałem na Big Boya, który wyraźnie oszczędzał poturbowaną nogę; zeszywniała mu i bardzo bolała.

— Nie możesz tańczyć z tą nogą. — Ale mogę się przyglądać — odparł. Z na wpół pijanym Levim i na wpół okulawionym Big Boyem nie nadawaliśmy się do bitki, a byłem pewien, że jakaś sposobność się nadarzy, jeśli tylko wejdziemy do sali gimnastycznej liceum. Mimo to poszliśmy.

Sala pękała w szwach. Nie była zbyt duża, lecz aby ją zapełnić, trzeba było zgromadzić prawie wszystkich mieszkańców powiatu HiLo.

Rozejrzałem się dokoła, aby przekonać się, czy nie ma tu Mony. Choć chciałem ją zobaczyć, ulżyło mi, gdy nigdzie jej nie wypatrzyłem. Jeśli nasze szczęście się utrzyma, ominiemy kłopoty. Muzyka stawała się coraz szybsza, a tancerze coraz bardziej

pijani, Levi Gómez zaś zaczął wpadać w trans. Jakieś osiemnaście cali jego łańcucha wisiało mu z kieszeni i kiedy obracał swą partnerką po parkiecie, machało za nim niczym ogon konia pracującego przy bydle.

Potem do sali weszła Josepha z ojcem. Przełknąłem ślinę i poczułem, jak serce we mnie zamiera z poczucia winy. Podeszli prosto do miejsca, w którym wraz z Big Boyem podpierałismy ścianę. Nie pozostało mi nic, jak tylko poprosić ją do tańca. Jej ojciec był dla mnie tak miły, że to aż bolało.

Przysunęła się do mnie blisko i zdawało się, że muzyka zwolniła tempo. Kiedy okrążyliśmy parkiet, jej ciepło podziało na mnie i wreszcie zdołałem się odezwać.

Co u ciebie słychać?

— Wszystko w porządku, jak mi się zdaje—odpowiedziała. —| Miałam nadzieję, że podjedziesz i weźmiesz mnie na tańce. — Uniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

Chciałem, ale Big Boy nieźle oberwał i nie sądziłem, że w ogóle tu przyjdziemy. Poza tym, wiesz przecież, jaką mamy pogodę. Nie myślałem, że będzie ci się chciało jechać tu aż z Sano.

Wiedziałem, jak kulawo to brzmi i że zupełnie nie dała się nabrać.

Potem stało się to, o co się modliłem. Weszła Mona. Weszła na środek parkietu, a za nią podążył jej mąż i z pół tuzina kowbojów Jima Eda Love' a. Zobaczyłem wyraz zdumienia na jej twarzy, kiedy zauważyła Big Boya. Pewnie myślała, że zraniona noga powstrzyma go przed przyjściem tutaj.

Zatrzymałem się w miejscu, a Josepha powiedziała:

— Daj spokój; możesz z nią później zatańczyć.

Nie odpowiedziałem jej nic poza krótkim „Dzięki”, po czym odprowadziłem ją na miejsce. Potem podszedłem do Big Boya. Ogarnęło mnie to samo lodowate uczucie, co wcześniej, kiedy gramoliłem się na grzbiet Brudnych Gatek.

Les tańczył z Moną i zupełnie nie rozglądał się na boki. Big Boy tylko stał tam z papierosem zwisającym z kącika ust i przyglądał im się. Nic szczególnego nie odbijało się na jego twarzy.

Przypominała białego ducha w kontraście ze spalonymi słońcem twarzami pozostałych.

Tłum się rozluźnił, a kiedy muzyka przybrała na tempie, kilku kowbojów zaczęło pohukiwać radośnie. Coraz to inni tańczyli z Moną. Najwyraźniej przetańczy całą noc. Odwróciłem się do Big Boya i rzekłem: — Może przejdziemy się do Lollypopa na parę drinków? r^- W pikapie jest butelka — odparł, a jego błękitne oczy ani na chwilę nie odrywały się od Mony.

Ja też na nią patrzyłem i znowu ogarnęło mnie to znane poczucie pustki. Do diabła z nią, pomyślałem. Może pod całą tą łagodnością, opanowaniem i odwagą, jest jednak suką. Ostrą, knującą, małostkową suką. Tak naprawdę wcale jej nie znałem. Nie miałem żadnego powodu, żeby czuć tę gryzącą zazdrość. Jeśli może zdradzać Les a, to z pewnością może też zdradzać każdego mężczyznę. Przypomniałem sobie meksykańskie przysłowie: Dios que nos ayude eon los serios (Bóg pomaga cichym). Wiedziałem jednak, że się mylę. Byłaby wierna, gdyby mężczyzną miał być Big Boy.

Zobaczyłem, jak opuszcza towarzystwo kowbojów Love'a i idzie do toalety, która znajdowała się po drugiej stronie sali. Nagle Big Boy zaczął iść przez parkiet, z trudem utrzymując się na jednej zdrowej nodze. Przepychał się przez tańczących i niemal brutalnie roztrzącał ich na boki. Nie wzbudzałby większego zainteresowania, nawet gdyby jechał na indyjskim byku.

Podszedł do Mony. Zatrzymała się i przez chwilę rozmawiali cicho. Spojrzała przez salę ku swej grupce, lecz szybko podjęła decyzję i poddała się ramionom Big Boya. Mimo jego kulawego kroku widać było, że pasują do siebie niczym dobrze rzucone lasso i szyja cielaka. Bolała mnie ta część mego serca, która należała do niej, i ta część sumienia, która była wierna Big Boyowi. Bolało jak cholera.

Little Boy podszedł i stanął obok mnie. -r— Boże wsze'mogący — powiedział, niczym echo swego brata. — On da się kiedyś zabić, to jasne jak słońce.

Nerwy zaczęły mi drgać, a oddech ugrzązał w piersi. Zwariowany sukinsyn, pomyślałem. Tym razem po prostu się prosi. Musiało to się stać prędzej czy później, lecz w tej konkretnej chwili zupełnie nie nadawał się do pokazówki. Rozejrzałem się, aby się przekonać, na czyją pomoc możemy liczyć. Jedyńm przyjacielem, którego zauważyłem, był Koniokrad Willy, stojący po przeciwnej stronie sali gimnastycznej i opowiadający komuś mocno naciąganą historyjkę. Delfino Mondragon tańczył i robił dokoła zamieszanie, lecz był zbyt pijany, żeby się na cokolwiek przydać. Niewiele, jeśli chodzi o przyjacielskie oddziały.

Piosenka była długa. Kiedy się skończyła. Big Boy znajdował się jakieś dwadzieścia stóp od tłumku z rancza Love'a. Levi stał prawie przed nimi, a ja i Little Boy mniej więcej w połowie drogi.

Kiedy muzyka umilkła, zerknąłem na Lesa i zobaczyłem, że sięga pod koszulę. Wiedziałem, że wyciąga broń, lecz nie mogłem oderwać wzroku od jego twarzy. Nienawiść była na niej wyraźnie widoczna, niby tatuaż. Potem ktoś wrzasnął przeraźliwie; to był głos Leviego. fgEjk Big Boy! Uważaj!

Jego ramię wystrzeliło w górę, a metalowy łańcuch zakreślił okrutne półkole w powietrzu. Pistolet wystrzelił dokładnie w tej samej chwili, w której łańcuch rąbnał Lesa w rękę, i kula trafiła w podłogę. Gdyby na sali wybuchło dwadzieścia ton dynamitu, nie wzbudziłoby większego zamieszania, niż ten wystrzał z pistoletu kaliber czterdzieści cztery. Wszyscy zamarli z uniesionymi głowami i rozbieranymi oczyma. Broń upadła na podłogę i prześlizgnęła się po niej w moją stronę. Kiedy ją podnosiłem, uświadomiłem sobie, że nie uczyniłem nic, żeby powstrzymać Lesa, podobnie zresztą jak Little Boy.

Czy aż tak bardzo chciałem, żeby ktoś inny odwalił za mnie brudną robotę? Jak, na rany Chrystusa i moce piekielne, może człowiek lubić, nieomal kochać, drugiego faceta, a jednak nadal życzyć mu śmierci — a wszystko z powodu kobiety, której prawie... prawie zupełnie nie zna? Jednak jedna rzecz była stu-

Nieomal usłyszałem chrzęst stawów i mięśni Big Boya, które zaczynają pracować w odwrotnym kierunku. Przez długą chwilę patrzył na Monę, po czym puścił jej męża na podłogę, gdzie ten opadł bezwładnie i zgiął się w pół. Potem noga załamała się pod Big Boyem i opadł na zdrowe kolano.

procentowo pewna: miała nade mną znacznie większą władzę niż jakakolwiek przyjaźń.

Potem Big Boy zdał sobie w pełni sprawę z tego, co się stało, i z dzikim tykiem zaszarżował. Na to przyłączyli się chłopcy z rancza Love'a oraz wielu innych. Mężczyźni odskakiwali na boki niczym owce rozpędzane przez wściekłego psa: mroczna, koszmarna wściekłość Big Boya Matsona rozrzucała ich niczym kruche drzazgi.

Wystrzelałem cały magazynek z mojego pistoletu w powietrze, po czym skoczyłem w sam środek ścisku. Oczyszcziłem sobie drogę, tłukąc kolbą broni i czułem, jak kości kruszą się pod naporem stali.

Big Boy zupełnie zapomniał o uszkodzonej nodze, kiedy tak łamał szczęki i rozcinał ciało na kościach policzkowych. Jego potężne ramiona i ręce pracowały z ogromną i prymitywną siłą neandertalczyka.

Niezliczone ramiona zamknęły się wokół nas i zaczęły dusić. Upadłem i zaliczyłem mnóstwo kopniaków w żebra i głowę.

Po pewnym czasie nacisk zmalał. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Le viego, który wciąż machał swoim łańcuchem. Wszyscy cofali się przed świszczącą stalą, aż utworzył się duży krąg. Big Boy stał sam, dyszał ciężko, koszulę miał podartą, a oczy nabiegłe krwią, jednak w jego przemocy kryła się radość. Sięgnął w dół i schwycił Lesa Birka w chwili, kiedy ten usiłował się podnieść na kolana, i rąbnął go solidnie w bok twarzy. Głowa Lesa odskoczyła, a Big Boy podniósł rękę i napiął mięśnie, przygotowując się do ostatecznego ciosu, który złamałby tamtemu kark. Zaraz potem salę przeszył krzyk Mony, która uczepiła się uniesionego ramienia Big Boya. — Nie! Nie!

Pośród jego wrogów rozległ się cichy szmer, który szybko zamarł, kiedy tylko Levi potrząsnął swym łańcuchem. Podniosłem Big Boya i zarzuciłem sobie jego rękę na barki. Levi pomógł się nam dostać do drzwi. Tłumek cofnął się i utworzył dla nas szeroki szpaler.

Kiedy przechodziliśmy obok Little Boya, który stał blady i nie poruszył się ani razu w ciągu całej walki, Big By odezwał się: — A gdzie ty byłeś, kiedy to się rozpętało? Little Boy spuścił wzrok, lecz nie cofnął się. Wyprowadziłem przyjaciela na porywisty wiatr.

Rozdział dwudziesty

Cóż, w końcu nadszedł dzień, kiedy spotkaliśmy się wszyscy czworo. Kiedy teraz o tym myślę, nie potrafię przypomnieć sobie, jak do tego doszło, ale pamiętam ten dzień równie jasno i wyraźnie, jak ładną pogodę.

Spotkaliśmy się na niewielkiej równinie na krawędzi głębokiego kanionu, kilka mil za Hi Lo. Bez względu na wszystko, taka majówka była cholernie ryzykowna. Gdyby Les Birk był dość podejrzliwy, żeby pojechać za Moną, nasz piknik zamieniłby się w istną walkę i wiele krwi wsiąkłoby w piasek.

Mona przyniosła sałatkę z ziemniaków i faszerowane jajka; Josepha pieczonego kurczaka i ciasto czekoladowe. Big Boy i ja zapewniliśmy piwo oraz whisky. Było tu miło i prawie bez wiatru. Mówię „prawie”, bo w tej krainie nigdy nie można do końca przed nim uciec. Udało nam się jednak znaleźć małą kępkę trawy, na której rozłożyliśmy koc i jedzenie.

Jedliśmy. Piliśmy. I rozmawialiśmy.

— Masz śliczną sukienkę, Mono—odezwała się Josepha. — Sama ją uszyłaś?

— Tak. Własnoręcznie.

Zastanawiałem się, po kiego licha włożyła sukienkę na wyciecz-

kę na wzgórze. Josepha miała na sobie spodnie i męską koszulę, a jednak wyglądała szalenie kobieco.

— Lubię szyć — kontynuowała Josepha — ale nie jestem w tym za dobra.

— Wszystko zajmuje wiele czasu—odparła Mona i położyła rękę na ramieniu Big Boya, lecz co dziwne, popatrzyła na mnie tym samym łagodnym wzrokiem, który wstrząsnął mną tamtego dnia w motelu.

Pociągnąłem spory łyk Old Crow. .----■ Nie bądź taki łąpczywy — upomniał mnie Big Boy. — Dopusć mnie do tej whisky, zanim całą wychleptasz.

Przechylił butelkę.

— A jak dzieci? — spytała Josepha.

Mona zerknęła na nią szybko, po czym odpowiedziała bez żadnego wyrazu: Jak to dzieci.

Dziwna to była odpowiedź. Dopiero później zrozumiałem, że Josepha wykonała swój ruch. Za wszystkim, co mówiła, czaił się jakiś powód, a każde słowo było skierowane do mnie. Jednakże wtedy byłem ślepy niczym sowa w blasku dnia.

Dziewczeta piły piwo, podczas gdy ja wraz z Big Boyem opróżniliśmy jedną butelkę whisky i zabraliśmy się do drugiej. Słoneczko świeciło. Wiatr szumiał wokoło. Mona się odprężyła i zaczęła pić z nami whisky. Josepha została przy piwie.

Potem Mona spojrzała na mnie i rzekła:

— I cóż, Pete, kiedy to zamierzacie się pobrać? — Nie zerknęła nawet na Josephę.

Strasznie mnie to zbiło z tropu, więc ledwie zdołałem wyjąkać: £ Ja... ja... nie wiem. Może ona mnie nie zechce.

— Oj, podejrzewam, że zechce—odparła Mona i nie sposób było nie dosłyszeć nie wypowiedzianych słów: ale czy ty ją zechcesz? Spojrzałem na Josephę i zrobiło mi się wstyd. Potem jednak doszedłem do wniosku, że do diabła, to tylko wpływ whisky. Josepha nic nie powiedziała, tylko siedziała wyprostowana i uśmiechała się.

Big Boy podał mi butelkę.

— Coś wam powiem—odezwał się.—Już całkiem niedługo urządzimy sobie podwójne weselisko, na które zatrudnimy cały szczerp wojowników Apaczów, żeby nam przygrywali i przyśpiewywali do tańca.

— Chyba bardziej będą nam potrzebni do ochrony — wtrąciła Mona.

Nagle poczułem się strasznie trzeźwy i podskoczywszy na nogi, schwyciłem Josephę za rękę.

—i Chodź, Big Boyu! ^ wrzasnałem. — Zaśpiewaj nam pieśń Apaczów! Tańce zaczynamy już dziś.

Machnął butelką w powietrze i zaśpiewał. Może i była to indiańska piosenka, lecz nie miałem pojęcia, który szczerp by ją zrozumiał.

Josepha przyłączyła się do niego i zaczęliśmy podskakiwać, pokrzykiwać i ogólnie dobrze się bawić.

Whisky zaczęła działać. Potknąłem się i złapałem Josephę, więc upadliśmy na ziemię ze śmiechem.

Przeturlałem się po niej i pocałowałem mocno.

— Nie, nie tu. Proszę. Później — szepnęła.

Leżałem obok niej i łapałem oddech z zamkniętymi oczyma. Słońce grzało mnie w twarz, czułem ziemię pod sobą i Josephę obok... to było miłe.

Big Boy milczał. Odwróciłem się nieco, żeby zobaczyć, co robią. Nie powinienem był tego robić. Całe przeznaczenie człowieka może być zdeterminowane takim drobnym ruchem.

Leżał na Monie z twarzą przyciśniętą do jej szyi. Sukienka podjechała jej wysoko na nagich udach. Stare pożądanie i ból przetoczyły się przez moje ciało. Musiałem powstrzymać się z całej siły, żeby nie wrzasnąć. Moje serce waliło przyciśnięte do ziemi, lecz zdawało mi się, że czuję uderzenia serca bijącego tysiące mil w głębi ziemi ojej twardą skorupę.

Josepha usiadła nagle i spojrzała na mnie z góry.

Odwróciłem się i mruknąłem, jak skończony idiota:

— Cześć.

— Pete — odezwała się, ciągnąc mnie za rękę. — Jest już prawie ciemno. Chodźmy zobaczyć się z Meesą, czarownicą.

— Co takiego?

— Chodźmy. Proszę. Będzie fajnie.

. — Ale ja nie chcę znać swojej przyszłości. Ledwie mogę znieść teraźniejszość. Ale jeżeli chcesz, jestem gotów. Hej, Big Boyu — krzyknąłem, nie odwracając się. — Josepha chce, żeby ktoś przepowiedział nam przyszłość. Chcesz pojechać z nami?

— Pewnie, że tak — odpowiedział. — Chcę, żeby ktoś przyrządził mi miksturę na moich wrogów. Do diabła, Mono, może uda nam się zdobyć świństwo, które by sprawiło, że twój mąż rozpuści się i spłynie wraz z Rio Grandę do Meksyku.

— Dobry pomysł — powiedziała, poprawiła włosy i obciągnęła sukienkę. Musiałem na nią spojrzeć. Mona pojechała z Big Boyem swoim samochodem, a ja i Josepha podążyliśmy za nimi w moim pikapie. Kiedy dojechaliśmy z powrotem do drogi wiodącej do Sano, było już ciemno. Cieszyłem się z tego. Wszyscy byliśmy już mocno pijani, z wyjątkiem Josephy.

— Masz, napij się trochę — powiedziałem i podałem jej butelkę; pociągnęła z niej niewielki łyk, bardziej po to, żeby mi sprawić przyjemność niż cokolwiek innego.

— Pete — odezwała się. — Jest coś, co muszę wiedzieć już teraz.

O co chodzi, słonko?

— Czy ty jesteś zakochany w Monie?

Nigdy nie dowie się, co w tej chwili zrobiły moje wnętrzności, lecz udało mi się zerknąć na nią i odpowiedzieć:

— O co ci chodzi? Ona jest kobietą Big Boya.

— Nie odpowiedziałeś na pytanie — rzekła. Jej czarne oczy były wlepione we mnie; nawet nie mrugała powiekami.

— Prawdę mówiąc, wcale jej nie znam — odparłem. — Widuję ją raz, może dwa razy w roku na jakichś potańcówkach, i czasem kiedy przyjeżdża do miasteczka.

Odczekała minutę i powiedziała:

— Jeżeli nie odpowiesz mi, Pete, będę zmuszona powiedzieć ci o czymś. Możesz pomyśleć sobie, że chwytam się tanich

sposobów, że jestem złośliwa, cokolwiek tylko chcesz, ale kocham cię i równie dobrze mogę ci wszystko wygarnąć. Bardzo długo czekałam na ciebie... takiego, jaki jesteś. Ale teraz chcę wiedzieć, na czym stoję. Mona jest tylko tanią eks-prostytutką i największą kłamczuchą w powiecie Hi Lo.

— Omal jej nie uderzyłem, ale zdołałem się powstrzymać.

— Co u licha? Jesteś o nią zazdrosna? O to chodzi?

— Oczywiście, że jestem — odparła. — Jeżeli chodzi o ciebie, to tak. Posłuchaj mnie uważnie, Pete. Pamiętasz, jak spytałam ją, czy sama uszyła tę sukienkę?

— Taak.

•— Otóż nie uszyła jej. To kłamstwo... małe, bo małe, ale jednak kłamstwo. Ponad rok temu powiedziała mi, że kupiła tę sukienkę w Ragoonie. I jeszcze jedno: czy zwróciłeś uwagę, jak ona mówi o dzieciach? Ona wcale ich nie kocha.

— Och, przestań, na miłość boską!

§# Nie widzisz, jaka z niej kłamczucha?! Big Boy myśli, że ona będzie jego żoną, że będzie mu szyć, gotować, zajmować się dziećmi, prasować i że stworzy mu dom. Do diabła, ona kręci się dokoła niego, bo dopisuje mu szczęście w kartach i pewnego dnia będzie miał największe ranczo w okolicy. A jeśli coś pójdzie nie tak, trzyma ciebie w odwodzie.

Wepchnąłem szyjkę butelki do ust, zanim zdołałem powiedzieć coś, czego mógłbym potem pożałować.

— Posłuchaj, Pete, i to posłuchaj uważnie. Sprawdziłam tę dziewczynę przez znajomych w Ragoonie, którzy mają znajomych w Denver. Tam właśnie poznał ją Les Birk. Przekonał ją, że jest bogatym ranczerem, i wyszła za niego za mąż, a zanim zorientowała się, że jest inaczej, była już w ciąży. Teraz chce się wydostać z tej sytuacji, a ty i Big Boy jesteście dwoma dobrymi rozwiązaniami. Ona miała więcej facetów niż suka pcheł. Och, wy głupie, napalone kowboje! — Oddychała z trudem. — Cóż... teraz możesz dać mi się napić. Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia na jej temat, a ty jesteś jedyną osobą, która musi to usłyszeć. Big Boy mnie nie interesuje. Możliwe, że życie

ułoży się im całkiem nieźle. Ale jeśli ja mam przegrać, to chcę, żebyś przynajmniej znał całą prawdę o kobiecie, która wygrywa.

Oboje napiliśmy się po sporym łyku. Może to ułatwiło mi odcięcie się od tego, co powiedziała. Sam nie wiem. Zobaczyłem światła samochodu przed nami; Big Boy i Mona byli już w chacie Meesy.

Zacząłem już myśleć, że Josepha ma przecucie, iż czarownica zdoła odkryć coś o Monie, co poprze jej oskarżenia.

— Jakie sztuczki robi ta kobieta? —r spytałem.

— Może ci powiedzieć prawie wszystko, co chcesz wiedzieć. O wszystkich.

— I co jeszcze?

— Cóż, widziałam, jak ułatwia poród dzięki miksturze złożonej głównie z jajek i cebuli. Łagodzi to ból i wyciąga dziecko.

— Ja nie jestem w ciąży—mruknąłem.—Czy potrafi leczyć kaca?

— O, to jest wyjątkowo łatwe dla Meesy. Znowu używa jajek. Po prostu pocierasz brzuch kurzym jajkiem, potem je rozbijasz, wlewasz do naczynia i stawiasz za głową.

— Spróbuję tego z samego rana — powiedziałem.

— Ona potrafi też rzucać uroki. Zdaje się, że o to właśnie ją poproszę. — Uśmiechnęła się do mnie słodko. Nie mogłem poznać, czy mówi poważnie, czy tylko żartuje.

— Dobrze, że nie wierzę w te bzdury, bo zacząłbym się ciebie śmiertelnie bać.

— Najlepszym sposobem, aby uchronić się przed urokiem, jest powiesić otwarte nożyczki nad otwartym oknem. To odcina ogon złemu duchowi, który usiłuje wślizgnąć się do domu. A zły duch bez ogona jest bezradny.

— Warto wiedzieć — powiedziałem i pociągnąłem kolejny łyk.

Zatrzymaliśmy się przed chatą Meesy czarownicy. Stał na odludziu — w promieniu ośmiu mil nie było ludzkiego osiedla.

— Pójdę pierwsza i powiem jej, czego nam trzeba — odezwała się Josepha. — Będziemy musieli wchodzić po kolei. Ja

wejdę ostatnia. Musicie sami postanowić, które z was wejdzie pierwsze.

— Rzucimy kości — zaproponował Big Boy.

Kiedy Josepha załatwiała sprawę, nachyliliśmy się przed światłami samochodu i rzuciliśmy kości. Oczywiście wygrał Big Boy. Ja byłem drugi w kolejce.

Kilka minut potem wyszła Josepha i powiedziała: — Meesa czeka na was.

Big Boy wszedł, a my stłoczyliśmy się za samochodem, usiłując uciec przed wiatrem, który z minuty na minutę przybierał na sile. Mona i ja znowu się napiliśmy. Josepha nie chciała. Stała bardzo blisko mnie, po lewej stronie. Mona stała po mojej prawej ręce, ledwie dotykając mnie ramieniem.

Po chwili Big Boy wrócił. Był strasznie blady.

— Daj mi whisky — mruknął i wypił chyba z pięć łyków. — Boże wsze' mogący, całe szczęście, że nie wierzę w to, co mi powiedziała.

Kiedy szedłem do chaty, słyszałem, jak Mona błaga go, by jej opowiedział swą przepowiednię.

W chacie, przy malusieńkim stoliku zakrytym czarnym materiałem siedziała staruszka. W pokoju roznosił się dziwny, gryzący zapach pomieszany z wonią tłącego się drewna cedrowego. Pod oknem zobaczyłem małe, popękane, gliniane naczynko, z którego unosił się dym.

— Wejdz, synu — odezwała się, uniosła i ku memu zdumieniu obdarzyła mnie solidnym uściskiem dłoni."

Słyszałem o niej już dawno. Oczywiście, każdy w naszym powiecie o niej słyszał. Jednak to był pierwszy raz, kiedy widziałem ją z bliska. W przyćmionym świetle lampy wydawała się znacznie młodsza, niż się spodziewałem. Na twarzy nie miała ani jednej zmarszczki. Wiek można było poznać tylko po mocno napiętej skórze na wystających kościach policzkowych i dokoła ogromnych, zapadniętych oczu. Nawet skórę na dłoniach miała gładką, lecz cieniutką jak papier.

— Karty czy kula kryształowa? — spytała.

— Kula?

Zdjęła czarny materiał z małej, kryształowej kuli.

— To wystarczy — powiedziałem. Zapach dochodzący z naczynka na oknie przybrał na sile i zdawał się przenikać mnie na wylot. Byłem pewien, że nawet nieznośny wiatr z Hi Lo nie zdoła go ode mnie odpędzić.

. _ — Co najbardziej chcesz wiedzieć? — zapytała.

Pomyślałem o Monie. Potem poczułem na karku lodowate igielki. A jeśli Josepha zaplanowała to wszystko i zawarła pakt ze staruszką? To było możliwe.

— Chciałbym wiedzieć, czy nasza czwórka będzie żyła dobrze i dostatnio przez następny rok — powiedziałem.

Czarownica spojrzała na mnie i byłem pewien, że czyta mi w myślach. Potem objęła kulę, ogrzewała ją w dłoniach przez chwilę, a kiedy je odjęła, wlepiła w kryształ czarne oczy.

Czekałem.

Cisza.

Wiatr szeptał do nas, a zapach cedru gęstniał w powietrzu. Wreszcie, kiedy już myślałem, że zemdleję, usłyszałem jej głos.

— Ach, tak... widzę. Wszystko się rozjaśnia. Rozjaśnia.

Chciałem wykrzyknąć: „CO?! Co?!”, ale trzymałem buzię na kłódkę.

-r- Taak, młody człowieku. Widzę to jasno i wyraźnie. To znak śmierci. Nadejdzie śmierć.

— Śmierć? Czyja? — ząkrakałem. — Czyja?

— Cicho! H| warknęła. —Zniszczyłeś wizję! Znikła. Już jej nie widzę.

Drżącą dłonią zapaliłem papierosa.

— Zgaś to!—wrzasnęła. — Zgaś to natychmiast! Coś innego pojawiło się w kuli. Coś, co musisz zrobić w ciągu następnej godziny w tym wszechświecie. Coś, co musisz wiedzieć.

— Ale co? — spytałem.

— Ach, to musi być twoja decyzja —odparła. I to powiedziawszy, zawinęła kulę w ciemny materiał. — To wszystko. Idź.

O rany, wyszedłem. Po raz pierwszy w życiu z chęcią wyszed-

łem na ten wiatr. Chciałem wydrzeć z siebie ten zapach i oczyścić płuca. Ale teraz panowała cisza. Powietrze stało.

Spotkałem Monę, która szła po ścieżce w moim kierunku.

— Zobaczyłam, że wychodzisz— odezwała się do mnie i lekko otarła ramieniem o mój bok.

W głowie mi się kręciło; w przeciwnym razie uciekłbym do samochodu.

— Gdzie jest Big Boy? — spytałem Josephę.

— Stracił przytomność na tylnym siedzeniu — odparła. — Pijany w trupa.

Nie używaj tego słowa!

— „Pijany”?

— Wszystko jedno.

Podawała mi butelkę, która leżała na przednim siedzeniu w samochodzie Mony. Była w dwóch trzecich pusta.

Mimo że się napiłem, nadal czułem zapach cedru. Nadal... stałem i wdychałem niezwykle stęchłe, nocne powietrze; spojrzałem nauśmiechająco się do nas księżyc. A może patrzył z wyrzutem? Zmrużyłem oczy i zobaczyłem, że to nie to.

— Josepho, księżyc się z nas śmieje.

Ma swoje sposoby — odrzekła i oparła się o mnie całym ciężarem ciała. Nieomal zasnąłem, tuląc ją do siebie. Potem zobaczyłem, że drzwi chatki otwierają się i promień światła wyskakuje na moment, a potem znowu się chowa.

— Idź, Josepho—powiedziałem.—Teraz twoja kolej.

Poszła.

Mona podeszła do mnie tym swoim kocim krokiem, w obcisłej, niebieskiej sukience. Była równie blada co Big Boy, ale księżyc nadawał jej twarzy niebieskawego blasku kilka odcieni jaśniejszego niż sukienka. Cholerna sukienka! Czemu musiała ją nałożyć? Wspomnienie jej ud i kołysanie bioder przeniknęły przez mój spowity alkoholem umysł i po raz kolejny żalowałem, że nie ma wiatru, który napęłniłby moje płuca świeżym powietrzem. Trudno było mi oddychać.

— Co ona ci powiedziała, Pete? — szepnęła Mona.

Ująłem ją pod ramię.

— Przejdźmy się, to ci powiem.

Doszlismy do małego wzniesienia z piaskowca. Postawiłem butelkę na ziemi i odwróciłem się do niej.

— Co ona ci powiedziała, Pete?

— To — odrzekłem i przyciągnąłem ją do siebie. Było tak jak wcześniej. Żadnego poddania się, żadnej odmowy.

Nagle rzuciłem ją na ziemię i upadłem na nią. Odsunęła się, a ja pomyślałem: Boże! Opieraj mi się! I tak cię zgwałcę, ale proszę, opieraj mi się! Lecz to była tylko nierówność terenu; wtoczyła się do małej niecki, a ja potoczyłem się za nią. Potem już obejmowałem ją ramionami i przyciskałem mocno do płaskich kamieni. Odnalazłem wargami jej usta, oderwałem guziki z przodu sukienki i zerwałem stanik z jednej piersi.

Bardzo szybko było po wszystkim.

Leżała bez ruchu, niczym kamienie pod nią. Uniosłem głowę i spojrzałem jej w twarz. Napotkałem jej spojrzenie... nic nie powiedziała, tylko patrzyła. Byłem jak sparaliżowany.

A potem wszystko stało się wyjątkowo jasne. Nie dała mi nawet satysfakcji przełamania jej oporu. Na chwilę zacisnąłem dłoń na kamieniu i walczyłem z chęcią, żeby rąbnąć ją nim w głowę. Rozluźniłem chwyt. Wstałem i odszedłem kilka kroków.

Spojrzałem na nią. Jedynie jej oczy się ruszały. Wpatrywały się we mnie... patrzyły przeze mnie. Roześmiany księżyc lśnił na jej udach; naga pierś z odcisniętym znakiem po moich zębach też lśniła, niczym drugi, mały księżyc. Nie znalazłem przyjemności w zgwałceniu jej — w zadaniu jej bólu. Odmówiła mi tego. Wszystko, co wypłynęło ze mnie — dosłownie wszystko — zostało przyjęte. Nie oddała ani krztyny. Leżała tam, jakby czekała na rozwój wydarzeń.

Jedyną rzeczą, która została zbrukana, był honor i zaufanie dwóch przyjaciół. Sięgnąłem po butelkę, ale nie piłem. Zamiast tego odrzuciłem ją od siebie jak najdalej. Rozbiła się o skały, a whisky wylała się na odłamki szkła.

Pochyliłem się, podniosłem ją i z trudem wygramoliłem z niec

ki. Musieliśmy wrócić do samochodu, zanim Josepha wyjdzie z chaty albo Big Boy się obudzi. Musieliśmy. Oparła mi głowę na ramieniu i zdaje się, że usłyszałem, jak wzdycha.

A tuż przed nami stała Josepha. Nie mogłem się odezwać. Postawiłem Monę na ziemi i wtedy otworzyła oczy. Przez moment chwiała się na nogach, po czym wyprostowała się.

— Chodź ze mną — powiedziała Josepha głucho. — Meesa da ci jakiś szal, żebyś mogła się okryć.

Rozdział dwudziesty pierwszy

W ciągu tych ostatnich tygodni śmierć Big Boya Matsona odwlekała się dzięki Opatrzności, Leviemu Gómezewi i milczeniu Mony Birk. Potem została jeszcze nieco odwleczona przez walkę człowieka z żywiołami. Ludzie po prostu nie mieli już siły, aby podnosić pięści na swych bliźnich. Wiedziałem, że bitwa, którą staczam na własnym ranczu, wrze w całym powiecie Hi Lo.

W zimie padało niewiele śniegu, wiosenne deszcze zaś były lekkie i oddzielone długimi przerwami. Jechałem przez pastwiska w poszukiwaniu kępek zieleni. Prawie ich nie było, z wyjątkiem kanału wiodącego do wodopoju. Nie było już najmniejszych wątpliwości — susza złapała nas za gardło. Trawa wysychała, skręcała się i marniała z godziny na godzinę.

Czułem, że moja twarz jest zerodowana, wymieciona wiatrem i pomarszczona. Teraz, kiedy wiosna przechodziła z wolna w lato, wiatr wiał suchy i gorący. Gwałtownie przybierał na sile i szamotał szybko wysychającą trawą w tę i z powrotem, powodował, że kurczyła się, i odbierał zielone życie jej cienkim łodyżkom — łamiąc je, a wraz z nimi, życie w dolinie. Ziemia dokoła korzonków trawy, wyschnięta i spękana, z czasem wystawiała delikatne wąsy na działanie nie kończącego się piekła prażącego wiatru. Powietrze wypełnione było milionami cząsteczek kurzu i roślin-

nek. Intensywnie niebieski kolor nieba ustąpił wreszcie wypalanej żółci. Wodopój stał się dzi urą w błocie pokrytą brudem i rzęsą. Każdego dnia wyjeżdżałem na pastwiska. Przywiązywałem kapelusz czerwoną bandaną, a drugą omoty wałem wokół twarzy, żeby przefiltrować jakoś powietrze. Pastwisko przeznaczone dla koni było wygryzione do ziemi i nagie. Wiecznie unoszące się w powietrzu kłęby czerwonego kurzu wirowały na wietrze. Dawno już przegoniłem konie na główne pastwisko; ono też długo nie przetrwa, lecz na razie zwierzęta miały co jeść.

Stado pasło się u stóp wzgórz, gdzie wiatr wyrządził najmniej szkód, lecz w słońcu późnego popołudnia bydło stało apatycznie w marnym cieniu rzucanym przez wątłe sosenki. Niektóre krowy, których osłabione cielęta zjadły kojoty, muczały żałośnie. Z dnia na dzień wyraźniej było im widać kości przez skórę.

W połowie sierpnia sprawy nie zmieniły się ani na lepsze, ani na gorsze. Lecz teraz każda myśl o zimie niosła groźbę. Boże, jak wiele zim przetrwaliśmy, myśląc tylko o jednym: „Przetrzymaj do wiosny, teraz do wiosny zostało już tylko parę miesięcy, tygodni, dni...” Potem zaś przychodziła kolejna zielona wiosna, obfite lato i wczesna jesień, w czasie której obok stodoły ustawialiśmy stogi siana. Niech sobie pada śnieg. Ale teraz...

Moje konie były w trochę lepszym stanie niż krowy. Ich dłuższe, ostrzejsze zęby umożliwiały im jedzenie trawy znacznie bliżej ziemi. Mimo to widać było po nich wycieńczenie. Na bokach zaczynały prześwitywać im żebra, niczym obejmmy na becze. W szybkim klusie Siwka czułem brak wiosennej trawy. Mimo to jeździłem na nim z poczuciem pewności zrodzonym z wielu lat spędzonych wspólnie na ciężkiej pracy.

Potem, podczas jednego z tych dni, kiedy wiatr nieco zelżał, wróciła nadzieja. Bydło poruszało się po pastwisku, pasąc się z większym zacięciem niż dotychczas. Niebo nadal miało ten brudny odcień, lecz kurz osiadł nieco, a wiatr ścichł do ledwie słyszalnego szeptu.

Pojechałem sprawdzić wodopój. Od paru chwil byłem świadom niskiego, monotonnego ryczenia białonosego byka, który

podchodził do mnie bliżej i bliżej. Zwierzę szło prosto wzdłuż kanału, do wodopoju. Pysk miało otwarte, a chrapami wwałowało się w powietrze. Dwuletnia jałówka rasy heifer pasła się nieopodal wodopoju, gdzie nadal można było napotkać parę źdźbeł trawy. Miała ruje, co łatwo poznałem po podniesionym wysoko ogonie. Byk pochwycił jej zapach i parł naprzód, ogłaszając całemu światu swe zamiary.

Zatrzymał się w miejscu, w którym krowa oddała mocz, i powąchał pokrytą pianą kępę trawy. Podwinął górną wargę, podniósł głowę i przewrócił oczyma. Zaczął grzebać ziemię najpierw jedną, a potem drugą przednią nogą. Po każdym kopnięciu dokoła niego unosił się tuman kurzu, a z jego płuc wydobywał się niski, dudniący dźwięk. Potem zaczął iść w jej kierunku, obwąchał jej zad, parsknął. Znowu uderzył w ziemię, jej ryk zaś wzniósł się, aż stał się nieomal krzykiem. Ogromne węzły muskułów na jego barkach poruszyły się; masywna, ogromna pała wysunęła się spod jego brzucha. Podniósł się na zadzie i oparł przednimi nogami na jej grzbiecie. A jednak jest jeszcze życie.

Gdyby tylko spadł deszcz.

Wróciłem do domu, zaprząłem parę ciężkich koni i pojechałem na wzgórze. Pomyślałem, że równie dobrze mogę przyciągnąć nieco drewna. Na pewno będzie dość suche, żeby się palić.

Machałem siekierą z automatyczną precyzją. Wgryzała się w szarą korę wyschniętej, martwej sosny i odkrywała skryte wewnątrz drewno kremowego koloru. Każde opadnięcie ostrza pogłębiało nacięcie w kształcie V, i za każdym razem gładki kawałek drewna wylatywał w powietrze. Zamachnąłem się po raz ostatni, po czym przełamałem pniak trzonkiem siekiery. Każdy kawałek był dość krótki i lekki, bym zdołał go samodzielnie wrzucić na wóz. Później porąbię je na jeszcze mniejsze kawałki, aby zmieściły się do pieca i na kominek.

Odwiązałem lejce od koła wozu, gdzie były przywiązane po to, aby pociągnąć konie za wędzidła, gdyby zechciały ruszyć do przodu z wozem, kiedy ja zajęty byłem rąbaniem, po czym wdrapałem się na wóz.

— Wio, Bob. Wio, Bill! — zawołałem. Oba konie napały na postronki i wprawiły koła w ruch. Trzymałem lejce nie za luźno, nie za mocno, aby lepiej kontrolować zwierzęta.

Spojrzałem na pastwisko za doliną, nad moim domem. Jeszcze kilka tygodni i wszystko, stado, pasza i cała ziemia, będzie zniszczone. Zaciśnąłem zęby i zakląłem cicho.

Wiatr wiał tak mocno i od tak dawna, że z trudem przypominałem sobie czasy, kiedy nie wiał wcale. Tracił co prawda na sile od czasu do czasu, lecz te krótkie momenty ciszy nie przynosiły żadnej ulgi. Wszystko, co żywe, już dawno poddało się wiecznie ssącemu i wszystko pożerającemu wiatrowi.

W pewien sposób to właśnie wiatr powstrzymywał mnie przed załamaniem. Konieczność fizycznej pracy sprawiała, że nie miałem czasu na rozmyślanie. Dzień po dniu wyjeżdżałem do duszącej się od pyłu doliny. Jechałem z pochyloną głową i unosiłem ją dopiero, kiedy znalazłem się u stóp wzgórz. Potem znalazłem starą krowę, która leżała na ziemi. Zsiadłem z konia i schwyciłem ją za ogon.

— No, wstawaj, maleńka — mruknąłem i pociągnąłem ze wszystkich sił. Stara krowa odwróciła ku mnie brudnobrazowy pysk, ale nie mogła już wstać. Musiałem ją zostawić.

Kawałek dalej znalazłem następną i tę udało mi się podnieść. Oddychała ciężko i odeszła na chwiejnych nogach, lecz wiedziałem, że nie przetrwa następnego dnia.

Potem znalazłem trzy martwe, ze sztywno wyciągniętymi nogami. Pył zbierał się przy nich w delikatnych, przesuwających się, małych wydmach.

Zabijała je pylica płuc. Były tak słabe, że nie mogły się podnieść, a z każdym oddechem wciągały pył do płuc.

Byk stał z nisko zwieszonym, ogromnym łbem. Jego niegdyś gruba szyja była teraz cienka i słaba. Nie zajmował się już swoimi obowiązkami rozplodowca, lecz stał w bezruchu, siły go opuszczały i tylko ryczał czasem nisko i ochryple do wtóru wiatrowi.

Następnie zobaczyłem krowę z na wpół urodzonym cielakiem. Była zbyt słaba, żeby wydać go na świat. Cielę umarło

razem z matką, nie zobaczywszy nawet świata, na który tak chciało się wydostać.

Podjechałem do poszarpanych głazów u stóp wzgórza, szukając trawy, choć wiedziałem, że jej nie znajdę. Stary Siwek szedł z trudem, lecz zostało mu jeszcze nieco siły. Białe płaty piany ściekały mu po długim, metalowym munsztuku i zamieniały pylistą kurzawę w chwilowe błoto. -Pośrodku gęstej, ciemnej grzywy, która opadała na dwie strony szyi, widać było linię kurzu. Wypatrywałem przekrwionymi oczyma osadzonymi w wychudłej twarzy jakichkolwiek kępek trawy lub martwych zwierząt. To było beznadziejne, lecz wiedziałem, że muszę próbować.

Siwek ruszał uszami w przód i w tył, kiedy gadałem sam do siebie, jakby rozumiał każde słowo. Kluczyliśmy między głazami, między nieckami i dębowymi zaroślami, a na koniec sprawdziliśmy kanion, lecz bez skutku. Każdego dnia ruszaliśmy z powrotem na krótko przed zmierzchem.

Miałem dom — niewielką chatę i wodopój. Nasze życie zależało od wodopoju, serca doliny, mokrej, dającej życie matki nas wszystkich. Lecz teraz była zamulona, a gałązki, źdźbła traw i zeschnięty gnój zaśmiewały niegdyś czystą, błękitną powierzchnię. Woda była zmacona i trzeba ją będzie oczyścić, by nadawała się do użytku. W przeszłości na jej brzegach kwitło życie. Ptaki, bydło, a nawet kojoty przychodziły tu, aby napić się wody. Życie się tu zaczynało i tu się skończy. Teraz wodopój przypominał rozkładające się łono chorej prostytutki. Pomyślałem o innej wiosnie, kiedy moja miłość do Josephy O'Neill była wspaniałym, kwitnącym uczuciem. Zastanawiałem się, czy to źródło także umiera. A może zabiłem całą miłość istniejącą we mnie tamtej nocy z Moną?

Ciemność nie przynosiła ani odpoczynku, ani ukojenia. Była jak rozprzestrzeniający się cień ogromnego, złego sępa. Nocą zaś wiatr wył jeszcze głośniej.

Postanowiłem wykonać mój ruch. Otworzyłem bramkę do zagrody z sianem. Teraz stało tam już tylko siano, które podarował mi Big Boy, a i jego starczy na sześć, siedem dni; cieszyłem się jednak z podjętej decyzji.

— Nie wystarczy mi tego siana — odezwał się na głos. — Ale mogę je przepędzić od stogu do wodopoju, nie wyczerpując zbytnio ich sił. Jeśli szczęście nam dopisze, utrzymamy się tu w promieniu stu jardów, przez jakieś dziesięć dni. A potem... potem, jeśli nie zacnie padać deszcz, nadal będę miał dostatecznie dużo krów i koni, żeby zacząć od nowa.

Następnego dnia wczesnym rankiem znowu wyjechałem na pastwiska. Stado było rozsypane między błotnistym wodopojem a dolnymi partiami wzgórz. Jakieś pół tuzina było już martwe. Reszta umierała. Teraz sępy znalazły sobie ofiary. Krążyły po niebie, czarne kropeczki na tle gorącego, żółtego, zasnutego pyłem nieba. Od czasu do czasu któryś z nich lądował i szarpał ścierwo krowy. Małe, białe-czarne sroki wyleciały z lasu i zaczęły wydawać te swoje ostre, przenikliwe okrzyki. One także przyłączyły się do uczyty.

Słońce odebrało resztę wilgoci moim wargom i językowi. Gardło miałem ściśnięte i obolałe. Nie sposób uciec przed sierpniowym słońcem.

Przysłuchiwałem się ponuremu, niskiemu porykiwaniu bydła. Stary byk o białym pysku stał w bezruchu, z głową zbyt ciężką, by utrzymać ją w górze, z szeroko rozstawionymi nogami i ogromnymi, bezużytecznymi jądrami kołyszącymi się pod zapadniętym brzuchem. Od czasu do czasu ryczał z samego dna słabego ciała, lecz nie był to głos dobrze umięśnionego, żywiołowego zwierzęcia; teraz był to tylko szept rzucony na wiatr.

Zebrałem żyjące i nadal trzymające się na nogach bydło w niewielkie stado, a potem powoli pogałem jęku stogowi siana znajdującemu się po przeciwnej stronie kanału prowadzącego do wodopoju. Co dzień wiodłem je od wodopoju ku znikającemu stogowi siana; straciłem trzy kolejne sztuki, a kojoty przychodziły nocą coraz bezczelniej, żeby paść się na świeżym mięsie. To mnie jednak nie powstrzymało.

Rankiem siódmego dnia na zachodzie zaczęły gromadzić się białe obłoczki, lecz trudno było mi uwierzyć, że to coś innego niż blef pogody. Potem jednak ich spody zrobiły się ciemne i ruszyły

szybko przez wzgórza i nad pastwiska. Pierwszy grzmot sprawił, że zwierzęta rzuciły się w poszukiwaniu schronienia. Potem wszędzie zrobiło się ciemno i ostrza błyskawic przeszły niebo.

Deszcz nadszedł w ostrych porywach, spadał w dół ogromnymi strugami, wsiąkał w spierzchniętą ziemię, splukiwał kurz i pył z drzew i krzaków, rycząc, pędził w dół kanału, oczyszczał wodopój z brudu i kurzu, wypełniał jego brzegi błotnistą wodą— lecz to błoto było świeże i czyste. Wzdłuż brzegów i przy kanale delikatne, blade źdźbła trawy otwierały się i budziły do życia.

Zimna, cudowna wilgoć obudziła mnie i pchnęła do działania. Wybiegłem z domu i napiłem się wody z zagłębienia w skale. Jak na razie ciało i umysł strasznie mnie bolały, lecz czułem, jak bije mi serce, a krew żywiej krąży w żyłach. Pobiegłem do zagrody i wypuściłem krowy i wszystkie konie, poza jednym. Tego jednego, siwka, osiodłałem i pojechałem w dół kanału. Deszcz przyszedł i odszedł; słońce wyszło — ciepłe, lecz nie gorące. Niebo było niebieskie i czyste.

Woda w sadzawce już się przejaśniała. Za dzień lub dwa — pomyślałem z radością — znowu będzie przejrzysta, chłodna i świeża. Leśne stworzenia znowu przyjdą z niej pić, a swobodne, pierzaste ptaki będą suszyć skrzydełka na jej żyznych brzegach.

Rozdział dwudziesty drugi

Ulewny deszcz tylko głębiej rozrył ziemię. Ponieważ zostało jej tak mało ochronnej warstwy, krople przecinały tę wierzchnią warstwę w tysiącach miejsc, tworzyły nowe kanały i rzeki, które z czasem staną się głębokimi kanionami. Jednak wróciła trawa. Zupełnie jakby pory roku zaczęły biec w przeciwnym kierunku. Teraz, pod koniec sierpnia, kiedy trawa i chwasty powinny przygotowywać się do schnięcia, ziemia lśniła zielenią niby wczesną wiosną.

W czasie tej krótkiej chwili pokoju, kiedy nawet wiatr przy-

Nie miałem dokąd pójść. To był dla mnie koniec. Zamiast iść na krzywdzącą ugodę z Jimem Edem, postanowiłem z wszystkiego zrezygnować. Zapisalem moje ranczo na sprzedaż w Ragoonie, rzuciłem całe, wychudzone, stado na rynek i na jakiś czas przeprowadziłem się do hotelu w Hi Lo.

Sięgnąłem po resztki mego kredytu, a zima bez żadnych zapasów paszy byłaby szaleństwem. Mimo to bolało.

Była późna jesień, a wszyscy złapali świeży oddech, i co więcej, zagościła w nich nowa nadzieja. Niektórzy stracą. Niektórzy wygrają. Wszystko było kwestią szczęścia i odwagi. Jednak natura nic nikomu nie ułatwi. Ten krótki okres ciszy w środku

cichł, ranczerzy liczyli straty, zaciskali pasy i przygotowywali się do zimy. Powiat Hi Lo solidnie oberwał. Straciliśmy średnio około trzydziestu procent bydła i wiele lat minie, zanim ziemia wróci do szczytu formy.

Prawie każdy tkwił po uszy w długach. Ja nie stanowiłem wyjątku. Moje straty sięgały sześćdziesięciu procent, a bank odciał mi kredyt. Kilka cielaków, które sprzedam w listopadzie, nie przyniesie wielkich pieniędzy. Ci, których na to stać, będą trzymać cielaki, żeby mieć z czego odbudować skurczone stado.

W czasie skupu jedyne stado z okolicy, które miało przyzwoity stan, należało do Jima Eda Love'a. Jego nadprogramowe stogi siana były ledwie tknięte, a bydło, choć lżejsze niż zazwyczaj, ważyło dość, by przynieść zysk. A ranczerzy, mimo że liczyli na tę ostatnią trawę, nie mogli pozwolić sobie na ryzyko i musieli zaopatrzyć się w siano i pasze dla krów. Jeśli śnieg spadnie wcześniej, a za jedyną paszę będą mieć krótką trawę, stracą całe stada.

Jim Ed miał siano i sprzedawał je po wysokiej cenie; liczył sobie trzydzieści pięć centów za tonę i brał hipoteki pod zastaw kredytów, których udzielał. Dopóki ziemia nie odżyje po zniszczeniach dokonanych przez suszę, Jim Ed będzie panem i władcą większej części krainy wokół Hi Lo. Jego posiadłości urosną niczym brzuch wzdętej krowy. Wszędzie dokoła wilki i sępy pasły się ściernem padłych krów, tuczając się na nieszczęściu ludzi. Jima Eda nic od nich nie różniło.

bitwy był równie oszukańczy, co kobiety—przynajmniej niektóre z kobiet.

Po jakimś czasie przeprowadziłem się na rancho Hoovera, gdzie zgodziłem się pracować za mieszkanie i jedzenie. Chciałem dać sobie szansę na przemyślenie różnych spraw. I tak kiedyś będę musiał załatwić sprawę z Big Boyem Matsonem. Będę musiał powiedzieć mu prawdę, bez względu na wszystko. Bo najwyraźniej Mona cały czas milczała.

To był dobry układ. Pani Hooverowa ze spokojną pewnością siebie zrodzoną z tysiąca pokonanych przeszkód kierowała domem, wydawała posiłki i dyrygowała mężczyznami niczym pułkownik w West Point.

Pojechaliśmy wraz z Big Boyem na wzgórze, żeby poszukać bardziej obfitego pastwiska, na które można by przegonić bydło. Od czasu do czasu uśmiechaliśmy się na widok rudych, dębowych zarośli i położonych nad nimi złotawych osik.

Big Boy był niespokojny. Rzadko wspominał Monę, lecz kiedy się nie odzywał, a wzrokiem wodził po horyzoncie, wiedziałem, że o niej myśli. Większość mojego długu spłaciłem Big Boyowi z pieniędzy, które dostałem ze sprzedaży ranca, i spodziewałem się, że lada dzień wykona swój ruch. Dlatego zdumiałem się, kiedy powiedział, że dopiero w połowie lata będzie mógł opuścić rancho Hoovera. Teraz całe mnóstwo ludzi szukało roboty. W rzeczy samej, ja byłem gotów przejąć na siebie jego obowiązki i powiedziałem mu to. Ale on tylko potrząsnął głową.

— Nie — powiedział. — Nie mogę teraz wyjechać. Mam swoje powody.

Dzięki doskonałej kuchni pani Hooverowej nabrałem trochę ciała i czułem się na wpół szczęśliwy. Wieczorami siadywaliśmy przy kominku i słuchaliśmy opowieści Hoovera o dawnych czasach jego kowbojowania. Jego skupiona, poznaczona przez niepogody twarz jaśniała wtedy, a oczy błyszczały mu niczym śnieg na pełnym słońcu. Big Boy słuchał oczarowany, bez ruchu, przeżywając w głowie i sercu każdą opowieść Hoovera.

Zrobiło się zimniej, lecz śnieg nadal nie padał. Zaczęliśmy przeganiać bydło na pastwiska bliżej domu, żeby znajdowały się bliżej stogów z sianem. To były dobre czasy, za dobre, żeby mogły długo trwać.

Tego ranka, kiedy uderzyła śnieżna zadymka, znajdowaliśmy się jakieś pięć mil od domu i gnaliśmy przed sobą z piętnaście sztuk bydła. Hoover pojechał do Hi Lo po zapasy. Najpierw zrobiło się niemal niewidocznie szaro, jakby bardziej się to czuło, niż widziało. Potem z zachodu i północy, znad gór, nadciągnęły długie palce chmur, przypominające piki atakującej armii. Przemieszczały się szybko, cicho, wypychając słońce z nieba i zabijając niebieski kolor, niczym macki fruwającej, nierzeczywistej ośmiornicy.

Zerwał się wiatr. Biały wichur, który niósł z sobą miliardy płatków oślepiającego, zmrożonego śniegu.

Poganiałszy konie ostrogami, przemierzając się w tę i z powrotem wokół stada, które usiłowało uciec przed zadymką. Po godzinie małe zasy zaczęły się tworzyć przy każdym drzewie.

Big Boy zaczął się martwić o Hoovera.

— Mam nadzieję, że wyruszył z miasta, zanim się zaczęło— powiedział. — Jeszcze godzina, a zasy zakryją drogę z Hi Lo i utknę tam na dobre.

Ale Hoover dotarł na ranczo, zanim zdążyliśmy rozsiodłać konie.

— Schowajcie konie do obory, bo będziemy ich rano potrzebować — rzekł.

Noc nadeszła dobrą godzinę wcześniej niż zwykle. Droga z obory do domu wydała się nieskończenie długa i to bez żadnych świateł.

Och, w domu było przytulnie, a stary piecyk dawał nie tylko miłe ciepło, lecz wydzieliał też przyjemny zapach gorących biskwitów pani Hooverowej. Jednak nie można było zapomnieć o zimnie; wiatr niosący z sobą śnieg łomotał w okna i wgryzał się w kąty domu.

Wszyscy położyliśmy się spać bardzo wcześnie. Leżałem

w łóżku i myślałem, jakie to szczęście, że wypisałem się z gry. Bydło odwrócone ogonami do wiatru i drżące z zimna nie należało do mnie. Ale czułem się też winny i nie mogłem zasnąć. Chciałem siedzieć w siodle, uratować tyle krów, ile to tylko możliwe. Burza śnieżna gadała całą noc. Wyła z lodową furją, jakby chciała powiedzieć: „Nie uciekniecie mi. Musicie stawić mi czoło. Ale i tak to ja wygram na koniec”. Potem ten koszmarny głos cichł i słychać było już tylko ciężkie westchnienia i poszepty wania. Potem zrywał się na nowo, jakby okrążył ziemię, zbierając wszystkie jęki udrećzonego świata, aby rzucić je prosto w twarz białej, zamarznętej krainy Hi Lo. Cóż, kojot by to zrozumiał. Dokładnie tak samo, jak siły burzy śnieżnej zrozumiałyby jego ponadczasowe wycie do księżyca.

Następnego ranka daliśmy z siebie wszystko. Najtrudniej było opuścić kuchnię i wyjść z domu. Pachniała bezpieczeństwem, wygodą i domem — tym wszystkim, co tylko kobieta potrafi stworzyć. Jednak wyszliśmy z niej i pobrnęliśmy przez wysokie do pasa zaspy w kierunku obory. Konie były niespokojne i trudno było je wyprowadzić na dwór.

Pojechaliśmy gęsiego wzdłuż płotu, każdy z koni trzymał nos w ogonie poprzednika. Ich rzęsy w mgnieniu oka zamieniły się w soplek lodu, a nozdrza pokryły się zamarznętym oddechem. Podnieśliśmy wysoko baranie kołnierze skórzanych kurtek, jedną bandanę zawiązaliśmy nad kapeluszem dokoła głowy, żeby zakryć uszy, a drugą wokół twarzy tak, że przez szparę widać było tylko oczy. Co jakiś czas musieliśmy zeszkrobywać pokrywę lodową z chustek, bo oddech zamarzał na materiale.

Hoover zgadywał, że większość stada, które pozostawało na otwartej przestrzeni, podąży na północ, zatrzyma się przy płocie i będzie czekać. Co milę w płocie znajdowała się brama. Miał pomysł, żeby przepędzić bydło przez te bramki na pastwisko położone przy domu, gdzie wąwozy i zarośla dawały osłonę przed wiatrem i śniegiem. Przynajmniej najsilniejsze sztuki będą miały szansę na przetrwanie, jeżeli burza śnieżna nie potrwa zbyt długo. Potem przegonimy je pod stogi siana, które mogą ocalić im życie.

Trudno było jechać w kupie, zwłaszcza że konie z trudem przedzierały się przez wysokie po pierś zaspę, potykały się, prawie zapadając chrapami w śnieg, a w następnej chwili trafiały kopytami na twardą ziemię. Zimno przenikało nam pod kurtki i za kołnierze, aż wreszcie penetrowało nas do szpiku kości. Zdawało się, że odrywa nam mięso od kości i zostawia tylko nagi szkielet wystawiony na przenikliwy, niesamowity ziąb.

Znaleźliśmy większą część stada w małych grupkach, nieopodal płotu. Stały z głowami nisko pochylonymi, ogonami podwiniętymi pod brzuchy, wszystkie zgarbione i skulone, jakby usiłowały uciec w głąb siebie. Trudno było zmusić je do ruchu, konie zaś były już na wpół ślepe. Jednak jedną po drugiej, zmusiliśmy je do przejścia przez bramę. Zdawało się, że czas zamarzył na kość, lecz wkrótce, niezauważalnie, minął cały dzień. Ocaliliśmy pewnie z pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt sztuk, ale znajdowaliśmy się dobre pięć mil od domu, a zaczynało się już ściemniać. Nagle Koło Polarne pojawiło się tuż przy Hi Lo.

Popędziliśmy konie, żeby szły wzdłuż płotu, bo bez jego pomocy dawno zginęlibyśmy w zadyńce. Posuwaliśmy się wolno w stronę ciepłej kuchni pani Hooverowej.

Do dziś nie wiem, jak to się stało, lecz podchodząc pod niewielkie wzniesienie, gdzie wąż wcinął się pod płot, mój koń potknął się. Pewnie nastąpił na oblodzony kamień. Upadł ciężko na konia idącego tuż przed nim i wszyscy poleciliśmy na ziemię w jednym, wielkim kłębie. Nie wiedziałem, czy to Big Boy czy Hoover, dopóki nie poczułem, jak ktoś mnie podnosi, i nie usłyszałem głosu Big Boya przedzierającego się przez wycie lodowej wichury.

— Nic ci się nie stało?

Wstałem.

— Nie. Wszystko w porządku.

— Hoover coś sobie złamał, a jego koń rozpieprzył sobie nogę na amen.

Rozejrzałem się za moim wierzchowcem. Nigdzie go nie było.

— Co się stało z moim koniem?

— Pewnie nawiał przez otwartą bramkę na pastwisko przy domu. Nie warto go teraz szukać.

— Cholerny sukinsyn — mruknąłem.

Hoover siedział obok swego leżącego konia i usiłował odwiązać kombinerki przytroczone do siodła.

— Daj, ja to zrobię — odezwał się Big Boy.

Odwiązał je i mocno rąbnął nimi konia w łeb. Zwierzę przez moment kopało śnieg, a potem zeszytniało.

Chodź, Pete! — wrzasnął Big Boy. — Pomóż mi wsadzić Hoovera na Starego Kasztana.

Podnieśliśmy go, lecz złamane kości musiały mu się jakoś przesunąć, bo jęknął głucho i zawisł bezwładnie w naszych ramionach.

— Myślisz, że nie żyje? — krzyknąłem.

— Nie wiem, ale umrze na pewno, jeżeli go nie zdołamy załadować.

Posadziliśmy go na koniu za Big Boyem; potem wziąłem kawał lasa i związałem ich razem. Głowa Hoovera zwisła bezwładnie na bok, a ramiona dyndały niczym na sznurku.

— Łap Kasztana za ogon i trzymaj się mocno — wrzasnął Big Boy.

Tak też zrobiłem i zaczęliśmy się poruszać w cały czas gęstniejącej, śnieżnej ciemności. Stary Kasztan przedzierał się przez zaspy z podwójnym ładunkiem na grzbiecie i na wpół ciągnąc mnie za sobą. Znosiło mnie to na boki, to chwiałem się w tył, a to potykałem i padałem w przód, w kierunku twardych, końskich kopyt. Wkrótce z ciężkiego wysiłku utrzymania się przy końskim ogonie zacząłem oddychać ciężko, płuca zaś paliły mnie żywym ogniem. Potem zamiast białej zamieci zacząłem widzieć pomarańczowe i czerwone błyski, a na koniec zupełnie straciłem wzrok.

Wreszcie ramiona mi zdrętwiały i ręce zsunęły się z końskiego ogona. Upadłem w śnieg; nic mnie to już nie obchodziło.

Do diabła, jak tu miękko i ciepło. Zostanę tu przez jakiś czas, dopóki nie poczuję się lepiej.

— Wstawaj! Wstawaj, ty zwariowany sukinsynu!

Ten głos zdawał się dochodzić z ogromnej odległości. Dopiero po jakimś czasie usłyszałem go wyraźniej:

■\— Pete, wstawaj i słuchaj mnie!

Z trudem podniosłem się na nogi i złapałem konia za grzywę.

— Posłuchaj mnie, Pete. Pojadę dalej z Hooverem. Ale wróć jak najszybciej. Przeżyjesz tylko wtedy, jeśli będziesz szedł cały czas naprzód. Słyszysz?! Cały czas idź wzdłuż plotu. Jeśli od niego odejdziesz, stracisz poczucie kierunku i nigdy cię nie znajdę. I nie łap za mocno drutu, bo poprzecinasz sobie dłonie, Pete. Pete! Pete! — wrzasnął. — Wróć! A ty cały czas idź.

Odmruknałem mu coś i złapałem drut.

Potem zostałem już sam. Wszystko zależało ode mnie. Powtarzałem sobie cały czas: „Idź naprzód. Idź. Idź. Od słupa do słupa”. To był dobry pomysł. Gdybym tylko zdołał iść od jednego słupka do drugiego, wreszcie gdzieś bym doszedł. Co jakiś czas nachodziła mnie ochota, żeby zatrzymać się i odpocząć co nieco. Nawet dziesięć sekund przyniosłoby mi ulgę. Ale stale słyszałem w głowie głos Big Boya: „Idź. Cały czas idź naprzód”.

Czas zamarzył i zamienił się w wieczność. Cały świat składał się z plotu, który ciągnął się i ciągnął, i nigdy nie kończył, i nie było na tym świecie nikogo poza mną. Dłonie miałem tak zdrętwiałe, że nie czułem już w nich drutu, chyba że oparłem się na nim z całej siły. Rękawiczki miałem poprzecinane w wielu miejscach, w których drut przegryzł się przez nie i przez dłonie aż do kości. Krew krzepła i zamarzała w rankach równie szybko, co z nich wypływała.

On nigdy nie wróci, pomyślałem. Koń załamał się pod podwójnym ciężarem. Na pewno wie o mnie i o Monie. Teraz się na mnie zemści. A potem wpadłem w otwartą bramę... po jakimś czasie znowu upadłem... i tym razem już nie mogłem wstać. Po prostu leżałem na plecach, kopałem niemrawo nogami i potrząsałem ramionami, do końca słysząc w głowie ostrzeżenia Big Boya.

Kiedy obudziłem się następnego ranka, nie mogłem uwierzyć, że leżę w łóżku. Doszedłem do wniosku, że umarłem i poszedłem

do nieba. Potem wszechświat bólu przywrócił mi jasność myślenia. W dłoniach tętnił mi ból nawet w czasie snu. Były obandażowane. Wstałem, ale z ich powodu ubranie się zajęło mi sporo czasu.

Poszedłem do kuchni. Pani Hooverowa gotowała coś mocno pachnącego.

— Jak ma się Hoover? — spytałem. — Igdziejest BigBoy?

— Hoover jest mocno poturbowany—odparła. — Obawiam się, że złamał biodro. Big Boy pojechał na pastwisko przygnać bydło do siana.

Zauważyłem, że słońce świeci, a na niebie nie widać ani jednej chmury. Wyrzałem przez okno na lśniąca biel. Cała ziemia wydawała się białą pustynią ciągnącą się w nieskończoność. Zadrzałem.

— Masz—dodała pani Hooverowa.—Napij się kawy. Masz solidnie pocięte dłonie, ale zagoją się, jeśli będziesz na nie uważać.

Wyłopałem kawę, parząc sobie przy tym gardło.

— Czy nie lepiej byłoby sprowadzić lekarza do Hoovera?

— Nie ma jak — odpowiedziała. — Do Hi Lo będzie ze dwadzieścia mil, i nawet jeśli koń przetrzyma taką drogę, doktor Mullins jest za stary i za słaby, żeby tu dojechać. Musimy czekać i modlić się, żeby drogi zrobiły się przejezdne.

—Może minąć kilka dni do tego czasu — rzekłem.

-Wiem. Ale nie możemy zrobić nic więcej. — Przeląła wrzący płyn do wysokiej szklanki i zanosła ją Hooverowi. Poszedłem za nią.

Mimo że strasznie go bolało, powiedział:

— Dzięki za pomoc, Pete. Zdaje się, że ocaliliśmy większość stada.

Poczułem się paskudnie.

— Hoover — odparłem. — Zdaje się, że w pewien sposób, gdyby nie ja, nie znalazłbyś się w takim stanie.

— Do diabła, synu — mruknął na wpół zirytowany. — To niczyja wina. Jeśli chcesz, zwał winę na burzę śnieżną, ale nie na siebie. I tak mamy szczęście, że udało nam się ująć z życiem.

Po jakimś czasie przyszedł Big Boy. Jak przez mgłę przypomniałem sobie, jak wrócił po mnie i cały czas powtarzał:

— Tylko się trzymaj, stary. Trzymaj się i już zaraz będziemy w domu.

Wziął kubek gorącej kawy i poszedł do pokoju Hoovera. Słyszałem, jak mówi:

— Cóż, Hoover, straciliśmy tylko siedem albo osiem sztuk,

0 ile zdołałem policzyć. Większość sama znalazła siano, a ja już przypędziłem tu resztę. Dociągniemy do wiosny, Hoover.

Ale Hoover nie dociągnął. Umarł tego samego dnia, w którym maszyny odśnieżyły drogę z miasteczka na ranczo. W jego krwi zrobiły się skrzepy i staruszek wyruszył w ostatnią podróż w okropnych męczarniach.

To była koszmarna i niszczycielska burza śnieżna. Na ranczu Diamond-Two stado liczące trzysta sztuk dwuletnich byczków, które przetrwało suszę, zaczęło wędrować w burzy śnieżnej, aż spadło w głąb dwustustopowego kanionu. Śnieg padał na nie

1 dopiero kiedy przyjdzie wiosna, choćby kojoty zdołają się do nich dorwać. Na wszystkich pastwiskach leżały martwe, zamrożone krowy z nogami sztywno wyprostowanymi w powietrzu, niczym drewniane paliki.

Jim Ed Love zwołał wszystkie swoje oddziały. Własnymi maszynami oczyścił drogę do Hi Lo i w ciągu paru godzin regiment wojska w Kolorado zaczął operację Zwózka Sianr, a okręgowe i stanowe buldożery, walce i pługi śnieżne walczyły z zaspami. Wreszcie, jeden po drugim, uwolniono wszystkie rancza. Wojsko przywiozło samolotami siano dostarczone przez rząd i zrzuciło je odcięтым stadom wygłodniałego bydła. Kosztowało to więcej, niż zaoszczędziło, ale przynajmniej ranczerzy nie czuli się opuszczeni.

Mitch Peabody przedłużył kredyty, a jego żona przez jakiś czas nie kładła cycków na wagę. Bank w Ragoonie obniżył oprocentowanie kredytów. Po jakimś czasie rząd ogłosił, że Hi Lo to rejon klęski żywiołowej i ranczerom udostępniono długoterminowe kredyty na odbudowanie stad bydła. Jednak na powrót

do dawnego stanu potrzeba im będzie więcej czasu, niż się rzał dowi śniło.

Abraham Frink, który zarządził te kilka sztuk bydła, jakie posiadał, po prostu siedział i winił rząd za nadejście burzy śnieżnej. Powiedział, że to spisek i że na pewno politycy zatrudnili Tinkera Gritsa, aby wyprodukował burzę za pomocą swej maszyny do robienia deszczu, aby mogli pokazać, jacy są hojni, kiedy za samoloty i wojsko nadal płacą zwykli obywatele. Doszedł do wniosku, że to gra polityczna obliczona na uzyskanie jak największej liczby głosów w następnych wyborach.

Kilka dni po burzy śnieżnej wuj Bob osiodłał swego konia do polowań i zawołał psy. W głębokich zaspach jego długonogie kundły zagryzły sześć upasionych martwymi krowami kojotów. To był jeden z najlepszych dni w jego życiu.

Szkoda, że Hoover nie dożył dnia, w którym mógłby zobaczyć buldożer Jima Eda Love'a odczyszczający drogę przez jego podwórko aż do grobu.

Bardzo było mi przykro z powodu jego śmierci, ale Big Boy powiedział:

— Do diabła, przeżył swoje życie lepiej niż większość tłustych księży. Na pewno właśnie tak chciałby odejść. Umarł, walcząc o swoją ziemię i swoje bydło.

Może dlatego, że ja sam zrezygnowałem, może z powodu śmierci Hoovera, może z powodu Mony, a może z powodu poczucia winy, które miałem w obecności Big Boya — sam już nie wiem — postanowiłem wyjechać z Hi Lo. Postanowiłem pojechać na południe i nająłem się do pracy na ranchu w pobliżu Santa Fe. Przed wyjazdem zatrzymałem się w Sano, aby porozmawiać z Josephą. Nagle zdałem sobie sprawę, że bardzo jej pragnę i potrzebuję. Wszystkie moje wątpliwości zniknęły wraz z burzą śnieżną.

Sano było najbardziej samotnym miejscem, jakie w życiu widziałem. Śnieg leżał zamrożony w cieniu budynków, a jedyny tu samochód stał zaparkowany prosto na ulicy. Poszedłem do sklepu i uściśnąłem rękę ojcu Josephy. Zapytał o Hoovera, opo-

wiedziałem mu wszystkie nowinki i rozmawialiśmy jakiś czas O stratach poniesionych przez znajomych ranczerów.

Wreszcie spytałem:

— Gdzie jest Josepha?

Milczał przez chwilę, po czym rzekł:

— Nic nie wiesz?

— O czym?

— Jakiś tydzień przed burzą śnieżną wyjechała na miesiąc miodowy.

— Miesiąc miodowy? — powtórzyłem bezmyślnie.

— Taak, wyszła za mąż za chłopca z Ragoonu. Zamieszkają w Los Angeles. Ma tam dobrą pracę w fabryce samolotów.

— Nie wiedziałem — mruknąłem. Pożegnałem się z nim I wyszedłem na dwór. Wiatr ucichł na chwilę i było bardzo zimno.

Rozdział dwudziesty trzeci

Lubiłem moją nową pracę, ale sporo czasu minęło, zanim lata spędzone w Hi Lo zaczęły blaknąć w mej pamięci. Na ranczu pracowało poza mną jeszcze pięciu kowbojów i kucharz. Jedzenie było tu dobre i zawsze pod dostatkiem. Zacząłem dogadywać się z siasiadami ranczerami i ich kowbojami, ale nie pozna się ludzi w ciągu pięciu miesięcy, jeśli nie znajdziecie się wspólnie w ekstremalnych warunkach.

Okolo połowy ziemi rancza Two-Bars było położne na trudnym terenie i trzeba było tam pracować konno. Reszta znajdowała się na płaskowyżu i można było ją przejechać pikapem w ciągu jednego dnia.

Słyszałem od ludzi, którzy mieli krewnych w okręgu Hi Lo, że wiosna obfitowała tam w deszcze i trawa zaczynała już rosnąć.

Wiele godzin spędziłem, starając się zapomnieć o wielu rzeczach, a jeszcze więcej czasu poświęciłem na zapamiętanie wszystkiego. Wiele obrazów tłoczyło mi się w pamięci: noc, podczas

której Big Boy wymiótł połowę chłopaków z parkietu z tylko niewielką pomocą Leviego i moją; wieczór na pustyni z Josephą; susza i krótka, lecz śmiertelnie groźna burza śnieżna. I Mona. Ona była najbardziej wyraźnym wspomnieniem.

Niektórzy ranczerzy dokoła zaczęli już wiosenne spędzanie i znakowanie bydła. Szef kowbojów powiedział nam, żebyśmy przygotowali sprzęt, bo ruszamy z robotą w następnym tygodniu. Zdaje się, że właśnie dlatego zacząłem coraz częściej myśleć o Big Boyu. Tyle razy wspólnie znakowaliśmy bydło, braliśmy udział w rodeo i piliśmy, że przez moją głowę przebiegł cały łańcuch wspomnień.

Postanowiłem napisać do niego. Opowiedziałem mu o ranczu, na którym pracuję, o koniach, jakie tu mają, o jedzeniu i zapłacie, i o robocie. Opisałem mu zabawę taneczną, którą urządził sąsiad i na której tańczyłem z kościstą dziewczyną, a trzymałem ją tak blisko, że zdawało mi się, iż stoi za mną, i całe mnóstwo innych spraw, zupełnie bez znaczenia. Zakończyłem list pytaniem o Monę. Potem zastanawiałem się długo, czy to z jej powodu do niego napisałem?

Właśnie wsiadałem do pikapa, żeby odwieźć list na pocztę, kiedy szef kowbojów wyszedł z głównego budynku i wrzasnął: ||\$P Pete! Rozmowa międzymiastowa do ciebie!

Wysiadłem i poszedłem do ogromnego domu, usiłując domyślić się, kto, u diabła, może do mnie dzwonić.

Telefonistka powiedziała:

— Chwileczkę, proszę pana, postaram się o lepsze połączenie.

Niewiele się poprawiło, ale była to prywatnie położona linia, która zawsze nawalała.

Wreszcie usłyszałem:

— Pete, słyszysz mnie?

Taak.

— MówiLevi.

— Hej, cześć, Levi! Jak się masz, stary?

— Pete... — zawahał się. 81 Taak?

— Wczoraj Big Boy został postrzelony. Nie żyje.

Dziwne, jak byłem spokojny. Levi powiedział, że pogrzeb jest następnego dnia po południu, o drugiej. Potem połączenie zrobiło się jeszcze gorsze; wrzeszczałem do telefonu, usiłując jakoś się dogadać, ale bez skutku.

Odłożyłem słuchawkę i długo stałem w bezruchu. Big Boy nie żyje. Od dawna liczyłem się z taką możliwością, ale mimo to nie potrafiłem tego przelknąć. Trudno było przyjąć do wiadomości fakt, że słońce nie wstanie jutro, jak co dnia.

Załatwiłem sprawę z szefem i wyjechałem do Hi Lo. Przysięgłem sobie nigdy nie wrócić, ale teraz chciałem tam pojechać i zabić tego, kto jest odpowiedzialny za śmierć Big Boya. To prawdopodobnie oznaczałoby Lesa. Albo nawet Monę.

Jazda była długa i do Ragoonu dojechałem późno w nocy. Byłem wycieńczony emocjonalnie, czułem się pusty, jak spróchniały pniak. Postanowiłem zostać w Ragoonie i wyruszyć do Hi Lo następnego ranka. Dojechałbym na pogrzeb i załatwił swoje sprawy do zmierzchu. Jakoś nie chciałem zostawać na noc w Hi Lo. Sam nie wiem, dlaczego.

Następnego dnia nie spieszyłem się; nie przyznałbym tego, lecz w głębi serca miałem nadzieję, że spóźnię się na mszę pogrzebową. Nie wydawało mi się, żeby Levi na nią przyszedł. Miałem rację. Opierał się o drzwi swej chatki i czekał na mnie.

Jak zwykle nie przywitał się ze mną, ale po prostu wskazał mi krzesło. Nalał nam obu po kubku kawy i usiedliśmy przy stole na wprost siebie. Przez okno widziałem tłumek zbierający się przy kościele dwie przecznice dalej.

— Kto to zrobił? — spytałem, czując, jak krew odpływa mi z twarzy.

||||g Little Boy — odparł.

— Little Boy? — Byłem przygotowany na wszystko, tylko nie na to. — Little Boy?! Boże wsze'mogący. Dlaczego?

Więc opowiedział mi całą historię:

— Wiesz, że Little Boy nigdy nie dorastał do wyobrażeń Big Boya. Marny był z niego kowboj i tak naprawdę wcale nie

interesował się ranczem. Większość czasu spędzał w Hi Lo i Ra- goonie, grając w bilard. W rzeczy samej, zupełnie nie wyglądał mi na Matsona. To nie jego wina, Pete, on po prostu taki był. Big Boy był jak jego ojciec i dziadek. Wiesz, staroświecki, szorstki drań, który rzucał się na życie z odwagą i zapałem. Wiesz, kiedy teraz się tak nad tym zastanawiam, Big Boy strasznie dręczył brata, usiłując zrobić z niego coś, czym tamten po prostu nie był. Jakiś miesiąc temu Big Boy opowiadał mi, jaki był wściekły, kiedy dowiedział się, że jego brat nie uczynił najmniejszego wysiłku, żeby dostać się na ranczo, kiedy rozpuściła się burza śnieżna. Po prostu został w mieście, pił i grał w bilard. Staruszka i najmłodszy z Matsonów mieli to wszystko na swoich barkach. W rzeczy samej jeżeli brać pod uwagę procentowe straty, zdechło im więcej bydła niż komukolwiek w okolicy. Oczywiście Big Boy winił za to brata. Powiedział mi nawet: „Levi, wywaliłbym mu mózg z łba, gdybym tylko wiedział, gdzie uderzać”.

— To do niego podobne—odparłem.—Ale, Boże wsze'mogący, Levi, pamiętasz to rodeo w zeszłym roku? Kiedy Big Boy po prostu bez zastanowienia zaryzykował życie, żeby go uratować?

— Pewnie—mruknął Levi.—Ale zdaje mi się, że Little Boy zawsze miał do niego o to pretensje. Starszy brat zawsze reprezentował dla niego wszystko, czym on nigdy nie zostanie.

— Jak to się stało?

— Big Boy wrócił do domu, żeby pomóc w wiosennym znakowaniu bydła. Odkąd wyjechałeś, przejął ranczo Hoovera i zaczął się na nim sporo udzielać. Zdaje się, że Big Boy powiedział coś Little Boyowi przy pracy, coś, że nie potrafi łapać cieląt na łące i że nigdy nie potrafi znaleźć się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Wszystko to była prawda. Potem tego feralnego dnia Little Boy zostawił go przy robocie i powiedział, że jedź do miasta. Big Boy poszedł za nim i kazał mu przyjrzeć się płotom przy zagrodach. Wszystkie leżały i były zarośnięte chwastami, obora zaś potrzebowała naprawy, a zagroda przy domu podparcia. Powiedział, że na Boga, Little Boy nigdzie nie pójdzie, póki ranczo nie wróci do takiej formy, jaką miało kiedyś.

Słyszeliśmy śpiewy dochodzące z kościoła: hymn piechoty morskiej. Zupełnie zapomniałem, że Big Boy służył kiedyś w piechocie morskiej. Robił tyle innych rzeczy.

— Cóż... — ciągnął Levi. — Little Boy odpowiedział mu, że Big Boy nie jest jego szefem i że będzie robid, co mu się żywnie podoba. Musiał zebrać się na sporą odwagę, żeby mu się przeciwstawić i powiedzieć to wszystko. W każdym razie Little Boy twierdzi, że Big Boy uderzył go, rzucił nim o samochód, a potem podniósł deskę i ruszył na niego. Little Boy musiał sikać po gaciach ze strachu. Pobiegł dokoła samochodu, otworzył drzwi i wyjął trzydziestkę ósemkę ze schowka. On i ich matka opowiadają, że Big Boy wyszedł zza błotnika z uniesioną deską. Little Boy nacisnął spust i pierwsza kula przeszła Big Boyowi przez łokieć i klatkę piersiową jednocześnie. Cały czas szedł naprzód. Little Boy naciskał na cyngiel tak szybko, jak tylko mógł, i przy czwartym strzale Big Boy zawirował i runął na ziemię, na twarz. Piąty i ostami strzał przeszedł mu między łopatkami.

Przez długi czas siedziałem w milczeniu. Właśnie wynosili go z kościoła. Słysząc było, jak uruchamiają samochody. I jrp- Jedna rzecz tylko mi się nie zgadza, Levi — odezwałem się na koniec. — Big Boy nie uderzyłby go deską. Wiesz o tym. Jak cała rodzina może opowiadać takie kłamstwo?

— Posłuchaj, Pete r odpowiedział Levi. — Bez względu na to, czy to prawda, czy nie, jego mama musiała to zrobić.

— Dlaczego?

— Cóż, spójrz na to z tej strony. Całe swoje życie przeżyła na pograniczu tragedii. Jej teść i mąż, a teraz także jej syn zginęli gwałtowną śmiercią, od ran postrzałowych. Czego się po niej spodziewałeś... że wrzuci swego drugiego syna do komory gazowej?

Zastanawiałem się przez moment, po czym skinąłem głową. Nie wiem, kiedy ostami raz czułem takie zmęczenie.

Kondukt pogrzebowy skręcał właśnie w główną ulicę Hi Lo, wiatr się zerwał i łopotał małymi proporczykami. Wstałem.

jE3flfcB9B9

— Pójdę teraz na wzgórze, Levi — powiedziałem. — Idziesz ze mną?

Nalał sobie kawy i potarł dłońmi jedną ze swych cedrowych figurek.

— Nie, przejdę się tam nieco później.

Już chciałem zapytać o Monę, lecz coś mnie powstrzymało.

Zaczekałem, aż wszystkie samochody przejadą, po czym pojechałem za nimi. Bardzo długo trwało, zanim wszyscy wjechali na szczyt i powysiadali z samochodów.

Jim Ed Love też tam był. Widziałem, jak składa kondolencje pani Matson. Wiedziałem, że to wszystko hipokryzja, lecz może ona się nie zorientowała. Przyjechali Felderowie. Młody Martin nie potrafił ukryć ulgi.

Starzy kowboje, z którymi Big Boy pracował, których kochał i rozumiał, stali w zbitej ciasno grupce z ogromnymi kapeluszami w dłoniach. Stali zeszywniali od wszystkich burz śnieżnych, susz, wierzgających koni, jazd za ogonem cielaków i szalonych bijatyk młodszych dni. Niewielu im podobnych zostało na tym świecie.

Było też paru innych, którzy naprawdę opłakiwali śmierć Big Boya, jak na przykład wuj Bob i Tinker Grits, ale, ogólnie rzecz biorąc, wszyscy pozostali nie mogli się wprost doczekać, kiedy ceremonia się skończy i będą mogli pójść do domu. Ja byłem jednym z nich. Ostami wdrapałem się na wzgórze i pierwszy z niego zszedłem.

Pojechałem z powrotem do Hi Lo; chciałem znowu wpaść do Leviego, ale po prostu już tu nie pasowałem, więc skręciłem prosto na autostradę. Potem do mnie dotarło—Mony nie było na pogrzebie. Założyłbym się o wszystko, że nic na świecie nie zdoła jej powstrzymać przed przyjściem. Potem się dowiedziałem, że właśnie tamtego dnia wydała na świat jedynego syna Big Boya.

Jakieś pięć mil za Hi Lo zobaczyłem mój list do Big Boya leżący na siedzeniu obok mnie. Zjechałem na pobocze drogi, wysiadłem i wziąłem list ze sobą. Podarłem go na małe kawałeczki. Wiatr łapał je jeden po drugim i pędził z nimi w tanecznych obrotach ponad łagodnie sfalowanymi wzgórzami krainy Hi Lo.

CZEŚĆ DRUGA

BOBBY JACK SMITH TO PARSZYWY TCHÓRZ!

Tych kilka rozdziałów dobrej zabawy dedykuję z sympatią Charle- sowi Fordowi, C.W. (Dusty'emu) Dunbarowi i Brianowi Keithowi, zapaleńcom i lojalnym przyjaciółom; a zwłaszcza domkowi na kółkach w Malibu, należącemu do Sama Peckinpaha.

Rozdział pierwszy

Gdyby nie ta nauczycielka o wielgaśnych cycach, chyba nigdy nie zostałbym wykształconym sukinsynem, którym jestem. Czasem żałuję, że nie zostałem głupi.

Zobaczyłem ją po raz pierwszy, kiedy borykałem się z krowami Gravy'ego Kinga. Gravy, najbogatszy ranczer z największym kawałem ziemi w całym powiecie, nosił to przezwisko dlatego, że zawsze miał kamizelkę upapraną sosem*. Nie chodzi o to, że był fleją, lecz po prostu niespecjalnie uważał.

Razem z trzema innymi chłopakami do bydła przeganiailiśmy stado krów ze wzgórz na równiny, na zimowe pastwiska i zatrzymaliśmy się, aby je napoić nieopodal szkoły okręgowej. Akurat była przerwa i na podwórku szkolnym aż roiło się od małych dzieci ranczerów, które biegały, skakały, darły się i bawiły. Dokładnie pośrodku nich, machając rękami i wydając polecenia, stała ich nauczycielka, Della Craven.

Siedziałem na koniu i gapiłem się na nią, lecz widziałem tylko jej cyci. Kiedy unosiła ramiona — drgały. Kiedy szła — falowały. A kiedy tylko stała w bezruchu i coś mówiła, poruszały się własnym życiem. Te nie kończące się ruchy przyciągały męski wzrok i już. Chciałem zobaczyć trochę więcej jej ciała, ale miała sukienkę prawie do ziemi.

Podjechałem do niej i odezwałem się:

— Witam, panienko... proszę pani.

Spojrzała na mnie, przekrzywiając zgrabną główkę niczym szczeniak mieszaniec, i odpowiedziała:

— Witam pana szanownego.

To trochę mną zachwiało. Do tej pory wszyscy wołali na mnie: „Ty tępogłowy, walnięty, kompletnie zwariowany sukinsynu, ty zidiociały kowboju” i tym podobne, ale nikt nigdy jeszcze nie nazwał mnie „panem”. Strasznie mnie to ucieszyło.

Trajkotałem dalej:

— Uch, trawa ślicznie dziś wygląda, czyż nie?

— Pewnie, że tak!

— I krówki też ładnie wyglądają, czyż nie?

— No, pewnie, że tak!

Przyjrzałem się krowom uważniej niż zwykle, i w rzeczy samej, wyglądały ładniej niż co dzień.

— Dzieciaki dokazują? — ciągnąłem, wpatrując się w dzieci biegające po boisku szkolnym.

— Oczywiście. Ale ja nalegam na dyscyplinę. To jedyna droga do edukacji, a edukacja jest jedyną drogą do sukcesu.

Nawet wtedy, w tamtych czasach, nie byłem aż tak głupi, jak uważała większość osób.

— Sukcesu? A co to tak właściwie znaczy?

Przyglądała mi się chwilę i nawet patrzenie prosto przed siebie potrzęsało i kołysało tymi jej cycuszkami na wszystkie strony. To mi przypominało dziką krowę, którą w ubiegłym tygodniu zagoniłem do korrala, a która biegła cały czas we wszystkich kierunkach, dopóki się nie wyrwała na wolność.

— Cóż, kto zdobywa najwięcej pieniędzy na świecie?

— Hazardzista-oszust! — odparłem, czując się jak największy mądrała.

— Oj, chyba nie. Zawsze jest jakiś sprytniejszy od niego.

Gapilem się na nią.

— Bankierzy i politycy, ot, kto — dokończyła.

Cały czas tylko się na nią gapilem. W tym czasie złapała małego Johnny'ego Watkina za ucho i wykręciła mu je, aż zaczęło przypominać kawałek lassa, po czym trzepnęła go po głowie i powiedziała:

— Przecież kazałam ci przestać podszczypywać Mary Lou.

Johhny odszedł chwiejnie, trzymając się za ucho obiema rękami. Oto kobieta czynu; widać to na pierwszy rzut oka.

Odwróciła się do mnie i znowu uśmiechnęła tym zuchwałym uśmiechem.

— Bankierzy i politycy dostają wszystkie te pieniądze dlatego, że są sprytniejsi od innych. A są mądrzejsi, ponieważ potrafią czytać i pisać, dodawać! odejmować. Aby osiągnąć sukces, trzeba mieć wykształcenie — powtórzyła.

Zacząłem już łapać, co to słowo znaczy. Jednak to dało mi niewiele dobrego, bo nie potrafiłem robić żadnej z tych rzeczy, które wymieniła.

— Cześć — powiedziałem i odjechałem, nagle czując się jak ofiara. Gdyby wyjęła jeden z tych wielkich, drżących wypełniaczy bluzki i potrząsnęła nim za mną, wątpię, czy miałbym odwagę się obejrzeć.

Pognaliśmy bydło do domu.

Cały czas siedziała mi w głowie — nawet w nocy, kiedy po całym dniu w siodle kość ogonowaomal nie wylazła mi przez skórę. Dwa razy spadłem z konia, ponieważ myślałem o łapaniu jej, a nie łęku siodła — a są to dwa zupełnie różne kształty. Wreszcie zrozumiałem jasno i wyraźnie, że jakem Bobby Jack Smith, muszę mieć tę kobietę.

Pewnej nocy zaczekałem, aż pozostali kowboje zasną we wspólnym baraku, i wyszedłem na dwór. Nikt i tak nie zwróciłby na to uwagi, bo zawsze ktoś wylazł na dwór się odlać. To jednak była sprawa prywarna.

Osiadłem konia i pojechałem pięć mil do szkoły. Całe mnóstwo cholernych robali latało w powietrzu, a od czasu do czasu słychać było wycie kojota — dźwięk, który sam miałem ochotę wydać. Nie było mnie w Dirt Town przez prawie miesiąc i chodziłem strasznie napalony. Im bliżej byłem budynku szkoły, tym ciężiej oddychałem. Zupełnie zapomniałem, że nie jestem wykształcony. Podjechałem od tyłu, gdzie mieszkała, przywiązałem konia i zapukałem.

Podeszła do drzwi, otworzyła je nieco i wyjrzała.

— Kto tam? — spytała, więc jej powiedziałem. Wtedy odrzekła: — Chwileczkę. Tylko się odzieję.

Patrzyłem, jak przykręca lampkę. Kiedy się pochyliła, za duża koszula nocna opadła i obie drżące ślicznotki wyskoczyły na wierzch, wolne i swobodne.

Stał mi jak kamień.

Gdybym miał jaja przywiązane drutem kolczastym do ważącego tysiąc funtów kamienia, i tak bym skoczył. Nie zatrzymując się, wpadłem przez drzwi, odtrąciłem w biegu krzesło i upadłem na nią dokładnie w tej samej chwili, kiedy poprawiała koszulę. Poleciała w tył na łóżko, a ja za nią. Łóżko złamało się w środku, a przy upadku jej wielkie, długie nogi rozjechały się, ręce zaś poleciały na boki, żeby zamortyzować wstrząs. To zostawiło ją otwartą dla mnie. Usiłowałem zostać między jej wierzgającymi nogami i trzymać jej pazury z dala od moich oczu jedną ręką, podczas gdy drugą ściągałem buty i spodnie. Przez jakieś dwie minuty byłem cholernie zajętym kowbojem. Kiedy ja zajmowałem się wszystkimi tymi rzeczami, ona próbowała się mnie pozbyć. To prawda, że nie mam zbyt wiele doświadczenia w wielu dziedzinach, lecz ujeżdżanie wierzgających stworzeń to moja działka. Wreszcie dostałem się w nią i to dało mi nieco oparcia — znacznie łatwiej siedzi się w siodle, gdy ma się obie nogi w strzemionach.

Rozkrzyżowałem jej ręce i przytrzymałem. Im bardziej wierzgała, tym lepiej było. Teraz siedziałem mocno w strzemionach i w niespełną minutę miałem już czas przyjrzeć się tym ogromnym cyckom latającym na boki jak dwa szalone księżyce. Najpierw wołała pomocy i darła się na mnie tymi wszystkimi wyzwiskami, które znałem od lat. Im głośniej wrzeszczała, tym mocniej wierzgała. Wreszcie zrobiła się tak mokra, jakby ktoś ją polał wodą. Już mnie nie przeklinała. Po prostu trochę pojękiwała i tyle.

Leżała pode mną, a ja czekałem, aż zacznie mnie znowu przeklinać. Zamiast tego przetoczyła mnie na bok, usiadła, spojrzała na mnie w mdłym świetle panującym w pokoju i zaczęła gładzić się po długich, białych udach, wolno, jakby rozcierała

zgonionego konia. Usiadłem na boku rozwalonego łóżka i patrzyłem na nią; już chciałem po raz drugi przejechać się w tym siodle.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała.

— Głównie dlatego, że nie mam wykształcenia, panno Delio. Jestem na tyle głupi, że nie wiem, jak się zachować.

— I naprawdę chciałbyś się uczyć?

— Pewnie, że tak, szanowna pani, gdyby tylko ktoś zechciał mnie uczyć.

Przestała się pocierać, wstała i ściągnawszy ręcznik z wieszaka, zaczęła się wycierać na moich oczach. Doszła do ogromnego, krągłego brzucha, a potem jeszcze niżej, rozsunęła szeroko uda, żeby mieć lepszy dostęp do tych partii ciała. Stałem od razu.

Siedziała, wpatrując się w moje narzędzie.

— Proszę... proszę... będę musiała wytłumaczyć ci trzy R, ale najpierw musisz obiecać, że nie zrobimy tego, dopóki... dopóki...

— Dopóki co? — wycharczałem.

— Dopóki nie ściągnę nocnej koszuli. Omal mnie nie udusiła.

Roześmiałem się, kazałem uklęknąć na starym wytartym dywanie i dałem jej długą, wolną przejażdżkę w kowbojskim stylu.

Następnego ranka musiałem podprowadzić konia pod ganek, żeby na niego wsiąść. Byłem tak słaby, że nie mogłem podnieść nogi do strzemienia. Oj, byłem zmachany.

Rozdział drugi

Ależ miałem zabawę z przekonaniem tępogłowego starego Gra- vy'ego Kinga, że naprawdę zacząłem odczuwać potrzebę edukacji.

— Wystarczy, żebyś wiedział, jak utrzymać konia między nogami.

— Posłuchaj, Gravy, wiesz dobrze, że dla mężczyzny istnieją na świecie lepsze rzeczy do trzymania między nogami, niż koń — odparłem przemądrzale.

Ale to, co powiedziałem, i tak nie miało znaczenia.

— Nie — odrzekł. — Nie możesz jeździć co noc do szkoły Delii i nadal uczciwie pracować za dnia. To cię wykończy tak, że nie będziesz potrafił nawet dogadać się z koniem.

Wtedy właśnie walnęła we mnie niczym piorun jedna z tych genialnych myśli, dzięki którym później zacząłem być sławny. ^^ Powiem ci coś, Gravy. Co noc będę jeździł do niej na jednym z tych surowych dzikich koni z nowego stada.

— Naprawdę?

— Do diabła, pewnie, że tak.

— Bez pomocnika?

— Jasne, stary, że bez pomocnika.

— Cóż, jeśli naprawdę jesteś aż tak cholernym głupcem, to i ja mogę nim być.

Miło było to usłyszeć. Oczywiście czasem miałem problemy, żeby dotrzeć do szkoły, zanim Della położyła się do łóżka. Jazda na surowym koniu bez pomocy drugiego kowboja, który odpędzałby go od płotów, kanionów, drzew i dołów może być dość niebezpieczna. Byłem cały pocierany od wpadania na wyżej wymienione przeszkody, a także podrapany i posiniaczony od spłacania czesnego w połamanym łóżku panny Delii.

Był to czas wielkiej próby dla głupiego kowboja, ale doszedłem do wniosku, że to wszystko jest tylko częścią mej pracy w kierunku wykształcenia. Pewna stara ciotka nauczyła mnie liter alfabetu, ale jakoś nigdy nie udało mi się nauczyć składać ich w wyrazy. Jednak ułatwiło mi to życie i po krótkim czasie Della nauczyła mnie czytać... i pisać. „To jest pies. Zobacz, jak ten pies szybko biega. Patrz, jak ten cholerny sukinyś dogania królika”.

Nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo, kto miałby tyle cierpliwości, co panna Della. Nie chodzi nawet o to, że byłem powolny w nauce, ale strasznie trudno było mi się skupić na czytaniu czy pisaniu, kiedy ona była tuż obok. Zdaje się, że sama jakoś do tego doszła, bo zaczęła czytać mi początek jakiejś historyjki, a kiedy zaczynałem się w nią wciągać i być zainteresowany, przestawała. Bez względu na to, jak bardzo ją błagałem,

nie kończyła. Więc nie miałem innego wyjścia, jak tylko cholernie ciężko pracować, żeby dowiedzieć się, jak ta historia się kończy. To było trochę tak, jakby wrzucić dzieciaka do stawu, żeby nauczyć go pływać. Czasem mówiła:

— Posłuchaj, Bobby Jacku, to nie tylko litery, ale i dźwięki. —A potem wydawała dziwne odgłosy, żeby pokazać mi, na jakie różne sposoby można czytać alfabet. Narysowała mi nawet obrazki przedstawiające owieczkę, krowę, zającą i takie tam, a potem kazała je podpisywać. Nazywała to ostatnie „identyfikacją słów powiązanych z obiektami”.

I choć niezwykle lubiłem zabawiać się z nią w pokoiku na tyłach, odkryłem coś zupełnie dla mnie nowego — że niektóre kobiety są przydatne nie tylko do pieprzenia i szycia. To było dla mnie niejakim szokiem. Cały czas zastanawiałem się, dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem. Nie chodzi o to, że nie radziła sobie z igłą i nitką, ale była także wspaniałą kucharką. Umiała przyrządzać fasolkę na dziewięćdziesiąt siedem różnych sposobów, każdy dobry.

— Nie nauczyłaś się tego w szkole — powiedziałem kiedyś, kiedy skończyłem wylizywać miskę po najlepszym chili, jakie kiedykolwiek jadłem. Nie odpowiedziała nic; udawała, że nie słyszy. Potrafiła zrobić nawet placek z fasoli z melasą, który smakował lepiej niż obiad świąteczny.

Pewnej nocy ciężko pracowaliśmy, zjedliśmy ogromną kolację złożoną z fasoli i uczciliśmy całość miłym, ciepłym kochaniem. Leżeliśmy i spoglądaliśmy przez okno na księżyc, przysłuchując się bzyczeniu owadów na dworze, które nie pozwalały sobie nawzajem zasnąć.

— Musisz być strasznie dumna z tego, że jesteś tak wykształcona, że możesz uczyć innych—odezwałem się.—Wyżej chyba już nie można zejść.

Ujęła mnie za rękę i odpowiedziała, jakoś tak łagodnie:

— Nie, kochanie, nigdy nie wolno ci tak myśleć. Jasne, że na początek musisz zyskać nieco wykształcenia, ale potem nie ma już limitów. To... — machnęła ręką w niebieskim, nocnym

powietrzu, w kierunku sufitu szkolnego budynku — ...to tylko początek.

Trudno było mi w to uwierzyć. Ale w końcu właśnie po to się uczyłem. Żeby powiedzieć to słowami panny Delii: „Wykształcenie służy temu, żeby z rzeczy niewiarygodnych zrobić prawdziwe”.

Naprawdę nie miałem pojęcia, o co dokładnie jej chodzi, lecz z czasem na pewno zrozumie.

Przekręciłem się na bok i zasłoniłem jej widok na księżyc. Te cholerne robale z pewnością nadal sobie pobzykiwały, lecz ani ja, ani ta wspaniała dama pode mną, nie słyszeliśmy już tego.

Mówię wam, że strasznie szybko się uczyłem, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że spałem mniej więcej pół godziny na dobę. Cieszyłem się, kiedy nadchodził weekend, bo Della jechała wtedy do Dirt Town w odwiedziny do krewnych. Przynajmniej tak mi mówiła. Ale nawet w weekendy w dzień ujeżdżałem konie, w nocy zaś się uczyłem. My, kowboje, nie zarabialiśmy dość, żeby zbyt często jeździć do Dirt Town — udawało się to nam może raz na dwa, trzy miesiące[^] więc zawsze miałem mnóstwo towarzystwa w baraku. Czasami tak się zajmowałem moim czytaniem, pisaniem i wymyślaniem różnych rzeczy, że zupełnie zapomniałem o lampie. Pozostali strasznie tego nie lubili, zwłaszcza że przez cały dzień wkopywali słupy pod ogrodzenie albo zwozili siano.

Swarliwy stary John Benson wyskakiwał wtedy z gadkami typu:

— ...Dupa, zastanówmy się no, jak pisze się Wielka Dupa Delii? Wiem, jak się pisze dupa... D-U-P-A... A wiedziałbyś, jak napisać Wielgaśne Cyce Szkolnej Dupy? W-I-E...

Wszyscy wybuchali śmiechem, a ja czułem, jak gorąco uderza mi na policzki, lecz trzymałem się nauki.

Wtedy ten zezowaty Jose Fernandez odzywał się:

— Jak Bobby Jocks (zawsze tak na mnie wołał: „Bobby Jocks”) tak pilnie studiuje, to może przejdzie do pierwszej klasy, zanim mu stuknie pięćdziesiątka.

Następnie wtrącił się ten gadatliwy indiański bękart o imieniu Pół Burzy:

— Żeby przejść do następnej klasy, wystarczy, że się będzie twardo starał.

Cóż, to już była moja przydatna sprawa. Odrzuciłem książkę i kopnąłem Pół Burzy tak, że przeleciał przez pryczę, spadł na starego Bensona i trzasnął Jose Fernandez w dziób dokładnie tam, gdzie ja sam wybiłem mu dwa przednie zęby czwartego lipca poprzedniego roku. Jednak nie odwzajemniłem się jeszcze Staremu Bensonowi, więc gdy tylko wygramolił się spod Indianina, kopnąłem go w jaja. Kiedy klęczał na podłodze, sikał po spodniach, jęczał i przyciskał obie dłonie do obolałego miejsca, stanąłem nad nim i wygłosiłem do nich przemowę:

— Posłuchajcie mnie, wy ptasie mózdzki! Jeśli przez resztę życia chcecie harować u starego Gravy'ego Kinga i ujeżdżać za darmo konie warte trzy dolary za sztukę, to proszę bardzo! Nie krępujcie się! Słyszycie? Aleja nie będę tak żyć! Zamierzam się wybić!

Ciagnałem to jeszcze przez jakiś czas, aż wytoczyłem najpotężniejsze działo:

— Moja stara ciotka czytała mi kiedyś Biblię. Jest tam napisane: „Szukajcie, a znajdziecie”!

Cofnąłem się i odczekałem chwilę, aż im to zapadnie do łbów. Widziałem po ładnych minach na ich gębach, że nie będę mieć z nimi żadnych więcej problemów.

Jednak w następny poniedziałek zacząłem mieć inne kłopoty. Mały karos z o białych skarpetkach dostarczył mi ich sporo przy gałęziach i pniach drzew. Zdawało się, że coś strasznie go swędzi i usiłuje ulżyć sobie, wpadając na każde drzewo, jakie znalazł na drodze. Potwornie się z nim namęczyłem, a kiedy podjechałem do białego budyneczku szkoły, zobaczyłem, że stoi przy nim czyjś koń, osiodłany. Zsiadłem i przywiązałem wodze do drzewa. Spętałem także mego konia i przywiązałem dodatkowo pęta do jednego z tych drzew, które tak bardzo kochał. Jeśli nawet zerwie wodze, to cholernie się zdziwi, kiedy dotrze do końca czterdziestostopowego lassa. Nie zamierzałem zostać bez wierzchowca tak daleko od domu, zwłaszcza że w okolicy czaiła się konkurencja.

Podszedłem do konia i wymacałem piętno; BR. Wiedziałem już, że to ten cholerny, wykształcony Brad Ross, mały ranczer z północy, który także chodził do szkoły.

Zastanawiałem się, czy Delii skończyła się nafta do lampy? Nie miało przecież sensu, że siedzą tam po ciemku. Ale kiedy zbliżyłem się do okna, zrozumiałem już, co tam wysiadują.

— Och! Och, Brad! Tak, właśnie tak! Tak! Właśnie tam!

Cóż, niewiele myśląc, wyciągnąłem broń i już chciałem wejść i pokazać im, gdzie to „właśnie tam” jest, lecz przypomniałem sobie co nieco z mojej nowo nabytej wiedzy. Nie mogłem wrócić do dawnego stylu życia. Nie mogę pozwolić sobie na cofanie się w rozwoju. Nie teraz, nie kiedy do skończenia szkoły tak niewiele mi brakuje.

Wróciłem, odwiązałem konia, zwinąłem lasso i odjechałem, dusząc z wściekłością kulę siodła i dusząc się, kiedy ze wszystkich sił starałem się zachować panowanie nad sobą.

Pojechałem na północ, do szlaku wiodącego na rancho Brada. Jechałem nim, aż zbliżyłem się do krawędzi kanionu, który opadał kilkaset stóp w dół, a jego dno pokryte było ostrymi głazami. Zsiadłem z konia i przywiązałem go z przodu tak, żeby wyraźnie było go widać ze szlaku. Pomyślicie, że nie jestem zbyt rozgarnięty. Ale koń Brada i tak wyczułby mojego wierzchowca, zarżałby albo chrapnął i Brad od razu by wiedział, że ktoś się przed nim chowa. Teraz, jeśli jego koń się spłoszy, Brad pomyśli, że to z powodu konia przed nimi, i przejedzie spokojnie tuż obok mnie.

Wyszukałem sobie pięciostopowy kawał gałęzi gruby na ja* kieś cztery cale, wybrałem ładną górkę kamieni, za którą się schowałem i czekałem. Czekałem i czekałem. Trudno było nie zasnąć w takiej ciszy, ale rozbudzała mnie myśl o Delii krzyczącej: „Och! Właśnie tak!”

Te same kojoty, robale i sowy wydawały te same odgłosy co zawsze. Czekałem jeszcze jakiś czas. Potem, hen, kawał na skraju świata, zobaczyłem fioletowawy blask, początki promieni słonecznych wdzierających się na niebo. Zaraz później usłyszałem odgłos końskich kopyt: Klip-klop. Klip-klop, klip-klop.

Wyrzależ z kaniemi i zobaczyłem bułanka Brada, który z uniesionym łbem i postawionymi uszami wpatruje się w mojego małego karosza. Stary Brad wyteżał wzrok i właśnie kiedy mijał moją kryjówkę, wyciągnął broń. Pozwoliłem mu przejechać jard za moją placówkę. Wtedy zamachnąłem się potężnie gałęzią i strzeliłem go prosto między łopatki; rozległo się spląt! i Brad poleciał na łeb z konia i za krawędź kanionu. Niewiele czasu minęło, aż przestał się drzeć po drodze w dół. Podszedłem do krawędzi i wyrzależ na dół, gdzie na niewielkim występie, na szczycie drzewka, rozciągnięty jak trzeba, leżał sobie stary Brad. Zanim dojdzie do tego, jak zleźć z drzewa i wydostać się z kanionu, nie skręcając sobie przy okazji karku, zrozumie też, że nie powinien wyglupiać się z moją nauczycielką. Nie chodzi o to, że jestem zazdrosny czy że nie lubię się dzielić, ale Brad Ross chodził do szkół przez dziewięć lat, a ja tylko przez kilka miesięcy.

Odwiązałem karosza i wróciłem do Delii; wdrapałem się na nią i wkrótce usłyszałem jej krzyki:

— Och, tak! Och, Bobby Jacku! Właśnie tak! Och, właśnie tu!

Cieszyło mnie, że w ciemności potrafi odróżnić mnie od Brada Rossa.

Wyszedłem stamtąd tuż przed rozpoczęciem lekcji. Pojechałem do domu z miłym uczuciem, że moja edukacja będzie trwać.

Tej zimy uczyłem się pilnie i ujeździłem wiele koni. Zima nie była zbyt ostra, a temperatura spadła więcej niż trzydzieści stopni poniżej zera tylko dziesięć, może piętnaście razy. Dotrzymywałem moich zobowiązań wobec Delii. Nigdy nie wspominała przy mnie o starym Bradzie, nawet po tym, kiedy znaleźli go włóczącego się samotnie i gadającego do siebie, niczym te wszystkie robaczki. Ta nauczycielka była wysoce wyspecjalizowaną, doskonale ułożoną, wypruwającą flaki suką. Trudno powiedzieć o kimś coś lepszego.

Posłuchajcie, pracowałem w swoim czasie u wielu sukinsynów, lecz żaden z nich ani umywał się do starego Gravy'ego. Nie wiem, co sprawiło, że zacząłem rozpamiętywać te kilka ostatnich, koszmarnych lat, które spędziłem na harowaniu u niego, ale zacząłem. Może chodziło o to, żebym zdołał zgromadzić w głowie dość rozsądnych powodów, aby wreszcie opuścić ranczo Kinga. W każdym razie, jak to ktoś kiedyś powiedział: „Zagłębiłem się w przeszłość, żeby zobaczyć, gdzie byłem”. Na przykład kiedyś, tak dla zabawy, założył się ze mną, że nie będę w stanie jeść co dzień, przez trzydzieści dni, przepiórek na obiad. Słyszałem to powiedzenie, odkąd byłem małym smykiem, a ponieważ zakład miał się obyć bez pieniędzy, dzielnie go przyjąłem. Każdą wolną chwilę spędzałem, polując na ptaki; zbudowałem małe pudełeczko, które z jednego boku podpierałem cienkim kijkiem. Potem przyklejałem ziarna do patyczka i wsypywałem nieco pod pudełko. Kiedy przepiórki zaczynały dziobać, w końcu dochodziło do tego, że podbijały kijek, a pudełko opadało prosto na nie. ,

Taak, jadłem przepiórki przez trzydzieści dni; w rzeczy samej, jedliśmy przepiórki przez sześć miesięcy i jedlibyśmy je nadal, gdyby ich populacja tak strasznie się nie skurczyła. W ten sposób ten chciwy, podstępny drań zaoszczędził na wołowinie. Dopiero po jakimś czasie to zrozumiałem, ale do diabła, potrafię uczyć się na błędach. W tej materii Gravy wyświadczył mi mnóstwo przysług i to dzięki niemu stałem się takim geniuszem.

Pewnego dnia powiedział:

Wiesz co, Bobby Jacku? Jeśli facet wzięłby małego cielaka i podnosił go co dzień, aż ten dorosnie, stałby się najsilniejszym człowiekiem na świecie.

— Co takiego?— odparłem, lecz cały czas mój mózg pracował na zdwojonych obrotach. Gdyby ktoś naprawdę był najsilniejszy na świecie, dałoby mu to sporą przewagę. Ja już byłem całkiem silny.

Rozdział trzeci

— Do diabła—dodał—cielak rośnie tak wolno, że po prostu nigdy nie zauważyłbyś, że przybrał cokolwiek na wadze.

No cóż, moi państwo, pewnie, że spróbowałem. I jasne, że ten mały, dopiero co urodzony cielaczek ważył niewiele więcej niż nic i z równą łatwością podnosiłem go, gdy miał tydzień, jak i wtedy, kiedy miał tylko jeden dzień. Po prostu moje mięśnie urosły dokładnie tyle samo, co cielak. Do diabła, każdy mógł na to wpaść.

Powiedziałem o tym Gravy'emu, a on mi na to, że podziwia moją wolę i że jeżeli uda mi się podnieść zwierzaka, kiedy będzie miał rok, to on da mi ekstra trzymiesięczną zapłatę.

— Oczywiście — dodał — jeśli stchórzysz i zrezygnujesz, spodziewam się, że to ty oddasz mi trzymiesięczne wynagrodzenie.

Oczywiście. Po pierwsze, nie jestem tchórzem, więc od razu przystałem na jego hojne warunki. Przez pierwsze trzy tygodnie po prostu wchodziłem do zagrody i podnosiłem cielaka na stopę nad ziemię, nawet nie mrużąc przy tym oczu. Kiedy minęło z sześć tygodni, trafił mi się problem. Nie chodziło nawet o to, że cielak zrobił się za ciężki—po prostu zrobił się cholernie wysoki. Musiałem się nieco nabiedzić, żeby go podnieść tak wysoko. Cielak jakoś mnie polubił i co dzień czekał na mnie jak pies, żebym wykonał naszą sztuczkę. Ody czas macałem się po mu- skułach, żeby przekonać się, czy rosną. Zdawało się, że wszystkie rosną, z wyjątkiem tych na grzbiecie. W jakiś sposób, stale mnie bolały. Wkrótce cielak był już tak wysoki, że nie mogłem go objąć od góry, lecz wykazałem się sporą dozą inteligencji: włożyłem pod niego i podnosiłem go na plecach. To działało całkiem niezłe przez kilka dni, choć czasem miałem wrażenie, że robię krzywdę — i to sobie, nie cielakowi.

Pozostali kowboje podjudzali mnie i dawali głupie porady w stylu:

- Nie karm drania, to przestanie rosnać.
- Rób mu codziennie lewatywę. Dzięki temu będzie lżejszy.
- Bobby Jacku, tobie trzeba butów o wyższych obcasach!

— Równie dobrze możesz go nauczyć, żeby skakał w górę, kiedy zaczniesz sapać.

Doceniałem ich zainteresowanie, ale nic nie zadziało. Zdarzyło się to pewnego dnia, kiedy spędziłem w siodle dziesięć godzin i przejechałem trzydzieści mil. Naprawdę się starałem, ale udało mi się unieść tylko trzy nogi zwierzaka z ziemi. Potem, kilka dni później, byłem w stanie unieść mu dwie nogi. Sapałem. Puściłem bąka. Kląłem. Byłem wycieńczony. Jak ktoś kiedyś powiedział, własna gęba dała mi po dupie. Oto ominęły mnie trzy miesiące, podczas których chłopaki będą jeździć do miasta, upijać się i uganiać za dziwkami. Trzy miesiące, podczas których będę siedział na ranczu i walczył ze łzami. Takie są prawa tej ziemi. Poza tym każdy wie, że kowboje nie płaczą. Nic więc dziwnego, że poszedłem potem na ten układ z panną Delią Craven, żeby wlać sobie nieco oleju do głowy, zanim zrobi się za późno.

Cóż, do diabła, może nie dałem sobie rady dlatego, że opuściły mnie mięśnie pleców, ale mimo to odbiłem to sobie. Mieszkała w okolicy pewna wdowa z siedmiorgiem dzieci. Bardzo często widziałem konia Gravy'ego zaparkowanego przed jej domem. Shirley Mae może i nie była najpiękniejszą kobietą świata, ale miała na pewno więcej czaru niż krowa. Wszystko na jej ciele nieco opadało. Ale chodzi o to, że miało jej co opadać.

Kiedy tylko miałem okazję, jeździłem za wschodnie pastwisko, żeby zobaczyć, co u niej słychać. Część dzieci była w szkole, lecz wystarczająco dużo było ich w domu, żebyśmy nigdy nie byli w stanie skorzystać z łóżka. Prosiła mnie, abym zerknął na świnię, kurczaki czy krowy i dał jej jakieś rady. Jednocześnie dawała dzieciakom różne roboty w domu. Jedno mogę powiedzieć o Shirley Mae — może i była biedną wdową, ale dom miała zawsze czysty.

Nie tylko strasznie lubiłem spędzać czas w stodole tej pani, ale też odpłacałem cholernemu Gravy'emu Kingowi pięknym za nadobne. Pewnego dnia spotkałem go jadącego do niej, kiedy sam od niej wracałem. Pot wystąpił na mnie mimo lodowatego wiatru, jakbym właśnie skończył kopać dziesięciostopową dziurę w kamieniu. ... łyżeczką.

— Witaj, Bobby Jacku. Przeliczyłeś bydło na wschodnim pastwisku?
— Pewnie — wyskrzeczalem.
— Dobrze. Dobrze. I jak sobie radzą?
— Mniej więcej tak, jak do tej pory.
— Dobrze — powtórzył i odjechał, zostawiając mnie tam siedzącego, jakbym był skrzywionym cedrowym pniakiem. Coś było nie tak, lecz nawet mój lotny umysł nie był w stanie tego wychwycić.

Nie minęło wiele czasu, kiedy wyciągnął z kapelusza kolejną niespodziankę.

— Bobby Jacku — zaczął. — Kowboj wie, że samotne życie. Zauważyłem, że nie jeździsz z innymi do miasta odprężyć się, więc zamierzam wyświadczyć ci specjalną przysługę.

Aż się uśmiechnąłem na tę dobrą wiadomość. W późniejszych czasach nauczyłem się, że przysługi, które przychodzą darmo, kosztują więcej niż te, które człowiek sam sobie kupi. Uśmiechnąłem się i czekałem, widząc oczyma duszy, jak siedzę przez cały tydzień w mieście i piję na umór z kieszeniami pełnymi pieniędzy. Były też wokół mnie śliczne dziewczynki.

To, co mi ofiarował, faktycznie miało coś wspólnego z płcią przeciwną. Na Boga! Zamierzał zabrać mnie do swojej przyjaciółki i przedstawić szacownej wdowie — Shirley Mae! Choć dawał mi prezent, który już od dawna posiadałem, i tak było to szalenie miłe z jego strony. Może jednak w tym lodowatym sercu posiadał isierkę ludzkich uczuć. Uśmiechał się do mnie, jakbym był jego ukochanym synem.

W czasie przedstawiania nas sobie znowu pocilem się w lodowatym wietrze, ale Shirley Mae zachowywała się tak, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. Cóż, to było całkiem miłe. Teraz mogłem jeździć do niej i obrabiać ją na sianie, kiedy tylko miałem wolną chwilę. Było to całkiem wygodne uczucie i znacznie lepsza zabawa. Następny miesiąc był najlepszym, jaki spędziłem na jakimkolwiek ranczu.

Pewnego dnia, kiedy właśnie wróciliśmy z Shirley Mae z in

spekcji bydła, a dzieci zostały odesłane do reperowania ganku, zostaliśmy sami, a ona naląła mi kawy i usiadła naprzeciw mnie.

— Bobby Jacku — zaczęła, wyglądając cholernie poważnie jak na osobę, która dopiero co została radośnie zerżnięta. — Muszę ci coś powiedzieć.

Ludzie najczęściej nie wahają się przed przekazaniem ci dobrych wiadomości, więc tak jakby zaparłem się na niewygodnym krześle i czekałem na nadejście ciosu. Miałem nadzieję, że nie chce się ochajtnąć.

— Jestem przy nadziei — wypaliła.

Usiłowałem przełknąć ślinę. Usiłowałem się uśmiechnąć. Usiłowałem oddychać powoli i spokojnie, ale nie skutkowało. Ona się potem rozryczała i zaczęła gadać, że ma już dość dzieci do wychowywania jak na jedną słabą kobietę i że będę się musiał zająć tym jednym. Gadała tak i gadała bez końca. Tak naprawdę chciała mi powiedzieć tylko tyle, że ma chęć na połowę moich zarobków. Wyjąkałem kilka marnych kłamstw i dodałem, że wpadnę do niej za kilka dni i wtedy wszystko ustalimy.

Mimo wspaniałego umysłu, który nosiłem pod czaszką, nie potrafiłem znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Kowboje zarabiają tyle, żeby mogli kupić sobie jedną parę butów na rok, może dwie pary dżinsów i żeby od czasu do czasu mogli ostrożnie poszaleć w miasteczku. To dotyczy przeciętnych kowbojów. Ja nie byłem przeciętny pod żadnym względem. W rzeczy samej Gravy wpędził mnie w taki dół, że nie wy dostałbym się z niego, nawet gdybym był ptakiem. Rozmyślałem. Zastanawiałem się. Martwiłem się i przeklinałem. Nic nie wychodziło. Pewnie, że chciałem pomóc Shirley Mae, ale byłem bezradny.

Jechałem kompletnie załamany. Gdybym miał walczyć z niedźwiedziem grizzly za pomocą małego scyzoryka, jakoś bym sobie poradził. Ale to była sytuacja, której nie potrafiłem okiełznać. Byłem jak zdrętwiały.

Nagle, powodowany własnym rozumem, mój koń zatrzymał się pod nisko wiszącą gałęzią. Zauważyłem, że przebieram w palcach linkę. Nawet mój koń wiedział, co muszę zrobić. Zawiąza

łem sobie lasso dokoła szyi. Przerzuciłem końcówkę przez gałąź i przywiązałem w tym samym miejscu. Teraz wystarczy już tylko, że zepnę konia ostrogami, ten wyskoczy spode mnie i żegnajcie lodowate wichry zimy i spalające tyłek letnie słońce. Nie będę już musiał martwić się o żadne ciężarne wdowy, a przede wszystkim— i to jest najlepsze—nie będę się musiał więcej przejmować starym Gravym Kingiem. Ale na myśl o nim, ten mój genialny umysł, który na chwilę kompletnie zgłupiał, zaczął pracować jak trzeba. Przecież Gravy, zanim nas sobie przedstawił, widywał się z Shirley Mae dwa razy częściej niż ja! A co, jeśli... jeśli... Och, mój Boże wszechmogący! Możliwe, że chcę powiesić niewinnego człowieka!

Rozwiązałem lasso, zwinąłem je porządnie i przywiązałem do siodła, bojąc się głośniej odetchnąć, żeby koniowi nie przyszło do łba bryknąć. Uff!

Rozdział czwarty

Przy Gravym zaharowywującym mnie nieomal na śmierć i wdowie dojącej mój tyłek dla pieniędzy — to nie były dawne dobre czasy. Byłem zastraszonym kowbojem, ale na szczęście żyłem. A ten stan ma swoje dobre strony.

Była jedna rzecz, która naprawdę zaszła Gravy'emu za skórę, a tą rzeczą był największy dziki byk, jaki kiedykolwiek chodził po tym świecie. Stary Randy, jak go nazywaliśmy, był wyższy od konia i musiał ważyć coś z tysiąc osiemset funtów. Ślady jego kopyt miały rozstawienie osiemnastu cali. Był dwa razy dzikszy i trzy razy mądrzejszy od jeleni i kojotów. Pasł się i żył w szczęśliwości na trawie należącej do Gravy'ego. Stary Randy miał już sześć lat i za każdym razem, gdy Gravy myślał o wszystkich tych latach darmowego karmienia — cóż, nie warto o tym mówić, bo i tak nie ma żadnego dowodu na istnienie w nim wyższych uczuć, ale faktem jest, że ofiarował dwadzieścia dolarów nagrody temu, kto złapie przestępcę.

Problem polegał na tym, że ze Starego Randy'ego widzieliśmy i zazwyczaj tylko te ogromne ślady, albo jedno oko przyglądające I się nam z gęstych zarośli, i słyszeliśmy jego niski głos. Założyłem się, że przejechałem z tysiąc mil, podążając za tymi śladami, a słyszałem jedynie odgłos jego galopu daleko przede mną i dziwne dźwięki, kiedy wpadał na rozmaite przeszkody. Czasami w ogóle wątpiłem w jego istnienie.

Postanowiłem go schwycić. To było jedyne wyjście. Mimo moich rozlicznych problemów myślałem o czymś więcej niż tylko o nagrodzie. Pod naporem wszystkich kłopotów umysł mi stwardniał.

Kiedy tylko miałem okazję, przemierzałem prerię w poszukiwaniu Starego Randy'ego. Zdumiewające, jak ogromny teren opanował. Jednego dnia przyklejałem się do jego śladów, a następnego odnajdywałem je dwadzieścia mil dalej. Widać było, gdzie przedzierał się przez zarośla, bo zostawiał po sobie połamane gałązki. Dwa razy, kiedy już myślałem, że idziemy w kierunku otwartej przestrzeni, gdzie będę mógł ruszyć za nim galopem i złapać, wycofywał się po cichu niczym puma i gubił mnie. Wystarczyłoby tego, żeby i najgłupszego kowboja doprowadzić do furii. To, co uczyniło to ze mną, istotą rozumną, jest po prostu żalosne. Każda łaciata krowa, która stała na wpół ukryta w zaroślach, zaczęła mi przypominać tego cholernego Randy'ego. Zaczęło mi się śnić, że ten byk unosi mnie na rogach i zrzuca do kanionu podobnego do tego, do którego sam zwałem Brada. Ale mimo to cały czas siedziałem skubańcowi na karku.

A wtedy nadeszła wielka chwila. Przechytrzyłem cwaniaka. Przyznaję, że to nie górna część mego mózgu podpowiedziała mi, co robić. Górna część mózgu jest ze sto razy cwańsza od dolnej, wiecie? Wydaje mi się, że to szczęśliwy zbieg okoliczności. Ale te naprawdę mądre niższe partie wiedziały lepiej. Nie można ich nie doceniać. Tropiłem go pół dnia, trzymając się dostatecznie daleko z tyłu, żeby mi nie uciekł jednym z tych swoich słynnych, pięciomilowych galopów. Jechałem pod wiatr i do tej pory nie wydaje mi się, żeby wiedział, iż jestem za nim. Gubił mnie

w górach tyle razy, że po prostu stał się ciut, odrobinę, zbyt pewny siebie.

Jechałem na największym i najszybszym bułanym koniu na ranczu. Mimo to Stary Randy musiał ważyć o jakieś czterysta funtów więcej od nas obu razem wziętych. Właśnie powoli jechałem piaszczystym dnem niewielkiego, wyschniętego strumienia, którego brzegi porastały gęste zarośladające świetne schronienie. I wtedy zobaczyłem go przez niewielką dziurkę w gałęziach. Dokładnie w tej samej chwili on podrzucił głowę, okręcił się na zadzie i zaczął się rozglądać, węsząc i niuchając, ale nadal nas nie widział. Paś się w niewielkim zakolu, gdzie rosła wysoka, bujna trawa. Boże wszechmogący, serce waliło mi tak, że chyba odłu- pywało mi drzazgi z żeber. Poczułem, jak bułanek pode mną napina mięśnie. Odwiązałem lasso od siodła i zrobiłem ogromną, idealną pętlę. A potem wbiłem ostrogi w boki konia. W tej samej sekundzie, kiedy mój wierzchowiec wypadał z zarośli na otwartą przestrzeń. Stary Randy popędził do skraju zakola. Żeby się zmieścić, musiał przebiec niedaleko mnie. Tak więc kiedy ja jechałem w jego stronę, a on pędził w moim kierunku, strasznie szybko zbliżaliśmy się do punktu konfrontacji. Dobieraliśmy się do niego. Mój bułanek był równie zmęczony tropieniem tego sukinsyna, co i ja; naprawdę napalił się na tego byka. Dopadliśmy do końca zakola w tej samej chwili, a poruszaliśmy się chyba najszybciej, jak tylko można. Po prostu wyrzuciłem pętlę w bliżej nieokreślonym kierunku i wypowiedziałem osiemdziesiąt siedem różnych modlitw w ciągu pół sekundy. Modliłem się, żeby udało mi się go złapać, lecz jednocześnie byłem przerażony, że może naprawdę tego dokonam. Modliłem się, że jeśli go złapię, to niech nie szarpnie nami tak, że wraz z koniem polecę do samego nieba. Modliłem się, żeby nie zerwał popręgów i nie ściągnął mnie z konia, abym spotkał swą śmierć w kupie ostrych głazów. Modliłem się, aby lasso nie pękło. Modliłem się, żeby Randy nie wbił rogów w bok mego konia i nie wrzucił mnie do kanionu, jak mi się śniło. Mówię wam, nigdy jeszcze tak się nie modliłem!

Pętla leciała wolniej, niż idzie wściekły pies, a po czasie, który

wydawał się kilkoma latami, zacisnęła się dokładnie na rogach tego przeklętego byka. Miałem go! I to właśnie jest przykład I pracy niższych partii mojego mózgu. Każde bydło łatwiej jest chwytóć za rogi niż za głowę czy szyję. Nacisk linki działa wtedy na jakieś nerwy, czy coś takiego.

Teraz jedna rzecz: ten mój bułanek był wy trenowany tak, żeby depnąć po hamulcach dokładnie w chwili, kiedy poczuje wagę na przeciwnym końcu linki. Gdyby zrobił to w tej chwili, powietrze dokoła nas nagle wypełniłoby się gównem, sierścią, krwią, śmieciami i kilkoma paskami podartej skóry. Wpadłem na genialny pomysł i pchnąłem nieco konia w kierunku Randy'ego, aby nie miał szansy rzucić się całym ciężarem ciała na lasso. Mimo to zostaliśmy szarpnięci, niczym mały, sześciocalowy pstrąg szarpnięty przez sęp na wieloryby. Potem byk okrążył drzewo z jednej strony, a my zostaliśmy z drugiej, dzięki czemu zaczęliśmy znowu lecieć na siebie. Wtedy właśnie pozwoliłem bułankowi na nadeptanie na hamulce. Randy parsknął i sapał, i jestem przekonany, że widziałem iskry sypiące się z jego rogów. Usiłował zaszarżować na nas, dzięki czemu okręcił się wokół drzewa jeszcze dwa razy, dopóki nie stanął dokładnie tuż przy pniu. Wziąłem kolejną linkę, zarzuciłem mu ją na szyję i przywiązałem krótko do łęku siodła. Później odwiązałem trzecią linkę, zsiadłem z konia i złapawszy w pętlę jedną z długich nóg Randy'ego, przymocowałem ją do sąsiedniego drzewa. Dokonawszy tego, usiadłem na płaskim kamieniu i spróbowałem namówić płuca do ponownej pracy; gapilem się na cud, którego dokonałem. Kiedy już nieco ochłonałem, zdjąłem lasso z łęku siodła i przywiązałem końcówkę do trzeciego drzewa. Teraz miałem go rozciągniętego między trzema palikami. Mógł już tylko parsknąć i potrząsać głową.

Pojechałem z powrotem w kierunku rancza, dumny i szczęśliwy. Byłem też dumny ze swego konia, o czym mu powiedziałem. Wystarczy, że zostawię teraz moją bestię przywiązaną do drzew przez trzy dni, i będę mógł wypełnić mój plan. Oczywiście, będę musiał dopilnować, żeby jakiś inny kowboj nie napatoczył się na

moją zdobycz i nie zawłaszczył jej tanim kosztem. Szkoda było mi Randy'ego, ale mogłem wygrać albo ja, albo on. Wybrałem swoje zwycięstwo.

Ledwie mogłem znieść czekanie, ale wreszcie słońeczko powiedziało „dzień dobry” i „do widzenia” trzy razy, i mogłem zadać coup de grace Gravy'emu Ringowi. Oczywiście wtedy nie znałem jeszcze tego określenia, ale potem nauczyłem się go przy okazji czytania o Napoleonie.

Potupałem do biura Gravy'ego Kinga. Najczęściej, kiedy idziesz taki kawał drogi, Gravy i tak tylko ci dokopie. Może nie zawsze na to wygląda, ale wielu smutnych kowbojów przekonało się o tym na własnej skórze. Ale nie tym razem, pomyślałem. Trzymałem go za lewe jajo, a prawe uciekło ze strachu.

— Wejdz, Bobby Jacku. Wejdz i rozgość się. Jak ma się Shirley Mae? To wspaniała kobieta. Byłaby dobrą żoną dla każdego mężczyzny, zwłaszcza że poprzedni mąż zostawił jej sporo rąk do pracy w obejściu.

— Taak, to świetna babka — odpowiedziałem bezczelnie.

— Wspaniale wyglądasz, Bobby Jacku. Nie ma to jak życie na otwartej przestrzeni, tylko wtedy człowiek jest naprawdę zdrowy i szczęśliwy. Zwłaszcza jeśli ma kobietę, z którą może dzielić swoje szczęście.

—; Taak—odpadem. — Nigdy jeszcze nie czułem się lepiej.

Gravy spojrział na mnie dziwnie; widziałem, że zaczyna się niepokoić.

— Czuję się tak pełny energii, panie King, że pojedę sobie jutro na prerię i schwytam tego starego Randy'ego.

Popatrzył na mnie jeszcze dziwniej, a potem uśmiechnął się, jakby był moim prapradziadkiem.

— No cóż, synu, jeśli tego dokonasz, będę szczęśliwszy niż burdelmama po odkryciu kolejnej żyły złota.

— Ja też — zgodziłem się z nim. Cofnąłem się nieco i wyłożyłem mu kawę na ławę.—Zdaje mi się, że jeszcze nigdy w życiu nie byłem na nic tak napalony. Może założymy się, że dostarczę go tu jutro, zanim słońce stanie w zenicie?

— Chyba nie masz na myśli, że dostarczysz go za pomocą strzelby kaliber trzydzieści-trzydzieści i w drobnych kawałkach?

Wyprzedzałem go o głowę; wiedziałem, że zada to pytanie, próbując podbić zakład.

— Nie, mam na myśli żywego na końcu lassa.

Po tym, jak poczerwieniał mu kark, poznałem, że ma ochotę wybuchnąć śmiechem tak gromkim, że zabrzęczą mu monety w kieszeniach. Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość, że udał, iż głęboko się namyśla.

—Co powiesz na trzymiesięczne zarobki? gg spytał, znając moją słabość do tej sumy.

—Doskonale — odpowiedziałem — ale jest jeszcze jedna rzecz.—Teraz ja zamilkłem i patrzyłem, jak Gravy się poci; gdy doszedłem do wniosku, że ma już dość, wypuściłem ostatni strzał:
- Chcę też tego byka.

Gravy dostał kilku lekkich konwulsji, potem roześmiał się na głos i powiedział, że ten byk nie nadawałby się i dla sępa do' zeżarcia.

—Gravy, ja nie chcę zjeść Starego Randy'ego ^powiedziałem. — Chcę go udomowić.

I to był koniec. Uścisnęliśmy sobie dłonie na przypieczętowanie zakładu i widziałem lisi błysk w oczach Gravy'ego, któremu zdawało się, że zrobił kolejny niezły numer.

Wziąłem trzy dodatkowe linki, żeby to dobrze wyglądało i w środku nocy wyjechałem na wzgórze. Nic mnie nie obchodziło zimno czy cokolwiek innego. Do wschodu słońca związałem tego cholernego byka na tyle sposobów, że wyglądał, jakby wpadł w gigantyczną pajęczynę. Był skurczony i tak słaby, że aż opierał się o drzewo, kiedy oplatałem go tą skomplikowaną siecią linek. Kora była zdarta z pnia; pewnie walczył, próbował ryć ją rogami i kopytami. Ziemia była zryta na stopę w głąb, zasrana i zasikana, tak że stracił przez to chyba większość sił życiowych. Byk był poharatany i pokrwawiony — w niektórych miejscach do kości. Kochałem tego starego drania — ale siebie kochałem bardziej.

Jednąlinkę przywiązałem między rogami Randy'ego a łąkiem

siodła. Kilka razy usiłował wszcząć walkę, ale teraz ja i koń byliśmy od niego silniejsi. Ten byk nie przeżyłby sześciu lat na wolności, gdyby był głupi; wiedział, że został pobity, i wkrótce szedł już w najłatwiejszym kierunku, czyli w dół zbocza, w stronę kwatery głównej Gravy'ego Kinga.

Zatrzymałem się za stodołą i zostawiłem tam konia, który trzymał zwierzę na napiętym 1 assie. Potem poszedłem do Gravy'ego i z zaniepokojoną miną poprosiłem, czy nie mógłbym porozmawiać z nim na osobności, za stodołą. Przyjrzał mi się uważnie, zauważył napięcie, które z trudem przywołałem na twarz, i zmarszczki zmartwienia, które z maestrią wywołałem, mrużąc oczy i krzywiąc gębę, po czym wygłosił przemówienie:

— Nie można wycofywać się z zakładów. Mężczyzna musi dotrzymać słowa, bez względu na to, jak fatalnie wygląda sytuacja. Wszystkim nam od czasu do czasu może się powinąć noga. Musimy stawiać czoło rzeczom, z których czasem chcemy się wydostać.

— Taak, pewnie, że się z panem zgadzam, panie King... ale... ale...
; §p; Posłuchaj mnie, Bobby Jacku. Nie ma potrzeby, żebyś się wysilał i próbował wywinąć z tej sytuacji. Wszyscy musimy czasem zachować się po męsku, bez względu na ponoszone koszty.

Kiedy wypowiadał słowa „koszty”, właśnie doszliśmy do rogu stodoły; nie patrzyłem na byka. Byłem zainteresowany czymś innym. Gravy stanął, otrząsnął się, spojrział na Starego Randy'ego, potem na mnie, a potem znowu na byka. Usta jakby mu się rozluźniły, poruszały się, nie wydając dźwięków, a oczy miały taki wyraz, jakby dopiero co zostały spryskane przez skun-ksa. Wyjął nawet dłonie z kieszonek kamizelki i zwiesił je bezwładnie na brzuchu, jakby miał skurcze. Tego ranka czułem się wspaniale i bawiłem się równie dobrze jak wtedy, kiedy pewnego sobotniego wieczora przetykałem piątą szklaneczkę brązowej whisky. Pięć lat temu też zaznałem szczęścia, gdy przez dwa dni posuwałem rudowłosą kurewkę, ale wszystko to razem ani się umywało do radości, która rozsadzała moje ciało w tej chwili.

— To nie fair — wysapał wreszcie. — Ten byk jest chory.

— Czy dobrze się pan czuje, panie King? Może chciałby się pan napić wody? A może wystarczy, że postoi pan chwilę tu na świeżym powietrzu? To pomoże panu odzyskać dobre samopoczucie. Wystarczy, że pan poprosi, a zrobię wszystko.

Ślinił się, jęczał i zapłacił mi żywą gotówką. Wepchnąłem ją głęboko do kieszeni i zaprowadziłem byka do Shirley Mae. Dałem jej pieniądze i powiedziałem, że jeśli przez kilka dni będą trzymać byka przywiązanego koło stogu siana, potem mogą go zabić, a mięsa starczy im na rok. Ponieważ wiedziałem, że po raz drugi nie zrobię jej dziecka, posunąłem ją na pożegnanie na sianku Starego Randy'ego. Później odjechałem, ani razu nie oglądając się za siebie. Shirley Mae wydawała się zadowolona i usatysfakcjonowana całą imprezą.

Kilka miesięcy później poznałem Delię i zacząłem przygotowywać się do świdanej przyszłości, która ukierunkuje rozwój naszego kraju na następne sto lat. Nie sądzę, aby moja chęć doskonalenia się i wydostania się na świat była zbyt niezrozumiała. Każdy, kto potrafił przechytrzyć byka, a i Gravy'ego Kinga też, może pewnego dnia zdobyć świat. A jednak, czasami, zastanawiam się H§gprzez bardzo krótką chwilę, pamiętajcie! — czy nie zapłaciłem przypadkiem za siedmioletniego chłopaka Gravy'ego Kinga.

Postanowiłem jednak—jak to mówią— nie rozpamiętywać przeszłości. Teraźniejszość jest znacznie miłsza.

Rozdział piąty

Wreszcie mała zielona trawa zaczęła przedzierać się przez to, co zostało z brązowych źdźbeł zimowej trawy, a pieski prerie- we, kojoty i wszystkie te cholerne zwierzaki zaczęły się obwąchiwać i parzyć. Jeszcze trochę i nadejdą letnie wakacje.

Pewnej nocy, kiedy po raz drugi zniszczyliśmy łóżko na

wesołych zabawach, Della przekazała mi dobre wieści. Podała mi książkę z paroma słowami naskrobanymi na pierwszej stronie. To było coś — Napoleon. Jego dochodzenie do władzy i podboje. Powiedziała, że jeśli przeczytam ją od deski do deski, poczuję się gotów, aby opuścić ranczo i poszukać bogatszego życia w mieście.

— Bobby Jacku — powiedziała. — Jesteś jedną z niewielu osób na tym świecie, które naprawdę chcą nad sobą pracować. Och, nie chodzi mi o to, że wielu nie oddałoby wszystkiego za majątek i prestiż, ale ty dążysz do czystej wiedzy. Czy wiesz, jakie to jest rzadkie i wyjątkowe? — Skończyła i spojrzała mi między rogi, czekając na odpowiedź.

Pętałem się po pokoju kartkując wspaniałą książkę; mój mózg wirował tak szybko, że trudno było mi przyszpilić choćby jedną myśl.

— Oczywiście — ciągnęła — w życiu każdego człowieka mogą zaistnieć wyjątkowe okoliczności, kiedy pieniądze są konieczne, a wtedy każdy sposób zdobycia ich jest dobry. A ostatecznym pocieszeniem i wieczną satysfakcją jest to, że człowiek walczył o swoje, wygrał, a potem dobrze to wykorzystał. Wiesz, o co mi chodzi, Bobby Jacku?

— Taak, psze pani, oczywiście, psze pani — odparłem. Wiedziałem jedno: obecna tu panna Della ma łeb na karku i więcej do powiedzenia niż jakikolwiek mężczyzna, którego znam, o kobietach nawet nie wspominając. Nie mam pojęcia, co by ze mnie wyrosło, gdybym się na nią nie natknął; wiem tylko, że byłem najbardziej fartownym kowbojem, który zarobił kopa w łeb. Niech mnie gęś kopnie, jeśli nie skończyłem czytać tej książki w ciągu dwóch tygodni, i pojechałem do szkoły zdać raport, aby potem usłyszeć gratulacje Delii. Niestety znalazłem tylko liścik:

„Kowboju, uczenie Cię było dla mnie ogromną przyjemnością. Może kiedyś się jeszcze spotkamy. Życie jest słowem”.

— A niech mnie wszyscy diabli — powiedziałem na głos; tego się nie spodziewałem.

Będzie mi brakować tej dziewczuchy, ale wkrótce będę już w Hi Lo, gdzie miejscowe kobiety szybko pomogą mi o niej zapo

mnieć. W drodze powrotnej na rancho Gravy'ego Kinga ciągle od nowa czytałem jej liścik. Nie dawał żadnych wskazówek, gdzie panna Della mogła się udać ani dlaczego wyjechała z takim pośpiechem. Na wiele sposobów była strasznie tajemniczą kobietą, ale powiedziała, że „może” się jeszcze kiedyś spotkamy. Może.

Rozdział szósty

Osiadłem konia, wsadziłem strzelbę kaliber trzydzieści- -titydzieści do olstra, przywiązałem małe zawiniątko z moimi rzeczami za siodłem, wetknąłem do juków parę książek włącznie z tą o Napoleonie, pierdnąłem i poszedłem do biura Gravy'ego Kinga.

— Wejź, Bobby Jacku. Czym mogę ci służyć?

Spojrzałem na niego i powstrzymałem chęć, żeby wytrzeć mu brud z kamizelki.

— Zapłać, co moje. Rezygnuję z roboty.

Cofnął się za biurko, wetknął ręce w kieszenie kamizelki i spojrzał na mnie tak, jakbym właśnie kopnął jego psa.

— Nikt nie rezygnuje z pracy na rancho Kinga. Nikt nigdy nie zrezygnował... to ja zwalniam pracowników. - Kilku zaharowało się tu na śmierć. W moim rozumieniu zrezygnowali.

— Zaczynasz się wymądrzać, chłopcze?

— Po prostu zapłać, co moje. Pracowałem bez zapłaty ostatnie pięć miesięcy. Należy mi się dwadzieścia osiem pięćdziesiąt za miesiąc. Po prostu mi zapłać.

— To największe rancho w pięciu stanach, z największym stadem bydła, znaj większymi pastwiskami, wodopojami i lasami. Nikt nie rezygnuje z pracy na takim rancho, domagając się jeszcze wynagrodzenia. Takie jest prawo tej ziemi.

To także jedno z największych kłamstw, jakie słyszała

ludzkość. — Zastanowiłem się, co zrobiłby Napoleon na moim miejscu, po czym wyciągnąłem pistolet, wsadziłem go facetowi do ust, żeby nie musiał wysłuchiwać tej jego bezsensownej gadaniny. — Posłuchaj, Gravy — odezwałem się łagodnie — wiem, że nawet dla ciebie to mnóstwo pieniędzy, ale rób, co ci mówię. Sięgnij do tego biurka i zapłać mi, co moje.

Zaczął znowu bulgotać i pieprzyć kompletne bzdury, więc wepchnąłem mu lufę nieco głębiej. Zamknął się i sięgnął po pieniądze. Przeliczyłem je, po czym wyszedłem.

Kiedy wychodziłem dumnie z jego biura, usłyszałem, jak mamrocze:

? Nie powinienem był pozwolić ci na tę połowiczną edukację. To wszystko zrujnowało.

Wróciłem tam i wepchnąłem mu rewolwer bokiem i to od drugiego końca, ale mój umysł już zajmował się sprawami w Dirt Town. Pojechałem tam w poszukiwaniu lepszego życia z pięciomiesięcznym wynagrodzeniem w kieszeni i tysiącami lat wiedzy w głowie. Przejechałem tuż obok małej szkoły, spokojnej i pustej teraz, wspominając wszystkie te wariactwa, które mi się tu przydarzyły. Pewnego dnia, kiedy zbuduję już ogromne imperium, wrócę tu i wygłoszę przemowę do dzieci o tym, jak podbijać świat. Pomysł „ogromnego imperium” wziąłem z książki o Napoleonie. Te dwa słowa zdawały się doskonale odzwierciedlać to, co chciałem zdobyć dla siebie. Bo niby, na Boga, cóż innego? Jak już wcześniej powiedziałem, miałem świeżutkie wykształcenie i sto czterdzieści dwa dolary pięćdziesiąt centów w kieszeni.

Kawałek dalej zobaczyłem, jak nieznajoma droga wiję się między wzgórzami. Kiedy przejechał obok mnie dyliżans, pomachałem woźnicy, uzbrojonemu konnemu strażnikowi i dwóm pasażerkom—wszyscy tylko gapili się na mnie. Potem pojechałem w ich kurzu, wiedząc, że tam, gdzie jada, muszą być pieniądze. Tam było Hi Lo w Nowym Meksyku, centrum górników i hodowców bydła.

Wjechałem na porośnięte sosnami wzgórze i spojrzałem w dół na miasteczko. Było tuż po zachodzie słońca i dostrzegłem zapa-

łające się tu i ówdzie mdłe światełka. Widziałem też jeźdźców, | wozy zaprzężone w konie, a także ludzi idących pieszo, widziałem kurz gotujący się na ulicach i wiszący nad miastem niczym brunatna chmura. Dokoła zaś znajdowała się przestrzeń pełna krów, bawołów, kojotów, robaków i Indian. Nagle miasteczko wydało mi się strasznie małe, lecz jednocześnie WIELKIE na swój sposób.

Pojechałem w dół. Jednak na chwilę, zanim wjechałem do miasta, zatrzymałem się i wsadziłem po pięć dolarów do butów i pod kapelusz. To już pokazuje, jakim stałem się cwany sukinsynem. Oczywiście, najpierw przejechałem się wzdłuż ulicy, przysłuchując gwarowi dobiegającemu z saloonów. Wreszcie zdecydowałem się na najpodlejszy, o nazwie „Podwójna Podwiązka”. Przywiązałem konia i wszedłem do środka.

Cóż, w tej dziurze wiele się działo. To główny powód, dla którego kowboje ciągną do takich miejsc. Ludzie tu tańczyli, krzyczeli i grali w karty, a w sali pełno było ładnie ubranych kobiet o dwóch podwiązkach na lewych udach. Strasznie mi się ten pomysł spodobał.

Podszedłem do baru i wcisnąłem się między kobietę z podwójnymi podwiązkami i w sukience, która właściwie nie miała góry, a starego górnik z mieszkciem pełnym samorodków. Ledwie już trzymał się przy barze. Do czasu kiedy obejrzałem sobie dokładnie te podwójne podwiązki i inne podwójne wyposażenie, staruszek wydał resztę pieniędzy i zwałił się na podłogę. Dowiedziałem się o tym w bardzo prosty sposób: po pierwsze, znikł jego mieszek z samorodkami, a po drugie, nadepnałem na niego, kiedy się odwróciłem. Oto przybytek szybkich akcji, nie ma co.

— Ten staruszek wydaje pieniądze szybciej niż ktokolwiek, kogo znam — odezwałem się do uśmiechniętej kobiety, a przynajmniej założyłem, że się uśmiecha, bo nie dotarłem jeszcze wzrokiem w tak wysokie rejony.

— Wiesz, jak to mówią, kochanie. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

— Taak.' — zgodziłem się chętnie.

Potem spojrziałem w najczystsze, najmilej wyglądające błękitne oczęta, jakie widziałem od czasu panny Delii. Zamówiłem nam drinki, pochyliłem się i pocałowałem ją jak trzeba. Cofnęła się, jakby zaskoczona — może naprawdę nigdy wcześniej się jej to nie przytrafiło.

Podetknęła mi cyczuski pod gębę. Zacząłem już zauważać, że niektóre kobiety posługują się tymi rzeczami tak samo, jak rabusie czterdziestkami piątkami. Obie piersi wyglądały tak, jakby miały zaraz wyskoczyć zza sukienki. W rzeczy samej, tak jakoś się zwinęła, że jedna z nich naprawdę wyskoczyła zza dekolту. Sięgnąłem, jak na prawdziwego dżentelmena przystało, żeby pomóc włożyć ją na miejsce, ale nie spodobało się jej to, tak jak się spodziewałem. Cofnęła się, sama wsadziła interes na miejsce i mruknęła:

— To się nazywa szybki facet!

— Taak, oto ja! — odparłem i uśmiechnąłem się z dumą. — Nauczyłem się czytać i pisać w niespełna siedem miesięcy.

— Ooch! — powiedziała, przysuwając się do mnie bliźutko. — Po prostu uwielbiam wykształconych mężczyzn. Są tacy mądrzy.

— Następną kolejkę! — wrzasnąłem, rzucając kolejny banknot na bar.

— Jak długo zamierzasz siedzieć w mieście, kowboju?

— Aż będę właścicielem tej speluny i dwóch podobnych — odrzekłem i mówiłem cholernie poważnie.

— Ambicja to kolejna cecha, którą lubię u mojego mężczyzny.

Uniosłem ją i zawirowałem nią w powietrzu.

— Podoba mi się, jak to powiedziałaś!

— Co takiego? — spytała.

—r „Mojego mężczyzny"! — wrzasnąłem.

Rany, mówię wam, podobał mi się sposób, w jaki tańczyła przytulona do mnie; wierciła się tak, że cały czas czułem nacisk tego czy innego fragmentu jej ciała. Pomyślałem, że nigdy w życiu stąd nie wyjadę! Nigdy! Wyciągnąłem plik banknotów, żeby widziała, iż nie przyjechałem do miasteczka splukany.

— Kto jest właścicielem tej budy?

Spojrzała na mnie znowu, zawahała się na chwilę i potem rzekła:

— Gradell. Gradell jest właścicielem połowy tego miasta, a mówią, że i połowy kopalń. Hej... on jest właścicielem...; słuchasz mnie? Jest właścicielem kolei... dyliżansów... — Pochyliła się ku mnie i dokończyła:
— I całego mnóstwa innych rzeczy.

— Połowa to dla mnie za mało. Chcę wszystko! Gdzie mogę znaleźć tego Gradella?

— Cóż, właśnie o to chodzi, kochanie. Nikt nigdy go nie widział.

— Nikt? Ktoś musiał go kiedyś widzieć! Jak u diabła może wiedzieć, co się dzieje na świecie — co ludzie myślą — jeśli nie siedzi między nimi? Ktoś musi nosić mu wiadomości.

— Cóż, podejrzewam, że tak, ale nawet jeśli noszą mu wiadomości, to nie przyznają się do tego.

— To może poczekać do jutra! — wrzasnąłem i walnąłem pieniędzmi o bar tuż przed nosem barmana. Wypiliśmy jeszcze po dwa szybkie drinki, po czym przejąłem dowodzenie: ująłem ją za małą, miękką dłoń i poprowadziłem.

Poszła za mną na tyły saloonu, w alejkę, po czym rzekła:

— Chodź ze mną, kochanie. — Szepnęła to tak cicho, jak wietrzyk szepcze nad zbiornikiem z wodą.

Poszedłem za nią w dół alejki; wyciągnąłem ręce i pomacałem jej pośladki, które poruszały się przede mną w górę i w dół, aż nie mogłem tego dłużej znieść. Złapałem ją mocno, w innych miejscach też.

Odepchnęła mnie delikatnie i powiedziała:

— To już tu. — Sięgnęła do drzwi i skinęła na mnie, żebym poszedł za nią.

Pewnie, że poszedłem.

Zapaliła różową lampkę i zobaczyłem elegancki pokój. Gapiłem się dokoła i jednocześnie zrywałem pas z rewolwerem, buty i spodnie, wszystko jednocześnie. Potem rzuciłem ją na to ogromne, miękkie łóżko i sprawdziłem każdy zakamarek jej ciała. Lecz

kiedy zacząłem rozpinać guziki jej sukienki, przytrzymała moje ręce i rzekła:

— Czekaj, kochanie, czekaj. Musisz zrobić coś, zanim wszystko zdejniemy. — Sięgnęła do podwiązek, pociągnęła jedną i pozwoliła, żeby z trzaskiem opadła jej na udo. — Nałóż ją na drugą nogę — powiedziała.

Tak też zrobiłem.

Uniosła nogi i pomogła mi włożyć podwiązkę jak należy. Trząśłem się tak, że miałem wrażenie, iż wytrzęsę gwoździe z podłogi.

— A teraz... — powiedziała i zaczęła ściągać ubranie. Ogromne cycki wyskoczyły na wolność i kiedy je złapałem, poczułem się tak, jakbym ścisnął masło domowej roboty zawinięte w jedwab. Zabrałem się do reszty, ale szepnęła: — Zawsze zostawiam pończochy...

— Nie ma sprawy sę wyskrzeczalem. — To nie tą częścią twojego ciała jestem zainteresowany!

I w chwili kiedy zamierzałem dotrzeć tej pięknej klaczy, zaszło coś dziwnego. Straciłem przytomność! Później przypomniałem sobie, że słyszałem jakieś skrzypienie, lecz doszedłem do wniosku, że to kości skrzypią mi z podniecenia.

Cóż, kiedy słońeczko obudziło mnie w tej alejce, miałem łeb zalepiony skrzepniętą krwią i niezłe spuchnięty. Byłem też splukany co do grosza. Wstałem chwiejnie, wyrzygałem się, a potem usiadłem z powrotem. Zrobiłem to wszystko, żebym mógł się dobrze zastanowić. Wreszcie doszedłem do wniosku, że jak na takiego cwane go sukinsyna nie zachowałem się tak sprytnie podczas pierwszej nocy w mieście, jak mogłem. Zjrzałem do buta i znalazłem pięć dolarów; zjrzałem do kapelusza i znalazłem kolejne pięć. Jak człowiek może planować z takim wyprzedzeniem, a potem spieprzyć wszystko w mniej niż dwie godziny? Cóż, tych pieniędzy nie starczy mi na zdobycie ogromnego imperium, ale z pewnością kupię za nie piłę i młotek. Zjadłem niewielkie śniadanie w małym barze pełnym skacowanych drani podobnych do mnie. Wziąłem konia ze stajni,

kazałem wyczyścić i osiodłać, kiedy Sam udałem się na zakupy po dwa wcześniej wymienione narzędzia. Potem wyjechałem z miasta z jednym zadaniem w głowie: już ja dopadnę tę dziwkę... tę dziwkę... och, do diabła, zapomniałem, jak jej na imię... jeśli w ogóle ją o nie zapytałem.

Rozdział siódmy

Wyjechałemz DirtTown strasznie zdeterminowany. Koń czuł się świetnie, a i ja miałem się już trochę lepiej. Cholerne niebieskie sójki świergotały w wysokich, zielonych sosnach, a sroki darty się do słoneczka. Mój stary konik szedł wolnym klusem, od czasu do czasu tylko przyspieszając do wyciągniętego kłusa — połykającego mile chodu, który nie wytrząsa wątroby z człowieka ani nie wykańcza konia.

Kiedy mijaliśmy wioskę pieków preriowych, patrzyłem, jak maluchy uciekają do norek na ostrzegawcze szczeknięcie przewodnika stada. Niektóre z nich po prostu stały na tylnych łapkach i spoglądały na mnie obraźliwie, kiedy już przekonały się, że nie chcę wyrządzić im żadnej krzywdy. Dwa razy zjeżdżałem ze szlaku i chowałem się wśród drzew, kiedy zbliżali się ku mnie jeźdźcy. Nie chciałem mieć dziś żadnych świadków.

Było kilka minut po południu, kiedy znalazłem mostek. Ukryłem konia, żeby potem móc odjechać za drzewami i krzakami, cały czas niewidoczny.

Wziąłem piłę i młotek i poszedłem do mostku. Stał jakieś pięć stóp ponad płytkim potokiem. Zdjąłem buty i wszedłem pod niego. Potem zacząłem ciąć jeden z pali. Kiedy przeciąłem go do połowy, wziąłem młotek i zacząłem stukać weń, aż trzymał się już tylko na jednym pasemku drewna. Po prostu zgadywałem. Chciałem, żeby ciężki dyliżans strzaskał pale i tyłem wpadł z mostku do wody, z pasażerami uwięzionymi w środku.

Jak już powiedziałem, tylko zgadywałem. Mostek może się

wcale nie zapaść, konie mogą pojechać galopem prosto do Dirt Town, a ja zostanę tam z głupia frant. Oczywiście, mostek może się zapaść już pod wagą pierwszego konia, a w takim przypadku nastąpi cholernie niemiły wypadek. Wiele tego typu myśli przebiegało mi pizez głowę, kiedy stałem obok mego konia i czekałem.

Już wkrótce mój koń podrzucił łbem i zastrzygł uszami; ledwie zdążyłem chwycić go za chrapy, żeby nie zarżał i nie wydał naszej kryjówki. Jakiś kowboj jechał konno do miasteczka. Boże wszechmogący, ale się pocilem, kiedy wjeżdżał na ten mostek, i było jasne jak słońce, że mostek się zawali. Koń bryknął i wskoczył do wody, a jeździec zwałił się obok.

Ponieważ umysł działał mi na przyspieszonych obrotach, wyciągnąłem rewolwer, podbiegłem do brzegu strumienia, złapałem konia za wodze, w chwili kiedy wstawał, i wycelowałem w kowboja. Wstał jakby oszołomiony i otarł wodę z oczu. Nie był zbyt imponującego wzrostu—liczył sobie może z pięć stóp. Miał paskudne spojrzenie jak na takiego małego wypierdka i tak ze dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy lata, ale po złamanym nosie poznałem, że widział już kawałek świata.

— Cześć — odezwałem się.

— Cześć — odparł. — Dlaczego celujesz do mnie z tego rewolweru?

—Bo taka broń służy do zabijania ludzi, a kiedy chce się kogoś zabić, celuje się w niego.

Uśmiechnął się i wyciągnął do mnie niewielką dłoń.

— To ma sporo sensu — rzekł. — Nazywam się Runt Jackson.

Odciągnąłem kurek i odpowiedziałem poważnie:

— Cóż, Runt, zanim cię zastrzelę, pozbieramy ten mostek i postawimy go na jego miejscu.

— Marny to mostek, jeśli nie utrzymał takiego małego face- cika.jakja.

Siedziałeś na zwierzęciu cięższym od ciebie—pouczyłem tego małego głupiego sukinsyna.

Przy wiązałem jego konia i zabraliśmy się do roboty. Cały czas

celowałem do niego, żeby mu się lepiej podnosiło. Wreszcie umieściliśmy mostek na miejscu.

Runt stał i przyglądał mi się, a wreszcie powiedział:

— Chciałeś obrabować dyliżans, nawet stąd to widzę.

| Czyli z odległości sześciu stóp. Trochę zachwiała mną jego niespodziewana domyślność, ale odpowiedziałem mu twardym spojrzeniem.

Przełknął kilka razy, po czym zaczął mówić, strasznie prędko:

— A gdybyśmy tak związali nasze lassa, potem przywiązali je do podpór mostu, a potem przeciągnęli je dokoła tego drzewa i przywiązali do łęku twojego siodła, i gdybyś ty spiął konia ostrogami w drugą stronę, kiedy tylko dyliżans wjedzie na mostek...

— Prr! — wrzasnąłem, bo nigdy w życiu nie widziałem takiej góry łajna wydostającej się z tak małego opakowania. — Prr! Stój! Czekaj! — W jednej trzeciej sekundy zrozumiałem, że to zniosłoby ryzyko zawalenia się mostku w nieodpowiednim momencie. Cóż, panie szanowny, dlaczego nie? Więc powiedziałem: — Dawaj swoje lasso i wiąż je do mojego. — Po czym wydałem mu instrukcje, co i jak ma robić, bo wiedziałem, że nie ma dość rozumu, żeby samemu to wykombinować. Załatwiliśmy sprawę, po czym nagle przysłała mi do głowy inna myśl. „Co ja, u diabła, zrobię z Runtem Jacksonem?” Ponownie odbezpieczyłem broń.

Runt trzął się i przetykał ślinę, ale nie błagał o litość ani nie odwrócił się, żeby uciec. Stałem tam i czułem, jak rośnie mi nacisk na palcu na spuście, więc powoli opuściłem kurek.

— Nie ma mowy, żebyś był na tyle spiytny, aby wymyślić ten numer z lassami, chyba że sam już to robiłeś. Skinął głową.

— Owszem — powiedział i uśmiechnął się jak pies, który właśnie zjadł tuzin jajek.

Nie mam pojęcia, co mnie do tego skłoniło, ale odłożyłem broni i wyciągnąłem do niego rękę.

— Cieszę się, że jedziemy na tym samym wozie, Runt.

Omiał nie wyrwał mi ręki, tak ostro nią potrząsał, po czym odpowiedział bezczelnie:

— Hej, partnerze, od razu poznałem, że jesteście tak samo szurnięci.

Naszykowaliśmy sobie chusty, żeby mieć czym zakryć twarze, a potem znowu czekaliśmy. Wkrótce usłyszeliśmy poskrzy- py wanie na drodze i przez szpary między gałęziami zobaczyliśmy dylizans. Runt przymocował łąasso w dole pod mostem i nisko wokół korzeni drzewa, aby woźnica nic nie zauważył. A jednak mógł coś zobaczyć, gdyby tylko zechciało mu się rozglądać. Na szczęście mu się nie chciało. Mówię wam, ślicznie poszło!

Woźnica zwolnił i przygotował dylizans do wjazdu na mostek, konie wskoczyły na belki, ja spałem wierzchowca ostrogami i podpory runęły. Tył dylizansu zapadł się mocno do rzeczki, wyrzucił woźnicę w powietrze, a facet ze strzelbą upuścił swoją pukawkę. Zanim zdążyli się zorientować, co się dzieje, już ich mieliśmy. Z dylizansu dochodziły piski, ale i one wkrótce umilkły.

Powiedziałem woźnicy i strzelcowi:

Nie stójcie tak, wy nieobyte dranie, pomóżcie pasażerom.

Pomogli im wsiąść, jednemu po drugim, prościutko na brzeg rzeczki. Kiedy zobaczyłem tych dwóch tłuściochów w płaskich kapeluszach i z ogromnymi złotymi łańcuszkami do zegarków wiszącymi na kamizelkach, wiedziałem, że dobrze trafiliśmy. Obok nich stała ładna, wyglądająca na dziwkę dziewczyna i mężczyzna o wyglądzie hazardzisty, który mógł mieć przy sobie nieco gotówki. Wysunąłem rewolwer i jabłko Adama do przodu, po czym stojąc na krzywych nogach tak prosto, jak tylko mogłem, wyrzuciłem z siebie:

— Jestem wykształconym sukinsynem i potrzebne mi dofinansowanie.

Skinąłem głową na Runta, który zaczął ich obrabiać; poszło jak z płatka. Zdobyliśmy po mieszk z złotych monet od każdego

z grubasów, dwa złote zegarki i pierścionek z rubinem od dziwki. Powarkiwali i wiercili się niczym jaszczufki na zdechłej krowie, lecz ani ja, ani Runt nie zwracaliśmy na to uwagi. Prawdę mówiąc, nawet nie słuchałem tego, co mówią.

Później Runt wlaź na dylizans i zaczął mi zrzucać bagaże. Znaleźliśmy nieco ładnych brzytw i całe mnóstwo przydatnych rzeczy, takich jak, na przykład, eleganckie ubranie. Dziewczyna o wyglądzie dziwki miała najmiłszy w dotyku materiał, jaki w życiu miałem w rękach. W jednej z toreb znaleźliśmy czarne pudełko. W środku leżała książka. Otworzyłem ją i przeczytałem wszystkim na głos — napis na okładce mówił: Po raz pierwszy przetłumaczona na język angielski francuska SZTUKA KOCHANIA I INNE RZECZY. To sprawiło, że poczułem się jak człowiek światowy. Dokładnie widziałem, do którego z grubasów należy, bo nagle jeden z nich zaczął kręcić nogą w piachu i pochylił przy tym głowę. Hazardzista i dziwka wybuchnęli śmiechem.

Zaczęliśmy wrzucać wszystko do juków, a mały Runt Jackson był strasznie szczęśliwy. Widziałem już małe żrebaki i jagnięta podskakujące z radości, ale nic nie umywało się do niego.

Wyprzęgliśmy i odpędziliśmy konie. Musieliśmy dostać się do miasteczka jakiś czas przed nimi. Potem odjechaliśmy im z oczu, ruszyliśmy pełnym galopem i śmialiśmy się do rozpuku, czując rozsadzające nas szczęście. Nie widzieli naszych twarzy ani nie zobaczyli naszych koni. Byliśmy czyści, niczym fartuszek pielęgniarki.

Wjechaliśmy do miasteczka i wynajęliśmy dwa pokoje w hotelu po przeciwnej stronie ulicy od saloonu „Podwójna Podwiązka”. Włożyłem książkę o Napoleonie do czarnego pudełka. Do diabła, zamierzałem kontynuować mą edukację, kiedy tylko załatwię drobną sprawę po przeciwnej stronie ulicy. Powiedziałem Runtowi, żeby nie przejmował się tym, co zobaczy, chyba że ktoś będzie celował do mnie z rewolweru albo będzie chciał rozwalić mi łeb czymś ciężkim.

Weszliśmy do saloonu, który wyglądał dokładnie tak samo jak poprzedniego wieczora. Zauważyłem moją panią, która stała przy

barze i karmiła głodną gadką innego kowboja. Doskonale wiedziałem, że bez jej pomocy nie dostanę drania, który mnie obrabował.

Podszedłem do niej i złapałem ją za rękę tak mocno, jakbym chciał ją zmiążdżyć, i prawie mi się to udało. Oczy się jej rozszerzyły, a kiedy otworzyła gębę, żeby się rozwieszczęć, obdarzyłem ją niechętnym spojrzeniem i warknąłem:

— Bądź cicho, suko, albo skreć ci ten cholerny kark.

Uciszyła się natychmiast. Poprowadziłem ją po sali, bacznie patrząc, kogo mam przed sobą, Runt zaś szedł za nami i osłaniał tyły. Patrzyłem ludziom w oczy. Obeszliśmy salkę prawie dokoła, zanim zobaczyłem tego faceta. Grał w pokera; opuścił karty, spojrzął na nią i czekał, aż da mu znak. Sprytnie go zignorowałem, podszedłem do niego i upuściłem złotą monetę tuż przy jego krześle. Kiedy nachylił się, żeby ją podnieść, rąbnąłem go w łeb pistoletem, który szybko wyciągnąłem z olstra. Upadł na pysk i już ani drgnął.

Machnąłem rewolwerem dokoła, nie celując właściwie w nikogo, po czym podniosłem złotą monetę i rzekłem:

— Cholerny złodziej usiłował mnie obrobić. Powiedzcie mu, żeby lepiej wyniósł się z miasta, zanim to się zrobi zaraźliwe.

Wraz z Runtem i dziewczyną wyszliśmy przed saloon, a Runt zatrzymał się w drzwiach i wrzasnął:

— Lepiej wyrzucie go z miasteczka, zanim ktoś się od niego zarazi!

Pociągnąłem dziewczynę do mego pokoju hotelowego, zdjąłem z niej ubranie, nałożyłem jej obie podwiązki na szyję i trzasnąłem nimi jak z bicia. Później kazałem jej położyć się na łóżku i jeszcze trochę pocierpieć, podczas gdy ja kontynuowałem moją edukację.

Zacząłem czytać tę francuską książkę. Kiedy byłem już mniej więcej w połowie, zatrzymałem się gwałtownie. Nie było sensu, żebym czytał dalej. Moje wykształcenie było ukończone. Odłożyłem książkę tak, żeby dziewczyna — powiedziała, że ma na imię Melee — nie zobaczyła tytułu.

Pochyliłem się i nieomal opierając się na jednym z tych jej cyczuszków, wyszeptalem jej do ucha zdanie wyczytane w książce. Uśmiechnęła się od ucha do ucha, a oczy rozszerzyły się jej jak spodeczki, wysyłając wszystkie możliwe sygnały miłości. Zdarłem ubranie i wskoczyłem do łóżka na noc pełną rozkoszy, jak to obiecywała książka. Taak, cholernie oplać się mieć wykształcenie. Panna Della byłaby ze mnie bardzo dumna.

Rozdział ósmy

Obudziłem się wykończony. Nie mogłem się zdecydować, czy trudniej będzie wstać, czy wstać twardym. Ale wyszeptalem tamte słowa do ucha Melee i to zakończyło sprawę. Oczy się jej otworzyły, a uda rozwarły szeroko. Może i była suką, ale też wiedziała, co to dobra zabawa. Są przypadki, w których mężczyzna może przymknąć oczy na niedociągnięcia innych ludzi — zwłaszcza mężczyzna wykształcony.

Kiedy tylko wrócił mi oddech, powiedziałem Melee:

— Wynoś się stąd w tej chwili, ty mały tłuściochu. Muszę dziś podbić świat.

Przez minutę siedziała skrzywiona, więc lekko popchnąłem ją nogą, aż zrozumiała w czym rzecz. Kiedy się ubierała, spytała, czy mógłbym to zrobić jeszcze raz — jeszcze jeden raz powiedzieć jej to, co poprzedniego wieczora, proszę?

— Nie w tej chwili, kochana — odparłem. — Oboje potrzebujemy sił, żeby dać sobie radę z nadchodzącym dniem.

A wieczorem? — błagała. Potem, widząc, że chyba jest trochę za bardzo namolna, przeprosiła. — To znaczy, oczywiście, jeśli zdołasz dziś wszystko podbić.

— Cóż, kochana — powiedziałem. — Uważaj na siebie i utrzymuj się w czystości, dopóki się do ciebie nie odezwę.

— Dobrze! Oczywiście! — odrzekła i przesyłając mi całusa, wyszła za drzwi.

A niech szlag trafi tych Francuzów! Pomyślcie tylko, gdzie bym był, gdybym dorwał tę książkę nieco wcześniej! Umyłem się, ogoliłem i poszedłem do pokoju Runta, żeby go obudzić. Nie było go w łóżku i nie spędził też w nim nocy. Jego też niech szlag trafi!

Poszedłem przez ulicę do saloonu i burdelu „Podwójna Podwiązka”; udałem się po schodach na piętro, do drugiegoż wymienionych przybytków. Wszędzie pełno było skacowanych górników i kowbojów o zaczerwienionych oczach i skołtunionych włosach, którzy usiłowali wślizgnąć się do baru na śniadanie albo dotrzeć do pracy na czas. Nigdzie nie widziałem Runta.

Zapytałem burdelmamę, czy aby go nie zauważyła.

Uśmiechnęła się do mnie uśmiechem tak starym i powolnym, że aż nie byłem pewien, czy w ogóle zagościł na jej obliczu.

— Cóż, kochanieńki — odpowiedziała. — Ci wszyscy górnicy i kowboje wyglądają dokładnie tak samo.

— Ale on jest inny. Jest taki, o, niski, ma nos złamany w dwie strony naraz, małe oczki paskudniejsze niż u wściekłego psa i nie za wiele rozumu.

Zatrzepotała rzęsami.

— To wydaje mi się całkiem normalne. I jak już powiedziałam, kochanieńki, oni wszyscy wyglądają jednakowo.

Zaszedłem do dwóch innych burdeli, ale nie było go w nich. Później spytałem barmana w saloonie „Dzika Koza”, czy został mi jeszcze jakiś przybytek do zwiedzenia.

— Nie—odpowiedział.—Ale jest jeszcze jeden, wyjątkowo parszywy burdel na obrzeżach miasteczka. Jednak tam trafiają tylko pijacy i włóczędzy.

— Cóż, to pewnie tam go znajdę — mruknąłem. — Bardzo ci dziękuję, amigo. Odpowiedziałeś ślicznie na moje pytanie, więc gdy tylko kupię ten lokal, dam ci podwyżkę.

Spojrzał na mnie tak, jakby właśnie dostał w tyłek wanną pełną kaktusów.

Poszedłem do stajni, wyprowadziłem konia i pojechałem po mego partnera. Do diabła, wszyscy wiedzą, co powiedział stary

Napoleon: „Nigdy nie atakuj, dopóki nie dojdiesz do ładu z własnymi siłami”.

Podjechałem do długiego, niskiego budynku, który miał kształt kanciastej podkowy z całym mnóstwem nie połączonych z sobą pokoi. Był na wpół schowany w zagajniku niemal uschniętych drzew. Usłyszałem wrzask, a potem zobaczyłem trzy brudne, w większości rozebrane dziewczyny uciekające z krzykiem i nagle zrozumiałem, że informacja barmana była prawdziwa. Później przez dach budynku przeleciała kula, a na zewnątrz wyleciał mój partner, goły jak święty turecki z wyjątkiem butów. W jednej ręce miał sześciopalcowy rewolwer, a w drugiej flaszkę whisky.

— Wracajcie tu, podłe dziewczki! — darł się. — Zapłaciłem wam za trzy pełne dni!

Zatrzymał się na samym środku podwórka, obrócił się jakby w zwolnionym tempie i znowu wystrzelił w bok budynku. Dziewczyny wrzeszczały i uciekały w trzy różne strony, inne zaś wyglądały przez okna w wielkim strachu, lecz nikt nie krzyknął ani nie upadł w środku, więc wniosłem, że Runt nie trafił. Jednak zauważyłem pewną zmianę w siłach. Niektórzy klienci wybiegli na zewnątrz lub zmieniali pozycje w pokojach wewnątrz i szybko zrozumiałem, że wezmą stronę dziwek.

Nie za długo zajęło mi pojęcie, że Runt traci tylko amunicję i trwoni nasz cenny czas przeznaczony na podbijanie. Pchnąłem wierzchowca do przodu, odwiązałem konia Runta od koniowiązu i pognałem w sam środek rozpoczynającej się właśnie bitwy. Musiałem wydostać stąd moją maleńką armię. Do diabła, w jego obronie widać już było słabe punkty.

— Wskakuj! — wrzasnąłem.

Runt zawirował na pięcie i z szeroko rozwartymi oczyma odkrzyknął:

— A gdzie ona jest?

— Niei — odparłem. — Wskakuj na konia, ty głupi sukinsynu!

Nadal trzymając butelkę w jednej, a rewolwer w drugiej ręce,

Runt usiłował wskoczyć na siodło. Zauważyłem, że zza drzwi wysuwa się długa lufa; wyciągnąłem broń i walnąłem w drewno tuż za nią. Kula przeszła drzwi na wylot, broń spadła z łoskotem na ziemię i dał się słyszeć czyjś wrzask. Później, całkiem rozsądnie, wystrzeliłem butelkę z dłoni Runta, żeby miał czym złapać się za łęk siodła. Nie siedział jeszcze zbyt pewnie, kiedy spałem mego wierzchowca ostrogami, nadal trzymając wodze jego konia w dłoni. Runt i inne przedmioty telepały się na szkapinie w tę i z powrotem, ale trzymał się mocno i nawet zdołał odzwajemnić się strzałem w kierunku burdelu, skąd kule goniły nas teraz ze świstem. Uciekliśmy.

Jechaliśmy pełnym galopem w dół uliczki, a kiedy tylko zatrzymaliśmy się za naszym hotelem, Runt spadł z siodła. No i trudno, i tak byliśmy w domu. Zawlokłem go przez tylne drzwi i korytarz, a potem w górę po schodach. Kilku nieuprzejmych sukinsynów gapiło się na nas uporczywie, ale musieli gapić się szybko, bo poruszałem się z zawrotną prędkością. Zaciągnąłem go do pokoju i kiedy narzucał na siebie ubranie, wreszcie omówiliśmy kilka spraw.

Musiałem go spytać:

- Cożeś ty, u Boga Ojca, robił w burdelu w butach?
- To dla bezpieczeństwa.
- Bezpieczeństwa?
- Taak, tatko powtarzał mi, żebym uważał na łatwo przekazy walne choroby.
- Prze... prze... przekazy walne? — wykrztusiłem.
- Taak, grzybica może być naprawdę upierdliwa.

Gdybym nie miał tak małej armii, zabiłbym małego cherlaka i oskórkował na dewizkę do zegarka. Nie było sensu próbować go trzeźwić o tej porze dnia, więc poszedłem kupić dla nas butelkę. Kiedy wyżyłopał parę łyków, chyba zaczął czuć się lepiej. Podszedłem i zabrałem mu flaszkę, zanim zdążył się na nowo ubzdryngolić. Poza tym równie dobrze sam mogłem ugasić pragnienie, bo i tak bym go nie dogonił. Upiłem wielki łyk. Oczyścił mi gardło tak, że czułem się teraz gotów do wygłaszania wiekopomnych prawd.

— Runt, stary Napoleon zawsze powtarzał, że kiedy wchodzi się do wrogiego miasta, trzeba natychmiast obezwładnić lokalny rząd, a wtedy z resztą pop... populacji pójdzie już łatwo. — Cofnąłem się nieco i patrzyłem, jak to zapada w jego twardą łepetynę. Podeszedł do okna i wyjrzał z taką miną, jakby był pogrążony w myślach. Oczywiście wiedziałem, że udaje. Najgłębszą myślą, jaką mógł mieć, z pewnością było dno tej naszej butelczyny. Ciągnąłem, czekając, aż ten jego żółwi mózdzek zaskoczy: — Nap powiedział także: „Kiedy uderzasz, najlepszą broń postaw z przodu frontu”. Widziałem, że coś dotarło do łba tego małego idioty, bo zmrużył maciupęńkie oczki. Cóż, nie był zbyt stary i brakowało mu doświadczenia. Wyciągnął rękę po butelkę tak żalonym gestem, że musiałem mu ją oddać. Wykorzystał ją jak należy, po czym się odezwał: — Najlepszą broń, tak? ... — Cóż... hm... no... tak — odparłem. — A to co takiego znowu? Co? Co? — Cóż... hm... zdaje się, że to będą moje tajemnicze miłosne słowa — odrzekłem. W podstępny sposób ten mały rabuś umysłów zmusił mnie, żebym wyjawiał mu moje prywatne myśli. — Tajemnicze miłosne słowa? — Oczywiście. Nie mów, że nie zauważyłeś, jakie mam zdumiewające powodzenie u kobiet. Cóż, można powiedzieć, że po części... ale tylko po części... jest to zasługą moich tajemniczych miłosnych słów. Nie odpowiedział, lecz znowu wykorzystał butelczynę. Posłuchajcie, stary Nap rzekł, że najlepszym sposobem na pojmanie miasteczka jest kontrolowanie głównego honcho. W ten sposób zwykli obywatele będą słuchać jego poleceń i nie trzeba ich będzie poddawać egzekucji. Mówił także, że najprostszym sposobem na to jest oskarżyć przywódcę miasta o ukrywanie oficjalnych raportów i niewłaściwe korzystanie z publicznych funduszy. Potem należy zagrozić złoczyńcy ujawnieniem. Ponieważ co najmniej dziewięćdziesiąt procent ludzi zajmujących wy

sokie stanowiska winna jest choćby jednego z tych przewinień, szanse sukcesu są dziewięć do jednego. To wyjątkowo zachęcająca myśl, żeby ją nieść w wir bitwy na terytorium wroga. Kręciliśmy się wokół kowbojów, górników, pijaków, dziwek, golibrodów, kowali i każdego, kto przyjeżdżał do miasteczka. Nietrudno było rozwiązać im języki. Zabraliśmy z sobą butelkę whisky, co większość z nich doceniła. Na przykład taki grabarz w zakładzie pogrzebowym. Zapytałem go, czy zaręczylby własnym życiem za szeryfa Dirt Town, które jest częścią miasteczka Hi Lo.

— Nie zaręczylbym za niego nawet twoim życiem—odrzekł i przełknął kolejny łyk miłego, brunatnego płynu.

Kiedy powiedziałem do chłopca stajennego w miejskiej stajni:

— Wygląda na to, że burmistrz Caldingham odwalił kawał dobrej roboty, rządząc tym miastem— usłyszałem w odpowiedzi:

— Burmistrz ma piękną żonę.

Widzicie, co mam na myśli, mówiąc o podstępnych półsłówkach i sugestiach? Każdy głupiec zauważyłby, że w tym mieście znajduje się ogromny podziemny obieg nieufności. Jakoś wiara w kadrę rządzącą umknęła tym ludziom. Coś gniło w Dirt Town. Widzisz, Runt. Nie możemy pozwolić, żeby ci ludzie nadal byli okłamywani i oszukiwani.

Staliśmy właśnie naprzeciw siedemnastopokojowej rezydencji burmistrza, która mieściła się na obrzeżach miasteczka. W całym miasteczku słyszeliśmy cytaty z wypowiedzi burmistrza

O tym, jak to potrzebuje wytchnienia od codziennych zmartwień

I obowiązków urzędu. Sanktuarium, w którym mógłby się ukryć i lizać rany otrzymane na służbie społeczeństwu.

— Nawet burmistrza nie byłoby stać na taki dom, gdyby żył wyłącznie z uczciwie zarobionej pensji — ciągnąłem.

— Nie jeździsz na koniach wyścigowych, jeśli stać cię tylko na muła — odparł Runt, jakby miał pojęcie, o czym gada.

— Dokładnie to powiedziałem. Chodzi nam o burmistrza. Musimy znaleźć na niego jakiś sposób.

— Burmistrz ma piękną żonę — oświadczył Runt

Poszedłem z powrotem do naszego pokoju tak szybko, jak

tylko mogłem, powstrzymując mój usprawiedliwiony gniew wewnątrz, z dala od świadków. Runt musiał podbiegać co drugi stopień, żeby dotrzymać mi kroku.

Przeszedłem nasz pokój chyba ze trzy razy dokoła, usiłując powstrzymać wrący we mnie gniew.

— Wiem o tym! WIEM o tym! I jak myślisz, co ja teraz z tym [zrobię? —jęczałem w rozpacz nad jego ignorancją.

— Doskonale wiesz! — odparł. Dzięki niej odkryjesz brudne knowania burmistrza i wykopiesz go z urzędu! Masz to jak w banku!

Oczywiście, że tak. Jak ten mały idiota myślał? Że niby po co się wykształciłem?

— Oczywiście! rzekłem ani trochę nie dumny z mego szybkiego i głębokiego myślenia. Teraz dokładnie mu to wyłożę. Wyciągnąłem scyzoryk i wyrysowałem mapę na ścianie. — To tutaj, to miejsce zwane czasem Hi Lo, a część jego nazywana jest czasem Dirt Town. My nadamy mu nową nazwę — Our Town*.

— Bardzo dobra nazwa — wtrącił Runt.

- Posłuchaj, już ci wyjaśniłem, jak przejmujemy burmistrza, prawda? Kapujesz?

— Jasne. Kapuję.

— A potem... kolejny krok.

— Uhh — mruknął i spojrzał na mnie, jakby się spodziewał, że od razu oddam mu całą moją mądrość i naukę. Spojrzałem z powrotem na mapę narysowaną na ścianie. — Później jest następny krok.

— Wiem, że już o tym pomyślałeś, i trochę mi głupio nawet o tym mówić.

Spoglądałem na tego małego złodzieja umysłów, zastanawiając się, którą część mojego rozumowania tym razem ukradł. Wtedy mi powiedział:

— Ta Melee wygląda bardziej na damę niż na dziwkę. Gdy

byś jej powiedział, żeby poszła na przyjęcie wydawane przez burmistrza w sobotę, i go uwiodła... co bez wątpienia robiła już nie raz w przeszłości...

— Prr! — wrzasnąłem.

— Poczekaj minutkę! — odkrzyknął po chamsku, jak każdy pozbawiony edukacji włóczęga. — I gdybyś był tam w przebraniu, żeby zobaczyć, jak żona burmistrza przyłapuje ich na gorącym uczynku...

Przez pełną minutę przyglądałem się oknu naszego pokoju na drugim piętrze i cogitowałem, czy wyrzucić go przez nie, wyskoczyć samemu, czy zrobić i jedno, i drugie. : Cholernie bym chciał, żebyś nie trwoniał naszego czasu, myśląc o rzeczach, którymi ja się dawno zająłem!

— Uch, ja tylko usiłuję się czegoś nauczyć.

.. No, dobrze już, dobrze; wynosimy się stąd. Wywrócimy świat do góry nogami, a podczas całego procesu nie uronimy ani kropelki.

Runt pokiwał głową. Gdyby pokręcił się wokół mnie odrobinę dłużej, może — powtarzam, tylko może — zacząłby coś łapać.

Rozdział dziewiąty

Z Melee nie miałem najmniejszego problemu. Po prostu obiecałem, że wyszepczę jej tamte słowa do ucha w nocy, jeśli wszystko pójdzie jak trzeba. Jednak narazie musieliśmy poświęcić nieco czasu na zdobycie dla niej eleganckich ubrań i całego tego chlamu.

— Do licha — powiedziała. — Mnóstwo dam jest w głębi serca kurwami, to niby dlaczego kurwa nie miałyby być w głębi duszy damą?

Miała jak największą rację i jeśli chodzi o starego Bobby'ego Jacka Smitha, nie było z tym problemu. Ogólnie rzecz biorąc, za każdym razem, gdy przyjeżdżałem do Dirt Town, ganiałem za dziwkami, upijałem się, wdawałem w bijatyki i łądowałem

w więzieniu. Moje pojawienia się tu i znajomości były ograniczone do przybytków, które zapewniają te aktywności... i zaspokajają te potrzeby. Więc gdybym się wystroił w nowe ubranie od stóp do głów, nawet stary Runt by mnie nie rozpoznał. Kupiłem kilka długich, szczupłych cygar, w kieszeniach dzwoniły mi trzy lub cztery złote monety, które od czasu do czasu przewijałem między palcami, i szedłem na przyjęcie z najpiękniej wystrojoną prostytutką na całym Zachodzie. Była mniej więcej równie doskonale przebrana, co ja. To będzie dziecinnie proste. Tu znowu zapracował mój niższy mózg. W każdym razie przypomniałem sobie radę Delii dotyczącą SŁOWA, i jak cholera, miałem jedno takie do spuszczenia na szanowne towarzystwo dziś wieczorem. Potem będę mógł przyjść z nagą kobietą, wychędożyć ją na stole w jadalni, a ci ludzie będą zachowywać się tak, jakbyśmy sobie tylko walcowali po sali.

Tak to właśnie działa. Może i nie jestem najcwańszym kowbojem na Zachodzie, ale będę musiał występować w tej roli, póki takiego nie znajdą.

Teraz do burmistrza—był gruby, jak większość burmistrzów. Miał długie, siwe włosy, które zwisały mu na uszy, niby sędziemu. W rzeczy samej, był kiedyś sędzią. Oczy miał wodniste i lekko zaczerwienione, a tęcza dziwnie jasnoblękitne. Twarz przypominała jedną z tych, które wyglądają na tak delikatne, jakby krew miała lada moment wytrysnąć z policzków i zaplamieć wykrochmaloną koszulę. Na policzkach, wokół nosa, miał kilka czerwonych plam. Wiecznie się uśmiechał, jakby żuł tytoń i nie chciał, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

Jego żona, Dorothy, nie była wcale taka zła, z cieniutką talią i tym sprzętem z przodu, który przy wodził na myśl Delię, i wcale mi to nie przeszkadzało. Po prostu żałowałem, że nie ma jej tu ze mną, żeby dzielić zwycięstwo. Dorothy miała okrągłą twarz bez najmniejszej zmarszczki, z wyjątkiem paru dokoła oczu, i takie roześmiane, czerwone usta, które jeśli idzie o jej męża, były kompletnie zmarnowane. Całkiem śliczna. Szeryf, Asa Digby, także był obecny i trochę przyglądał się

mnie i Melee, ale nie zanadto. Eleganckie ubranie, które miała na sobie, kompletnie go zmyliło. Nie miał nawet tyle oleju w głowie, co Runt W brzuchu był gruby jak sam burmistrz Caldingham, ale tam, gdzie burmistrz miał na twarzy kilka rysów, szeryf miał po prostu twarz. To wszystko. Poza ty m i tak nie zwracałem na niego szczególnej uwagi, bo zwolnię drania, gdy tylko przejmę stanowisko Caldinghama. Co nie potrwa wcale tak długo.

Było tu też kilku dyrektorów i właścicieli lokalnych kopalń złota i srebra, którzy właśnie wrócili ze wschodu. Wielebny Balcomb także był obecny i rozmawiał z bankierem. Zapisalem to sobie w pamięci. Jeśli kiedykolwiek pójdę do kościoła, to siądę zaraz obok bankiera. Pamiętałem dokładnie wszystko, co Della opowiadała mi o bankierach i politykach.

Żona jednego z właścicieli kopalń przysiadła się do mnie i do Melee zaraz po tym, jak żona burmistrza dopilnowała, abyśmy dostali coś do picia. Potrzęsnęła kuperkiem i przewróciła oczyma.

— A czymże pan się zajmuje w tym cudownym mieście Zachodniej Krainy?

Wyprostowałem się i powiedział tak głośno, jak tylko się dało bez wrzeszczenia:

— Reprezentuję Gradella!

Nastąpiła jedna z tych ciszy, które wydarzają się, kiedy koń zwali cię dziesięć mil od domu i zniknie ci z pola widzenia i słyszenia. Nie minęło wiele czasu, jak wszyscy zaczęli się tłoczyć dokoła nas. Do diabła, równie dobrze mogłem powiedzieć, że jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych i królem Anglii w jednej osobie. Wszyscy ruszyli ku źródłu władzy. Fajne to było, mówię wam.

Melee ruszyła na burmistrza, a ja na jego żonę.

— Och, tak wiele słyszeliśmy o Gradellu, lecz po raz pierwszy przysłał swego emisariusza na nasze przyjęcie! Bardzo mi to pochlebia!

— To nic takiego—odparłem.—Zamierzamy wejść w wiele interesów.

— Bardzo się cieszę, że wybraliście mój dom na pierwszy

krok—powiedziała i uśmiechnęła się do mnie tak, jakby dopiero co nauczyła się, jak to się robi.

Strasznie to śmieszne, jak odpowiednie nazwisko połączone z odpowiednimi słowami w odpowiednim czasie zmienia nastawienie. A jeszcze śmieszniejsze było to, że miałem mniejsze pojęcie, kim jest Gradell, niż zgromadzeni tu ludzie. Ale w tym nazwisku czaiła się magia i postanowiłem wykorzystać ją, jak każde inne kłamstwo.

Nie minęło wiele czasu, a Dorothy przedstawiła mnie każdemu z obecnych, kątem oka zaś dostrzegłem, że Melee upija burmistrza w trupa. Wszystko szło jak z płatka, i to bardzo szybko.

Wykręciłem wszystkie te głupie numery, które odwała się z takimi ludźmi, i na przykład, mówiłem:

— Taak, zamierzamy wejść tu na rynek i pomóc w budowaniu miasta, aby wszystkim żyło się lepiej. I —f Taak, najbardziej zależy nam na duchu zespołowym; osiągniemy wielkie bogactwo, ale będzie to zasługą nas wszystkich.

Do diabła, mówiłem jak jakiś kaznodzieja albo polityk — wybierzcie sami. Jednak nauczyłem się tego od samego Napoleona. Od generała, na miłość boską!

Nie minęło wiele czasu, a wszyscy się rozluźnili i zaczęli głupio gadać; ludzie, którzy do niedawna zachowywali się jak szty wniacy, teraz rozpuścili języki i pili na umór. Tak właśnie to zaplanowałem.

Zobaczyłem, że stary Caldingham jedną ręką łapie Melee za tyłek, a drugą pociera o jej krocze. Ona zaś tylko pochyliła się i robiła, co do niej należy. Niech Bóg błogosławi tej cudownej kurewce!

Dorothy także mnie polubiła. Oprawadzała mnie po ogromnym, dwupiętrowym domu i pokazywała skarby importowane ze Wschodu i innych części świata. Trudno było mi się skoncentrować na głupich posążkach i ślicznej porcelanie, kiedy chciałem, żeby Melee przygwoździła na sobie burmistrza.

Od czasu do czasu mówiłem Dorothy:

— Jakie to ładne.

- Do licha, kto by na to wpadł.
- Ależ to jest najlepsze ze wszystkiego.

I tego typu bzdury.

Potem zobaczyłem, że burmistrz rozgląda się dokoła niczym kaznodzieja, który pierdnął w kościele, a potem prowadzi Melee szybciotko po schodach na górę, z ręką ułożoną na jej zadku.

Jak już mówiłem, wszystko szło jak z płatka. Złapałem Dorothy w tali i spytałem, czy oprowadzi mnie po wyższych regionach domu.

- Jasne — odpowiedziała, więc poszliśmy na górę.

Zobaczyłem, jak drzwi zamykają się za naszą skazaną parą. Przez minutę ociągałem się w obawie, że zaskoczymy ich, zanim coś się naprawę zacznie dziać. Więc zatrzymałem się u szczytu schodów i zacząłem podziwiać posąg nagiej dziewczyny, rozradowanej, jakby właśnie straciła błogosławione dziewictwo z najbogatszym facetem w mieście. Dorothy wyjaśniła mi uprzejmie, że ta ładna rzecz pochodzi z kraju Napoleona. Strasznie mnie ucieszyła ta wiadomość. Przyjrzałem się pozostałym obiektom, podziwiając je w zupełności, a moje wyczulone uszy wyęęzały się, aby usłyszeć, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. Zabrało to więcej czasu, niż się spodziewałem, ale pewnie burmistrz Caldingham był strasznie pijany.

Dorothy właśnie pokazywała mi sąsiadujący z nimi pokój. Kiedy usłyszałem chichoty i westchnienia, wiedziałem, że całość właśnie ma się zacząć; poprosiłem więc Dorothy, czy mógłbym zobaczyć pokój obok. Wyjątkowo ją to uradowało i wyjaśniła:

— Och, bardzo się cieszę, że pan o to poprosił. To nasz pokój dla wyjątkowych gości. Tylko służąca i bardzo wyjątkowi goście mają tu prawo wstępu. Uważamy, że coś powinno zostać w domu nienaruszone dla naszych przyjezdnych. Ale w pana wypadku chętnie uczynię wyjątek. — Uśmiechnęła się szeroko. — W rzeczy samej, robię to z drzeniem serca.

No i zadrzało w niej serce, nie ma co. Bo oto zobaczyliśmy tłusty zadek Caldinghama brykający między szeroko rozłożonymi i zadartymi do góry nogami Melee. Spojrzała zza niego, kiedy wchodziliśmy do pokoju, i zaczęła krzyczeć:

— Teraz, kochanie, teraz! Tak jak zawsze!

Och, jakiż to był śliczny widok; naprawdę godny zapamiętania. Ale jeszcze piękniejsza była mina Dorothy; jej oczy zaszkliły się i jednocześnie zaczęła drżeć i słać się na nogach. Wyszliśmy chwiejne z pokoju; cały czas delikatnie ją podtrzymywałem, jak uczyniłby każdy dżentelmen. Poprowadziłem ją w dół schodów, między ludźmi i wyjaśniłem wszystkim, że to tylko drobny napad nerwów.

— Przeprocowała się, to wszystko — rzekłem.

— Och — padła zbiorowa odpowiedź.

Weszliśmy do gabinetu, a ja zamknąłem za nami drzwi. Posadziłem ją na ładnej, miękkiej sofie, uniosłem nieco jej jedwabną suknię i otarłem łzy z twarzy.

— Jak on mógł? — szlochała. — Och, jak on mógł?

— Po prostu nie wiem — odparłem smutno. — I to z moją narzeczoną.

Znowu zaczęła łkać i oparła mi głowę na piersi. Pogłaskałem ją po miękkich włosach i popieściłem po karku z wielką łagodnością i współczuciem z powodu naszej wspólnej straty. Długo głaskałem ją po szyi, a potem przesunąłem się w okolice uszu. Miałem wrażenie, że to nieco łagodzi jej ból i smutek. Łkania powoli umilkły, a kiedy poczułem, że mocniej się na mnie opiera, wypowiedziałem TE SŁOWA do jej małego, delikatnego uszka i chwilę później już spadliśmy z sofy na podłogę, gdzie jęczała niczym Melee, odwzajemniając mi się łagodnością i współczuciem. Przyjąłem to z wdzięcznością prawdziwego dżentelmena — dokładnie tak, jak nakazywało francuskie dzieło.

Wyprostowała się i obciągnęła jedwabną spódnicę na nogi. Mój lotny umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Cwaniactwo zaczynało brać nade mną górę; nic nie mogłem na to poradzić. Kiedy ona wzdychała i przytulała się do mnie, bez wątpienia z nadzieją, że znowu jej TO powiem, ja gapiałem się na sejf.

— Posłuchaj, kochaneczko — odezwałem się. — Muszę się o nas zatroszczyć. Powiedz mi, jaka jest kombinacja do tego sejfu,

a wydostanę twój akt ślubu i przygotuję naszą sprawę. Wyrządzono nam krzywdę, którą trzeba naprawić.

Wymamrotała kombinację i przytuliła się do mnie. Ostrożnie ułożyłem ją na kanapie, pocałowałem czule i powiedziałem, żeby nie ruszała się, póki nie wrócę. Obracałem tym pokręteł u czarnego, żelaznego potwora tak szybko, jakbym sam go stworzył, i chwilę potem otworzył się przede mną niby krocze Melee. W płóciennych woreczkach leżały sobie złote monety, a ponieważ byłem pewien, że zostały skradzione, odpłaciłem burmistrzowi pięknym za nadobne. Było tego za dużo, żeby upychać po kieszeniach, więc wsadziłem je sobie za pazuchę koszuli, która była nowa i miała jeszcze wszystkie guziki. Zauważyłem ładną, skórzaną teczkę i wiedziałem, że w niej znajdują się wszystkie papiery, dzięki którym przejmę stanowisko burmistrza tej miejsciny.

Wróciłem do Dorothy z tak dobrym samopoczuciem, że zaszeptałem jej do uszka i w niespełna pół minuty znowu tarzaliśmy się po całej kanapie.

Kiedy wrzasnęła:

Teraz, kochanie, teraz! Tak jak wtedy! — zabrzmiało to dziwnie znajomo.

Zapewniłem ją, że wszystko jest na najlepszej drodze i że dopilnuję, by sprawiedliwości stało się zadość; obiecałem jej, że jeszcze będziemy mieć czas na takie zabawy jak dzisiaj, po czym wstałem i wyszedłem.

Na zewnątrz pomacałem się po koszuli na brzuchu, upewniłem, że pieniądze są na miejscu i odetchnąłem głęboko czystym, nocnym powietrzem, po czym zerknąłem na niebo, gdyż miałem ochotę komuś podziękować. Nie minęło wiele czasu, a z zarośli wynurzyła się Melee z szerokim uśmiechem na twarzy i złapawszy mnie tuż pod pieniędzmi, powiedziała:

— A teraz czas, żebyś dotrzymał swojej części umowy.

Był to dla mnie pewien wysiłek, ale zabrałem ją z sobą do domu i zrobiłem wszystko, co jej obiecałem, plus dorzuciłem parę złotych monet w nagrodę. Te cholerne słowa były najlepsze na świecie, ale zaczynałem się zastanawiać, czy i koń podolałby

zadaniu. Tej nocy spałem jak zabity. W rzeczy samej, spałem tak twardo, że nie miałem czasu na sny; obudziłem się dopiero nad ranem.

Rozdział dziesiąty

Stałem i szczyrzyłem zęby do Runta z dumą, jak chciwy bankier, który właśnie spieniężył kolejną hipotekę.

— A potem powiedziałem im prosto w oczy, że reprezentuję Gradella.

—Och—jęknął Runt.

Nie wydaje mi się, żeby zrozumiał wagę tych słów, więc wytłumaczyłem mu to nieco dokładniej.

— Szkoda, że ich nie widziałeś. Po prostu opadli mnie ze wszystkich stron.

Runt pociągnął się za ucho, spojrział na swe buty, zerknął na moją mapkę na ścianie, a potem poczłapał do okna, wyjrzał, obrócił się i zaczął coś mówić, lecz żaden dźwięk nie wydostał się z jego gardła. Po prostu cisza. Wreszcie doszedłem do wniosku, że nie ma sensu tak się przejmować czymś, co nie istnieje, więc powiedziałem mu o sprawach, które są naprawdę ważne.

— Teraz mamy pieniądze, żeby kupić własny lokal.

— Który?

— Ten. — Wskazałem podłogę, na której staliśmy.

— To ma sens — mruknął Runt.

Byłem z niego dumny, choć tylko przez sekundę. Niech mnie szlag, on naprawdę zaczynał chwytać to, co do niego mówię. Pozwólcie mi zauważyć, że z minuty na minutę stawał się mądrzejszy.

— Musimy pamiętać to, co powtarzałeś, odkąd się poznaliśmy — ciągnął przemądrzale Runt.

— To znaczy co? Co? — Ledwie mogłem się doczekać, co mi zaraz zacytuje.

— Cóż, po pierwsze, masz już burmistrza za huevos.

— Pewnie, że tak!

— Po drugie i trzecie, jak stale powtarzałeś, najlepszym sposobem na kontrolowanie pieniędzy w mieście jest kontrola nad whisky i dziewczętami.

— Niech mnie biesy, dokładnie tak zawsze powtarzałem! Wszystko zapamiętałeś! — Teraz ja przejąłem dowodzenie. — Pójdę i przejmę stanowisko burmistrza. A ty wynoś się stąd na misję szpiegowską. Chcę wiedzieć, jak możemy się dostać do Największego Bimbrownika w tej krainie. Wszyscy ci górnicy i bydłopasy muszą mieć jakiegoś.

— Zrobione! — krzyknął Runt i wyprostował całe pięć stóp swego istnienia.

— Kiedy tylko załatwimy te sprawy, osobiście zajmę się dziewczynkami.

Czy mogę ci pomóc? i— poprosił.

Cóż, to będzie ciężka praca, ale czuję, że to mój obowiązek.

Wraz z Runtem rzuciliśmy się do działania. Pojechałem do domu burmistrza, aby sprawdzić, jak stoją moje akcje u Dorothy. Sytuacja miała się dokładnie tak samo jak poprzedniej nocy: wystarczyło, że wyszeptalem jej te słowa do ucha, a zaczęliśmy cały cyrk od początku. Później leżała na kanapie z szerokim uśmiechem na twarzy i nogami cały czas szeroko rozłożonymi, podczas gdy ja usiłowałem porozmawiać z nią o interesach. Pomiędzy spoglądaniem na nią, a myśleniem o utworzeniu ogromnego imperium, mogę powiedzieć, że wykazałem to, co stary Nap nazywał hartem ducha w walce.

Wreszcie udało mi się nakierować jej uwagę na nurtujące mnie sprawy i powiedziała, że przekazała staremu Caldinghamowi wiadomość ode mnie. Powiedziała mu, że zostanie poproszony o rezygnację ze stanowiska i że ma ustąpić bez gadania. W przeciwnym razie pewne dokumenty oraz informacje, które znajdują się w moim posiadaniu, trafią w ręce szeryfa federalnego Santa Fe. Odświeży mu się też pamięć o dokumentach wykazujących sfalszowane straty w kopalniach i przypomni, jak bardzo ludzie, którzy uważają się za

skrzywdzonych, uwielbiają lincze. Mogło być tego znacznie więcej, ale naprawdę nie było to potrzebne. Miał się także wyprowadzić z domu, abym ja mógł przychodzić, kiedy zechcę. Nie odmówiłem. Poza tym podobał mi się pomysł, że Dorothy będzie tam na mnie czekać. Popieściłem ją tam, gdzie najbardziej lubiła, i wyszedłem na umówione spotkanie z burmistrzem.

Z Caldinghamem nie zeszło mi za długo. W rzeczy samej, był już spakowany.

' — Czy myślisz, że trochę później znajdzie się dla mnie jakieś stanowisko? — spytał. — Przez całe życie piastowałem jakąś funkcję społeczną. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym nie mógł już dłużej służyć społeczeństwu. Pewnie bym się rozchorował.

Wyprostowałem całe swoje sześć stóp i trzy cale wzrostu, wypiąłem klatkę piersiową szeroką na czterdzieści pięć cali i odparłem:

— Po tym, jak zaprosiłeś mnie do domu i uwiodłeś moją narzeczoną na oczach własnej żony, powiedziałbym, że masz wyjątkowo marne szanse. Całe szczęście, że zrezygnowałeś z urzędu na moją korzyść. Poza tym mam już serdecznie dość wysłuchiwania was, łajdaki, jak to służycie społeczeństwu. Wy, dupki, posługujecie się społeczeństwem. Wykorzystujecie pieniądze obywateli. Wykorzystujecie ludzi i ich pieniądze dla własnych celów. Rżnicie ich!

Zabrał swoją małą torbę w małe, złodziejskie rączki i wyniósł się stamtąd do diabła. Miasto już zaczęło wyglądać lepiej. Potter « wezwał szeryfa Digby'ego i powiedziałem mu, że może zostać na stanowisku do czasu, aż znajdę kogoś lepszego.

— Tak jest — powiedział. — Tak jest. — Ukłonił się i ten ruch wyciągnął mu na plecach koszulę ze spodni, ukazując fałdki tłuszczu drżące mu nad nerkami.

— A teraz słuchaj — zarządziłem — W przyszłym tygodniu zamykamy całe miasto w celu przebudowy.

— Ale... ale... co z Gradellem?

Znasz go?

— Nie, proszę pana, nie znam. Nikt go nie zna.

— W takim razie, niech on się o to martwi, dobrze?

— Uch... taak... oczywiście... Jestem pewien, że będzie tym... zainteresowany.

Usiadłem za moim nowym biurkiem, oparłem nowe buty o blat i zapaliłem jedno z tych cygar, które eks-burmistrz w podnieceniu zostawił dla mnie. Byłem bardzo szczęśliwym kowbojem. Do diabła, przecież właściwie to ja już nie byłem kowbojem, szybko poprawiłem się w myślach — do licha, teraz jestem burmistrzem. Taak, panie kochany, jestem burmistrzem miasteczka — a to dopiero początek. No cóż... niby czego można się spodziewać po tak doskonale wykształconym sukinsynu, jak ja?

Stary Runt musiał odwalić kawał dobrej roboty przy rozprzestrzenianiu wiadomości, bo miałem najróżniejszych gości. Przyszli nawet bankier z pastorem. Zapewniłem ich, że duchowa społeczność rozpocznie działalność w przyszłym tygodniu i że w ogóle nie powinni się o nic martwić. Zebrała się rada miasta i chcieli się dowiedzieć, kiedy odbędzie się pierwsze posiedzenie.

Wyciągnąłem broń, spojrzałem przez przyrządy celownicze, jakbym chciał ustrzelić zająca, po czym odparłem:

— Właśnie jesteśmy w jego trakcie.

Posiedzenie zostało odłożone bez żadnych dalszych głupot. Trzy burdelmamy wpadły, żeby przekonać się, czy wszystko jest w porządku, i choć dwie z nich przyznały, że pracują dla Gradella, zapewniły mnie, że chcą współpracować ze mną na całej długości frontu. Odpowiedziałem, że nie mają jeszcze pojęcia, jak bardzo będę współpracować po przebudowie miasteczka. Do diabła, nie wiedziałem, że burmistrz ma tyle do roboty. Ale to nie miało znaczenia. Kiedy tylko znajdę chwilę, zbiorę sobie paru rozsądnych asystentów.

Zbliżał się już wieczór, więc postanowiłem zgarnąć Runta. Wiedziałem, że do tej pory na pewno zdążył wpakować się w jakieś tarapaty. I że już się upił. Chciałem wydobyć z niego te informacje o bimbrowniku, zanim spije się do nieprzytomności. Musimy się dobrze przygotować na jutrzejszą wizytę u gościa, który będzie zaopatrywać w bimber całe miasteczko. Sprawowanie oficjalnego urzędu wiąże się z całą masą ostrożnego planowania.

Wędrowałem sobie uliczką Our Town i po niedługiej chwili go zoczyłem. Sześciokonny dyliżans stał przed stacją, z której dobiegał ogromny rwetes; większość hałasu powodował sam Runt. Na ganku zebrał się już spory tłumek. Przystanąłem za dyliżansem. Runt stał naprzeciw górnika szerokiego na pól i wysokiego jak cały dyszel.

Runt sprzedawał mu niezłą gadkę.

— Mogę osmagać ci dupsko, kiedy tylko zechcesz, i to w każdym kręgu, który zdołasz wyrysować! — Wskazał ręką ziemię.

Górnik cały aż trząśł się ze śmiechu. I wcale mu się nie dziwię, ani ciut

— Zadrzyj ze mną, a wychłostam cię tak, że będziesz przypominał dym wychodzący z komina — kontynuował Runt.

Zobaczyłem, że wreszcie zabmął za daleko, bo górnik przestał się śmiać. Wyciągnąłem rewolwer tak, żeby nikt z tłumu nie widział, i kiedy Runt podskoczył na obu nogach, żeby dosięgnąć do szczęki tamtego, górnik cofnął się o krok za dyliżans, usiłując uniknąć potężnego udeżenia. Trzasnąłem go prościutko w kark, a on zwałił się na ziemię z łoskotem. Szybciutko schowałem broń do kabury.

Runt stał nad powalonym przeciwnikiem, spojrzął na tłum i warknął:

— Czy któryś z was chce jeszcze nauczkę? — Żaden śmiałek się nie wychylił, a wtedy Runt zobaczył mnie. — Przeszedłeś za późno — zbeształ mnie. — Przecież nie mogłeś wiedzieć, że będzie jeden na jednego.

Postarałem się to zignorować i pomogłem górnikowi wstać. Nadal chwiał się na nogach, lecz wyciągnął rękę do Runta i powiedział:

— Byłem brygadzystą w każdym ogarniętym gorączką złota mieście na zachodzie, lecz jeśli popatrzeć na to proporcjonalnie do wagi, jeszcze nigdy tak nie dostałem.

Uścisnęli sobie dłonie, a Runt poklepał go po krzyżu i powiedział:

— Nie ma sprawy, tylko zachowuj się grzecznie, żebym nie musiał tego powtarzać.

Zabraliśmy Brygadzystę Dooley'a do saloonu „Podwójna Podwiązka” i kupiliśmy mu drinka. Pogratulowałam mi zostania burmistrzem i posiadania tak wspaniałego asystenta jak Runt. Przyjąłem to i powiedziałem mu, że gdyby górnicy czegoś potrzebowali, niech da nam znać. Planowałem zająć się ich potrzebami już niedługo, bez względu na to, czy zdadzą sobie z tego sprawę, czy nie. A kiedy już zacząłem się czuć nieco za dobrze z powodu sukcesów odniesionych tego dnia, nadeszła Melee. Wiedziałem, że się nie wywinę. Mężczyzna musi dotrzymać zobowiązań, choćby go to miało zabić. Nie ma innej rzeczy na świecie, w której można sobie tak szybko narobić zaległości i jednocześnie tak błyskawicznie je nadrobić.

— Daj wszystkim drinki na mój koszt — wrzasnąłem. — Nadeszły całkiem nowe czasy w naszym nowym Our Town!

To tak bardzo ucieszyło Runta, że złapał najbliższą dziewczynę i zaczął z nią wywijać. Śpiewał na cały głos, gadał do chmur i koni... a wszystko w barze.

Melee po prostu przykleiła się do mnie i powiedziała:

— Daj mi je, kochanie. Po prostu daj mi te słowa.

Jako człowiek mądry i honorowy, nie miałem innego wyjścia. To była naprawdę fajna noc.

Rozdział jedenasty

Ten cały Runt okazał się wcale niezłym szpiegiem, mimo że w większości spraw kopiował mnie i był kompletnym ignorantem. Dowiedział się, że jedynym bimbrownikiem w okolicy, którym warto zajmować sobie głowę, jest Bootles Bodkins. Dowiedział się także, gdzie dokładnie u stóp gór Sangre de Cristo stoi jego chatka.

Pojechaliśmy tam, w górę małego niebieskozielonego strumienia, ładnego i czystego niczym oczy dziewczycy. Czuć było powiew chłodu w letnim powietrzu. Oczyszczało to dym i opary

whisky z płuc, a ja jechałem podniecony jak żrebak. Robaki pobzykiwały z cicha, a cholerne sroki darły się między drzewami i błyskały swymi biało-czarnymi skrzydłami wśród ciemnozielonych sosen. Wzdłuż strumienia widzieliśmy ślady szopów, jeleni, [rysiów i kojotów. Cóż, do kroćset piorunów, ten strumyczek był prawie równie ruchliwy jak Our Town.

— Runt — odezwałem się. — Całkiem niezłe sobie radzimy jak na dwóch przygłupich kowbojów. — Tak naprawdę myślałem poważnie tylko pół z ostatniego zdania.

— Nie miałem tyle frajdy od czasu, kiedy tatko wygonił mnie z chaty za przelecenie kuzynki Alice.

— Tego już nie kapuję. W mojej rodzinie jest wielu kuzynów, którzy pożenili się między sobą.

— To właśnie tak rozwścieczyło mojego tatkę. Powiedział, że powinienem być się z nią ożenić, zanim ją przeleciałem.

p? Przecież wiesz, jak starsze pokolenie podchodzi do tego typu spraw.

— Powiedziałbym, że są ograniczeni umysłowo — parsknął Runt.

— Nie, po prostu troszkę zacofani.

Bum! Kula wryła się w drzewo tuż obok mojej głowy. Wycofaliśmy się z pośpiechem, żeby zająć nieco bezpieczniejsze pozycje za ogromną górą głązów. Patrzyłem i patrzyłem, lecz nic nie dojrzałem.

— Wiem, że to Bootles — wyjaśnił Runt — Nie lubi, żeby tu się ktokolwiek kręcił, poza Indianami.

I H/J Taak, a my nie jesteśmy Indianami — skonkl udo wałem mądrze.

— Ale ja jestem w jednej czwartej Meksykaninem — odparł Runt. — Można by pomyśleć, że to już coś.

— Dlaczego on nie lubi nikogo poza Indianami?

— Cóż, chyba sam będzie musiał odpowiedzieć ci na to pytanie.

— W takim razie mogę się nigdy nie dowiedzieć. Przyglądałem się terenowi tak, jak mógłby to robić stary

W rzeczy samej, usiłowałem wymyślić, co on zrobiłby na moim miejscu.

— Runt—odezwałem się. — Pójdź trochę do przodu, dopóki nie przekonamy się, jaki zasięg ma jego strzelba. Idź powoli, żebyś się zbytnio nie zbliżył i nie oberwał niepotrzebnie.

Widziałem, że ten pomysł wcale mu się nie podoba, ale nie miał innego wyjścia, jak tylko posłuchać dowódcy. Wsiadł na konia, zaciskając zęby i mrużąc oczy.

III Nie. Nie. Konia zostaw tu przywiązanego. Nie możemy ryzykować, że zostaniesz tu, tak daleko od miasta, bez wierzchowca.

Patrzył na mnie w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym zsiadł i przywiązał konia do drzewa. Przez moment wyglądało tak, jakbym miał mieć mały bunt na karku.

— Posłuchaj uważnie. Mój plan wygląda następująco: kiedy dojdiesz na jakieś cztery, pięć kroków do miejsca, gdzie sięgają jego strzały, po prostu stój tam i pozwól mu się wyprztykać z amunicji.

— To nie wydaje mi się zbyt bezpiecznym posunięciem.

— Daj spokój, partnerze. Oczywiście, że to bezpieczne, skoro kule nie mogą cię dosięgnąć. Albo jemu skończą się naboje, albo ja podkradnę się z tyłu i go pojme.

Cóż, wielkiego wodza nie nazywa się wielkim bez powodu. Po prostu wyszedłem przed niego i pomaszerowałem szybko do przodu. Kiedy pierwsza kula otarła mi się o nogę, równie szybko wróciłem. Wtedy całe mnóstwo kul ugrzęzło w miękkim piasku parę jardów przed nami. Zaznaczyłem to miejsce kijem i kazałem Runtowi stanąć tam, lecz nawet nie drgnął.

— Chyba się nie boisz, co? — spytałem, jak prawdziwie współczujący dowódca.

— Nie, po prostu jakaś dziwna ciecz wcieka mi do butów.

— To dobrze — odparłem. — A teraz zajmuj pozycję, żeby mógł znowu zacząć strzelać. Okrążę go i zaatakuję od tyłu.

Przysięgam, że ten tchórzliwy łotr cofnął się jeszcze trzy kroki, lecz mimo to ściągnął na siebie ogień. Wtedy wypatrzyłem gęstą kępę sosen rosnącą wokół góry kamieni, zza których ktoś

strzelał. Poruszałem się bezszelestnie i ostrożnie. Kiedy przedzierałem się z trudem przez gęste zarośla, od czasu do czasu słyszałem strzały. Martwiłem się tylko o to, że Runt załamie się i ucieknie. Zajął mi to więcej czasu, niż się spodziewałem. Te strzelby kaliber trzydzieści-trzydzieści niosą cholernie daleko.

Po jakimś czasie znalazłem się za strzelającym, przekradłem się przez krzaki i wyjrzałem spomiędzy gałęzi. Leżał sobie spokojnie i spoglądał w dół lufy strzelby. Zaczekałem, aż wystrzeli, a kiedy to zrobił, zaatakowałem. Wyszarpnąłem mu strzelbę z rąk. Gdy wstawał, wyciągnął scyzoryk z kieszeni. Kopnąłem go w jaja, zamiast zastrzelić na miejscu; do licha, potrzebowaliśmy tego drania. Gdy upadł na kolana, zabrałem mu scyzoryk i wrzasnąłem na Runta, żeby przyprowadził konie.

Kiedy Bootles wreszcie zdołał stanąć na nogi bez jęczenia niczym grzejąca się krowa, odezwałem się do niego miło:

— Witaj, przyjacielu. — Uśmiechnąłem się też do niego szeroko, żeby nie miał podejrzeń.

— Coś tu jest nie tak — odpowiedział.

— Niby co takiego? — spytałem, ponownie się uśmiechając.

— Nie podszedłeś do mnie jak szczerzy i prawdziwy przyjaciel, to wszystko.

— Cóż, zaszło małe nieporozumienie. Przyjechaliśmy tu, żeby dać ci się wzbogacić, a ty zacząłeś strzelać do mojego asystenta. Mogłeś go okaleczyć.

— Masz rację. Stokrotnie przepraszam. — Uśmiechnąłem się na znak, że przyjmuję przeprosiny. — Ale ja usiłowałem strzelić mu prosto między oczy. — Po czym wrócił do interesów: — Wzbogacić, powiadacie?

- Będziesz bogatszy, niż możesz to sobie wyobrazić.

Jakimś cudem na wspomnienie o pieniądzach wszyscy się rozklejają. Runt podjechał z naszymi końmi; powiedziałem Bootlesowi, że jestem nowym burmistrzem Our Town i że od tej chwili wszystko będzie wyglądać inaczej, włącznie z ogromnym imperium. Potem przeszedłem do gardłowej sprawy.

— Dlaczego sprzedajesz whisky wyłącznie Indianom?

— Bo Gradell wysłał do mnie ludzi z poleceniem, żeby nie sprzedawać jej nikomu innemu. To jego sposób na kontrolowanie zarówno mnie, jak i Indian.

Mój niższy mózg podpowiedział mi: „Kontrola przez handel”. Kiedy nadejdzie właściwa pora, będę musiał porozmawiać o tym z Indianami.

— Widziałeś Gradella? — spytałem.

— Nie, przyjeżdżają po nocy. We dwóch. Na początku im nie wierzyłem, ale kiedy pewnego ranka zastałem wszystkie płoty porozwalane, stóg siana spalony i studnię zatrutą, coś mi powiedziało, że mówią poważnie.

— No... no... — mruknąłem. — Rozumiem.

— Bobby Jack jest teraz nowym burmistrzem — wtrącił Runt.—Wydzierżawiliśmy sobie jeden z saloonów, który od razu zamieniliśmy w przybytek rozkoszy. Za tydzień będziemy mieć następny. Chcielibyśmy móc korzystać z twojej whisky.

Przez moment wydawało mi się, że wszystko zniszczył, ale nie wiedziałem jeszcze, że Bootles jest dostatecznie mądry, żeby nie zwracać uwagi na żołnierza, który bez wątpienia znajduje się w szoku.

Bootles wyszczerzył zęby w uśmiechu i powiedział:

— Chodźcie do mego domu; skosztujcie produktu.

Cóż, jego dom nie uszedłby za takowy w bardzo wielu miejscach. Wyglądało na to, że Bootles naprawił go ze dwadzieścia lat temu, malując jeden z parapetów. Pochylał się na wschodnią stronę, odsuwając od zachodniego wiatru, i z tej strony był podparty kilkoma palami różnej długości. Zdaje się, że dom po prostu rozleciał się w przeszłości już kilka razy. Zauważyłem, że przechyliam głowę na wschód, żeby spojrzeć na budowlę równo.

— Zsiadajcie i przywiążcie tu swoje konie.

Tak też zrobiliśmy. Bootles może i nie zrobił fortuny na Indianach, lecz miał wcale sporo inwentarza. Po całej chałupie kręciły się psy. Niektóre spały, inne leniwie obsikiwały drzewa,

jeszcze inne obwąchiwały nam nogi. Pod gankiem spała stara, ogromna maciora, a całe mnóstwo prosiaków ganiało po podwórku. Kurczaki i kozy szwendały się wszędzie, łącznie z gankiem i domem. Wszędzie też było pełno kaczek, indyków i gęsi.

Bootles przedstawił nas swojej żonie i powiedział, żebyśmy się rozgościli, po czym poszedł w zarośla przynieść nieco produktu. W letnim powietrzu unosił się nie tylko zapach bimbrowy, ale i najróżniejsze inne wonie.

Jego żona nosiła przy obwisłym cycku małego szkraba. Nie wydaje mi się, żeby dziecko miało z tego cycka jakiś pożytek. Odsunęła kosmyk strąkowatych włosów z oczu i usiłowała nawiązać rozmowę.

Tylko poczekajcie, posmakujcie wam wyrób tatusia. Robi najlepszy bimber, jakiego kiedykolwiek próbowaliśmy wasze spragnione wargi. — Przez kolejną minutę zastanawiała się, co dalej mówić. Zaczęła się tak jakoś dziwnie chwiać na nogach. Dwóch usmarkanych smyków, na oko siedmioletnich, podbiegło do niej i uczepiło się jej spódnicy. — Ten tu, brzydki, ma na imię Ned — rzekła. — A ten drugi... ładniutki, to Fred.

Trudno było mi poznać, który jest ładniutki, bo obaj byli tak cholernie paskudni, że trudno było na nich patrzeć bez odruchu wymiotnego. Kiwali się wraz z matką. Zdaje mi się, że byli po prostu niedożywieni, i zrobiło mi się ich diablo szkoda.

Odszedłem sobie na bok, podziwiając okolicę, w której zniknął Bootles, i zostawiłem Runta, aby ciągnął rozmowę. W końcu to on bardziej pasował tu poziomem. Nagle usłyszałem tuż obok siebie:

— Proszę pana?

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że zza drzewa spogląda na mnie mała dziewczuszka. Zdaje mi się, że miała jakieś szesnaście lat. Włosy miała równie zmierzwiłone, co matka, lecz długie i gęste. Gdyby choć raz umyła twarz, mogłaby być wcale ładna. Miała na sobie starą sukieneczkę, pod którą widać było gołe ciało, jej sutki zaś usiłowały wyskoczyć spod materiału.

— Co tu robicie? Chcecie się upić z tatusiem? Co? — Kręciła

jedną nogą w piasku tak, że pień drzewa znajdował się teraz między jej udami, co sprawiło, że zacząłem się jej przyglądać i myśleć co nieco.

— Nie... nie... słoneczko... my tylko... — Ocierała się o to cholerne drzewo, aż na chwilę zapomniałem, co chcę powiedzieć. — Przyjechaliśmy tu w interesach.

— Och, całe życie czekałam na prawdziwego biznesmena. Czy mogę uścisnąć panu dłoń?

— Ja... chyba tak.

Biedactwo, podeszła do mnie, kołysząc się z głodu dokładnie tak, jak reszta rodziny. Zacząłem żałować, że nie przywieźliśmy z sobą nieco żarcia. Ujęła mnie za rękę, spojrzała na mnie, a ja zerknąłem w dół jej dekoltu, który odstawał całkiem sporo, i to, co zobaczyłem, przyprawiło mnie o dreszcze. Osłabłem z wrażenia. Na ten widok wszystko we mnie podskoczyło, a ona obdarowała mnie soczystym całusem. Mój Boże! Aż do migdałków poczułem smak bimbrowy! Oni wszyscy byli pijani! Powinienem być wiedzieć, że nie są osłabieni z głodu. W końcu mieli dość zwierzaków, żeby przetrwać dwa lata!

— Zawsze chciałam znaleźć się blisko jakiegoś biznesmena — wydyszała mi prosto w twarz.

Nad jej głową zobaczyłem wracającego Boodesa. Odsunąłem się nieco, a ona tak jakby zawisła na mnie. Usiłowałem zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, po czym poszedłem z powrotem do Runta, bliźniaków i pani tego domu.

Aby nawiązać rozmowę, spytałem:

— Czy wy wszyscy pijecie ten produkt Bootlesa?

Pani domu uśmiechnęła się szeroko jak pies, co właśnie zeżarł gówna i odparła tonem przechwałki:

— Pewnie, że tak. Tylko najmniejszy nie chce; jeszcze wypłuwa.

Strasznie się ucieszyłem, kiedy Bootles wrócił do domu i wszyscy usiedliśmy na ganku, żeby skosztować trunku. Wypiłem kilka drinków chyba nieco za szybko, a wszystko dlatego, że ta pijana mała dziewczuszka stała obok, opierając się o ganek tak.

że znowu widziałem to, co miała za dekoltem. Sposób, w jaki się do mnie uśmiechała, też cholernie mnie niepokoił. Nie zostało nam nic, jak tylko zabrać się do whisky, interesów i posiedzieć tu jeszcze trochę.

— A teraz — odezwałem się, pociągając kolejny łyk — skąd reszta miasteczka dostaje whisky?

— Muszą kupować ją od Gradella wyjaśnił Bootles.

— No, a skąd on ją bierze?

— Aż z Taos. Ma tam wielki destylator, z którego obsługuje cały okręg.

Jego pani też wtrąciła swoje trzy grosze:

— Oni nazywają to Błyskawicą z Taos, ale kiedy przywożą ją do miasteczka, zamienia się w „doskonałą importowaną whisky”.

A kiedy wszystko już szło jak z płatka, ten cholerny idiota Runt musiał wtrącić:

; Moglibyśmy sprzedawać tą whisky znacznie poniżej ceny jego trunku, nie? Poza tym moglibyśmy przestrzelić kilka ich beczek, zanim dojadą do Our Town. To dałoby nam wcale niezłą kontrolę. W każdym razie tak uważa mój szef — dodał, w porę zerkając na mnie.

— Naprawdę tak mówisz? — spytał Bootles.

Wyprostowałem się najprościej, jak potrafiłem, i spoglądając między piersi tej małej, wypaliłem:

— Zawsze tak twierdziłem. — I warknąłem niczym niedźwiedź grizzly, któremu osa wleciała do nosa.

Bootles pociągnął spory łyk trucizny własnego wyrobu, po czym przyglądał mi się dłuższą chwilę.

Gadanina nic nie kosztuje — powiedział. — Żeby kupić whisky, trzeba mieć pieniądze.

I tu go miałem. Rzuciłem na ganek stosik sześciu złotych monet. Cała rodzinka zbiegła się, niczym sfora psów na umierającego szopa. Dobiliśmy targu, który pomoże mi podbić świat, a ja podpisałem się pod umową, wsuwając dłoń pod sukienkę tej małej i przykładając trzydziestoosmioletnią pieczęć na jej szesnastoletnim dokumencie.

Zachichotała, jakby się jej to podobało, po czym spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i powiedziała czule: — Mam na imię Mary Lou.

Nie pamiętałem, jak ja się nazywam, ale i tak uścisnąłem jej dłoń.

Zostaliśmy na całą noc.

Rozdział dwunasty

Cały dzień spędziłem, czytając Napoleona. Jego dojście do władzy i podboje. Było to dobre nie tylko dla mego umysłu, ale także pomogło ciału pokonać znój po nocy spędzonej z Boodesem Bodkinsem i jego rodziną. Po raz pierwszy, odkąd przyjechaliśmy do Our Town, wypoczywałem w nocy bez kobiety u boku.

Następnego ranka wstałem gotów do stoczenia ostatecznej bitwy. Był to dzień próby, lecz zapowiadał się cudownie. Po pierwsze, kazałem Bootlesowi dostarczyć beczułki z jego produktem do naszego nowo nazwanego przybytku — „Miauknięcie Kota”. Zapędził do pracy całą rodzinę, włącznie z dwoma kuzynami importowanymi z Santa Fe, którzy mogliby służyć za strażników i ochroniarzy — gdyby zaszła taka potrzeba. To dawało nam pięcioosobową armię oraz sporo posiłków za liniami składających się głównie z kobiet i dzieci.

Melee pomogła przy pierwszym ruchu. Zaczęła siać ferment wśród dziwek pracujących dla Gradella. Z początku sama myśl o nim zmrażała je do lodowatego milczenia, ale kiedy Melee opowiedziała im o SŁOWACH i obiecała co nieco dla każdej, nastąpiła jedna wielka odwilż. Teraz wystarczyło już tylko, abym uderzył w burdelmamy. Uczyniłem to w jednym ogromnym wybuchu energii zgromadzonej po samotnie spędzonej nocy. Nie minęło wiele czasu, a już wszystkie pierwszej i drugiej klasy prostytutki przeniosły się do „Miauknięcia Kota”. Właśnie popijałem szklaneczkę Produktu Bodkina i świętowałem fakt, że

wszędzie kłębiły się dziewczynki — mieliśmy po dwie albo trzy na każdy pokój.

Runt popijał ze mną, a potem podbiegł do pewnej osiemnasto- Jlątki z Terytorium Oklahomy i objął ją w pól. Złapał ją niczym buldog i przycisnąwszy jej usta do ucha, zaczął coś szeptać bardzo szybko. Stała w bezruchu tylko przez moment, po czym wyrwała mu się, trzepnęła go przez łeb, zebrała sukienkę i potrzásając kuperkiem, pokłusowała na piętro.

Runt podszedł do mnie chwiejnym krokiem, trzymając się za obolałą głowę.

— Bobby Jacku, proszę, powiedz mi, jak brzmią właściwe słowa. Błagam.

Ojcowskim gestem położyłem mu dłoń na ramieniu i odparłem poważnym tonem:

— Kiedy dorośniesz, synu.

— Mam już dwadzieścia trzy lata, idzie mi na dwudziesty czwarty.

Potrząsałem głową.

— Wiem — odrzekłem. — Wiem, że czujesz się już stary i mądry, ale nie jesteś jeszcze na to gotów, synu.

Kiedy nadejdzie właściwa chwila...

— Cały czas usiłuję zgadnąć! — wykrzyknął nieomal z płaczem. — Wypróbowałem chyba ze dwieście kombinacji różnych słów i nic nie działa, poza pieniędzmi.

— To całkiem fajny substytut słów; rozum także. Więc czym się martwisz?

— Zdaje się, że będę musiał popróbować na własną rękę — mruknął Runt.

— Teraz gadasz do rzeczy. To jedyny sposób.

Nagle zapomniał o piekącym policzku i powiedział:

— Wiesz co, Bobby Jacku? Myślałem sobie właśnie o tym, co powiedziałeś dzisiaj rano.

Spojrzałem na niego tak, jakby właśnie obrabował swą niewidomą babcię, a on paplał dalej:

— Nie ma wątpliwości, że masz rację, Bobby Jacku.

Odkaszlnąłem i nachyliłem ucha do tej jego gadaniny.

— Mamy tu zbyt wiele dziewczyn. Nie zostało tu ani źdźbko prywatności.

Nachyliłem drugiego ucha i podrapałem się pod pachą.

— Musimy tu zadowolić klientelę na pewnym poziomie, choć oczywiście nie na najwyższym.

Pierdnąłem cicho, zdjąłem kapelusz i podrapałem się po głowie.

— Taak, Bobby Jacku, powinniśmy zabrać co lepsze dziewczyny do domu Dorothy i tam z nimi prosperować.

Wyszedłem, wsiadłem na konia i jak najszybciej pojechałem do Dorothy. Musiałem się upewnić, czy zgodzi się na mój genialny pomysł. Zanim zdołałem jej cokolwiek powiedzieć, już na mnie naparła, mówiąc, że trochę się martwi milczeniem eks-burmistrza.

— To nienaturalne—rzekła.—Po prostu wiem, że pojechał do Gradella i że teraz spiskują, jak nas zniszczyć.

Cóż, wiedziałem, że muszę to zrobić, więc nachyliłem się do jej ślicznego uszka i zrobiłem to. Rozebrała się dokładnie tam, gdzie stała, pośrodku salonu. Kochaliśmy się pod ścianą, w salonie tuż przy drzwiach, a potem w głównej jadalni i na siedmiu stopniach, zanim wymogłem na niej zgodę na założenie „Domu Czystej Rozkoszy u Dorothy”. Trochę straciłem równowagę na schodkach i omal nie spadłem, lecz zdążyłem w porę złapać się jej piersi, co ocaliło mnie przed koszmarnym upadkiem. Leżałem sobie wygodnie z głową opartą na jej brzuszku i wydawałem jej ostatnie instrukcje. Zanim dobiliśmy targu, musiałem zwrócić się z nią na schodkach.

Przed zmrokiem przenieśliśmy połowę naszych dziewczyn na nowe mieszkanie. Oczywiście, miały wiele do nauczenia się, więc jedynymi gośćmi, którzy odwiedzili je tej nocy, byli bankierzy jego przyjaciel, wielbny pastor. Tak bardzo docenili wyjątkowe traktowanie, że doszliśmy do „politycznego porozumienia”, jak określiliby to stary Nap.

Nie minęło wiele czasu i nabyłem „domek na skraju miasta” — i to by było na tyle, jeśli chodzi o jego nazwę. Naprawdę go nie potrzebowałem, lecz miał sentymentalną wartość. W końcu

tam właśnie przeprowadziłem szaleńczą akcję, ratując skórę Runta przed pewną wstydliwą chorobą. Zabrałem go z sobą i powiedziałem, że nadszedł czas, abyśmy dokonali oficjalnej inspekcji naszego głównego źródła dochodu. Właściwie to mieliśmy dwa domki na skraju miasta—na przeciwległych krańcach rzecz jasna — i „Miauknięcie Kota” dokładnie w samym centrum. Ten konkretny rynek mieliśmy doskonale obsadzony.

Postanowiłem, że zaczniemy od najgorszego. W ten sposób mieliśmy szansę na poprawę z upływem czasu; burdelmama była tam najlepiej wyglądającą dziewczyną. Ważyła jakieś dwieście dwanaście funtów. Miała po cztery zęby z każdej strony ust. Jednak chodziła plotka, że dziąsła ma tak twarde, iż może rzuć surowy wołowy stek. Największą jej zaletą było to, że była przyjacielska i tania. Była też szybka, choć wiedziałem o tym tylko ze słyszenia. Miała na imię Tess.

— Tess, kochanie — powiedziałem po powitaniu. — Czy możemy ci jakoś pomóc?

Spojrzała po pozostałych dziewczętach.

Cóż... — rzekła. Rzuciłem wzrokiem po pokoju i dokładnie zrozumiałem, o co jej chodzi. W wyglądzie dziewczyn było wiele miejsca na ulepszenie. Ich sukienki wydawały się zrobione ze starych, podniszczonych zasłon okiennych, a zasłony w oknach wyglądały tak, jakby były zrobione ze zniszczonych sukienek. Właśnie chciałem zasugerować jakieś zmiany, kiedy do pokoju weszło dwóch klientów, którzy dopiero co skończyli robić swoje. Jeden z nich wyglądał tak, jakby urodził go strach na wróble i jakby był spity tanim winem.

Drugi spał w kalesonach przez ostatnie dwadzieścia lat i nie zdejmował ich ani razu, z wyjątkiem wiadomego celu. Jego twarz wyglądała tak, jakby zamiast mydła użył świeżego świńskiego gówna, a potem zmywał je co pół godziny.

Runt znowu odczytał moje myśli.

— Nie ma sensu marnować dobrych pieniędzy na ulepszenie tej dziury.

Dziewczęta zaczęły się uśmiechać i przysuwać do nas. Byłem

zdeterminowany traktować wszystkich moich ludzi jednakowo. W naszej organizacji nie będzie żadnej dyskryminacji. Więc wycofaliśmy się stamtąd z uprzejmymi uśmiechami. Kiedy idziesz do sklepu, na półkach znajduje się wiele różnych gatunków mięsa, ale jeśli jesteś biedny, bierzesz najtańsze, zupełnie jakby było najlepsze.

W „Miauknięciu Kota” wszystko szło jak z płatka. Zaslony w oknach były ciemne, ale czyste, podobnie jak łóżka w wielu pokojach. Dywany były zarzucone poduszkami i prawie każde pęknięcie w nich było zaszyte. Większość dziewcząt miała niemal wszystkie zęby na miejscu. Dziewczyny siedziały swobodnie w salonie. Małe stoliczki rozstawione tu i ówdzie może i były lekko porysowane, lecz były też świeżo wypolerowane. Na ścianach wisiały obrazki przedstawiające angielskie polowania na lisy. Całe pomieszczenie pachniało całkiem ładnie, to znaczy, jeśli lubicie zapach prawie czystych dziwek i burdelu. Melee miała pełne prawo być dumna ze swych dziewcząt.

— I jak interesy, skarbie? — spytałem, rozdając wkoło uśmiechy, żeby nikt nie poczuł się zaniedbany. - j!pl Wspaniale. Wprost kwitnąco. Moje dochody rosna, a zachowanie kowbojów się poprawia.

— Doskonale, doskonale. Potrzebujesz czegoś? Były jakieś skargi? — spytałem całkiem poważnie. Melee zastanawiała się ciężko.

Och, tak, w pokoju numer cztery w łóżku są pchły. Potrzebujemy jakiegoś środka na robale... poza tym... czulibyśmy się znacznie pewniej, gdybyś zachował swoje biura tutaj. Tu, gdzie zawsze ciepło cię powitamy. Gdzie możesz pracować w swobodnej atmosferze, a nie w napięciu, które z pewnością wytworzy dom Dorothy.

— Nie zamartwiał się — odparłem dyplomatycznie. — Zachowamy nasze centralne miejsce dowodzenia wszystkimi jednostkami i miastem.

Wszystkie dziewczęta wstały i zaczęły wiwatować wraz z Melee. Sprawilo to, że poczułem się dumny z bycia ich przy

wódcą. Chciałem, żeby wszystkie moje dziewczęta były szczęśliwe i miały zabezpieczoną przyszłość, i właśnie tak to wyglądało. I tak „domek na skraju miasta” działał na ilość, niskie ceny | i szybkość przerobu — sposób pod tytułem „ściągnij ich tu i obsłuż jak najszybciej” — a do „Miauknięcia Kota” zmęczony kowboj albo górnik mógł przyjść z własną flaszką i spędzić nawet godzinę na wybieraniu damy, która mu pasuje na tę noc. Nikogo nigdy nie wypędzano z łóżka, lecz dziewczęta działały tak sprawnie i znały tak dobrze arkana zaspokajania potrzeb i sprawiania przyjemności klientom, że mogły spokojnie i bez pośpiechu obsłużyć trzech lub czterech klientów na noc. Ceny zostały ustalone w odniesieniu do stawek, które otrzymują kowboje i górnicy. Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy wyszli dobrze na tym interesie.

— Porządne malowanie naprawdę mogłoby się tu opłacić — wtrącił, jak zwykle przedwcześnie, Runt.

— Boże wszechmogący, oczywiście, oczywiście. Czy nie mówiłem ci, żebyś pomalowała to miejsce, Melee?

Skinęła głową, jak każda dobrze wychowana burdelmama. Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie wyprowadzić stąd Runta, zanim przyjdzie mu do głowy coś, co powiedziałem w wieku pięciu lat, i zawstydzi mnie przed moimi pracownikami.

Przeniósłem się do „Domu Czystej Rozkoszy”. Wiedziałem, że Runt nigdy nie dopasowałby się do miejsca o tak wysokiej klasie, więc zostawiłem go w kwaterze głównej.

Do wszystkich diabłów! Cały frontowy ganek pokrywała wycieraczka z napisem „WITAMY”, a na drzwiach wisiała kołatka zrobiona z czystego mosiądzu.

— Kochanie! — powiedziała Dorothy na powitanie. — Tak się cieszę, że przyszedłeś. Umierałam z niecierpliwości, żeby ci coś pokazać.

— Cokolwiek to jest, ja też nie mogę się doczekać—odrzekłem.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła do salonu. Cóż to był za salon! Ciężkie, aksamitne, czerwone zasłony zwisały aż do podłogi, na ścianach zaś wisiały „obiekty de art” jak nazywała je

Dorothy, małe statuetki nagich dziewcząt stały na stołach o blatach z białego marmuru. Ale najlepsze ze wszystkiego były, oczywiście, żywe dziewczęta. Każda ślicznutka jak obrazek, że jak zawsze utrzymywałem, śliczniejszym już być nie można. Wszystkie uśmiechały się, jakby dopiero co umyły zęby, i kręciły się, aby każdy facet wiedział, że w ich żyłach krąży prawdziwa, czerwona krew. Wszystkie były inaczej ubrane, lecz wszystkie skąpo. Niektóre miały na sobie koronkowe miękkie ubranka z rozcięciami na nóżkę lub cycuszek, które ukazywały dostatecznie dużo, aby mężczyzna chciał zobaczyć więcej. W powietrzu unosił się specyficzny zapach, taki jakiś łagodny i ciepły, jak świeżo wybrany w lecie miód. Wystarczyło tego, żeby stary pies uniósł łeb i zaczął węszyć na wietrze. Te kobiety idealnie pasowały do czerwonych draperii na ścianach.

Dorothy musiała chyba wyczuć, jak bardzo podziwiam tę scenę, bo omal nie wyrwała mi ramienia, tak mocno pociągnęła mnie na górę, do głównej sypialni. Otworzyła szeroko ogromne, dębowe drzwi.

— Popatrz! — Zobaczyłem tylko łóżko dostatecznie wielkie, żeby pomieścić uroczystości z okazji Czwartego Lipca wraz z noworoczną potańcówką. Na łóżku leżała czerwona kapa dostatecznie duża, by można było urządzić pod nią tajne głosowanie. Ale nie chodziło jej o kapę. O, nie! Nad łóżkiem wisiał obraz przedstawiający Dorothy rozłożoną na gorze poduszek, nagusieńką jak niemowlę.

— Skądś to, u diabła, wytrzasnęła?

— To dla ciebie, kochanie.

— Cóż, strasznie ci dziękuję, Dorothy, ale skąd ty to masz?

Och, pewien artysta przyjechał tu aż z Taos.

Ponieważ jestem doskonałym biznesmenem, moje następne pytanie było całkiem naturalne:

— Pewnie kosztowało cię majątek?

— Nie, wziął zapłatę w naturze.

— No, no, kochanie, to właśnie nazywam sprytem. Jestem z ciebie okropnie dumny.

— pil Dziękuję, Bobby Jacku.

Kiedy ponownie przyjrzałem się obrazowi, zrozumiałem, że ci artyści wcale nie są aż tak głupi, za jakich się ich powszechnie uważa.

Skloniła głowę, jakby zawstydzona. Ponownie spojrzałem na mój obraz. Był tak rzeczywisty, że aż mieszało mi się w głowie. Więc złapałem Dorothy i przycisnąłem ją do siebie, żeby się nie pomylić.

Widząc otaczający mnie dobrobyt, zrozumiałem, że klientela w „Domu Czystej Rozkoszy u Dorothy” będzie rosła. Przez całą godzinę pracowicie udowaśniałem jej, jak dumny jestem ze wszystkiego, co tu zrobiła i będzie robić. Czasem trzeba oddać sprawiedliwość lojalnym pomocnikom.

Na rany koguta, wszystko szło jak z płatka! Wysokiej klasy, średniej klasy i zupełnie niskiej klasy burdele, wszystkie w tym samym mieście! Mieliśmy też monopol na whisky, ponieważ udało nam się zrobić zasadzkę i rozwalić wszystkie beczki „Błyskawicy z Taos”, zanim dojechały do Our Town. Na produkt Bodkinsa zrobiło się straszne zapotrzebowanie. Sprzedawaliśmy go za pół ceny w porównaniu z tym, co inne saloony były zmuszone sobie liczyć, i mieliśmy ogromne zyski. Interesy i pieniądze napływały tak szybko, że musiałem zatrudnić Mary Lou Bodkins, żeby je liczyła. Miała do tego prawdziwy talent. Ucieszyło mnie, że myśli o czymś poza seksem. Przy ciele takim jak jej, udowaśniało to tylko, jakie to trudne.

Ważnie skończyła liczyć i ustawiać pieniądze w równe kupki, po czym spojrzała na mnie i uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem.

— Zawsze wiedziałem, że będę mieć nosa do interesów— odezwała się.

— Taak, to naturalny dar w twoim przypadku — odrzekłem.

Wstała — miała na sobie nową jedwabną sukienkę—i uściśnęła mnie. Poklepałem ją po tyłeczku i oderwałem się od niej, mówiąc:

^ Muszę wygłosić przemówienie do mieszkańców miasteczka.

Skrzywiła buzię w podkówkę i spytała:

Kiedy powiesz mi do ucha to, co szepczesz innym dziewczętom?

— Kochanie, one tego potrzebują, a ty nie — odpowiedziałem na wychodnym.

Podbiegła do mnie i uczepliła się mnie. pfl! To najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek mi powiedział — wykrztusiła.

Nie miałem tak jasnego umysłu, jak powinien mieć człowiek, który właśnie ma wygłosić przemówienie do mieszkańców swego miasteczka, ale i tak parłem naprzód z kulawym Runtem u mego boku.

Kiedy szliśmy w kierunku sądu, przyjrzałem się podwójnemu rzędowni budynków zniszczonych przez niepogody.

— Runt, popatrz tylko... oto nasza główna ulica, a ma ze cztery cale kurzu. Przecież to woła o pomstę do nieba! Nawet burmistrz nie może przejść z Domu Rozkoszy do sądu bez tego, żeby wołać o pucybuta.

Runt przerwał mi, jak zwykle, głupim pytaniem, które na dodatek nie miało nic wspólnego ze zbliżającym się ważnym przemówieniem.

-TT- Myślisz, że Mary Lou umówi się dziś ze mną na tańce? W szkole odbywa się targ ciasteczek.

— Nie możesz ciągać jej po mieście o tak późnej porze — odrzekłem bez zastanowienia, -r- Ona przez cały dzień liczy pieniądze.

— Pomógłbym jej nadgonić zaległości.

— Do diabła, Runt, przecież ty nie umiesz liczyć!

Zwiesił głowę, przestał kuleć i powiedział smutno:

— Zapomniałem.—Ale zaraz potem twarz mu się rozjaśniła: — Hej, mógłbym się nauczyć!

Zignorowałem jego ignorancję i rzekłem:

— A jeżeli już mówimy o czytaniu, to spójrz tylko na te znaki! Ledwie można je rozczytać. Wiszą poprzekrzy wiane i są pokryte kurzem. To miasteczko trzeba doprowadzić do porządku. Wstydę się, że ktoś mógłby się dowiedzieć, iż należy ono do nas!

Cóż, wiadomość o moim przemówieniu najwyraźniej obiegła całe miasteczko. Zeszli się wszyscy.

'-.— Moi drodzy, to, co tu widzimy, to przykład ducha zbiorowego. Chcę, żebyście odmalowali to miasteczko i to na jasne kolory! Nie chcę widzieć żadnego z tych starych, stłumionych kolorów, który nawet świeżo pomalowany przypomina szczurze gówno! Chcę zobaczyć czerwień, jak czerwona krew, pomarańcz, przypominający wschodzący księżyc, i niebieski kolor, jak niebo w południe. Taak, i trochę żółci, żeby pasowały do zachodzącego słońca. I na Boga—rzekłem—wszystkie te znaki trzeba przybić równo, podobnie jak każdą oderwaną deskę w tym mieście. Wozy z wodą będą codziennie nawadniać ulice miasta, przed i po południowym posiłku. Do diabła, nawet milę za miastem widać jeszcze kurz kotłujący się naszymi ulicami. Jeśli nie przejmujecie się miasteczkiem, które powinniście otaczać pełną miłości opieką, to przynajmniej szanujcie swoje płuca. Kiedy dochodzicie do punktu, w którym nie możecie oddychać, cała radość wycieka z życia. A jeśli nie można od czasu do czasu poczuć radości, to po co w ogóle żyć? Co? Jak myślicie? I jeszcze jedno: jeśli nie macie dość rozumu, żeby utrzymać ludzi na stanowiskach, które pomagają wam troszczyć się o miasto, to zasługujecie na wszystko, co na was spada. Słyszycie mnie? A co, jeśli miałby tu przyjechać jakiś ważny gość z innego miasta? Jak byście się poczuli? Co? To jest nasze miasto i chcę, abyśmy byli z niego dumni!

Wychyliłem się z ganku sądu i pokazałem na nich palcem. Wzniósł się ryk i wiedziałem już, że mogę liczyć na ich współpracę. To znaczy, na współpracę wszystkich, poza kobietą w purpurowej sukni i w grubym welonie, która nawet nie uniosła ręki. Po prostu odeszła, podczas gdy wszyscy inni klaskali ze wszystkich sił i oddawali mi honory. I w czasie tego ryku nagle straciłem przytomność.

Runt wciągnął mnie do budynku sądu, wrzeszcząc do tłumu:

— To tylko przemęczenie!

Powiedział mi o tym później, bo wtedy zupełnie nic nie

wiedziałem — co jest dla mnie dość niezwykle. Wylał na mnie mnóstwo wody i jeszcze więcej whisky we mnie, i wtedy jakoś przyszedłem do siebie. Potem pokazał mi spory kamień z przywiązanym do niego liścikiem. Na potylicy miałem guza mniej więcej wielkości tego kamienia. W liściku było napisane: „NO, DALEJ, POWIEŚ SIĘ JUŻ TERAZ. Ja cię odetnę”. I podpisane: GRADELL.

Podskoczyłem, zatoczyłem się na ścianę i wrzasnąłem:

— Wylaż i stawaj do walki, ty podstępny tchórze! Wylaż ze swej nory, a rozedrę cię na strzępy i rzucę na pożarcie czerwonym mrówkom!

Runt pociągnął mnie za rękę i powiedział:

— Gradella nie ma w tym biurze, Bobby Jacku. Jesteśmy tu tylko my dwaj!

Po tym incydencie obniżyłem cenę whisky o kolejnego miedziaka na szklaneczce i wkrótce Gradell nie miał dość zysku w barach, żeby przynajmniej zapłacić chłopakowi od zamiatania.

Obywatele rzucili się do roboty — malowali i przybijali.

Miasteczko rozkwitło niczym ogródek kwiatowy żony ran- czera w mokre lato. Było śliczniej niż u cukiernika. Gradell odmówił pomalowania swojej budy, więc zrobiliśmy to za niego. Dwa razy dziennie nawadniano ulice i powietrze zrobiło się tak czyste, że widać było muchę na oknie w domu o mile dalej. Domy rozrywki działały na pełnych obrotach, a whisky sprzedawała się tak szybko, że Bootles musiał ustawić trzy nowe destylatory. Plotka poszła w świat i już wkrótce zjeżdżali do nas ludzie aż z Santa Fe i Albuquerque, żeby tylko spróbować naszej whisky, pomacać nasze dziewczęta, pooddychać naszym wyjątkowym powietrzem i spojrzeć na Our Town. To wykazuje, ile dobrego mogą zdziałać ludzie, jeśli ich przywódca jest prawdziwie oddany sprawie.

Poszedłem zobaczyć, jak Mary Lou idzie z liczeniem pieniędzy, lecz zastałem ją z Runtem na podłodze; on mówił, jak bardzo ją kocha, i choć na razie nic specjalnego nie robili, widziałem, że grubszy kaliber nadciąga. Wycofałem się cicho i poszedłem do mojego pokoju. Usiadłem i przez długi czas przyglądałem się pod

łodze. Nic mi z tego nie przyszło. Zawołałem Melee, kazałem jej iść do pokoju Mary Lou i powiedzieć Runtowi, że zwołuję konferencję. Musiała iść aż trzy razy, zanim zastała Runta niezajętego.

— Oczywiście, Mary Lou jest we mnie zakochana — powiedziałem Melee. — Ale poświęcę ją na rzecz mojego asystenta i towarzysza.

Melee zgodziła się ze mną.

— Jasne. Widziałam, że gdy gryzła ucho Runta do krwi, [myślała wyłącznie o tobie.

To właśnie zawsze lubilem w Melee; widziała rzeczy takimi, jakimi są naprawdę.

Runt wszedł z uśmiechem od ucha do ucha. Założę się, że miał dokładnie taką samą minę, kiedy uwiódł kuzynkę Alice. Kazałem mu usiąść. Nalałem nam po drinku i podałem mu cygaro. Wypiliśmy i zapaliliśmy. Cały czas miał na gębie ten idiotyczny uśmiezek. Odkaszlnąłem ze cztery razy, podrapałem się po jajach, pociągnąłem za nos i rzekłem:

— Przyjacielu, podjąłem decyzję co do twojej przyszłości. — Do diabła, wołałbym, żeby przestał się tak szczyrzyć.

— Taak?

— Taak. Wiesz, że Mary Lou jest młoda i niewinna. Świeżo rozkwitły kwiat w ogrodzie, żeby tak to ująć.

— Taak.

. Wiesz także, że jej ojciec jest bardzo cenionym współpracownikiem w naszych interesach?

— Taak! Taak!

— Iż zaufa mi i powierzył swą delikatną, niedoświadczoną córkę w moje ręce?

Runt pokiwał głową tak energicznie, że omal nie strząsnął wreszcie tego głupiego uśmiešku.

— Cóż, amigo, partnerze, współpracowniku numer jeden... niniejszym wymieniam swoje ręce na twoje.

— Juuhuu!

Podbiegł do mnie i przez dobre dwie minuty potrząsał naszymi rękoma; potem spojrzał na mnie poważnie.

— Bobby Jacku, pamiętasz, co mówiłeś mi wczoraj wieczorem, zanim poszedłeś do łóżka z Melee?

-T- Oczywiście, że pamiętam — odparłem, czując lodowaty i paskudny dreszcz gdzieś pomiędzy północną a południową stroną żołądka.

Taak, wiem, że pamiętasz... i miałeś cholerną rację, kiedy powiedziałeś, że jeszcze nie do końca załatwiliśmy Gradella.

Potałem jednym butem o drugi, poszukałem czegoś w kieszeniach i kaszlnąłem trzy razy bez żadnego powodu.

On nadal ma asa w rękawie — ■ powiedział Runt.

Odchyliłem głowę w tył i wpatrzyłem się w sufit, usiłując policzyć miejsca, gdzie zesrała się niezliczona ilość much.

— Co ty robisz? — spytał Runt, kiedy zacząłem liczyć na głos.

Nic, nic — odparłem. — Po prostu wspominam to, co ci wczoraj mówiłem.

— Aha. Pamiętasz, jak powiedziałeś, że on nadal kontroluje handel i że zarabia grube pieniądze, sprzedając wołowinę głodnym górnikom?

— Oczywiście, oczywiście! — wrzasnąłem. — Ale to następne słowa są ważne. Założę się, że ich nie pamiętasz!

Kiedy ten mały, bezmózgi drań usiłował przypomnieć sobie, co następnie powiedziałem, wstałem, wyjrzałem przez okno, a potem na korytarz. Później spojrzełem w drugą stronę na korytarz i cały czas dziwiłem się, jak wolno myśli ten mały idiota. Jednak wreszcie sobie przypomniał. Trzeba mu to przyznać.

— Powiedziałeś, że gdybyśmy ukradli bydło Gravy'ego Kinga i obcięli ceny dokładnie tak samo jak w przypadku whisky, moglibyśmy wykosić Gradella i zrujnować ranczo Kinga za jednym zamachem.

— Runt — odpowiedziałem w agonii.—Dlaczego tak długo czekałeś z wykonaniem mego polecenia? Zbierz nasze konie i jak najwięcej nowych lass. Niech Boodes przyprowadzi swój wóz i konie do pociągnięcia transportu wołowiny.

— Już się robi, szefie! — Podskoczył i już go nie było.

Rozdział trzynasty

— Bądź ostrożny — cały czas przestrzegała mnie Dorothy. — Ten Gradell zaatakuje cię z nienacką w najmniej spodziewanym momencie.

Doszedłem jednak do wniosku, że skoro już kontroluję miasto i jestem tak doskonale wykształconym sukinsynem, Gradell nie ma ze mną szans. Moje romanse z Dorothy i Melee szły gładko jak trzeba. Miasteczko było odmalowane i wysprzątane tak ślicznie, że mieliśmy regularny biznes turystyczny. Mówię wam, opłaca się utrzymywać wszystko czyste i świeżutkie. Pieniądze z whisky, dziwek i bydła Gravy'ego Kinga napływały tak szybko, że bankier Zilch przyjął mnie na wspólnika i posadził w radzie zarządu. Gradell stracił twarz—choć trudno to powiedzieć, kiedy nikt nigdy nie widział jego twarzy — do takiego punktu, że miał tylko jedną spelunę w mieście. Był to saloon „Podwójna Podwiązka”, do którego właściwie nie zaglądał nikt poza barmanem i pijanym chłopcem od zamiatania.

Runt całkiem mocno przeżywał swój romans. Kiedy nie zajmował się kradzieżą krów, a Mary Lou nie liczyła pieniędzy, jeździli sobie na przejażdżki powozikiem o zachodzie słońca, jedli kolacje i tańczyli na przyjęciach. Moim zdaniem zachowywali się wprost idiotycznie.

Siedziałem w moim oficjalnym biurze, a Melee przyniosła mi właśnie list od gubernatora terytorialnego. Uczyniłem z Melee

Boże wszechmogący, gdyby mnie tu nie było, żeby nim pokierować, ten idiota zdechłby z głodu w kiblu.

Zabraliśmy się do roboty w tej branży dokładnie tak samo, jak w przypadku poprzedniego, kwitującego przedsięwzięcia. Za każdym razem, kiedy pomyślałem o stratach Gravy'ego Kinga, padałem na łóżko z Melee, albo z Dorothy, i śmiałem się, póki nie zaczęły płakać.

moją sekretarkę w sędzie. Rada miasta miała wielkie zastrzeżenia; mówili, że to niesłychane, aby człowiek mojej rangi miał kobietę za sekretarkę. Standardem w całym kraju było, aby tę funkcję sprawował mężczyzna.

— Cóż — oświadczyłem. — Do diabła z resztą kraju. Skoro upiększamy wygląd Our Town, równie dobrze możemy się zająć także jego stroną duchową. Poza tym, moi panowie, kobiety to też ludzie.

Ledwie starczyło im rozumu, żeby nie podawać tej mądrości w wątpliwość.

W rzeczy samej, zaczynałem odnosić wrażenie, iż Melee ma potencję do zostania kolejną Delią Craven. Nie chodzi mi o umiejętności w łóżku, ale o robienie trudnych rzeczy z pieniędzmi i o wykorzystywanie rozumu.

Tak czy inaczej, w liście było napisane, że gubernator usłyszał o naszych przejawach ducha wspólnoty i że wraz ze swymi współpracownikami pojawi się za trzy dni w Our Town, żeby zobaczyć, czy nadaje się na modelowe miasto — cokolwiek, u diabła, by to miało znaczyć. Wydawało mi się, że to cholernie zaszczytne, więc poczułem się dumny jak paw i zaczęliśmy przygotowania do przyjazdu gubernatora. Kiedy stary Nap zaatakował Rosję, powiedział, że to jego największe osiągnięcie. Czułem, że to może być takim czymś dla mnie. Jedno było więcej niż pewne: gubernator nie przyjeżdżał na spotkanie z żadnym pozbawionym twarzy Gradellem! Przyjechał poznać wykształconego, dobrze prosperującego sukinsyna znanego jako Bobby Jack Smith!

Zrobiliśmy wszystko jak należy. Zlaliśmy wodą ulicę, a w poprzek niej, od domu do domu, wywiesiliśmy ogromny transparent. Orkiestra stała w pogotowiu, a całe mnóstwo dziewczyn czekało w rzędku, żeby wykonać kankana. Wozy zostały umyte, a ich ośki naolejone, żeby przewieźć gubernatora ze wszystkimi szykanami. A na koniec ja zamierzałem wygłosić przemowę.

Kiedy nadszedł ten wyjątkowy dzień, Runt stał obok mnie na stacji dylizansów, podniecony jak wszyscy diabli. W oczekiwaniu na to ważne wydarzenie zgromadził się cały dum gapiów.

— Runt — odezwałem się. — Wreszcie osiągnęliśmy szczyt.

Obejmował ramieniem Mary Lou i nie dosłyszał mnie. Oto oddałem mu tę dziewczynę z czystego współczucia mej dobrej duszy, a on nawet nie doceniał tego na tyle, żeby mnie słuchać. Tak to właśnie jest z tym młodym pokoleniem; nie mają dość rozumu, żeby słuchać starszych. Cały czas myślą wyłącznie o zabawie.

Kiedy nadjechał wreszcie dylizans, w powietrze wzbil się ogromny ryk. Z naszych wspaniale zadbanych ulic uniósł się jedynie maleńki obłoczek kurzu. Dylizans zatrzymał się tak, że drzwiczki znalazły się dokładnie naprzeciw mnie. Runt wypuścił Mary Lou z objęć na tak długi czas, że zdążył podskoczyć na ganek i otworzyć drzwi przed gubernatorem.

Byłem lekko zdumiony jego wyglądem. Spodziewałem się zobaczyć potężnego niedźwiedzia o sumiastych wąsach i krzaczastych bokobrodach, a tu zamiast tego wygramolił się facecik średniego wzrostu, który mógł ważyć nie więcej niż sto sześćdziesiąt pięć funtów. Miał jasne włosy, krótko obcięte i przeredzone z jednej strony. Nosił okulary, twarz zaś miał tak chudą i bladą, jakby całe życie karmił się korzonkami i pił wodę z glinianek.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a potem nastąpiła cała procesja uścisków. Jego asystenci, dziwki, wszyscy podawali sobie ręce. Nie zdążyłem wygłosić przemówienia. Kiedy tancerki skończyły swój występ, patykowaty sukinszyn wyszedł na ganek i zaczął bić brawo jak szalony. Zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek powiedzieć, uniósł dłonie gestem nakazującym ciszę i opowiedział nam, jak przez całe życie cierpiał i walczył za ekonomią na tych terenach.

Gadał i gadał o tym swoich desperackich bojach o dobro Our Town i okolic. Zakończył to wszystko, machnąwszy ręką na odmalowane i czyste ulice:

— A teraz stoję tu z pokorą, widząc, że wy, moi drodzy, skorzystaliście z moich lekcji i mego poświęcenia, udoskonalając to miasteczko. Wiem, że mogę teraz wrócić do stolicy i złożyć raport, iż moje nieustające wysiłki nie poszły na marne.

I wiecie co? Ten cholerny tłum zaczął bić mu brawo, jakby

mówił prawdę! I mówcie tu o owczym pędzie! Złapałem się na tym, że robię to samo, i usiłowałem przerwać cholerstwo, uderzając obiema dłońmi o balustradę ganku.

Poczułem się jednak nieco lepiej, kiedy już zasiedliśmy w bryczkach — ja w pierwszej tuż obok gubernatora. Jechaliśmy, a ja z dumą pokazywałem mu różne rozmieszczenia kolorów i to, że każda deska w tym mieście trzyma się solidnie na paru gwoździach, a każdy znak jest czytelny i wyraźny, tak że nawet ktoś o słabszym wzroku może wszystko odczytać.

Pochylił się ku mnie i odezwał poufnym tonem:

— Panie Smith, naprawdę doceniam to, co uczynił pan dla tego miasta. Nic by tu się nie stało bez pana. Doceniam to, panie Smith, naprawdę doceniam.

Wtedy dotarło do mnie, że cała ta przemowa przeznaczona jest tylko dla moich uszu i niczyich innych. Nie ma siły, żeby ten drań przyznał się publicznie, iż to nie jego zasługa, a mimo to usiłował ułożyć się ze mną.

Cały czas uśmiechał się i kiwał głową na wszystko, co mówiłem, a na koniec pochylił się ku mnie i odezwał takim tonem, jakby właśnie ogłaszał mi ponowne nadejście Chrystusa:

—Wiele słyszałem o cudownej kolekcji dzieł sztuki oraz o nowoczesnej architekturze pewnego domu tu, w Our Town. Zdaje mi się, że nazywa się... Niech się zastanowię... nazywa się...

—„Dom Czystej Rozkoszy” — dokończyłem za niego.

—Tak! Tak, to jest to! — wyrzucił te słowa przez cieniutkie wargi, tak suche jak drewno leżące na prerii w czasie suszy.

Zgasił mnie przy przemówieniu, ale jeśli idzie o odwiedziny w przybytku Dorothy, to wyprzedzałem go o wiele mil. To będzie jedyna podróż, którą odbędzie, czy mu się to podoba, czy nie.

Wysiedliśmy z bryczki i jak było wcześniej zaplanowane, Dorothy otworzyła drzwi, a wszystkie najlepsze dziewczęta w tej części stanu wykrzyknęły jednym głosem:

— Witamy, kochany panie gubernatorze!

Oblizal te swoje suche wargi, pociągnął się za rzadkie, mysie

włosy. Wodniste, niebieskie oczki świeciły mu zza okularów, aż na wół spodziewałem się, że soczewki się roztopią. Z pewnością nie będzie żadnych problemów z zabawianiem gubernatora.

Zebraliśmy się wokół ogromnego stołu w głównym salonie i skosztowaliśmy Najlepszego Produktu Bodkinsa. Gubernator wybrał sobie ciemnowłosą Meksykankę o ogromnym biuście, tłumacząc, że ma słabość do Meksykanek. Wszyscy się roześmieli, aby poczuł się lepiej. Naprawdę nie mógł wybrać lepiej niż Maria Sanchez. Wypróbowałem ją osobiście, zanim ją zatrudniłem, i muszę przyznać, że była doskonała w łóżku. Oczywiście, to nie zaszkodzi gubernatorowi w polityce. Odniosłem wrażenie, że przespałby się z krzyżówką tchórza z grzechotnikiem, gdyby chłopcy z Waszyngtonu tego chcieli.

Napiliśmy się jeszcze trochę, a bankier, pastor i cała rada miejska na zmianę podbiegali do gubernatora, ściskali mu ręce i opowiadali, jaki to dla nich zaszczyt.

Gubernator wysączył na szybko pięć szklaneczek Specjału Bodkinsa i zaczął mówić to samo co wszyscy.

— Jestem zaszczycony wizytą tutaj. Uwielbiam Meksykanki bez względu na to, czy są dziwkami, czy nie. — Jedną rękę trzymał pod sukienką Marii, a drugą w dekolcie jej bluzki, lecz mimo to mówił: — Tak, to dla mnie zaszczyt — choć miał nieco ograniczone pole do ściskania ludziom rąk.

Sam wysączyłem całkiem sporo naszego produktu i zatańczyłem parę razy z Dorothy. Spoglądała na mnie słodko, a na koniec powiedziała:

.— Jestem z ciebie taka dumna, Bobby Jacku! Zrobiłeś wspaniałą rzecz dla Our Town i naszego przybytku!

Och, wszystko szło idealnie. Dorothy zatrudniła trzyosobowy meksykański zespół, który grał stare miłosne piosenki sprawiające, że chce ci się płakać, choć sam o tym nie wiesz. Rozpierała mnie duma, jakbym właśnie połknął cały świat i przekonał się, że jest zrobiony z czekolady. I wtedy rozpętało się piekło!

Dorothy zauważyła je pierwsza. Wiem, bo właśnie patrzyłem

na nią, kiedy mała twarzyczka się skurczyła. Otworzyła usta, przestała tańczyć i wskazała na podłogę. Zdaje się, że wszyscy zobaczyli to samo, w tej samej chwili.

Myszy! Wszędzie aż roilo się od myszy. Małe dranie z oczkami jak koraliki biegały, zatrzymywały się i obracały, nie wiedząc, co robić ani dokąd biec. Dziewczeta krzyczały, podskakiwały, wspinały się na stoły, na schody, na posągi i na gubernatora.

Działo się to nie tylko na parterze, ale i na piętrze. Po schodach spływały dwie kompletnie nagie dziewczyny, a kiedy dobiegły na dół, zawróciły i popędziły z powrotem na górę w ramiona dwóch nagich pomocników gubernatora. Ci z kolei sami potrzebowali pomocy, lecz nie mieli skąd jej wziąć.

Wypuszczenie wszystkich tych myszy na obu piętrach jednocześnie musiało być uważnie zaplanowane. W moim lotnym umyśle znowu zapłonął ogień i obróciwszy się z wściekłością, runąłem lotem błyskawicy ku drzwiom. No i pewnie: zdążyłem zobaczyć dwóch jeźdźców znikających w gęstych zaroślach na wzgórzu, jakieś pół mili za miastem. Wiedziałem, że to Gradell i jeden z jego pomocników. Ależ byłem wściekły! Byłem też bezradny. Cały czas nie doceniałem Gradella.

Wszyscy nadal wrzeszczeli. Wybiegali już teraz na podwórko i na ganek. Kilkoro nagich — bądź na wpół nagich — osób spuszczało się po winorośli z pokoi na piętrze. Niektórzy okryli się pościelą. Inni nie.

Gubernator był wściekły. Darł się na wszystkich: — Zróbcie coś! Zawołajcie milicję! Zaszczyt jest po mojej stronie! Boże, jak ja uwielbiam Meksykanki! Dokąd ona uciekła?

Ale panika nie chciała uciec. Zagoniłem wszystkich do obory i starałem się uspokoić. Jednak dziewczeta nie dały się już wprowadzić w odpowiedni nastrój. Przyniosłem nawet niewielką beczułkę Najlepszego Produktu i wskazałem kilka kątów stodoły wymoszczonych sianem, lecz dziewczeta nie miały ochoty na zabawę. Po takim przerażeniu nie potrafiły wrócić do pracy.

Kazałem Runtowi i radzie miejskiej skonfiskować wszystkie koty w miasteczku. Kiedy oni udali się z misją, ja wróciłem do

stodoły i kazałem muzykantom zagrać coś na uspokojenie. Nie ma to jak whisky i muzyka, żeby ludzie przestali myśleć o nękających ich problemach. Wróciło nieco swawolnego nastroju. Zauważyłem, że gubernator odnalazł Marię i wreszcie zamierzał to z nią zrobić, to znaczy—jeśli ona wcześniej nie zemdleje.

Mniej więcej w tym samym czasie Runt wraz z oddziałem wrócili z trzema pudłami kotów. Niektórzy obywatele mieli do niego pretensje, że zabiera im ulubieńców, ale on wytłumaczył, że miasteczko znajduje się w stanie wojennym ogłoszonym przez gubernatora. Zdaje się, że sam kazałem mu tak mówić, lecz nie wierzyłem, że to zapamięta. Może jeszcze była nadzieja dla tego chłopca.

Podskoczyłem na pozycję głównodowodzącego przed drzwiami frontowymi i wydałem rozkaz:

— Wypuścić koty!

Opróżniliśmy wszystkie trzy pudła za próg; nigdy w historii wojen indiańskich ani domów wariatów nie słychać było takich hałasów. Miauczenie, syczenie i drapanie miały takie natężenie, że przeciętny człowiek nie zdołałby tego znieść. Nawet ja odszedłem i spoglądałem na odległe góry z palcami wciśniętymi w uszy.

Przeklinałem Gradella jeszcze bardziej, niż kiedykolwiek przeklinałem Gravy'ego Kinga. Odjąłem palce od uszu, żeby sprawdzić, jak tam hałas — nadal trwały.

Wreszcie gubernator zebrał swoich pomocników, zażądał jednej z bryczek i wyjechał, zabierając z sobą Marię.

— Na miłość boską, zabieram ją do Santa Fe, bo tam człowiek może przynajmniej liczyć na odrobinę spokoju!

— powiedział.

Byłem zły, że tracę dobrze pracującą dziewczynę, lecz kto odmówiłby Jego Wysokości? Do diabła, on już wkrótce zostanie senatorem i tylko to się liczy.

Po jakimś czasie stało się jasne, że z myszami koniec, ale koty były już tak pełne, iż nie mogły zjeść nic więcej, więc tylko kłóciły się o resztki. Usiłowałem wejść tam i wypędzić kociska, lecz były tak podniecone krwią, że aż podrapały mnie do kości. Czy to oblężenie nigdy się nie skończy?

Wysłałem rozpaczliwe polecenie do Runta, żeby złapał wszystkie bezpańskie psy, jakie zdoła znaleźć. Wraz z radą miejską pomknął wozem spełnić i to zadanie. Nie minęło wiele czasu, a dostarczył mi psy tak samo jak wcześniej koty. W rzeczy samej, kilka psów przyszło z własnej woli, aby dołączyć do bitwy w „Domu Czystej Rozkoszy”!

Zachowałem spokój i kazałem im czekać, aż wróci Runt z całym wozem sprzymierzeńców. Chciałem zaatakować wszystkimi siłami, jak zawsze powtarzał Nap—bo tylko wtedy istnieje szansa na prawdziwe zwycięstwo.

Nie było problemu ze wskazaniem psom kierunku natarcia. Jedynym problemem było otworenie drzwi. Skakały na nie tak natarczywie i uparcie, że w końcu musiałem zawołać pomoc. Hałas, który słyszeliśmy wcześniej, był niczym w porównaniu z obecnym. Koty wyskakiwały przez okna, spadały z balkonów, wspinały się na dach, a tu, gdzie stałem przy otwartych drzwiach, widać było od czasu do czasu tylko błyskawicę futra przemykającą w pośpiechu.

Wreszcie sprawa została zakończona. Słyszeliśmy już tylko w oddali poszczekiwanie psów, które zapędziły swe ofiary na drzewa. W domu panowała cisza. Posprzątanie po tym wszystkim zajęło trzy dni, a tu i ówdzie na zawsze pozostały zadrapania zbyt głębokie, żeby je zamalować farbą.

Plotka o zemście Gradella rozeszła się lotem błyskawicy. Wyśmiewano nas często i głośno. Jedno było pewne: gubernator nigdy już nie wróci do Our Town. I choć plotka o naszej porażce obiegła cały stan, nie martwiłem się, iż gubernator powie, że był tego świadkiem. Po prostu nie wróci tu, pokazując tym samym resztkę stanu, jak dobry ma gust.

Mój Boże wszechmogący, po tym, jak zostanie senatorem, może zacząć ubiegać się o fotel prezydenta. Przerażająca myśl! Przypomniałem sobie coś, co mówił stary Nap — dziewięćdziesiąt procent polityków to ludzie trzeciej kategorii. Cały naród równie dobrze może iść prosto do diabła. Przerażająca myśl. Lecz z drugiej strony, teraz musiałem zająć się czymś innym.

Nie było co do tego wątpliwości. Gradell idealnie zaplanował swój ruch. Trudno mi było trzymać głowę wysoko, lecz cóż poradzić — w końcu trzeba oddawać ciosy. Ale jak przywalić komuś, kto nie posiada twarzy?

Rozdział czternasty

Wszyscy w naszej drużynie byli nieco zawiedzeni. Bycie pokonanym przez jakieś sześćset myszy jest pewnie trudne do przelknięcia. Kiedy tylko myślałem, jak długo Gradell to planował, ile czasu zajęło mu złapanie, a na koniec wypuszczenie myszy tak, aby zepsuły mój świetlany moment, miałem ochotę walić głową w kamienny mur, dopóki go nie przebije, a potem znaleźć kolejny i powtórzyć operację. Gdyby mnie zastrzelił albo rąbnął pałą przez łeb, zniósłbym to, jednak ta afera z myszami naprawdę mnie zabolęła. Widziałem, że dziewczęta przestały przykładać się do roboty. Rzucono cień wątpliwości co do tego, kto tak naprawdę jest tu przywódcą. Nasze interesy nadal szły całkiem nieźle, lecz mimo wyższych cen Gradella niektórzy klienci wrócili do „Podwójnej Podwiązki”, a wraz z nimi kilka naszych najgorszych dziwek. Nie znaczy to, że zostaliśmy wy- siudani z interesu, lecz tylko to, że nie kwitł on tak jak po przednio.

Jedynymi ludźmi, którzy zdawali się tym nie przejmować, byli Runt i Mary Lou. Nawet ogłosili swe zaręczyny. Im mniej mieliśmy pieniędzy do liczenia, tym więcej ona miała czasu, żeby się kręcić dokoła niego. To właśnie pokazuje, ile człowiek może zyskać na własnej szczodroblewości.

Później zaczęły się dziać inne rzeczy: na przykład ktoś włamał się do budynku sądu i ukraść nam dokumenty, które ja ukrałem eks-burmistrzowi. Na froncie naszego saloonu ktoś napisał WYCHODEK BOBBY JACKA literami wysokimi na cztery stopy. Później, pewnej nocy, na ścianie „Domu Czystej Rozkoszy” ktoś

napisał: CZY TO DOM DLA KOTÓW*, CZY MOŻE DLA PSÓW? Mówię wam, to zaczynało się robić poniżające dla faceta na moim stanowisku. Cały czas się rozglądałem, komu by tu przyłożyć, lecz nie znajdowałem żadnego celu, oprócz powietrza.

Później nadszedł kolejny zły przełom — zrobiło się zimno i zaczął padać śnieg. Na równinach już wkrótce się stopił, ale w górach i u ich stóp, siedział niczym rzepy na kocu pod siodłem. Z powodu tego całego śniegu coraz trudniej było kraść krowy. Stary Gravy zatrudnił kilku paskudnych kowbojów, którzy pewnego dnia omal nas nie zagonili na śmierć w tym cholernym śniegu. Gdybym nie zastrzelił ich przywódcy na wąskiej górskiej ścieżce, pewnie by nas dopadli. Musieliśmy jednak chodzić na kradzież, bo już obiecaliśmy to mięso górnikom na zimę.

Siedziałem w biurze, przysłuchiwałem się wyciu i zawodzeniu wiatru nad pokrytymi śniegiem górami i grzałem tyłek przy palenisku. Melee sortowała dokumenty i od czasu do czasu przeciągała dłonią po piersi, jakby usiłowała zetrzeć plamkę z dżemu truskawkowego. Wiedziałem, o co jej chodzi. Usiłowała przyciągnąć moją uwagę. Udało się jej. Mój niższy umysł wpadł w jeden z tych sztormów, z których zaczynał stawać się sławny.

— Melee, kochanie — odezwałem się — chodź no tutaj.

Wstała z uśmiechem i podeszła do mnie takim ruchem, żeby mi pokazać, jak rasową jest kobietą. Postawiłem ją między sobą a kominkiem i zacząłem wyglądać jej ubranie. Wkrótce materiał zrobił się strasznie gorący i Melee zaczęła się wić.

Kiedy już bawiliśmy się tak dostatecznie długo, żeby zabrakło jej oddechu i żeby zaczęła się kręcić niczym klacz w rui, powiedziałem jej:

— Kochanie, wiem, że wiesz coś o Gradellu, czego mi nie mówisz.

Ale cóż, widziałem, że ta taktyka nie działa jak należy, więc popchnąłem ją na podłogę i pojeździłem sobie na niej. Niech mnie

piorun, jeśli nie powiedziała mi wszystkiego, kiedy leżałem wyczerpany obok niej.

— Kiedyś się z nim przespałam.

Wydałem zwycięski okrzyk i zacząłem wciągać spodnie.

— Powiedz! Opowiedz mi wszystko!

— Cóż, było kompletnie ciemno i ani razu nie zobaczyłam jego twarzy.

Usiłowałem ukryć zawód. Melee, która w gruncie rzeczy ma dobre serce i jest we mnie śmiertelnie zakochana, zobaczyła to i próbowała mi pomóc.

Miał ogromne brzuszysko i był marnym kochankiem — powiedziała, jakby mnie obchodziły takie bzdury.

— Chodzi mi o to... czy może miał jakieś znaki szczególne na ciele?

- Nie — odrzekła smutno, a zaraz potem się rozpromieniła. — Ale chrapał niczym świnią.

Po wszystkim, co zrobiłem dla tej dziewczyny, tylko tyle mogłem z niej wyciągnąć!

Melee skrzywiła usta w podkówkę.

— Już mnie nie kochasz.

Pewnie, że kocham, tylko że cały czas myślę o tym gównie, które mamy z Gradellem. Gdybym tylko mógł złapać go za gardło... — I schwyciłem puste powietrze, czując się jak kompletny idiota, co nie zdarza mi się często. — Cóż, nie ma sensu siedzieć tu i tak gadać po próżnicy. Musimy zdobyć mięso dla górników. Zima nie potrwa wiecznie i wkrótce złodziejstwo znowu stanie się łatwe. Nie możemy teraz zaprzestać.

Wyciągnąłem Runta z łóżka Mary Lou, za co nazwała mnie „paskudnym starcem”. Pomyślałem, że przed ich weselem jeszcze jej pokażę, jaki naprawdę jest ze mnie stary drań. Widziałem, że jest wściekła, bo musi wyjść za mąż za Runta, a nie za mnie. Do diabła, nigdy nie sposób przewidzieć, co zrobi odtrącona kobieta. Runt też usiłował się stawiać.

— Nie możemy poczekać dzień lub dwa, póki wiatr nie ucichnie?

— Ten wiatr wieje aż z bieguna północnego i nigdy nie ucichnie!

— Jeżeli pojedziemy teraz w góry, nie zobaczymy nawet krowich śladów, nie wspominając już o samych krowach!

Oto Runt sprzeciwiał się rozkazom i to przed jednym z moich pracowników. Tak nie można! Na rany koguta, musiałem przywołać tego młodzieńca do porządku. Zacytowałem mu fragment z Biblii, jak robiła to moja ciotka wieki temu.

— „Bóg daje i Bóg odbiera!” A teraz biegnij do „Domu Czystej Rozkoszy” i weź tygodniową wypłatę od Dorothy. Potem wyruszamy w góry.

Nie zachowywał się tak, jakby strasznie chciał jechać. Wrzasnąłem więc za nim:

— Tylko mi nie figluj z Dorothy!

A ta Mary Lou na wpół leżała sobie na poduszkach, kołdra zaś jakimś cudem ześlizgnęła się jej z jednego sterczącego cycuszka. Jednocześnie wyciągnęła nogę spod nakrycia, spojrzała na mnie i spytała:

Ht No i co dalej, kowboju?

A ja tak jakoś pochyliłem się, że jedna z moich dłoni przypadkiem wsunęła się pod kołdrę najej drugą nogę. Nie chciałem, żeby tak się stało, lecz kiedy moja ręka wędrowała pod tymi miękkimi, puchowymi rejonami, całkiem straciłem panowanie nad sobą, i sam nie wiem kiedy, Mary Lou zamknęła oczy, osunęła się na łóżku i naciągnęła na mnie kołdrę, zanim jeszcze pozbyłem się reszty ubrań. Mówię wam, to było najcieplejsze miejsce, w jakim się znalazłem.

Wiatr wył na zewnątrz, my zaś wyliśmy w środku. W rzeczy samej, śpiewaliśmy na głos starą, pradawną pieśń. Człowiek powinien wiedzieć, co ma, zanim zacznie to oddawać. Cóż, byłem zadowolony, że odzyskałem co moje, przynajmniej na krótką chwilę. W ten sposób znacznie bardziej będę podziwiał i szanował własną hojność.

Wstałem, zamknąłem drzwi i wsunąłem się z powrotem do łóżka. Mary Lou zabawiała się właśnie z moim karkiem, kiedy

usłyszałem ogromny łoskot z baru na dole. Wiedziałem, że coś jest naprawdę nie w porządku. Wskoczyłem już w większość ubrań, kiedy Runt zaczął dobijać się do drzwi. A następnie usłyszałem okropne słowa:

pg „Dom Rozkoszy” się pali!

Otworzyłem drzwi na oścież, przebiegłem obok Runta, poleciałem do stajni, wskoczyłem na konia i pognąłem na miejsce zdarzenia. Dziewczęta stały na lodowatym wietrze, a biedna Dorothy usiłowała zebrać w zziębnięte ręce śnieg, żeby rzucić nim w szalejące płomienie. Nie miało to większego sensu. Większość studni w mieście była zamrznięta, podobnie jak pompy w „Domu Rozkoszy”. Był to naprawdę czas wprost stworzony dla spalenia burdelu.

Dorothy cały czas płakała i drapała śnieg w beznadziejnej próbie gaszenia ognia. Wreszcie odciągnąłem ją stamtąd i usiłowałem pocieszyć najlepiej, jak umiałem. W zawiei zgromadził się mały tłumek. Powiedziałem Runtowi i szeryfowi Digby'emu, żeby zaprowadzili resztę dziewcząt do „Miauknięcia Kota”, aby nie zamrzły. Przez moment wydawało mi się, że Digby ma uśmiech na tej swojej parszywej gębie — lecz może była tylko skrzywiona z zimna.

Dom spalił się tak, że nie zostało z niego nic oprócz dymu, i popiołów. Wszyscy wrócili do siebie, a na miejscu zostaliśmy tylko ja i Dorothy. Cały czas tuliłem ją do siebie. Przeszliśmy na tyły góry popiołów i zgodnie z moimi przewidywaniami zobaczyliśmy na śniegu ślady dwóch koni. Najpierw podjechały do domu, a potem odjechały. Wiatr już niemal doszczętnie je zasypał.

— Nie ma sensu jechać tym śladem — odezwałem się do Dorothy. — Na tym wietrze zniknie w ciągu kilku minut. Co za podstępny drań podkłada ogień pod burdelem, kiedy w całym mieście nie ma wody? To nie fair... to zagrywka poniżej pasa.

— To na pewno Gradell — odrzekła. — I nie wątpię, że mój były małżonek pomógł mu to zaplanować.

— Więc mamy wojnę |S powiedziałem na wiatr. — Więc wojna została oficjalnie wypowiedziana!

— Jakie będzie twoje pierwsze posunięcie?—spytała Dorothy.

Kopnąłem zaspę, naciągnąłem kapelusz na uszy, po czym obróciłem się ogonem do wiatru, żeby mi się lepiej myślało. Dorothy zrozumiała, że moje milczenie oznacza wspaniały proces rozmyślenia, i rozsądnie nie zadawała mi więcej pytań. Poszedłem z nią w górę ulicy, prowadząc konia i tuląc ją do siebie, żeby ją osłonić przed wiatrem. Cały czas drżała w otaczającej nas bieli.

Moje ogromne imperium dostało solidne cięgi, lecz teraz się wściekłem, a kiedy przeciwnik rozwścieczy generała...

Założyłem, że Runt pojechał do Bootlesa Bodkinsa, żeby zebrać resztę naszej armii. Problem polegał na tym, że wszyscy byli pijani do nieprzytomności, z wyjątkiem Boodesa, który już tak długo znajdował się w tym stanie, że wyglądał na trzeźwego.

— Ci moi dwaj kuzyni stracili przytomność, bo przepracowali sześć zmian na straży — wyjaśnił BooUes. — Nic im nie będzie, kiedy tylko się nieco napiją.—Wszyscy skosztowaliśmy Produktu Bootlesa, a on kontynuował: — Zostaliśmy najechani, a nasze destylatory ostrzelane; i to aż dwa razy w zeszłym tygodniu. Dlatego Matt i Elmer musieli trzymać dodatkową straż. Oczywiście w taką pogodę najazdy nie niosą z sobą żadnego poważniejszego niebezpieczeństwa.

Wierciłem się na ławce, usiłując ominąć kilka luźnych desek. £»- Bootles, robisz najlepszą whisky na świecie, jeśli weźmie się pod uwagę czas, jaki ci to zajmuje.

— To prawda — dodał Runt, racząc się kolejną szklaneczką. — Jest strasznie ostra, lecz przez to lepiej się ją docenia.

Bootles zwiesił głowę, wyszczerzył zęby w uśmiechu i mruknął:

— Ach, kop to jeszcze nie wszystko.

Później wyjawilem mu złe nowiny.

— Niedawno Gradell spalił nasz najlepszy burdel.

— Nie!

— Tak! — odrzekł Runt.

— Rozumiesz chyba, że to nie tylko pozbawi nas połowy przychodów, ale też i połowy dziewcząt, bo nie będziemy mieć dla nich miejsca.

— Do diabła! mruknął Bootles i złapał dzban. Wypił co najmniej sześć ogromnych łyków, po czym wstał i odsalutował generałowi. Ale jedna z obluzowanych desek w tej cholerniej ławeczce przesunęła się i złapała moje jaja. Nie podniosłem się nawet o trzy cale, kiedy opadłem z powrotem, wrzeszcząc w okropnym bólu.

Runt oszalał i usiłował mnie wyswobodzić, co tylko pogorszyło sprawę. Bootles, jak zawsze chętny do pomocy, podskoczył do stołu i schwycił nóż o długim ostrzu.

— Nie martw się, Bobby Jacku! W mgnieniu oka cię uwolnię!

Nie miałem wyboru. Siedząc, schwyciłem dzban i rąbnąłem nim Bootlesa między oczy. Rozległo się głucho łupnięcie i padł jak zabity. Później, w ogromnych boleściach poinstruowałem mojego pomocnika numer jeden, aby wyrzucił nóż jak najdalej w zadymkę. Kiedy on się tym zajmował, ostrożnie uchwyciłem deskę i z olbrzymią odwagą przesunąłem ją tak, abym wreszcie mógł stanąć. Kiedy Bootles doszedł do siebie, usiadł na podłodze i pomacał się po głowie.

— Powinieneś zrobić coś z tą śliską podłogą powiedziałem mu. — Jeśli będziesz tak cały czas padał i walił się w łeb, to, do diabła, człowieku, niedługo się zabijesz!

Przyjrzał się uważnie podłodze, obszedł ostrożnie stół i opadł na krzesło.

Wszyscy się napiliśmy, a potem ja zabrałem głos:

Zaatakowali nas w zimie. Stary Nap gorąco to odradzał, a jeśli ktokolwiek może coś o tym wiedzieć, to na pewno właśnie, on. Gradell popełnił tragiczny błąd. Teraz my przeprowadzimy kontratak.

Gdyby nie byli pijani, wątpię, czy posłuchaliby rozkazu. Jednak obaj byli pijani. Oczywiście, ja mam mocną głowę i trzymałem się znacznie lepiej niż oni.

W końcu udało się nam sprząc konie i wóz do kupy; wsiedliśmy i ruszyli w zawieruchę. Nie minęło wiele czasu, a już byliśmy odretwiali z zimna. Właściwie byłem niemal zadowolony, że nic nie czuję. Moje jaja i tak dostały niezłe lanie.

— Dlaczego uważasz, że nasze jechanie przed siebie i zamarzanie coś zaszkodzi Gradellowi? — spytał Runt.

Pociągnąłem nosem, zamrugałem, podrapałem się po dupie i odpowiedziałem:

— Poczekaj, a zobaczysz.

Przejechaliśmy jeszcze jakieś sto jardów w pogłębiających się zaspach, kiedy Runt nagle wypalił:

— Już wiem! Doszedłeś do wniosku, że pęknie ze śmiechu!

Ułamałem gałąź z uschniętego drzewa i właśnie zamierzałem się nią, żeby strzelić starego Runta przez łeb, kiedy mój koń się potknął i musiałem wypuścić gałąź, żeby go podtrzymać. To ocaliło Runtowi życie.

Jechaliśmy przez dobre pół dnia i ani razu nie natknęliśmy się na krowie ślady. Burza śnieżna przybierała na sile. Podjechałem do wozu, na którym siedział skulony Boodes, i spytałem:

— Jak ci leci? — Jak zawsze okazując zainteresowanie moimi oddziałami, jak przystało na wielkiego przywódcę.

Bootles oddał kilka sopli z brwi, przez minutę poruszał szczęką, aż wreszcie się odezwał:

— Skoro już zapytałeś, równie dobrze mogę ci powiedzieć prawdę. — Gapiłem się na niego i zastanawiałem, czy nie złapał czegoś, może ospy; a potem Boodes dodał spokojnie: — Jest mi zimno, jestem zmęczony, przemoczony i głodny. Fujara stoi mi jak słup i chce mi się srać.

To przepełniło miarkę. Wiedziałem, że tego dnia nic już nie zdziałamy. Więc poprowadziłem ich z powrotem na równiny, z dala od wzgórz, w kierunku chaty Pedro Martineza. Mogliśmy się tam zatrzymać na kawę, odtając i ruszyć do domu. Pedro był starym kawalerem, który trzymał przy domu kilka owiec i kóz na mleko oraz mięso, a każdego lata gotował kilks kotłów wiśniowego wina na własny użytek. Kiedy pracowałem jeszcze dla Gravy'ego, nie raz zatrzymywałem się w odwiedzinach u Pedra. Oczywiście bez specjalnego powodu, tylko z czystej przyjaźni. Dziś miałem nadzieję, że może da nam się napić po łyku, bądź dwa, tego swojego wina. Działanie Produktu Boodesa szybko się kończyło.

Podjechaliśmy do chaty Pedra i po tym, jak zaspy rosły u drzwi, domyśliłem się, że nikt nie wychodził z niej przez ostami dzień lub nawet dwa. Owce i kozy miały się dobrze, bo drzwi do stodoły były szeroko otwarte i miały dostęp do pożywienia. Z komina nie wydostawał się dym, lecz mimo to powiedziałem:

— Wejździemy i napalimy w piecu. Takie są prawa tej ziemi.

Musiałem wyjąć z obory widły, żeby przekopać zaspy i otworzyć drzwi. W środku było zimniej niż na zewnątrz. Przy jedynym stole w pokoju siedział stary Pedro, odwrócony do nas plecami. Obok niego stał galonowy dzban. Był pijany w trupa.

— Pedro, ty stary ochlapusie! — wrzasnąłem z sympatią i trzasnąłem go w plecy. Niezłe się zdumiałem. Ten przyjacielski gest omal nie złamał mi ręki. Stary Pedro był zamrożony na kość. Ponieważ byłem burmistrzem i w ogóle, przejąłem dowodzenie nad dochodzeniem. W mgnieniu oka domyśliłem się, co się stało, lecz ten niewychowany Runt wtrącił się i zacytował mnie, zanim zdążyłem powiedzieć choć słowo.

— Najwyraźniej spił się i zasnął przy stole. Ogień zgasł, a on najzwyczajniej w świecie zamarzał, zanim zdążył się obudzić

— Po jego uśmiechu widać, że umarł, marząc o kolejnym kielichu — rzekłem, zanim Runt zdążył mi i to ukraść.

— Naprawdę wygląda na szczęśliwego — dodał Bootles.

Podniosłem dzban, żeby udowodnić prawdziwość mego twierdzenia. No i był na wpół pusty.

— Wypił ze dwie kwarty — mruknąłem. — To wystarczy, żeby stracić przytomność. Muszę się upewnić, czy wino nie było zatrute — dodałem, podniosłem dzban i pociągnąłem spory łyk. — Nie, to ten sam cudowny, słodko-gorzki produkt, co zawsze.

Bootles też się napił i powiedział:

— Facet był cholernym głupcem, że tego nie sprzedawał. — Od zawodowca do zawodowca — niezły komplement.

Runt też się doczepił do dzbana.

— Taak, gdyby to sprzedawał, może żyłby jeszcze.

Rozejrzałem się po chacie i znalazłem kolejny dzban. To

zachęciło mnie do myślenia, lecz Runt znowu powiedział dokładnie to, co ja pomyślałem:

— Nie możemy rozpaść tu ognia. Jeszcze Pedro się roztopi i rozplynie po całej chacie.

— Oczywiście, że nie—warknąłem.—Trzeba zabrać go do miasteczka na przyzwoity pogrzeb.

Bootles i Runt pokiwali głowami. Napiliśmy się jeszcze trochę, po czym podnieśliśmy biednego, starego Pedra i delikatnie ułożyliśmy na wozie. Bootles powiedział, żeby kłaść go ostrożnie, bo inaczej potłucze się na całe mnóstwo soplek.

Kiedy tak jechaliśmy, zrozumiałem, że dzień nie minął nam najlepiej. Najlepszy burdel na zachodzie został spalony na popiół; straciliśmy połowę dochodów i połowę dziewczyn. Nie udało nam się ukraść bydła, co przysporzy nam kłopotów z głodnymi górnikiemami. Stary przyjaciel zamarł na śmierć, a ja omal nie zostałem wykastrowany. Pociągnąłem wielki łyk z dzbana, usiłując wprawić się w lepszy nastrój. Podałem napój reszcie wojsk, co chętnie przyjęli. Wypiliśmy za Pedra Martineza.

Bootles obdarzył go największym komplementem:

— Do diabła, stary Pedro robił wino prawie tak dobre jak moja whisky.

Wszyscy się z tym zgodziliśmy.

Kiedy dojechaliśmy do miasteczka, było już ciemno i wino się skończyło.

— Ach, Bobby Jacku—odezwał się Runt—Co to mówisz, że zrobisz Gradellowi? Tak mi zimno, że nie mogę sobie przypomnieć.

Spoglądałem w ciemności tak długo, że aż oczy zaczęły mi łzawić. Trzasnąłem się po skórzanych czapsach, wymacałem kolbę rewolweru i mruknąłem:

— Za mną, panowie.

Pojechaliśmy do fortu Gradella, saloonu, jPodwójna Podwiązka". Odważnie zsiadłem z konia, a moi ludzie poszli za moim przykładem. Przywiązaliśmy do koniowiązu nasze wierzchowce i konie od wozu, po czym weszliśmy do środka. Widziałem, że

Runt zaczyna coś łąpać; zrozumiał wreszcie, że jego przywódca ma tu coś do załatwienia. Podeszedłem prosto do baru i kazałem wszystkim postawić drinka. Nie było to zbyt wielkie zamówienie, zwłaszcza że większość dziewcząt, które nas opuściły, znajdowała się w łóżku z powodu wyczerpania. Dwie z wcześniejszych dezerteiek kręciły się po pokoju, wraz z paroma miejscowymi pijaczkami, którym było wszystko jedno, gdzie kupują drinki. Kiedy dziewczyny podeszły do mnie z uśmiechami na twarzach, powiedziałem im:

Kupię wam drinki, lecz moje ciało nigdy nie dotknie waszych! Cholerne zdrajczynie!

Al, barman, był tak chudy, jakby za młodu został zgnieciony między dwoma głazami. Nawet oczy miał osadzone tak blisko siebie, że zdawało się, iż nie ma między nimi nosa. Widziałem, że to wredny kawał sukinsyna, i nalegałem, żeby napił się z butelki, zanim nam naleje.

— Myślisz, że jest zatrute? — warknął.

—Nie, po prostu chcę być przyjacielski. Napij się, zanim zrobi się tu za duży ruch.

Cóż, wszystko zaczęło wyglądać nieco lepiej. Nawet dziewczyny trzeciej klasy zrobiły się ładne. Runt tańczył po sali z wysoką, chudą dziwką, a Bootles wybrał sobie pulchniutką. Ja zaś cały czas kupowałem drinki i miałem nadzieję, że Gradellowi przydarzy się coś złego. Jak na razie, nic się nie działo. Chłopcy zaczęli tracić panowanie nad sobą. Wrzeszczeli, tańczyli coraz szybciej, pili coraz więcej i mizdrzyli się do dziewczyn niczym uczniaki. Spoglądałem na nich po ojcowsku, cały czas opanowany i zamyślony.

Wreszcie powiedziałem barmanowi:

—Następnym razem, kiedy twój szef się odezwie, powiedz mu, że wysuwam publiczne zaproszenie, aby spotkał się ze mną na ulicy, kiedy nastąpi pierwsza odwilż tej zimy.

Barman tylko gapił się na mnie, i gdybym nie był ważną figurą, z pewnością wykopałby nas na ulicę.

Nagle Runt podeszedł do mnie i odezwał się:

—Ja i Bootles sporo gadaliśmy i kompletnie się z tobą zgadzamy.

— Taak? — spytałem, zbierając coś z blatu baru.

— Tak, uważamy, że stary Pedro nie powinien tak siedzieć sam na mrozie. To może być ostatnia impreza w jego życiu.

— Jaka znowu impreza? — zapytałem.

A mała pierdoła odpowiedziała mi prosto z mostu:

— Ależ ta impreza. Ta, którą mamy tu z okazji tego, jak dowalasz Gradellowi.

Wydąłem z siebie nic nie mówiący odgłos, potrząsnąłem głową raz na boki, a raz z góry na dół. Bootles i Runt trzepnęli mnie po plecach i wybiegli na dwór. Później wrócili do saloonu, niosąc Pedra i usadzili go między nami.

— Nie podajemy drinków nikomu, kto już stracił przytomność — powiedział barman.

— Nie martw się — odrzekłem. — Ja za niego odpowiadam. — Trudno odmówić burmistrzowi, zwłaszcza jeśli trzyma broń i wszyscy wiedzą, że ręce i umysł ma szybkie niczym grzechot- nik. Bardzo szybko drinki stanęły przed nami.

Wypiliśmy jeszcze trzy kolejki i zauważyłem, że barman zaczyna się martwić, iż Pedro nie tyka swojej whisky.

Pijcie, co wam podałem — warknął.

— Pr! — odrzekłem. — Pr! Stój! On po prostu wziął sobie do serca twoją radę i stara się nieco wytrzeźwieć.

— Poza tym jest głuchy i niemy — dodał Runt. Siadł obok Pedra i zaczął coś nadawać w języku migowym. Później odwrócił się do barmana. — Kazał ci powiedzieć, że bardzo jest wdzięczny za drinki i uprzejmość, i już za minutkę wszystko wypije.

Barman uśmiechnął się odrobinę, słysząc tę miłą gadkę; widziałem, że ten głupi sukinsyn nawet nie zauważył, że Pedro nie uczynił żadnych znaków w odpowiedzi. Potem Runt podbiegł do stolika, wskoczył na blat, spadł i zaczął się drzeć, żeby ściągnąć na siebie uwagę barmana i abym ja mógł opróżnić drinki Pedra. Wypiłem tę whisky tak szybko, że wcale już nie czułem pragnienia.

Jedna z prostytutek upiła się, podsunęła bliżej i pomacała Pedra po kroczu. Oczy się jej otworzyły szeroko, a z ust wydobyło się tylko: — Jej! jej!

Słyszałem, jak opowiada potem koleżankom, jaki to fajny facet siedzi obok, szkoda tylko, że głuchy, niemy i zamarznęty na kość.

Runt obserwował to wszystko i chyba pochwycił moje spojrzenie, bo wraz z Bootlesem schwycili Pedra i usadzili w kącie na krześle. Później zabrali z sobą kobiety i siedli znowu przy barze.

Cóż, wszyscy ponownie się napiliśmy, aż tu nagle barman podszedł do ogromnego, brzuchatego pieca i zaczął przy nim majstrować. Wtedy właśnie zaowocowały nasze doskonale przemyślane plany. Stary Pedro siedział ciut za blisko ognia. Jego ubrania troszkę się roztopiły i nieco wody zaczęło mu ściekać pomiędzy nogami i na podłogę. Obserwowałem barmana w lustrze. Zobaczyłem, jak się wyprostowuje i wciąga powietrze nosem. Zatrzasnął drzwi piecyka tak mocno, że omal nie rozwalił komina, po czym wydał z siebie ogłuszający, przeraźliwy ryk:

— Wstawaj stamtąd, ty głuchy draniu! Wynocha! Wstawaj, mówię! — Spojrzał w dół i cofnął się nieco, gdyż woda przesuwiała się coraz dalej po podłodze i teraz sięgała już jego stóp. Wtedy dopiero się rozwścieczył. — Mówię ci po raz ostatni, wynoś się stąd! Wynocha! WYNOCHA! WYNOCHA! WYNOCHA! — Ponownie popatrzył na podłogę i wrzasnął: — Szczasz na moją podłogę, co?! — A kiedy podniósł wzrok i napotkał zamarznęty uśmiezek Pedra, zamachnął się okrutnie i trzasnął go z całej siły pogrzebaczem.

Biedny Pedro odtajał tylko na powierzchni i gdy pogrzebacz uderzył go w szyję, zamarznęta głowa odpadła i potoczyła się po podłodze, aż do ściany.

Nie pamiętam, kiedy wydałem Runtowi te rozkazy, ale musiałem go poinstruować, bo sam idiota by na to nie wpadł. Zebrał wszystkich — wraz z Bootlesem, dziwkami i pijaczkami — i wezwał ich na świadków okrutnej zbrodni, po czym wrzasnął:

— Więc to taki okrutny, morderczy lokal prowadzi Gradell, co?! On jest odpowiedzialny za tę śmierć w równym stopniu co barman! Wszyscy jesteście tu świadkami!

— Taak! — odparli jednogłośnie wrzaskiem wszyscy zgro

madzeni, a potem ja przejąłem dowodzenie w zwykły dla siebie, efektywny sposób:

— Wynieście stąd ciała... to znaczy, kawałki!

Runt wsadził głowę Pedra z powrotem na ramiona korpusu, po czym z ogromną godnością wynieśli ciało na wóz. Kiedy wrócili, a barman nadal nie chciał się ruszyć ze swego miejsca na podłodze, Runt nalał wszystkim drinki i rzekł:

— Cóż, szefie, cały dzień powtarzałeś, że odpłacisz Gradellowi pięknym za nadobne, i udało ci się jak cholera.

— Wszystkie te drinki są na koszt firmy — odparłem. — Przynajmniej tyle może dla nas zrobić ten podstępny drań Gradell.

Wszyscy się ze mną zgodzili.

To był wesoły pogrzeb. Jestem pewien, że sam Pedro też gdzieś tam się nieźle uśmieł i był zadowolony, że tak się przysłużył staremu przyjacielowi. Mieliśmy muzykę i tancerki, a księdza upiliśmy tak, że zamiast powiedzieć „proch do prochu”, wymamrotał „dupa do lodu”. Kiedy tylko ziemia nieco odtaje, trzeba będzie pochować Pedra głębiej.

Mimo to pogrzeb był fajny.

Rozeszła się plotka, że w budzie Gradella bije się pogrzebaczami po głowach biednych, głuchych i niemych pasterzy, więc na resztę zimy wyprzedzaliśmy go w sprzedaży o milę. Czulem się dumny z tego, że tak szybko i efektywnie udało mi się wrócić na arenę i to zaraz po pożarze w „Domu Rozkoszy”. Oto znamię prawdziwego mistrza, nie ma dwóch zdań.

Rozdział piętnasty

Stare kochane słońeczko zaczęło na powrót ogrzewać świat. Śnieg przesunął się bliżej górskich szczytów, a cholerne robale znowu wypełzły i z bzykaniem zaczęły się do siebie mizdrzyć. Ptaszki świergotały, śpiewały i łapały robale. Do diabła, nastała wiosna. Jakie to miłe.

Z powrotem kontrolowałem Our Town. Nadszedł czas, żeby „umocnić swą pozycję”, jak powiedziała by stara Nap. Obiecałem Dorothy, że kiedy tylko ziemia rozmarznie, zaczniemy odbudowywać „Dom Czystej Rozkoszy”. Tego ranka kazałem kilku facetom, aby zaczęli kopać dziurę na fundamenty. Postanowiłem, że zanim pójde zwołać te wszystkie oficjalne spotkania, zajrzę do Dorothy i powiem jej o tym, żeby ją rozweselić.

Prawie wszystkie dziewczęta siedziały w saloniku, gdzie klienci mogli im się przyjrzeć i dokonać wyboru.

— Mam dobre wieści, Dorothy — powiedziałem na powitanie. — Dziś rano robotnicy zaczęli odbudowywać twój dom. — Plasnęłam ją w ten rozłożysty tyłeczek, co omal jej nie przewróciło. Odkąd została zmuszona do mieszkania w „Miauknięciu Kota”, z jakiegoś powodu zaczęła nosić włosy upięte na czubku głowy.

Obróciła się, zerknęła na Melee, po czym odrzekła:

— To bardzo miło. Niedługo będę mogła wrócić do mojego przybytku pierwszej klasy.

Melee prychnęła i wróciła do swojego szycia.

Odwiędziłem pozostałe dziewczęta i spytałem blondynkę Shirley, czy opryszczka już jej zesła.

— Taak, oddałam ją górnikowi Shagnasty'emu — odrzekła, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Poklepałem rudowłosą Rose po szyi i spytałem, czy Pół Burzy, kowboj indiańskiego pochodzenia, który pracował dla Gra- vy'ego Kinga, nadal nuci pieśń wojenną, kiedy to robi.

— Nie, odkąd zeskokczył, aby zatańczyć i miał swój wielki moment na podłodze.

— A co robi teraz?

— Wpycha sobie chusteczkę do ust i kocha się od tylnej strony.

- To tylko udowadnia, że ci Indianie nikomu nie ufają. Nawet sobie. — Odwróciłem się do Melee i spytałem: — Co robisz?

— Nowe zasłony do mojego pokoju—odparła jakoś dziwnie ostro.

— Taak, śliczny materiał — powiedziałem, usiłując sprawić jej przyjemność.

— Cóż, niektórzy... niektórzy ludzie... uważają, że to dzięki ozdobom miejsce nabiera klasy, kiedy to, co jest pod spodem, tak naprawdę się liczy—rzekła Melee dość głośno i z jakiegoś powodu Dorothy wypadła z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami. Na rany koguta, działo się tu coś, o czym najwyraźniej nie wiedziałem.

— Spokojnie, dziewczęta — rzekłem i wyprostowałem się dumnie pośrodku całej grupy pań.—
Posłuchajcie mnie uważnie. Jeśli kiedykolwiek zjawi się tu facet z ogromnym brzuchem, który zasypia i potwornie chrapie, jak tylko skończy, który nie pozwala włączać żadnych świateł... — urwałem i zastanawiałem się minutkę. — ...I który ma małego wielkości orzeszka i nie ma pojęcia, jak to robić, chcę, żebyście jak najszybciej mnie o tym poinformowały. Słyszycie?

— Gdybyśmy brały opłaty od długości, dawno zdechłybyśmy z głodu! — powiedziała Shirley i wszystkie zaczęły się śmiać. To najlepsze uczucie, jakie można mieć na świecie.

Właśnie tak lubię prowadzić moje burdele — z dobrym humorem. Stary Nap zawsze powtarzał, że aby mieć dobrych wojowników, trzeba dbać o pełny żołądek i dobry humor żołnierzy. Żałowałem, że Dorothy nie została na tyle długo, aby to zobaczyć. Może dobrze by jej to zrobiło.

Powiedziałem Melee, że nie musi iść dziś ze mną do biura. Sam już ustawiłem sobie spotkania.

— Dobrze — odparła. — Może uda mi się doprowadzić mój pokój do ładu. — Ostatnie słowo wypowiedziała tak, jakby wypluwała zepsutego grzyba.

Mary Lou wyszła za mną i powiedziała cichutko:

— Bobby Jacku?

— Słucham, kochanie, co mogę dla ciebie uczynić?

Zwiesiła głowę i dziwnie na mnie spojrziała, po czym rzekła:

— Ja... miałam nadzieję, że przyjdiesz do mnie do pokoju, na małą chwilę.—Potarła obiema nogami o moją nogę, jak robiła z pniem drzewa tego dnia, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy.

Gdzie jest Runt? — spytałem. |" — Kradnie bydło. Chce zrobić jak najwięcej przed naszym weselem.

— A, taak — mruknąłem. — Dobry chłopiec z niego. Ma łeb na karku.

— Wiem, że jesteś bardzo zajęty — przesunęła się dokoła mnie tak, że staliśmy już twarzą w twarz, brzuchem w brzuch i...

— Potrzebuję doświadczenia — wydyszała. — Chcę być dla Runta jak najlepszą kobietą, chcę mu stworzyć dom i pomagać w interesach najlepiej, jak potrafię.—Odsunęła się ode mnie i na moment przybrała bardzo zamyśloną minę. — Małżeństwo to poważna rzecz.

Na rany koguta, tu mnie miała. Tego rodzaju miłości i przyzwyczajeniu nie sposób się oprzeć. Poszedłem za nią do pokoju i pomogłem nieco w przygotowaniach do małżeństwa. Boże wszechmogący, ależ ja muszę się poświęcać dla tego małego, głupiego Runta Jacksona!

Trochę się spóźniłem na posiedzenie rady miejskiej, lecz wyjaśniłem:

— Coś mnie zatrzymało.

Wszyscy siedzieli w kręgu i trzymali dłonie założone na brzuchach; od czasu do czasu pokasływali. Zapytałem, czy mają jakieś sugestie dotyczące mojego ulepszenia Our Town, na co kilku odkaszlnęło, a z paru wydobyłem nawet:

—Cóż... ugh...

—Niech ja się zastanowię...

—Dobrze — powiedziałem. — Bardzo dobrze. Dziękuję panom za pomoc i współpracę. Spotkanie uważam za zamknięte.

—Uderzyłem pięścią w blat biurka, bo gdzieś zgubiłem młotek.

Następny był Asa Digby, szeryf. Nie było sposobu, aby mógł założyć ręce na ogromnym brzuchu, lecz dawał radę zatknąć kciuki za pas od rewolweru.

—Asa, zaskoczyłeś mnie. Wykonałeś kawał dobrej roboty.

Skrecił się tak jakby i mruknął:

— Oj, przecież ja nic nie zrobiłem.

— Właśnie o to mi chodzi. Przecież wypatrujesz Gradella, nie?

— O, tak, panie burmistrzu, cały czas. Dzień i noc.

— Doskonale, doskonale — powiedziałem. — To najlepszy czas, żeby go wyglądać. A teraz mam dla ciebie bardzo ważną misję. — Pochylił się nad brzuchem tak, że aż stracił oddech. — Wiesz, że wyczyściłem to miasteczko, odmalowałem budynki, zasadziłem drzewa, nawodniłem ulice tak, abyśmy nie musieli niszczyć sobie płuc, wdychając kurz?

— Taak, tak, oczywiście.

— Musimy troszczyć się o zdrowie naszych obywateli, nieprawdaż?

— Oczywiście, całkowicie się z panem zgadzam.

— To świetnie. — Pochyliłem się nad nim i wycelowałem w niego z palca niczym z broni. — Szeryfie, musicie powstrzymać tych cholernych pijaczków od sikania na głównej ulicy. — Zwiesił głowę i usiłował przewrócić oczyma, lecz jego twarz była zbyt nalana, aby wywarło to jakiegokolwiek wrażenie. Jazaś ciągnąłem: — Siki przyciągają muchy, muchy roznoszą choroby, a choroby nie są dobre dla zdrowia mieszkańców. .

— Więc co mam zrobić? — spytał.

— Każ im chodzić w boczne uliczki, może nawet w alejki z tyłu za barami. W ten sposób utrzymamy Our Town w czystości i będziemy mogli być z niego dumni.

Wstał i poczłapał do drzwi, aby wykonać swój obowiązek. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, czy Digby ma dość oleju w głowie, aby być kontrolerem sikania, lecz musiałem dać mu coś do roboty, żeby usprawiedliwić wypłacanie mu pensji.

Przyszedł bankier Zilch. Był prawie tak gruby jak Digby, lecz na tym podobieństwa się kończyły. Jego brązowe oczka zawsze się ruszały i spoglądały — nawet do tyłu, w kierunku jego własnego mózgu. Od czasu do czasu widać było wyskakujące z tych oczu małe złote błyski, które świadczyły, o czym drań myśli bez ustanku.

Uprzejmie spytał o „Dom Czystej Rozkoszy”. Ponieważ jego zainteresowanie wydawało się dość szczere, zapewniłem go, że wszystko będzie gotowe na otwarcie, zanim jeszcze trawa będzie się nadawać do zbiorów tej jesieni. To dało naszemu spotkaniu niezły początek.

Pokazał mi arkusz zysków i strat, oraz to, na czym stoimy w chwili obecnej, czarno na białym. Chciał wiedzieć, czy chcę w coś zainwestować moje udziały, więc powiedziałem:

— Uhu, no pewnie, że tak. Chcę wykupić Gravy'ego Kinga.

Bankier podniósł obie swe miękkie, pulchne rączki i potarł się po policzkach. Widziałem, że głęboko myśli.

— To nie będzie takie proste — powiedział.

— Dlaczego? Słyszałem, że ostatnio ma ogromne straty bydła.

— To prawda. To prawda, ale ma naprawdę ogromne stado.

I zostało mu jeszcze mnóstwo krów.

Bardzo długą chwilę patrzyłem na Zilcha. Później wstałem i podszedłszy do brzuchatego pieca, też mu się przyjrzałem. Ponieważ było ciepło, nie zapaliłem w nim. Oto dowód logiczności mego myślenia. Później podszedłem do drzwi, otworzyłem je i zamknąłem, ale nie wyszedłem, ponieważ właśnie odbywałem spotkanie z miejskim bankierem. Zdjąłem kapelusz z wieszaka i poprawiłem wygięcie denka. W czasie wietrznej pogody trzeba mieć dobrze wywinięty kapelusz... mimo że siedzi się w biurze. Trzeba umieć myśleć i to myśleć przyszłościowo.

Później mnie oświeciło — jedna z tych przeraźliwie jasnych myśli, których większość ludzi nie doświadcza. Przypomniałem sobie, jak Runt przypomniawszy sobie coś, o czym wcześniej myślałem. Wstałem i wyprostowałem się. Wyprężyłem pierś tak bardzo, że nie mogłem dojrzeć klamry pasa u spodni. W rzeczy samej, nie widziałem nawet czubków butów.

— Zilch.

Przewrócił oczyma do środka głowy, mówiąc tym samym rozumowi, żeby mnie dobrze słuchał.

— Zilch, jeśli odetniesz dość desek nawet z najgrubszego drzewa, w końcu otrzymasz tylko drzazgę.

Oczy przestały mu się wywracać w górę, przewrócił nimi na dół i z wielkim podziwem w głosie rzekł:

— Nigdy o tym nie pomyślałem.

— Na tym właśnie polega różnica między nami dwoma. Widzisz chyba, że tak właśnie traktuję Gradella. Teraz nie jest już większy od polana na rozpałkę. — Kiedy to już zostało wyjaśnione, zająłem się innymi sprawami. — Domyślam się, że słyszałeś o potyczce między mną a Gradellem?

— Słyszałem plotki, oczywiście.

— Teraz usłyszysz fakty. Pierwszego maja, równo w południe zamierzam przejść się główną ulicą Our Town i załatwić sprawę z Gradellem raz na zawsze. Jeśli nie zjawi się, żeby stawić mi czoło przy wszystkich obywatelach miasteczka, to będzie znaczyło, że ma coś do ukrycia, nie? Już wysłałem wyzwanie. Wydrukują je w lokalnej gazecie i wyślą zaproszenie do wszystkich w okolicy.

— A jeśli odmówi stawienia się?

— Hej, Zilch, on nie może tego zrobić! Tu chodzi o jego honor i pozycję! Zamierzam zastrzelić go pośrodku naszej czystej ulicy, jak śmierdzącego kojota, którym jest w głębi serca.

— Powodzenia — mruknął Zilch, nie okazując entuzjazmu, na który takie wydarzenie zasługiwało.

Kiedy wychodził krzyknąłem za nim:

— Hej, przyjdź jutro do domu Bootlesa Bodkinsa na wesele. Twój przyjaciel, pastor, będzie prowadził ceremonię.

— Przyjdę. — Uśmiechnął się i wyszedł.

Jakoś nie spodobał mi się ten jego ostatni uśmieszek. To nie jest naturalne, żeby taki stary wyjadacz bankier uśmiechał się do ludzi.

Rozdział szesnasty

To był naprawdę świetny dzień na wesele. Runt i Mary Lou udali się do domu jej rodziców jeszcze przed nami. Pojechałem do Bodkinsów w bryczce o dwóch siedzeniach, wioząc z sobą

Melee i Dorothy, które siedziały ramię w ramię i nie odzywały się ani słowem. Niewiele mnie to obchodziło — miałem sporo własnych kłopotów na głowie. Doszedłem do wniosku, że aby kiedykolwiek mieć to ogromne imperium, na którym mi zależało, potrzebuję rancza Gravy'ego Kinga. Jeśli Runt będzie wciąż kradł bydło tak jak do tej pory i nie pozwoli, aby zaczęły mu przeszkadzać przysięgi małżeńskie, nie minie wiele czasu, a dopnę swego.

Byłem strasznie zdziwiony widokiem ogromnego tłumu, który już zdążył zebrać się na miejscu. Byli tam wszyscy — nawet bankier i pastor. Sporą część gości stanowiła rodzina Bootlesa. Jedzenie, picie, potrząsanie prawic i klepanie po plecach szły pełną parą. Wystawny stół, długi na czterdzieści stóp, stał na podwórku od frontu i był wysoko zastawiony wszelkimi dobrami nadającymi się do jedzenia. Dałem Runtowi mieszek ze złotem, aby miał za co kupić żarcie, a Bootles wystawił dwie beczułki na frontowy ganek i wystarczyło przekrócić kurek, żeby się uraczyć. Wielu już to zrobiło. Poznałem to po odgłosach, jako że sam byłem ekspertem w tych sprawach.

Wysiadłem z bryczki i pomogłem wysiąść dziewczętom, jak przystało na prawdziwego dżentelmena. Kiedy szedłem w stronę zgromadzenia, prowadząc je po obu stronach, poczułem się nagle, jakbym został przywiązany do dwóch wściekłych mułów, z których jeden ucieka na północ, a drugi na południe. Miło było oderwać się od nich choć na chwilkę potrzebną do napełnienia nam szklaneczek.

Bliźnięta Bootlesa właśnie odbywały poważną dyskusję.

— Jeszcze cztery lata i będę mieć tuzin ?

Ten drugi poważnie przemyślał sprawę.

—Kiedy będę duży, mogę mieć nawet tysiąc tuzinów.

Ale jego bratu rozwiązanie tego problemu nie zajęło zbyt dużo czasu.

—Niee — odparł. — Wtedy byłbyś starszy niż dziadek.

Nadszedł Runt i widać było, że mocno nad czymś myśli.

Wiedziałem, jaki to koszmarny wysiłek, więc wziąłem go na stronę, aby w jakiś sposób ulżyć jego cierpieniom.

— Bobby Jacku?

— Tak?

— Bobby Jacku?

— Taak? Tak?

— Bobby Jacku?

— Tak? Tak? Tak? — Zaczynałem się odrobinę niecierpliwić, ale ponieważ jest ze mnie rozważny i miłosierny człowiek, zrozumiałem, że biedny mały idiota pewnie zapomniał, co chciał mi powiedzieć. Wreszcie coś wymyślił.

— Wiem... wiem, że już cię wcześniej o to pytałem... ale muszę zrobić to jeszcze raz.

— Boże wszechmogący i na żabie udka, wyrzuć to z siebie wreszcie!

— Zastanawiałem się, czy mógłbyś mi powiedzieć... — Rozejrzał się dokoła. — Czy mógłbyś mi powiedzieć, jakich sekretnych miłosnych słów mam użyć dziś w nocy.

Kopnąłem ogromny kamień i choć zabolalo mnie jak cholera, byłem dość dzielny, by tego po sobie nie okazać. Wyciągnąłem cygaro i zapaliłem je. Złamałem zapalnik na cztery kawałki i schowałem do kieszeni. Pykałem z cygara, a potem wyjąłem je z ust i wskazałem nim Mary Lou, która właśnie rozmawiała z kaznodzieją.

— Synu — odezwałem się cicho. Runt patrzył na mnie z nadzieją w oczach, wyglądając przy tym jak mały prosiak, który po raz pierwszy widzi wiadro pomyj, zanim mu je wyleją do koryta. Marszczył nos, jakby chciał go wyprostować, co było przecież niemożliwe. Obciągnął nowiusieńkie spodnie od ślubnego garnituru. Położyłem mu dłoń na szczupłym ramieniu i poradziłem: — Po prostu nie mogę tego zrobić... dla twojego własnego dobra. Przecież to byłoby istną obelgą dla tego czystego, nietkniętego małego kwiatuszka. Nie rozumiesz?

— Cóż... skoro tak stawiasz sprawę.

Wtedy uratowała mnie pani Bodkins; miała na sobie tak nową sukienkę, że nadal usiłowała zrobić sobie na niej zmarszczki. Tu i ówdzie nie do końca na nią pasowała, ale nie było innego

wyjścia. Jej zazwyczaj strąkowate włosy były zwinięte w loczki ciasne niczym żeglarskie węzły. Ujęła mnie pod ramię i pociągnęła w kierunku domu.

— To jest lepsze niż ciasteczka i słodsze niż whisky — powiedziała zachwycona, niczym ryba w beczce pełnej robaków. — Muszę pokazać ci nasze najnowsze udoskonalenie.

Najpierw pokazała mi trzy nowe paliki podtrzymujące dom. Pochwaliłem je jak należy.

— Pani Bodkins, nigdy w życiu nie widziałem śliczniejszych kołeczków niż te tutaj.

Dzięki, Bobby Jacki. — Wiedziałem, że jestem ważną figurą w tych okolicach, lecz po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że myśli się tu o mnie, jako o kimś więcej, niż tylko jednym człowieku. To jakoś mi pochlebiło.

Przeszliśmy na tyły domu i naszym oczom ukazał się wspaniały widok; były nowusienkie, dokładnie tak jak paliki. To nie wszystko — te nowe drzwi miały nawet normalną, kupioną w sklepie zasuwkę.

— Ależ to śliczniutkie — powiedziałem.

— I popatrz tylko! — odparła, uśmiechając się tak szeroko, że widać było dokładnie wszystkie jej dziewięć zębów. Bo oto w środku zobaczyliśmy coś naprawdę godnego podziwu: nowiu- sieńką wannę i tarę do prania.

Tego było za wiele, i powiedziałem jej to. Potem dodałem:

— Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby jakikolwiek dom dochodził do siebie w takim tempie.

— Wszystko to twoja zasługa, Bobby Jacki.

A ponieważ jestem skromnym człowiekiem, odrzekłem skromnie:

— Nie, to nieprawda. Ja tylko od czasu do czasu wam pomogłem.

Później objawiła się kolejna strona życia. Melee odwołała mnie za jakiś krzak, po prostu zza niego wypadając.

— Mam dość wysłuchiwania obraźliwych słów od tej fałszywej Dorothy Caldingham.

— Obrażliwych słów?

— I Ta dziwka podeszła do mnie niedawno i szepnęła, że jestem zwykłą kurwą.

— Noi?

— Odpowiedziałam jej, że gdyby nie to, że nie chcę ci przynosić wstydu, wyrwałabym jej wszystkie kudły i wepchnęła do dupy tak, że wyglądałaby jak chodzące gniazdo sępa.

Czy prawdziwa dama dziwka mówi w ten sposób?

Było zbyt wiele rzeczy, o których znacznie chętniej myślałbym w tym konkretnym czasie mojej wspaniałej kariery. Spojrzałem w dal, na pokryte śniegiem szczyty gór i pomyślałem sobie, jak miło byłoby być śnieżnym królikiem.

— Jedna z nas musi odejść—kontynuowała. — Jeżeli ja nie mogę być numerem pierwszym, to będę musiała poszukać zatrudnienia i towarzystwa gdzie indziej.

— Posłuchaj, kochanie... — zacząłem.

— Nie mów do mnie „kochanie”. Mówisz tak do niej, kiedy tylko masz okazję.

Zaskoczyło mnie nieco, że kobieta, która chodzi do łóżka z dwoma do dziesięciu mężczyznami dziennie dla pieniędzy, nagle wścieka się na mnie, że spełniam swój obowiązek. Mimo całej mądrości i edukacji, którą otrzymałem, nie bardzo rozumiałem, o co tu chodzi.

Ale jak na razie szczęście mnie nie opuszczało — nadszedł czas na ślub! Ponieważ miałem być drużbą, koniecznie musiałem się przygotować. Poza tym miałem wygłosić przemówienie. Kaznodzieja ustawił nas w rzędzie, a ja uniosłem dłoń, prosząc o ciszę. Trudno było uwierzyć, jak miła jest ta banda pijaków. Wszystkie szepty ucichły. Zauważyłem, że Dorothy i Melee stoją tak daleko od siebie, jędc to tylko możliwe, i spoglądają to na siebie, to na mnie jak wściekły jeżozwierz, który przez pomyłkę usiłował kochać się ze skunksem.

— Kochani, wszyscy pracowaliście bardzo ciężko pod moim dowództwem nie tylko po to, aby ta ziemia zaczęła przynosić dochody, ale i po to, aby zaczęła ładnie wyglądać. Zdaje mi się,

że wykonaliśmy świetną robotę. — Zebrani wzniesli okrzyk, który przegoniłby jelenie i niedźwiedzie aż do Arizony, gdyby tylko słuchały. Wyprostowałem się jeszcze bardziej i ciągnąłem: — Teraz nasze społeczeństwo tak się rozrosło, że samodzielne kierowanie nim zaczęło mnie ociupinkę męczyć. Pamiętajcie, że mógłbym się nadal tym zajmować, ale dla większej wydajności i dalszych ulepszeń postanowiłem przyjąć nieco pomocy. Dlatego niniejszym ogłaszam mojego wiceprezydenta! Oto on! — wykrzyknąłem i schwyciwszy Runta za kark, uniosłem go dobry jard nad ziemię. Nie uwierzycie, ale ten mały, paskudny, głupi złodziej krów miał łzy w oczach, więc postawiłem go z powrotem na ziemi i odezwałem się do pastora: — Udziel im ślubu.

Kaznodzieja, mimo że miał swoją książkę, nie bardzo potrafił skoncentrować się na słowach. Suknia ślubna Mary Lou była tak obcisła i tak mocno wycięta, że za każdym oddechem zdawało się, iż panna młoda wyskoczy z niej jak ostryga z muszelki. Pastor cały czas spoglądał jej w dekolt. Wydusił z siebie kilka słów, po czym spytał:

— A do diabła, czy wy, młodzi, bierzecie sobie siebie za męża i żonę?

Dokładnie w tej chwili poczułem bolesne uklucie w prawym uchu i gdy sięgnąłem do niego ręką, jednocześnie zerknąłem na pastora. Oczy miał szeroko otwarte, a między nimi dostrzegłem małą, czarną dziurkę! Wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że usłyszałem wystrzał. Kaznodzieja padł na pysk, zimny trup. Jednak ta kula była przeznaczona dla mnie! W rzeczy samej, nie ma nic bardziej zbliżonego do palnięcia komuś w łeb, niż palnięcie mu w ucho.

Wszyscy trochę się zdenerwowali i natychmiast chcieli jechać za tym, który to zrobił. Ponieważ w trudnych warunkach nigdy nie tracę panowania nad sobą i spokoju ducha, spytałem ich:

— Ale dokąd chcecie biec? Za kim? Czy ktoś z was zauważył, z której gęstwiny drzew padł strzał? Nie dostałem ani jednej odpowiedzi. Wtedy opanowali się, tak jak ich przywódca.

Bootles miał dość rozumu, żeby odciągnąć kaznodzieję i oprzeć go o drzewo. Kiedy wracał do zgromadzenia, Runt zawołał:

- Możemy pojechać do miasta i niech sędzia nas zaobrączkuje!
- Jest chory i leży w łóżku z galopującymi suchotami l® odparłem.
- Poza tym on jest tak pokręcony, że pewnie nie miałoby to żadnej mocy prawnej — poparł mnie

Bootles.

Ten Bootles był prawdziwym zawodowcem, jeśli idzie o pędzenie samogonu, lecz kiedy przyszło do udzielania ślubu, okazał się szybszy niż podwójna dawka bimbrowu.

- Niniejszym ogłaszam was prawowitymi małżonkami!

Tak właśnie działa zdrowy rozsądek. Kolejny wielki i płynący z serca okrzyk rozdarł powietrze. Orkiestra składająca się z trzech muzyków zaczęła przygrywać i już wkrótce wszyscy znowu jedli, pili, wrzeszczeli i tańczyli. Ja też miałem w tym swój udział, bo byłem niezwykle doświadczony w tego typu sprawach.

Potem Dorothy powalcowała ze mną w odludny kącik i powiedziała:

— Nie mogę spędzić kolejnej nocy w tym samym burdelu co Melee. Ona i tak pracuje dla Gradella, więc nie potrafię pojąć, jak możesz być tak ślepy i niewierny jednocześnie.—Skrzywiła usta w podkówkę i dodała:— Przecież jej już teraz zaczyna śmierdzieć spod pach!

Nie zdawałem sobie sprawy z tego konfliktu między nią a biedną Melee. Ale z drugiej strony, może Dorothy miała lepszy węch ode mnie. Byłem dostatecznie wspaniałym mężczyzną, żeby się do tego przyznać.

Spojrzałem w dal, tym razem poza pokryte śniegiem górskie szczyty i pomyślałem, jak miło byłoby być azteckim księciem i stać samotnie na czubku tych piramid w Meksyku.

— Kochanie — powiedziałem jej, omal nie przygryzając jednocześnie języka. jf] To wesele nadwreżyło mój pęcherz i muszę udać się w zarośla. W tej chwili.

Kiedy kłusowałem w kierunku krzaków, usłyszałem jej prychnięcie:

— Kochanie?!

Ale mimo to udało mi się wpaść na jeden z tych moich genialnych pomysłów. Doszedłem do kępy drzew i znalazłem sobie pniaczek, na którym usiadłem. Była tu mała, spokojna polanka. Nawet robale nie bzyczały. Przez chwilę panował spokój, po czym jakaś cholerna wiewiórka wyrzała na mnie zza pnia drzewa. Później sójka zaczęła latać od drzewa do drzewa i drzeć się, niweczając ciszę. Wiewiórka krzątała się i gadała coś do siebie, a żółty motyl latał w koło, jakby odpadł ze słońca.

Przyglądałem się czarnym mrówkom obrabiającym zgniły pień, które zdawały się zupełnie niczym nie przejmować. I nagle ja też przestałem się przejmować. Do diabła, musiałem porządnie się przygotować na potyczkę z Gradellem. Te cholerne baby będą musiały dogadać się między sobą, dopóki ja nie załatwię swoich spraw. Zastrzelę go, dokładnie tak, jak on zastrzelił pastora, tylko że ja podziurawię go sześć razy, a nie tylko jeden. To mnie uspokoiło, więc odchyliłem głowę w tył, popatrzyłem na niebieskie niebo i pomyślałem, że te hałaśliwe zwierzaki zupełnie mi nie przeszkadzają. Do licha, może usiłowały mi powiedzieć, że wiedzą więcej niż ludzie. Zacząłem z nimi gadać, lecz uświadomiłem sobie, że nigdy nie nauczyłem się rozmawiać ze zwierzętami, z wyjątkiem narowistych koni i dzikich kobiet. A jednak został mi fragment edukacji, który trzeba jeszcze wypełnić. Do diabła, miałem teraz na co czekać.

Rozdział siedemnasty

Nadszedł pierwszy maja. Teraz dowiemy się, kto jest głównym honcho, majordomusem, królem rewolweru i wielkim szefem. Ostatnio chodziłem do lasu i ćwiczyłem wyciąganie czterdziestki piątki i walenie z niej jak wszyscy diabli. Gadałem sam

z sobą, i to nie raz. Największą przyjemność sprawiłoby mi zakradnięcie się do tego drania i strzelenie mu w plecy tak, żeby mu kręgosłup pękł na pół. Ale nawet najlepszy rewolwerowiec na świecie nie może zabić niewidzialnego ducha. Nie, nie było innego wyjścia oprócz publicznej strzelaniny. Poza tym to powstrzyma wszystkich innych przed podobnie głupimi pomysłami, jakie miał Gradell.

Tego ranka wyszedłem z „Miauknięcia Kota” okolicy dziesiątej. Runt, Mary Lou, Dorothy i Melee, wszyscy chcieli iść ze mną i osłodzić mi chwilę oczekiwania. Wyprostowałem się tak, że chyba nie widzieli już mojej głowy, i powiedziałem:

— Nie, są rzeczy, które człowiek... nawet taki, który posiada trzy burdele... musi robić samotnie.— Wyciągnąłem broń, okręciłem magazynek, sprawdziłem celownik, naciągnąłem kapelusz na uszy i dodałem: — Po strzelaninie zgromadzi się wielki tłum. Ktoś musi zacząć przygotowania do imprezy.

Udałem się do biura, wszedłem do środka, usiadłem za biurkiem i wlepiłem oczy w zegar. Jak mógłbym stracić to wszystko, po tym jak zaszedłem tak daleko? Do diabła, byłem wszak burmistrzem, dyrektorem banku, biznesmenem i z pewnością przed końcem lata będę właścicielem rancza Kinga. Odkąd ponownie przeczytałem ten fragment książki o Napie, w którym jest mowa, aby „nigdy nie chować wszystkich zapasów w jednym oddziale” zacząłem chować złoto w jaskini, jakąś milę za miastem. Przecież taki cholerny drań jak Gradell mógł obrabować bank w każdej chwili!

Zegar tykał, a ja cały czas myślałem I nagle ocknąłem się, że jest już za pięć dwunasta. A niech ranie szlag trafi! Wydawało mi się, że te dwie godziny będą się ciągnąć w nieskończoność, a one trwały tylko dwie godziny! Nie słyszałem żadnego szmeru ze strony zebranego tłumu. Zdaje się, że wszyscy byli zbyt podnieceni, żeby mówić.

Ponownie sprawdziłem rewolwer, odstawiłem krzesło na miejsce, odkaszałem i dokładnie w samo południe, odważnie wyszedłem na główną ulicę. Opracowałem to tak, że miałem

słońce za plecami, aby świeciło Gradellowi prosto w oczy. Miałem też nadzieję, że promienie będą padać pod takim kątem, że nikt, poza Gradellem, tego nie zauważy, a wtedy i tak będzie już za późno. Człowiek na moim stanowisku musi myśleć o wszystkim.

Przeszedłem spory kawałek, zanim zaryzykowałem zerknięcie na zgromadzony tłum. Nigdy bym tego nie zrobił, ale widziałem wyraźnie, że przeciwległy kraniec ulicy jest pusty. Na rany koguta! Puste były też ganki, okna i całe to, cholerne, miasteczko. Założę się, że ten żartowniś Runt skrzyknął wszystkich dokoła Gradella na przeciwnym krańcu ulicy, żeby mogli pokrzykiwać i wyśmiewać się z niego. Na pewno tak! To sprawiło, że poczułem się lepiej.

Kiedy szedłem pewny siebie w dół ulicy, myślałem, jakie to sprytne z mojej strony, że ten fragment drogi, po którym szedłem, był wczoraj nawadniany, a kraniec, na którym stanie Gradell, jest suchy jak pieprz. Cholernie chciałem, żeby kurz się zagotował, gdy Gradell rąbnie o matkę ziemię. Szedłem i zastanawiałem się, czy przypadkiem drań nie stchórzył. Oczywiście, to by go zabiło równie pewnie co kula.

Podszedłem do skrzyżowania ulic i rozejrzałem się w obie strony tak szybko, jak tylko zdołałem okrócić głowę. Były równie puste co kościół w poniedziałek. Podejrzewałem, że wszyscy zgromadzili się przy końcu ulicy, żeby mieć bliżej na cmentarz. Przeszedłem przez skrzyżowanie i naraz zobaczyłem niewielki tłum jeźdźców zbliżający się od końca miasta. Uśmiechałem się do nich miło, dopóki nie zdałem sobie sprawy z tego, że wszyscy ci ludzie są mi obcy, a na dodatek mają wyciągnięte rewolwery. Przestałem się uśmiechać. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem kolejną bandę. Potem kolejni zaczęli stawać w drzwiach domów i na dachach. Zatrzymałem się i stałem w bezruchu, bo do wyboru miałem tylko dwa kierunki — w górę lub w dół. Cóż, nie jestem kretem, żeby się wkopać w ziemię, ani ptakiem, żeby ulecieć. Chciałbym móc zrobić jedno z dwojga, ale ponieważ jestem rozsądnym człowiekiem, nie próbowałem żadnego sposobu ucieczki.

Podjechali do mnie, stanęli dokoła mnie i nie byli nawet dość

uprzejmi, żeby się odezwać, kiedy dotknąłem runda kapelusza jak prawdziwy dżentelmen i powiedziałem:

— Witam.

Powiedziałem to wyjątkowo przyjaznym głosem, ale oni tylko celowali we mnie z rewolwerów i gapili się na mnie. Więc ja w odpowiedzi wlepiłem w nich wzrok, bo nie wiedziałem, co mogę zrobić, poza robieniem w gacie. Później doszło do momentu, w którym widziałem już tylko milion jeźdźców z dziesięcioma milionami rewolwerów. Wtedy już wiedziałem z całą pewnością, że mają nade mną przewagę liczebną.

Zacząłem unosić ręce, lecz zanim mi się to udało, ktoś złapał mnie na łąso i spiął konia ostrogami. Z ulgą pomyślałem, że za jakieś pół sekundy zostanę wywleczony z tej zakurzonej części miasteczka do mojej własnej, czystej części. Było to dla mnie pocieszające, bo już tylko z tego mogłem czerpać przyjemność. Mimo piachu w uszach dokładnie słyszałem wrzaski, pohukiwania i śmiechy. Potem chyba musieli wjechać moją głową w ścianę budynku więzienia, bo tam się właśnie ocknąłem.

W celi siedział ze mną Runt. Przez minutę chwiałem się na nogach i po prostu doszedłem do wniosku, że wraz z Runtem byliśmy na jakiejś zabawie i on przypadkowo nas tu zamknął. Podskoczyłem do drzwi celi i potrząsając nimi, zacząłem wrzeszczeć:

— Wypuście nas stąd! Uwolnijcie nas! Uwolnijcie nas, słyszycie?

Potem z innej celi usłyszałem pijacki okrzyk:

— Nie mogę, amigo! Sam zostałem tu zamknięty!

Żałuję, że w ogóle odzyskałem przytomność. Może i nie zrobiłbym tego, gdyby ten wiecznie przerywający mi Runt nie powiedział:

— Gradell dopiął swego i dopadł nas.

Złapałem go i zacząłem przepychać przez kraty, lecz potem przypomniałem sobie całe wydarzenie. Rzuciłem Runta na podłogę i powiedziałem:

— Musimy zachować spokój i poważnie się zastanowić.

— Kiedy tylko wyszedłeś wczoraj do biura, zobaczyłem

wjeżdżającą do miasteczka armię Gradella If§| złożył mi raport Runt. — Kazałem wtedy Mary Lou biec do domu i ostrzec tatkę, żeby schował destylatory i przesunął wszystką whisky w zarośla.

— Chciałem cię o tym poinstruować, ale byłem skupiony na potyczce z Gradellem — mruknąłem.

— Teraz naszą jedyną szansą ucieczki są Melee i Dorothy— dodał Runt. — Mary Lou nie pokaże się tu więcej.

Chciałem jak najlepiej pocieszyć Runta, więc wyprostowałem się i rzekłem:

— Do diabła, mój mały przyjacielu. Musimy się nauczyć szacunku dla rzeczy nieprawdopodobnych!

Mniej więcej właśnie wtedy zaczęliśmy dostawać niejakię wyjaśnienia co do naszego problemu. Do drzwi celi tanecznym krokiem podeszli szeryf i stary Caldingham. Na ramieniu tego ostatniego wisiała Dorothy, która nawet na mnie nie spojrzała. Wtedy właśnie przekonałem się, że nawet najpiękniejsze stworzenie pod słońcem w okamgnieniu może stać się tak paskudne, jak spód małpiej klatki. Digby miał na twarzy szeroki uśmiech, który świadczył o tym, że szeryf myśli o czymś zabawnym. Coś mi podpowiedziało, że nie będzie to tak zabawne dla mnie i dla Runta. Stali tam i rozmawiali tak, jakby nas w ogóle przed nimi nie było.

— Szeryfie — odezwał się Caldingham—już rozmawiałem z sędzią i zgadza się z nami, że egzekucję powinniśmy przeprowadzić czwartego lipca. Gubernator chciałby być na niej obecny, więc moglibyśmy zrobić uroczystość dla gości z całego stanu.

— Doskonały pomysł, panie burmistrzu — odrzekł Digby. — Moglibyśmy zrobić grilla, i w ogóle.

— Przednia myśl, szeryfie. Wiem, że Gravy King z przyjemnością dostarczy nam wołowiny.

Usiłowałem napotkać spojrzenie Dorothy, lecz ona nie odrywała wzroku od podłogi. Gdybym tylko miał sposobność wyszeptania jej do uszka moich magicznych słów, z pewnością spróbowalaby nam pomóc. Nie wiem jak, ale by spróbowwała.

— Podobno Melee znowu pracuje w „Podwójnej Podwiązce” i świetnie sobie radzi — ciągnął szeryf z widoczną radością.

— Tak. W rzeczy samej Gradell awansował ją do roli burdelmamy numer jeden.

— Cóż, po całym tym piekle, które przeszła, dobrze wiedzieć, że teraz przynajmniej los się do niej uśmiechnął—wepchnął nam szeryf do gardeł. Widziałem, jak Dorothy zadrżała lekko przy tych ostatnich słowach, i to dało mi jakieś dwie sekundy nadziei. Gadali jeszcze przez jakiś czas, po czym wyszli, śmiejąc się do rozpuku.

Runt wyciągnął się na pryczy twarzą w dół, ja zaś gapilem się na kamienny mur i usiłowałem dostrzec przez niego ptaki i usłyszeć bzyczenie robaków. To nie były najlepsze kwatery. Dobry Boże, toż mamy tu spędzić jeszcze dwa miesiące, słuchając obraźliwych słów, zanim nas powieszają! Wszystkie moje kobiety przeszły na stronę wroga i nawet nie pomyślały, że już nigdy nie usłyszą moich tajemniczych słów. Nie było szansy, żeby Bootles mógł nas uratować. Mieli w miasteczku dość broni, żeby zacząć rewolucję.

— Runt —powiedziałem — módlmy się.

Ale to nic nam nie dało. Zostaliśmy kompletnie sami, jeśli nie liczyć dwóch strażników, którzy nie chcieli gadać z nami nawet o pogodzie. Wrzeszczałem do nich, żeby nas powiesili i dali nam spokój. Ale oni tylko grali w warcaby i oliwili broń, jak byśmy już nie żyli. Jedliśmy suchy chleb, suche korzonki i piliśmy brudną wodę. Wystarczyło tego, żeby każdy się rozchorował. Dlatego było miłą odmianą, kiedy w więzieniu pojawiła się ta kobieta w purpurowej sukni i grubej woalce, i dała nam przez strażników kilka bochenków chleba z kawałem mięsa w środku. Po sukni nie potrafiłem poznać, czy to Dorothy, czy Melee, ale ogólna budowa ciała mogła wskazywać na którąkolwiek z nich. W każdym razie wgryźliśmy się w jedzenie, jakby to miał być nasz ostatni przyzwoity posiłek, i prawdopodobnie tak było. Właśnie byłem w połowie mojej kanapki, kiedy przygryzłem coś twardego. Rozerwałem chleb na pół, drząc niczym mała owieczka. Wiedziałem, że to broń! Cóż, okazało się, że to druga dobra rzecz w kolejności: mała buteleczka whisky!

— Popatrz no, Runt! — wrzasnąłem. — Kanapka z whisky!

— Pewnie zatruta — odparł Runt.

— Nie, nie chcę przegapić zabawy i na pewno zaczekają do wieszania!

Podniosłem flaszkę, wypilem połowę zawartości i oddałem resztę Runtowi. On uczynił to samo. Po jakichś trzydziestu minutach poczułem się znowu prawie jak człowiek. Ale ten efekt znikł dość szybko. Mimo to odzyskaliśmy odrobinę nadziei.

Zbliżał się czwarty lipca i wszyscy, którzy mijali naszą celę, wspominali ten dzień, niby dzień dorocznego balu.

Wreszcie nadeszła noc trzeciego lipca. Czułem atmosferę wesołego podniecenia wiszącą w powietrzu.

Właśnie siedzieliśmy sobie i usiłowaliśmy wymyślić coś wesołego — i to bez powodzenia — kiedy znowu do budynku weszła ta kobieta i zaczęła rozmawiać ze strażnikami tak cicho, że zupełnie nie mogłem tego usłyszeć. Była ubrana w purpurową suknię, strażnicy zaś podskoczyli na równe nogi i kiwali głowami. Na Boga, to musiała być żona burmistrza, bo kto inny miałby tu taki autorytet? Miała na sobie ten sam welon, tak gruby, że zastanawiałem się, jak ona przez niego widzi.

Podeszła do nas i stanęła tuż przy kracie naszej celi, po czym zaczęła unosić przód sukni. Cóż, striptiz to nie taka zła rzecz, zwłaszcza po raz ostatni w życiu. Wraz z Runttem staliśmy i patrzyliśmy na jej długie nogi zahipnotyzowani niczym dwa szczury przez węża. Podciągnęła spódnicę aż do majtek i sięgnęła do nich ręką, wymacując ogromną bulwę. Do diabła, dała nam po rewolwerze, a cały czas zasłaniała to, co robi, przed strażnikami swoim imponującym tyłem. Wzięliśmy broń szybko i wetknęliśmy ją pod materace.

Odwróciła się i wyszła, a ja gapilem się na jej trzęsący się tyłeczek i usiłowałem rozpoznać go pod tą spódnicą. Było w nim coś znajomego, lecz nie potrafiłem do końca zgadnąć, czyje to ciało.

Kiedy tylko strażnicy na powrót zajęli się warcabami, przyjrzelśmy się broni. Oba rewolwery były . w pełni załadowane,

a z lufy mojego wystawała zwinięta w rulonik kartka papieru. Wyciągnąłem ją i przeczytałem: „Kiedy już uciekniecie, przyjdźcie do małego domku zabitego deskami na tyłach sklepu. Będą tam na was czekać dwa konie. Twój partner musi natychmiast odjechać, a ty zapukaj do szopy stojącej nieopodal domu. Taka jest umowa! Musisz jej dotrzymać!”

Zapukałbym do bram samego piekła, aż pięść spłynęłaby mi krwią, żeby tylko wydostać się z tego miejsca. Całe życie świętowałem Czwartego Lipca i może jeszcze będę miał okazję ponownie to uczynić!

Ukryłem broń za paskiem spodni pod koszulą i zacząłem łązić po celi, wymyślając plan działania. Spojrzałem na małe okienko i usiłowałem zobaczyć gwiazdy uśmiechające się do nas. Niestety, widziałem tylko ciemność. Podeszedłem do ściany, oparłem się o nią i beknałem, czując jedynie brudną wodę i zeschnięte korzonki. Później trzy razy szybko okrążyłem celę i zacząłem pocierać sobie czubek głowy, przywołując sprytne myśli. Kiedy właśnie otwierałem usta, żeby je wypowiedzieć, jak zwykle Runt je ukradł:

— Po prostu powiedz im, że umarłem. To jedyna rzecz, która może ich przerazić. Chcą, żebyśmy dożyli do wieszania.

Wlepiłem oczy w tego małego złodzieja myśli i podeszedłszy do drzwi celi, wrzasnąłem:

— Mój partner umarł!

To postawiło ich na nogi dokładnie tak, jak sobie wymyśliłem.

Podbiegli przerażeni, świadomi, że jeden z nich może posłużyć na zastępstwo skoro na egzekucję mają się zjechać ludzie z całego stanu. Byli tak zdenerwowani, że jeden musiał zabrać drugiemu klucze, zanim trafili w dziurkę. Kiedy już otworzyli drzwi, wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie. Jeden z nich pochylił się, żeby zobaczyć co z Runtem, a wtedy ja trzasnąłem go kolbą w kark. Ze swej pozycji nieboszczyka, Runt kopnął drugiego w jaja. Zaraz runął na podłogę, a ja wykonałem na nim swój trik z kolbą rewolweru. Minie sporo czasu, zanim podejmą swoją grę w warcaby.

Ponieważ jestem człowiekiem czynu i rozsądnym na dodatek, wyszliśmy z więzienia tylnymi drzwiami i popędziliśmy na tyły sklepu, całkiem szybko jak na dwóch kowbojów, którzy siedzieli zamknięci od dwóch miesięcy.

Na rany koguta, naprawdę stały tam dwa konie! Szybko poinstruowałem Runta, gdzie znajduje się jaskinia—ta, w której zakopałem moje złoto. Powiedziałem, że wkrótce się z nim spotkam. Wsiadł na konia i pomknął przed siebie. Podbiegłem do drzwi szopy, cały czas oglądając się za siebie i na wół spodziewając pogoni kul.

Zapukałem. Zaczekałem. Zapukałem ponownie. Potem poczekałem jeszcze trochę i omal nie umarłem, stojąc tam. Drzwi otworzyły się i kobiecy głos wyszeptał:

— Wejdz.

Tak też zrobiłem. Później miękka dłoń wprowadziła mnie do szopy. W przyćmionym świetle zobaczyłem konia i bryczkę. Śmieszne to było, bo wszyscy w mieście uważali ten dom za opuszczony. Podobno należał do kogoś ze wschodu, a niektórzy gadali, że jest nawiedzony, zamieszkanym przez ducha. Szopa stała ściana w ścianę przy domu i zaraz weszliśmy do środka.

Poprowadziła mnie korytarzem do pokoju, który okazał się szalenie elegancki. Zresztą doskonale wiedziałem, że takie urządzenie pokoju wymaga cholernie dużo złota. Ciężkie purpurowe zasłony, w kolorze jej sukni, wisiały aż do podłogi, a dywany i obicia krzeseł były z takiego miękkiego aksamitu, jak te w „Domu Czystej Rozkoszy”. Wszędzie widać było złota i srebra, na ścianach zaś wisiały ogromne malowidła.

Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, zdmuchnęła płomień w lampie. Stałem i czekałem na instrukcję od osoby, która uratowała mi życie. Słyszałem, jak jej ubranie upada na podłogę. Było aż tak cicho. Ponieważ jestem doświadczonym mężczyzną, zrzuciłem moje łachy. Widziałem jej postać w ciemności, ale tylko na tyle, żeby zobaczyć jej duże piersi, ładny tyłeczek i długie nogi. Ale to musiało mi na razie wystarczyć, bo podeszła do mnie, przytuliła się i jęknęła:

— Ooch!

Poleciliśmy na łożko i fajnie było, że hej!

— Po prostu musiałam usłyszeć te słowa, o których wszyscy mówią! —. rzekła, ponownie szeptem, abym nie rozpoznał jej głosu.

Cóż, wiedziałem, że gdzieś już słyszałem ten głos, lecz nie miałem pojęcia gdzie, nigdy też nie szeptałem tych słów tak słodko jak w tej chwili. Miło było, nie ma co!

Po jakimś czasie jednak dotknęła mej twarzy i powiedziała: To na razie wszystko. Jedź i nigdy tu nie wracaj, bo Gradell cię pogrzebie!

Dzięki — odparłem, naciągnąłem ubranie i wyslizgnąłem się na zewnątrz; wsiałem na konia, spiąłem go ostrogami i pomknąłem na wzgórze, wdychając chciwie czyste powietrze Dirt Town, zanim znowu je usyfią.

Rozdział osiemnasty

Odnalezienie Runta w ciemnościach zajęło mi trochę czasu. Schował rewolwer, który wyciągnął, gdy mnie usłyszał, i wszedłem do jaskini. W kamiennym suficie znajdowała się wąska szpara, która doskonale posłużyła za komin. Po sadzy w szczelinie poznaliśmy, że Indianie przez wieki korzystali z tej jaskini. Rozpaliliśmy ognisko.

— Kto to był? — spytał Runt.

Nie chciałem, żeby mu się zbytnio pomieszało w małym rozumku, więc odrzekłem tylko:

— Przyjaciółka.

Zamruczał i dołożył drewna do ognia.

Zostaliśmy wysiudani z interesu. — Kiedy nie odpowiedziałem, ciągnął: — Jesteśmy splukani. Nie mamy żadnej broni poza dwoma rewolwerami. Jesteśmy w mniejszości liczebnej pięćdziesiąt do jednego.

Tego już było dość; miałem dość słuchania tych bzdur. Wyciągnąłem patyk z ognia i poczołgałem się na tyły jaskini, przewróciłem płaski kamień i wykopałem złoto. Później poczołgałem się z powrotem w stronę ogniska i rzuciłem te worki ze śliczno-ściami pod nogi Runta.

— Co to takiego?

Gestem kazałem mu otworzyć i sprawdzić. Kiedy złoto wysypało mu się przez palce, a płomień zaczął tańczyć na nich jak szalone, zobaczyłem zmianę w zachowaniu Runta. Jego małe, świńskie oczka zaczęły błyszczeć prawie jak te monety, uśmiechał się szeroko pod tym swoim przekrzywionym nosem, odepchnął kapelusz na tył głowy i powiedział:

— A więc wróciliśmy do interesu!

— Pamiętasz, jak Napoleon wrócił z wygnania i przejął władanie nad Francją na kolejne sto dni? — Runt usiłował udawać, że pamięta, ale ponieważ potrafię odszyfrowywać ludzkie charaktery, wiedziałem, że tylko udaje. Kontynuowałem: — Na rany koguta! Ja zamierzam wrócić na dziesięć tysięcy dni!

Nawet jeśli Runt nie kapował, o co chodzi, nadal miał w sobie ducha walki. Podskoczył, zatarł dłonie i spytał: Więc od czego zaczynamy?

Wrzuciłem jeszcze kilka patyków do ognia, ściągnąłem buty, żeby lepiej zagrzać stopy przy ognisku, wyjrzałem na zewnątrz, aby przekonać się, czy nie zobaczę sowy, która gdzieś w pobliżu huknęła, po czym podniosłem dwa kamienie i uderzyłem nimi o siebie.

— Cóż, może skrzyknijemy naszych ludzi i urządzimy sobie tu, na tym wzgórzu, kwaterę główną, na widoku wroga — zaproponował Runt. — To powinno ich nieźle wystraszyć.

— Budowanie miasta zajmie strasznie dużo czasu — odparłem. — Zima nas zaskoczy.

— A czego używał Napoleon jako kwatery głównej w czasie swoich kampanii? — spytał Runt.

— Namiotów.

Zaczął potrząsać moją dłońią i gratulować mi.

— Znowu o wszystkim pomyślałeś! Przecież możemy zbudować tymczasowe miasteczko z namiotów!
— A w tym czasie będziemy organizować kontratak! — dodałem rozsądnie.
— Jupii! A w trakcie przygotowań i tak możemy nieźle zaszkodzić Gradellowi!
— Oczywiście — burknąłem. — Wszyscy wiedzą, że teraz, kiedy sądzi, że trzyma wszystko w garści, znowu strasznie podniesie ceny.

— Jasne, że tak! — wrzasnął Runt i rzucił kapelusz w kurz na podłodze jaskini.

— Aby zacytować samego wielkiego generała: „Wróg pozbawiony funduszy jest słaby w walce”.
i§i|p Oto, co nazywam dobrą dy... dyp.]

— Dyplomacją — dokończyłem za niego, oszczędzając małemu idiocie większego jeszcze zażenowania.

Teraz przejąłem kompletne dowodzenie i poinstruowałem Runta co do jego obowiązków. Powiedziałem mu tak prosto, jak to tylko możliwe, żeby zwołał Bootlesa i jego bandę. W tym samym czasie Bootles miał posłać swoich indiańskich przyjaciół do Santa Fe po namioty, strzelby, amunicję i wszystko, czego będziemy potrzebować przy budowie Tymczasowego Miasta.

Bootles już dawno temu został zmuszony przez Gradella do handlowania wyłącznie z Indianami. Jednak lubił ich i świetnie się z nimi dogadywał. Oni natomiast ufali Boodesowi i będą zachwyceni ze sposobności należenia znowu do okręgu. Gradell dał nam w dupę. Wszyscy poza Bootlesem wyładowywali swą złość na Indianach. Na Boga, chciałem, aby wszyscy mogli dzielić z nami radość przynależenia do tego okręgu zgodnie ze swymi możliwościami. W tym czasie będę musiał odbyć rozmowę z naszym przyjacielem-górnikiem, brygadzystą Dooleyem.

Następnego dnia o świcie, rankiem czwartego lipca, wyruszyliśmy w drogę. Musiałem dotrzeć do Dooleya, zanim wybierze się do miasta na zabawę. Runt pojechał w swoją stronę, a ja w swoją. Wiedziałem, że tego dnia nie będzie zbyt licznych

pościgów za nami w górach, a kiedy oni zdążą wytrzeźwieć i wyleczyć kaca, my będziemy już dobrze ustawieni.

Kiedy jechałem wzdłuż jednej kępy drzew ku następnej, śmiałem się do siebie na myśl o tym, jak naszą ucieczką z więzienia zepsuliśmy wszystkim obchody święta narodowego.

Wjechałem do obozu górników, jakbym był jego właścicielem. Nie wydawało mi się, żeby Gradell zdążył już ponalepiać plakaty z wyznaczoną nagrodą za nasze głowy. Podjechałem do baraku, który był jednocześnie domem Dooleya i jego biurem. Jego samego zastałem na dworze; mył się. Podjechałem i dałem mu kilka sztuk złota, aby wiedział, że mam szczerze zamiary. Wziął je szczerym gestem, po czym spytał:

>— Co mam zrobić?

Wyjaśniłem, że chcę zatrudnić tuzin jego najlepszych, najbardziej zaufanych ludzi, a także żeby poszedł do miasteczka na przespīgi. To go chyba mile polechtało, bo potrząsnął moją dłońią tak, że omal nie spadłem z konia. Zdaje się, że zawarliśmy układ.

— Wielu z nas wie, że Gradell ma ogromne udziały w kopalniach |— powiedział Dooley.

— Oczywiście, to dlatego macie tak marne stawki odrzekłem.

— Musisz nam obiecać, że dostaniemy wyższe pensje po re... po...

— Po rewolucji — pomocnie dokończyłem za niego. Mój Boże wszechmogący, nie mam pojęcia, co by ta część kraju poczęła bez tak doskonale wykształconego człowieka jak ja.

Rozdział dziewiętnasty

Geniuszowi takiemu jak ja zorganizowanie wszystkiego nie zajęło wiele czasu. Mieliśmy już namioty i inne zapasy. Tuzin górników było gotowych do kopania. Bootles i jego banda mia

nowali się strażnikami naszego przedsięwzięcia. Nie ma nikogo lepszego go kopania okopów niż górnicy, więc gdy spytali: „Gdzie?“, rozejrzałem się i skinąłem na Runta, żeby do nas podeszedł. Wiedziałem, że jest ekspertem, jeśli idzie o nasze potrzeby.

— Runt, chcemy, aby nasze najdalej wysunięte przyczółki znajdowały się na obrzeżu tego wzgórza.—
Wiedziałem, że ludzie Gradella budują barykady i spoglądają na nas w dół luf odbezpieczonych strzelb.

A on tylko stał tam i patrzył na miasteczko tak, jakby śmierdziało.

— Do roboty — rozkazałem, więc ruszył do działania.

Od czasu do czasu z dołu dolatywał do nas jakiś strzał. Znajdowaliśmy się poza ich zasięgiem, ale kule i tak dolatywały bardzo blisko.

Wykopaliśmy okopy na okręgu szczytu wzgórza, z którego roztaczał się widok na Dirt Town. Postawiliśmy namioty wszelkich rozmiarów. Potem planowaliśmy namiot z barem i małe, prywatne namioty dla dziewcząt. Bootles przeniósł się tu ze swymi destylatorami i wznowił produkcję.

Przy wysokich cenach wołowiny, alkoholu i burdeli w mieście, nie minęło wiele czasu, a sprawy obróciły się na naszą korzyść. Górnicy już zaczęli się do nas zwać i upijać tanim produktem. Boodes, jako prawdziwy artysta, powiedział, że nie ma serca serwować tej whisky, póki nie nabierze odpowiedniego aromatu.

— Nie wydaje ci się, że ma nieco zbyt surowego kopa, aby sprzedawać ją naszym przyjaciołom? — spytał smutno.

— Nie Hf odrzekłem. — Dzięki temu będzie im tylko lepiej smakowała. I starczy na dłużej.

Została jeszcze tylko jedna rzecz, którą się w sekrecie trapiłem. Moje książki! Cały czas leżały ukryte pod deską w podłodze w moim starym pokoju w „Miauknięciu Kota”, ale ta cholerna zdrajczyni, Melee wiedziała, gdzie się znajdują. Gdyby te cenne dokumenty wpadły w ręce wroga, mogłoby dojść do tragedii.

Oczywiście, usiłowałem się pocieszyć, że i tak nie będą w stanie zrozumieć ich głębokiego znaczenia, lecz mimo to się martwiłem.

Aż tu pewnej nocy Dooley przyprowadził do mego namiotu Melee. Miała przy sobie tylko torbę wypchaną ubraniami. Nie powitałem jej zbyt przyjaźnie. Z drugiej strony, od dłuższego czasu nie miałem żadnej kobiety. A ona była kobietą. Miała na sobie tę samą sukienkę co wtedy, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Ten odsłaniający wszystko krój rozmiękczył moje serce.

— Byłam tam praktycznie więźniem — zapewniła mnie i uśmiechnęła się do mnie w przyćmionym świetle panującym w namiocie. A kiedy otworzyła torbę i podała mi moje cenne książki, ująłem ją za rękę i pociągnąłem na łóżko. Ta dziewczyna dowiodła swej wierności. Na rany koguta, toż przepłynąłem z nią niejedną mulistą rzekę!

Nie minęło więcej niż dwa dni, a już większość dziewczyn z Hi Lo pracowała do utraty tchu w Tymczasowym Mieście. Gdzie wołowina, whisky i kobiety są tanie i jest ich pod dostatkiem, tam też z pewnością pojawiają się mężczyźni. Wszelkiego rodzaju mężczyźni. Rozeszła się plotka, że przyjmujemy szumowiny z całego stanu. Przyjechali do nas rabusie banków i rabusie dyliżansów z ogromnych połaci północnej części stanu, a także hazardziści i naciągacze z górniczych osad na południu. Pasowali tu jak ulał. Ponieważ mieliśmy pluton złożony z Polaków, Me-ksykanów, Włochów, Walijszyków, Murzynów i Irlandczyków z kopalni pod wodzą Dooleya, i elitarną jednostkę dowodzoną przeze mnie, nie było wiele kłopotów. Większość dzikich zabaw ograniczała się do przyjemności. Kiedy nie ćwiczyliśmy przed wojną, bawiliśmy się na umór. Poza zwyczajnymi tańcami pod wpływem chwili, piciem i kochaniem, organizowaliśmy koncerty dwa razy w tygodniu, a potem dziewczęta śpiewały nam specjalną piosenkę i tańczyły kankana. To zawsze otrzymywało najgłośniejsze brawa, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Mimo niskich cen, ludzi mieliśmy tyle, że zarabialiśmy więcej pieniędzy niż kiedykolwiek. Indianie usłyszeli o tych udogodnieniach od Bootlesa i zaczęli przybywać do naszego miasta. Kiedy

dowiedziałem się, że sprzedawanie im alkoholu jest sprzeczne z prawem, spytałem:

— Z jakim prawem? — I to było na tyle. W rzeczy samej, powiedziałem też mojemu wiceprezydentowi: — Runt, dopilnuj, żeby jak najszybciej stanęło tu parę tipi dla naszych Indian. Jeśli nie dostaną tu domów w swoim stylu mogą zacząć krzyczeć, że są znowu dyskryminowani.

— Taak — zgodził się ze mną Runt. — Poza tym są doskonałymi wojownikami i przydadzą się nam w naszej wojnie.

Miałem ochotę i rzeczywiście, zacząłem walić pięścią w ścianę, lecz potem przypomniałem sobie, że jest zrobiona z płótna, powstrzymałem swój dziki gniew i wsadziłem dłoń do kieszeni, gdzie wymacałem wiele złotych monet. To mnie uspokoiło i wreszcie byłem w stanie powiedzieć całkiem spokojnie:

— Oczywiście, oczywiście. Już zacząłem się rozglądać za przywódcą indiańskiego plutonu.

Na początku Indianie upijali się znacznie szybciej niż wszyscy pozostali, bo pili znacznie szybciej. Mieli też po temu powód. Doszli do wniosku, że jeśli się nie pospieszą i nie wysączą napitku czym prędzej, to przyjdzie ktoś, kto im go odbierze. Po jakimś czasie, kiedy nikt ich nie okradał ani nie popędział, odprężyli się trochę i nie wyczyniali większych głupstw niż reszta. Cóż, może jeden z nich robił, ale to był ten wyjątek, który zazwyczaj potwierdza regułę. Do licha, każdy, kto cokolwiek wie, wie też i to.

Tym jednym był Wódz Big Dirt Road Maker*, który pomiędzy tymi wszystkimi namiotami i tipi czuł się jak w domu. W rzeczy samej, zaimportował sobie kilka własnych kobiet, żeby utrzymać pozory rodzinnego życia. Pewnego dnia siedzieliśmy w głównym namiocie rozrywek; chciałem, żeby wiedział, iż on i jego ludzie są tu traktowani jak nasi przyjaciele. Doszedłem do wniosku, że jeśli nie będę miał nic przeciwko dzieleniu z nim niektórych jego zwyczajów, on nie będzie miał aż tak wiele

* Big Dirt Road Maker (ang.) — dosłownie: Wielki Budowniczy Pylistych Dróg, lecz skrót Big Dirt oznacza po prostu: Wielki Brud.

przeciwko dzieleniu ze mną trudów wojaczki. Piliśmy mocne drinki, jak przystało na wojennych weteranów. Przehandlował mi trzy skórki — dwie kojocie i jedną rysią — za pełną flaszkę. Tej nocy zamierzałem uświadomić go, że zostanie wodzem plutonu — wielkiego czerwonego plutonu.

Big Dirt świetnie się bawił i zrobił się nieco rozmowniejszy niż do tej pory:

— Wiele księżyców temu, kiedy ojciec słońce pobłogosławił ziemię ogromną ilością kukurydzy, a bizony chodziły tłuste, mój ojciec dorwał moją matkę na ścieżce wśród zagonów kukurydzy. Rozumiesz? Dzięki temu jestem wielkim kochankiem, wspaniałym pijakiem i wielkim wojownikiem. Rozumiesz, dlaczego taki jestem?

Oczywiście, że rozumiałem.

— Ja sam dorwę dziś w nocy Little Jump i Squat... i spłodzę kolejnego wojownika, kochanka i pijaka.

Little Jump ważyła ze dwieście funtów i odkąd się tu pojawiła, potajemnie piła whisky. W odróżnieniu od wodza nie czuła się tu jak w domu i nie mogła zrozumieć, dlaczego wszystkie te Meksy- kanki i kobiety gringo nic nie robią poza seksem, i to co rusz z innymi mężczyznami. Ona należała do wodza. Dzięki temu cały czas żyła w zrozumiałym stanie zdumienia.

Wyprostowałem się i położyłem wodzowi dłoń na ramieniu. Podał mi swą butelkę, abym się napił, wyczuwając — jak to potrafią Indianie — że zbliża się wielki moment. Wypiłem. On się napił. A potem odezwał się, mówiąc głosem, w którym każdy rozpoznałby nuty charakterystyczne dla dżentelmena i generała — miałem nadzieję, że tak właśnie będzie się o mnie pisać w podręcznikach historii, jak o Napoleonie: Mały Kapral.

— Wodzu Big Dirt, niniejszym mianuję cię samodzielnym dowódcą wielkiego czerwonego plutonu i nadaję ci stosowną dla stanowiska władzę oraz przywileje.

Spojrzał na mnie czarnymi, rozbieganymi oczami, pociągnął kolejny łyk whisky, wyprostował się co nieco i odparł:

— Dobra, stary. Przyjmuję.

Na Boga wszechmogącego, oto człowiek, który potrafi podejmować szybkie decyzje. Wyprowadziłem go na dwór, gdzie jasno świecił księżyc, i wskazałem na jego tipi. Idąc w kierunku swego domostwa, od czasu do czasu obracał się dokoła i uważnie rozglądał. Doszedłem do wniosku, że to musi być oznaka typowej dla wojownika ostrożności, że sprawdza, czy aby gdzieś nie czai się nieprzyjaciel. Przyglądałem mu się uważnie, aby przekonać się, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi jednemu z naszych dowódców. My, oficerowie, musimy trzymać się razem.

Nagle zatrzymał się i spojrzał uważnie na małą kupkę leżącą na ziemi. Okazało się, że to Little Jump. Leżała płasko na plecach, kompletnie nieprzytomna. Big Dirt przyglądał się jej przez minutę w ogromnym napięciu; nawet nachylił się nad nią, żeby się lepiej przypatrzeć. Zachowywał się tak, jakby nie był pewien, czy to Litde Jump. Do diabła, ja to widziałem nawet z mojego miejsca! Ale potem przypomniałem sobie, że nie wszyscy ludzie obdarzeni są takim sokolim wzrokiem jak mój i potrafią wypić więcej whisky, niż krowa zjeść świeżego siana. Jasnym było, że Big Dirt nie jest przekonany co do jej tożsamości.

Spojrzał na księżyc, później złapał ją za mokasyny i przeciągnął jakieś ćwierć obrotu. Kiedy uniósł spódnicę, księżyc świecił tak, że dokładne oględziny były znacznie ułatwione. Ponieważ Litde Jump miała na sobie sporo spódnic, oglądanie okazało się dość trudne, lecz to nie zniechęciło oficera mojej armii. Ależ skąd! Poradził sobie z podciągnięciem wszystkich tych szmatek i pochylił się nisko, aby dokładnie zbadać temat. Usłyszałem, jak posapuje i syczy coś do siebie.

Little Jump nigdy nie dowie się, kiedy to się stało, ale Big Dirt wziął się do roboty i spłodził sobie następcę dokładnie tam, pod chłodnym blaskiem południowo-zachodniego księżyca. Nie sposób przewidzieć, co za wódz wyjdzie z takiego „dorwania”. Do diabła, może nawet prezydent Stanów Zjednoczonych albo burmistrz, czy generał, jak ja sam. Wiedziałem tylko, że to dobry znak.

Sprawy posuwały się naprzód. Maszyna Bootlesa pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę, na trzech zmianach. Runt

Kiedy już się ustawili, zarządziłem: — Sprawdźcie broń.

Na szczęście większość z nich dysponowała własną bronią - kradł bydlę i usiłował zapieprzyć się na śmierć ze swą świeżo poślubioną żoną. Robił się coraz bledszy i coraz bardziej chwiał się na nogach, podczas gdy Mary Lou robiła się coraz grubsza i coraz zdrowsza. Nie było wątpliwości, że jest najlepsza na świecie w liczeniu pieniędzy, poza tym, od czasu do czasu, powodowana dumą, lubiła udowadniać mi, jak świetnie wyszkoliłem ją w małżeńskich obowiązkach.

— Po prostu chcę, abys wiedział, jak dobrze się wyuczyłam — mówiła i robiła tę swoją sztuczkę z pocieraniem nóg o moje udo. Do diabła, jestem tylko człowiekiem, więc ją sprawdzałem. Robiłem to tylko po to, żeby sprawić jej przyjemność i podtrzymać jej wiarę w siebie. Poza tym takie było prawo Zachodu. Zdawało mi się, że jej umiejętności całkiem fajnie się poprawiły. W końcu doszło do tego, że gdy baraszkowaliśmy w namiocie kasy, przesunęliśmy środkowy słupek. Namiot zawalił się. Wyczołgałem się spod niego tak, że stanąłem twarzą w twarz z Melee.

W typowym dla mnie przebłytku geniuszu rzekłem:

— Dodawałem i odejmowałem nieco za szybko.

Melee uśmiechnęła się nie za szerokim uśmiechem i odparła:

— Idź już na tę swoją wojnę, a ja pomogę ustawić namiot z powrotem.

Doceniłem to i doszedłem do wniosku, że jest już dostatecznie późna pora, aby zacząć wojskowy trening. Kazałem więc jednemu z górników, żeby walnął w kocioł. Górnicy podlegali pod dowództwo Dooleya, jako drugi pluton. Indianie pod Big Dirtem tworzyli trzeci pluton, pierwszy zaś znajdował się pod dowództwem mego wiceprezydenta. Nie ustawiali się w szereg. Nie wierzyłem w to. Do licha, mamy współczesne czasy, a całe to stawanie w szeregu wydawało mi się cholernie staroświeckie. Poza tym sprawiało, że wrogowi łatwiej było celować. Jak w starym powiedzeniu: „Kaczki ustawione pod sznurek”. Zupełnie nie miało to dla mnie sensu.

leżało to w ich naturze, bo od tego zależało ich przetrwanie. Widziałem to tak: mieliśmy tu pewien rodzaj wojska cywilnego

— mieli prawo bawić się na farmach, na ranczach, kraść bydło, modlić się, bawić, uganiać za dziwkami, niczym zwykli ludzie, lecz jednocześnie byli regimentem, którego celem było wywalenie drani z Hi Lo. Mówię wam, był to rozsądny układ.

Z powodu zabaw, które miały miejsce poprzedniej nocy, kilku żołnierzy musiało być podtrzymywanych między kolegami, ale nie miałem na to wpływu. Gdybym miał, Mary Lou nie miałyby co liczyć. A to by się nam nie opłacało.

Kiedy tylko moi dowódcy plutonów policzyli swych ludzi i złożyli raport, że co najmniej dziewięćdziesiąt procent ludzi ma broń przy sobie, przygotowałem się do złożenia mego, jak zwykle budzącego ducha walki, oświadczenia. Jednak najpierw Big Dirt zwrócił moją uwagę na pewien problem.

— Generały liśodezwał się do mnie. I znowu, dokładnie tak jak pani Bodkins, która nazywała mnie Bobby Jackami. Ludzie zawsze myślą o mnie jako o więcej niż jednej osobie. Nic nie mogłem na to poradzić. — Generały, niektórzy moi indiańscy bracia nie pojmują działania strzelb. Oni chcą posługiwać się oszczepami i łukami.

— Wodzu — odparłem. — Powiedz swym indiańskim braciom, że sam chciałbym wiedzieć, jak posługiwać się tą bronią. Nic bardziej nie ucieszy moich oczu, niż widok Gradella przykłu- tego oszczepem do wysokiej na osiem stóp góry świeżego, świńskiego nawozu.

Odezwał się po swoim do oddziału, na co oni wzniesli broń i okrzyki pełne radości. Na ten widok moje serce oblało ciepło i zadowolenie. Dało mi to też pewność, którą i tak — oczywiście

— zawsze posiadam.

Ciągnąłem:

— A teraz, moi żołnierze, odpocznijcie nieco po trudach wojskowych ćwiczeń i pójdźcie sobie do namiotu rozrywek. Za kilka godzin chcę się spotkać ze wszystkimi dowódcami na naradę wojenną.

Melee poszła za mną na stronę, gdzie zamierzałem w samotności borykać się z moimi ogromnymi problemami. Miała ciężką noc. Ci bandyci z północy mocno ją nadużyli tu i ówdzie.

Przeprosiła za swój wygląd: : Ostatnio trochę za dużo pracuję.

— Rozumiem — odparłem łagodnie. Ponieważ sam miałem podobne problemy, okazałem jej właściwe zrozumienie.

— Bobby Jacku, kiedy zaatakujemy, chcę, żebyś obiecał zostawić mi tę dziwkę Dorothy. Już ja się nią zajmę. — Kiedy się nie odezwałem, dodała: — No i?

Postąpiłem trzy kroki naprzód, podniosłem kamień i rzuciłem go jak najdalej w dół zbocza wzgórza. Podniosłem uschnięty patyk, połamane go na cztery kawałki i ułożyłem z nich stosik. Obszedłem ten stosik, nucąc pod nosem wojenną pieśń Rewolucji Francuskiej. Gdybym znał słowa, mógłbym ją zaśpiewać na głos.

— Wiesz przecież, że jest zdrażczynią, dezterem... i że... marnie daje dupy!

— Oczywiście, oczywiście, oczywiście. Właśnie zamierzałem to powiedzieć.

— Noi?

Tylko tyle tych cholernych „No i?” mogłem znieść.

— Jest twoja, kochanie, ale nie załatwiał jej na amen, bo może się jeszcze przydać, jak sprzątaczką, albo co. Przecież wiesz, jak zależy mi na czystości w mieście.

Melee podbiegła i mocno mnie uściśnęła. Jeżeli ktokolwiek, to na pewno generał musi zachować spokój pod ostrzałem. Musiałem poprowadzić wielką konferencję, więc tylko wziąłem ją na krótki spacer i nie robiłem nic, poza trzymaniem jej za rękę i wygłaszaniem pocieszających słów, takich jak:

— Kiedy bitwa dobiegnie końca, zostaniesz burdelmamą numer jeden i szefową wszystkich domów i operacji.

To sprawiło, że omal nie posikała się ze szczęścia. Albo tak mi się wydaje, bo nagle zadarła spódnice, spuściła gatki i zrobiła to na środku ścieżki. W każdej innej chwili przywołałbym ją do

porządku, bo załapała kępę dzikich stokrotek, które zmarniały na moich oczach. W swym entuzjazmie dziewczyna po prostu zapomniała, jak bardzo zależy mi na utrzymaniu tej krainy w pięknie i czystości. Odwróciłem wzrok od tego grzechu i spojrzałem na odległe szczyty gór, rozmyślając o moim ogromnym imperium.

Rozdział dwudziesty

Nadszedł czas na radę wojenną. Spędziłem kilka godzin na ponownym przeglądaniu mej książki. Ponieważ byłem tak zajęty, mogłem coś przegapić. Była taka jedna wyjątkowa sztuczka, którą stary Nap powtarzał ciągle i ciągle od nowa, i chciałem ją teraz zastosować.

Zebrałem w namiocie głównym Big Dirta, Runta, Dooleya i Melee.

— Dooley, czy zdasz nam raport ze swych działalności szpiegowskich, zanim przejdziemy do ostatecznego planu?

— Tak jest, już się robi, Bobby Jacku.

Dooley wyjaśnił, że interes w Hi Lo idzie marnie z wyjątkiem najemnych zbirów Gradella, a i oni w połowie nie płacą.

— Dobrze. Doskonale — powiedziałem, a wszyscy pokiwali głowami, że to faktycznie doskonale.

Dooley opowiedział nam, jak farba zaczyna zlać z budynków, jak gwoździe się obłuzowują, a ten cholerny, gówienny kurz na ulicach sprawia, że ludzie mają problemy z oddychaniem, bo Gradell nie pozwala nawadniać ulic.

— To naprawdę fatalnie. Fatalnie — mruknąłem i wszyscy pokiwali głowami, że to faktycznie fatalnie.

Wedle sprawozdania Dooleya w radzie miasta nie istniała już posada kontrolera sikania. Muchy latały wszędzie, nie tylko po tylnych alejkach, gdzie ich miejsce.

Boże, miej litość! To ostatnie naprawdę mnie zabolalo — po wszystkim, co zrobiłem, aby to miasteczko było czyste! Zdaje się.

że ludzie szybciej ciągną wszystko w dół, niż ty dajesz radę wepchać to pod górę.

—Czy sam Gradell jest w mieście?

—Niektórzy chłopcy twierdzą, że tak.

Potem chciałem się dowiedzieć, dlaczego Gradell nie zaata- [kował Tymczasowego Miasta wszystkimi dostępnymi sobie siłami. Dooley zameldował, że Gradell po prostu wykoncypował sobie, że zimowe chłody i wiatry i tak wykończą miasteczko złożone z namiotów.

—Całkiem rozsądnie — mruknąłem. — Oczywiście, on nie Ima pojęcia, że już wkrótce będziemy mieszkać w miasteczku, w tych miłych, ciepłutkich domach.

To przyniosło mi gromkie brawa od publiczności.

Wyprostowałem się jak należy i dodałem:

— A teraz plany. — Wszyscy zgromadzili się dokoła wielkiej mapy. — Sam lo narysowałem... rŁ»Do diabła, czyż przez wiele miesięcy nie studiowałem map mistrza? Oczywiście, że miałem własne pomysły, niektóre może nawet lepsze od jego pomysłów. Wskazałem na miasteczko, nasze wzgórze i wszystko pomiędzy. — Pamiętajcie, że nie chcę zniszczyć miasteczka. — Wszyscy patrzyli na mnie z oczekiwaniem. Pozwoliłem im nieco poczekać, aby lepiej mnie słuchali, a potem wyłożyłem im wszystko jak trzeba: — Big Dirt zaatakuje prosto ze wzgórza. Niektórzy ludzie będą mieć pochodnie, jakby chcieli podpalić miasteczko. — Spojrzałem na Big Dirta, a on spojrzał na mnie i wiedziałem już, że się rozumiemy.—Może i Gradell jest głupim sukinsynem, lecz nawet on wie, że spalone miasteczko nie przyniesie mu dochodów.

Runt strasznie się podniecił i wtrącił: — W ten sposób Indianie po prostu wyprą rewolwerowców z miasteczka. Później cofną się i wrócą na wzgórze.

—Oczywiście, oczywiście! — wrzasnąłem. Czy ten mały wypierdek nie wiedział, że to, co przed chwilą powiedział, ja wyczytałem już godzinę temu? W rzeczy samej, zacząłem się zastanawiać, czy aby nie wślizgnął się potajemnie do mego namiotu i nie czytał mi przez ramię.

A Runt cały czas trajkotał, podskakując w górę i w dół, usiłując jeszcze bardziej wykręcić swój pokrzywiony nochal.

— Wtedy zasadzimy się na nich z dwóch stron na wzgórzach i ocalimy miasteczko. Tak? — Spojrzał po nas szeroko rozwartymi oczyma.

Odetchnąłem szeroko, wygładziłem mapę, odkaszałem, wskazałem na dolinę, do której będą ścigać Big Dirta, i wyjaśniłem, jak Runt schowa za wzgórzami z jednej strony, a Dooley ze swoimi chłopcami z drugiej, dopóki rewolwerowcy nie dojadą do pewnego punktu. Wtedy lup! To bardzo proste. Kiedy tylko bitwa dobiegnie końca, poprowadzę wybraną grupę do miasteczka, aby dokończyć dzieła. Nie spodziewałem się tam zbyt wielkiego oporu, bo znałem już słaby charakter jego mieszkańców. Melee miała iść zaraz za nami z kobietami i dziećmi jako oddział sprząający. Chciałem, aby miasteczko wróciło do porządku wraz z saloonami i dziewczętami, zanim zajdzie słońce. „!§| Wszyscy wszystko zrozumieli?—Zrozumieli.—Jeszcze jedna rzecz. Dorothy należy do Melee. Taka jest umowa, ale Gradell należy do Bobby Jacków Smithów! — Na rany koguta, ludzie chyba mieli rację. Oto ja sam mówiłem o sobie w liczbie mnogiej.

Zebranie dobiegło końca, a teraz musiałem dokonać osobistej, dokładnej inspekcji wojsk przed bitwą. Personalna rozmowa z dowódcą da ludziom poczucie pewności siebie.

W namiocie przeznaczonym na saloon wrzała zabawa. Kiedy wszedłem, już po odgłosach poznałem, że interes kręci się jak trzeba. Obszedłem różnych członków naszego wojska i robiłem, co do mnie należy. Stary Jednouchy Smith — oczywiście, żaden krewny — siedział tam, trzymając na kolanach jedną z moich dziewcząt, a kiedy spytałem, czy jest przygotowany, podniósł butelkę, opróżnił ją i wyciągnąwszy rewolwer, przestrzelił dach namiotu. Nic nie powiedział, lecz nie było to konieczne. Ten jednouchy drań był gotowy! Poklepałem go po ramieniu i powiedziałem głosem, który rozwiewał wszelkie wątpliwości:

— Świetnie, świetnie!

Na to samo pytanie Zabójca Joe Newton uśmiechnął się szeroko, ukazując idealnie czerwone dziąsła, i odparł:

— Yaaarr!

Potem rozwalił blat baru pięścią. Zatrzymałem się, aby pomóc mu wyciągnąć rękę z otworu. Przywódca musi udowodnić swym ludziom, że zawsze mogą na niego liczyć w potrzebie. Nie było sensu, abym dalej marnował swój cenny czas. Wszystko szło tak dobrze, że lepiej już i tak nie będzie.

Poszedłem przetestować Produkt i jednocześnie odwiedzić Bootlesa i jego drużynę. Jego kuzyni uśmiechali się i uchylali kapeluszy, zamiast zwyczajnie salutować. Bootles kontrolował produkcję, a żeby produkt zawsze był najlepszej jakości, cały czas go próbował. Aby zewyfykować jego opinię i upewnić się, że nie jest samochwałą, jego pomocnicy też co chwila próbowali. Powiedziałem im, jak bardzo podziwiam ich ciągle zaangażowanie w ulepszanie Produktu. Boodes skłonił głowę, pociągnął się za nos i odrzekł:

— Jesteśmy ci zobowiązani. Naprawdę się staramy.

— Taak, pewnie, że tak — potwierdził jeden z kuzynów. ••;- - — Pewnie, pewnie — dodał inny.

— Ach, doskonale — rzekłem, spróbowaawszy samemu.

Bootles ponownie pociągnął się za długi nochal i powiedział:

Wiesz... zbliżam się już do końca życia zawodowego... więc muszę zakończyć pracę tak, aby wszyscy mnie popamiętali.

Pani Bodkins szefowała w kuchni. Na zewnątrz namiotu rozstawiła do stygnięcia ciasta z dynią. Były wszędzie — na palach, na pniakach, na kamieniach i na wozach. Kiedy ją o to spytałem, odgarnęła te swoje mysie włosy z oczu, uśmiechnęła się, ukazując dziewięć zębów, potarła fartuch na lekko wystającym brzuchu i wyjaśniła:

— Po prostu pomyślałam sobie, że dobra kąpiel i ciasto z dynią pomogą chłopcom nieco odprężyć się przed bitwą i wznieć w nich ducha walki.

Jeśli to nie jest przykład rozsądnego myślenia i szczerego oddania, jakie nieczęsto można spotkać na tym świecie, to niech mnie gęś kopnie. Żałowałem, że nie mam medalu, który mógłbym

jej przypiąć, lecz zamiast tego nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek. To tak bardzo ją rozradowało, że pobięła napić się nieco Produktu.

— Czuję się tak, jakbym zaraz miała zemdleć z wrażenia — wyjaśniła.

Widziałem, że faktycznie zaraz poczuła się lepiej, bo wróciła do mieszania ogromnego gara zupy; mimo to zerkała na mnie spod oka i chichotała sama do siebie. Dała mi miskę zupy i kawałek ciasta. Przełknąłem to tak, jakbym zaraz miał umrzeć z głodu, wszystko, żeby tylko sprawić jej przyjemność. Widziałem, że podziało, po sposobie, w jaki zaczęła szybciej chichotać. I głośniej też.

Przekonałem się, że od zaplecza kuchennego nie powinienem spodziewać się żadnych kłopotów, więc pokłusowałem porozmawiać z Mary Lou. Zaczęła patrzeć na mnie w ten swój sposób pomiędzy liczeniem pieniędzy, więc wyniosłem się stamtąd do wszystkich diabłów, mówiąc na odchodnym: Włóż worek do pieniędzy, kochanie.

A kiedy odparła: — Co takiego? — ^ na szczęście byłem już daleko. Do diabła, potrzebowałem wszystkich sił na dzisiejszą bitwę.

Wódz Big Dirt dorwał mnie na samym środku placu.

— Bobby Jacki.

— Taak?

— Mam wielką wizję.

— Taak. Naprawdę?

— Kiedy tak sobie o tym myślę, to chyba będzie lepiej, gdy ci to powiem. ■— Stałem i słuchałem go uprzejmie. Ciągnął: — Zdaje mi się, że lepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną.

Kiedy jeden wódz rozmawia z drugim, trzeba poświęcić mu nieco uwagi. Okazać nieco szacunku. Więc poszedłem za nim do jego tipi.

— Arr. Arruuf! — warknął i jego kobiety rozpierzchły się niby kurczaki przed jastrzębiem. — Wczoraj wraz z szamanem spotkaliśmy duchy. Widzieliśmy wiele rzeczy.

Przykucnąłem na jakimś dywanie, usiłując zachowywać się

po indiańsku. Wziął kilka świeżych liści cedru i wrzucił je do małego ogniska, które płonęło pośrodku namiotu. Strasznie \ śmierdziały. Kiedy spaliły się już na popiół, przerzucił je do W miseczki i podetknął mi pod nos. Dym zawiercił mi w nosie i zakaszlałem, lecz ukryłem to, mówiąc:

— Trochę się przeziębilem.

Zaczął coś nucić, przesuwając miseczkę w tę i z powrotem pod moim podbródkiem. Kiedy już skończył, przykucnął obok mnie i podał mi kilka naczynek z szarym świństwem wielkości ziarenek słonecznika.

— Pejod — wyjaśnił. — Sprawę, że usłyszysz moją wizję. Może nawet ją zobaczysz.

Przeżulem ten cholerny, gorzki guziczek i przełknąłem go. Muszę przyznać, że w przepelnionym dymem powietrzu tipi zajęło mi to trochę czasu. Po jakiejś trzeciej próbie poderwałem się i wypadłem z namiotu, po czym wyrzygałem się w krzaki. Kręciło mi się w głowie i nie widziałem przed sobą ani jednej stałej rzeczy. Nagle pojawił się pies i stanął pośrodku tego, co kiedyś zjadłem na lunch. Wydało mi się to ciut dziwne, bo wiem, skąd wzięła się zupa i ciasto z dyni, lecz nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy połknąłem psa. Wódz pomógł mi się pozbierać i zaciągnął mnie z powrotem do tipi. Poczulem się lepiej i już wkrótce zeżarłem pół garści tego świństwa.

Siedzieliśmy i gdzieś z wielkiej oddali usłyszałem jego głos:

— Już niedługo odnajdziesz wielkie miasto, ogromne ranczo, olbrzymie stada bydła i mnóstwo złota.

— Widzę to! Widzę! — wrzasnąłem, bo to wcale nie była taka znowu trudna wizja.

— Widzę też jakąś osobę. Osobę przedzieloną na pół, niczym stonoga. Rozumiesz?

Cóż, było to głupie pytanie, zwłaszcza jak na wodza. Do licha, ciotka, ta sama, która czytywała mi Biblię, dawno temu mi powiedziała, że jeśli przetnie się stonogę na pół, obie części zaczną żyć. Jedyнным sposobem, żeby ją zakatrupić, jest zmiażdżyć ją kamieniem.

Big Dirt śpiewał sobie jakąś piosenkę pod nosem, podczas gdy ja widziałem czterdzieści cztery miliony krów przebiegające przez Nowy Meksyk i Południową Amerykę, które to krainy należały do mnie. Zobaczyłem długie pociągi pełne złota wydobywanego z należących do mnie kopalni, wraz z rzeką Produktu płynącego do niezliczonych butelek. Później zobaczyłem Gradella.

— Widzę tego gównojada! Tego gwałciciela skunksów! Tego zdrajcę, sukinsyna!

— I dobrze — mruknął wódz, na moment przerywając swoje śpiewy.

Był już zmierzch, kiedy przestałem mieć wizję; właściwie to nawet się cieszyłem, że się skończyły.

Mieliśmy mnóstwo roboty przed atakiem o świcie.

Runt przyszedł do mnie na chwiejnych nogach.

^ Domyślam się, że gadaliście z wodzem o tańcu wojennym?

Wydmuchnąłem z siebie całe mnóstwo oparów pejotlu, poprawiłem pas z amunicją, oparłem się o drzewo i mruknąłem:

— Boże wszechmogący, jasne, że tak.

Pewnie powiedziałeś mi też, że skoro my i tak nie będziemy w stanie spać dziś w nocy, to taniec wojenny utrzyma Hi Lo na nogach i w zdenerwowaniu, dokładnie tak samo jak nas. — Widząc moje twarde spojrzenie, po prostu przyznał: — Powinienem był wiedzieć, że tak zrobisz. Przepraszam.

Od razu zająłem się tą sprawą. Kazałem pani Bodkins zwlekać z kolacją tak długo, jak tylko zdoła.

Pomaszerowałem do barmanów i poinformowałem ich, żeby zaczęli pić klientów, ile wlezie. Nie chcieliśmy, żeby ktoś nam zemdłał następnego ranka. Powiedziałem wodzowi, że tańce mogą się zacząć dopiero po kolacji. Rozpaliliśmy ogromne ognisko i ściągnęliśmy mnóstwo drewna, żeby paliło się całą noc.

Zawołałem Melee i spytałem, ile dziewczyn obecnie pracuje.

Rozejrzała się po namiotach i policzyła na szeroko rozstawionych palcach:

— Dziesięć. Nie, jednaście. Tam mamy Shirley i Jednouchego Smitha.

— Dobra, niech to tak zostanie. Daj znać dziewczynom, że dziś w nocy nie będzie żadnych więcej figli. Oczywiście, z wyjątkiem tych, którzy już się bawią. Tak jest sprawiedliwie.

— Ależ oczywiście — zgodziła się Melee, po czym dodała słodko: — Bobby, chcę ci tylko powiedzieć, jak bardzo jestem dumna z tego, że powiedziałeś przy wszystkich, iż Dorothy należy do mnie.

— Ach, kochanie, to nic takiego. Zasłużyłaś sobie na to.

— Mam nadzieję, że już wkrótce będę ci mogła pokazać, jak bardzo to wszystko doceniam.

— Jutro w nocy, kochanie.

— A dasz mi te słowa? ii-rr^ : Słowa też.

— Och, och, ooch! — I znowu jedna z jej ślicznotek wyskoczyła spod stanika. Szybko odwróciłem wzrok i spojrzałem na księżyc... i niech mnie szlag trafi, jeśli nie wyglądał dokładnie tak, jak ten cycuszek Melee. Spojrzałem z powrotem na ciemną ścieżkę na ziemi, żeby tego typu myśli nie zaprzętały więcej mego zapracowanego umysłu.

Ustawiłem wartowników na wszystkich właściwych miejscach, po czym powiedziałem pani Boodesowej Bodkins, żeby zaczęła bić w gong na kolację. Wszyscy brali po dwie albo trzy dokładki tej jej zupy, a kończyli posiłek ogromnymi kawałkami ciasta z dynią. Wreszcie nadszedł czas na hulanki.

Najpierw mieliśmy taniec przyjaźni, w którym wszyscy chwycili się za ręce i tańczyli wokół ogromnego ogniska przy wtórze bębnów. Później Indianie zaczęli swoje zawodzenia. Na początku były wolne, lecz z czasem przybierały na tempie i stawały się coraz głośniejsze. Siedzieliśmy i obserwowaliśmy to, a krew huczała nam w żyłach do taktu bębnom. Im one waliły w dzikszym tempie, tym my czuliśmy się bardziej dzicy. Trudno było powstrzymać się od zaatakowania w ciemności.

Wysmyknąłem się do mojego teleskopu, żeby zerknąć na Hi Lo. Taak, widziałem, jak biegają z pochodniami i ustawiają wozy przed miasteczkiem, a na nich całe mnóstwo różności, żeby

przygotować się do odparcia jutrzejszego ataku. Doskonale. Chcieli utrzymać walkę poza granicami miasteczka, dokładnie tak, jak to mądrze zaplanowałem. Rozwodniona whisky utrzymywała wszystkich w świetnych nastrojach. Wydawało mi się, że lepiej już tego nie można było zaplanować. Bo niby jak, po wszystkich tych moich godzinach wytężonej nauki? Wykształcony człowiek, taki jak ja, nie popełnia błędów.

Właściwie nie myślałem o Gradellu. Teraz, skoro już zobaczyłem go w wizji, nie mógł się ukryć przede mną w żadnym zakątku świata. To już nie miało znaczenia. Dorwę Gradella w Dirt Town jutro przed południem.

Powiedziałem pani Bodkins, żeby nic nikomu nie dawała do jedzenia, dopóki nie wygramy bitwy i nie uprzątniemy miasta. Do diabła, wszyscy wiedzą, że ludzie i kojoty lepiej biegają i lepiej walczą o pustym żołądku.

Indianie krzyczeli i tańczyli na sztywnych nogach ten swój taniec, odrzucając głowy w tył i wyjąc do księżycy. Noc zamieniała się w świt.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Tuż przed świtem zacząłem swoje manewry. Pojechałem i zaprowadziłem Runta wraz z jego bandą na prawą flankę; natychmiast rozproszyli się i przygotowali broń. Na lewą flankę zaprowadziłem Dooleya, jego górników i wszystkich bandidos z północy i ustawiłem ich w ten sam sposób. Dobrze, że Indianie nadał tańczyli, bo tak duże mchy wojsk mogłyby zostać zauważone z dołu. Kobiety i dzieci zgromadziłem przed namiotem rozrywek. Byli uzbrojeni w miotły, szczotki, ręczniki, widły i inny sprzęt dogodny do szybkiego sprzątnięcia tego, co wkrótce znowu zostanie nazwane Out Town. Melee objęła tu dowodzenie, a jej oficerami były pani Bodkins i Mary Lou. Poklepałem każdą z nich z powagą; nie trzeba tu było słów — wszyscy wiedzieli, co mają robić.

Końskie kopyta przeleciały z tętentem obok mnie. Indianie wrzeszczeli i wymachiwali oszczepami, pochodniami, strzelbami, a także łukami i strzałami. Nie dość, że jechali z góry, to jeszcze byli szalenie szybcy. Przeciwnicy byli tak zaskoczeni, że przez jakiś czas nawet nie strzelali. Nasi mężczyźni zaczęli się łamać; wtedy właśnie Hi Lo otworzyło się przed nami. Straciliśmy paru naszych, bo jeździli w kółko i wyli jak potępieńcy tuż przed barykadami. Wystarczyło tego, żeby wrogowi nie tylko zawróciło się w głowie, ale żeby też ogłuchł. Potem wódz Big Dirt zawrócił i krzyknął coś do swoich. Cud pański, że go w ogóle w tym rwetesie usłyszeli, ale jakoś im się to udało. Zawrócili i pognali na wzgórze niczym banda najchórzliwszych drani z piekła rodem. Drużyny z Hi Lo dały się na to nabrać i większość

Indianie tańczyli i śpiewali. Byli już w stanie kompletnego szału. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób zyskują siły, tańcząc do białego rana, lecz najwyraźniej zyskiwali je. Będę musiał uważniej przyjrzeć się tym ludziom. To była kolejna mała szparka, którą odkryłem w swym wspaniałym wykształceniu. Zajmę się tym, gdy tylko w miasteczku i całej krainie przywrócę porządek.

Przyglądałem się wschodowi i wkrótce zobaczyłem, jak stare słońce przesuwa się ku górze świata i odpycha panującą na nim szarość. Indianie zdążyli już wygrzebać dziury w ziemi swoimi mokasynami. Dałem znak wodzowi, a on przekazał go szczepowi. Wszystko zamarło w bezruchu. Nic się nie poruszało. Tylko serca waliły w nas, jakby wrzeszcząc: „No, dalej, dalej!” Zaczekałem dobre dziesięć minut. Chciałem, żeby te szumowiny w dole zaczęły mdleć i widzieć ciemne płatki przed oczami.

Potem podszedłem na krawędź wzgórza; Indianie wsiedli na swe konie i ustawili się we właściwym kierunku. Wyprostowałem się tak bardzo, że chyba nigdy nie wydawałem się wyższy, podniosłem w górę jedno długie ramię i wydałem potężnie pierś. Czulem, że krewki duch starego Napa stoi przy mnie i życzy mi powodzenia, wiedząc, jak pilnie studiowałem jego poczynania. Potem opuściłem ramię i wrzasnąłem: — Do ataku!

ich bandziorów pobiegła za Indianami na wzgórze pieszko, choć paru miało dość rozumu, by wsiąść na konie.

Stałem w takim miejscu, żeoba plutony, a także wódz Big Dirt doskonale mnie widzieli. Czekalem i czekałem, aż wróg zapuści się tak daleko na wzgórze, że nie będzie miał jak zawrócić. Ponownie wyprostowałem się po królewsku i opuściłem ramię niczym katowski topór. Z prawa i z lewa wysypali się zza pagórków moi ludzie i z wrzaskiem ruszyli przed siebie, wtedy Indianie zawrócili i też rzucili się do walki. Mieliśmy ich!

Skinąłem kobietom, odwiązałem konia i pomknąłem z furją do bitwy, dzwoniąc przy tym ostrogami niczym dzwoneczkami. Strzelałem z morderczą celnością, usiłując trafić po dwóch za jednym razem. Padali jak obślizgłe muchy! Gestem nakazałem moim wiernym ludziom, by jechali za mną. Bitwa skończy się szybciej, niż się spodziewałem.

Kobiety z dziećmi ominęły główne centrum walk i biegły właśnie w stronę miasta, kiedy minąłem ich wraz z moją bandą. Przelecieliśmy galopem przez główną ulicę; gestami kazałem moim ludziom zająć kilka budynków, sam zaś pędziłem do biura burmistrza. Na wzgórzu strzelanina ustawała, a w uliczkach miasta usłyszałem zaledwie kilka wystrzałów. Zdaje się, że miały na celu ściągnąć na siebie uwagę i szacunek.

Zatrzymałem się z lekkim poślizgiem przed moim dawnym biurem, zeskoczyłem z konia i kopnięciem otworzyłem drzwi. Cóż za widok ukazał się moim oczom! Caldingham właśnie wspinał się na parapet, usiłując umknąć przede mną. Strzeliłem za nim w chwili, kiedy zniknął za oknem. Sędzia siedział skulony w kącie, skąd pomachał do mnie nieśmiało, lecz nie miałem czasu mu odmachać.

Dorothy chowała się za biurkiem, a kiedy szarpnięciem postawiłem ją na nogi, wykrzyknęła:

— Och, Bobby Jacku! Myślałam, że nigdy nie wrócisz, mój ukochany!

Złapała mnie za szyję tak mocno, że po prostu wyciągnąłem ją z biura i na ulicę, zanim zdołałem się wyswobodzić. Upadła na

ulicę. Widziałem, że Melee już do niej podchodzi i zrozumiałem, że wkrótce wszystko będzie pod kontrolą.

Wróciłem pędem do środka, powiedziałem sędziemu, żeby się nie martwił, bo chcę, żeby przeprowadził dla mnie ceremonię ślubną — może nawet dwie. Pomachał znowu i podziękował mi z czymś, co uznałem za oznakę wdzięczności. Mogłem się pomylić, ale chyba nie, bo przecież ja w ogóle rzadko się mylę.

Potem kopnięciem otworzyłem kolejne drzwi i zobaczyłem szeryfa z uniesionymi wysoko rękami. Podeszedłem i zabrałem mu broń, co i tak było tylko dla niego komplementem, bo on przecież nie ma pojęcia, jak się nią posługiwać. - — Dlaczego nie bierzesz udziału w bitwie? — spytałem.

— Och, no cóż... — odparł natychmiast. — Widzisz... widzisz... ktoś musiał zostać, żeby pilnować kobiet i dzieci.

Przyznałem, że faktycznie ktoś powinien to robić, ale kiedy przyjrzałem się celom dokoła i zajrzałem pod biurko, przekonałem się, że nie ma tu ani jednej kobiety i ani jednego dziecka. Och, do diabła, i tak byłby z niego fajny szeryf. Dokładnie pasował do naszego czystego, ładnego miasteczka. Co prawda nie miałby kompletnie nic do roboty, poza oliwieniem swej broni, lecz mógł od czasu do czasu nosić wiadomości chłopakom nawadniającym ulice i kontrolerowi sikania.

Poszedłem do banku i tam usłyszałem od przewodniczącego: — Strasznie się cieszymy, że nasza rada dyrektorów znowu jest w pełnym składzie. Poza tym ostatnio jakoś marnie stoimy z depozytami.

Szczerze mówiąc, zrobiło mi się ich szkoda. Oczywiście, ludzie, którzy wygrywają, tak jak ja, mogą sobie częściej pozwolić na współczucie. Zapewniłem ich, że depozyty zaczną wpływać z samego rana, zwłaszcza te na moje osobiste konto. Podziękował mi tak bardzo, że się zawstydzilem i wyszedłem.

Wyszedłem na ulicę. Aż się roilo na niej od członków ekipy sprzątajacej, którzy czyścili, malowali, przybijali obluzowane gwoździe i przycinali drzewka. Dokładnie pośrodku nich znajdowała się Dorothy, która na kolanach z zacięciem czyściła ganek

„Miauknięcia Kota”. Widziałem łyse plamki na jej głowie tam, gdzie niegdyś miała włosy. Jakoś nie wyglądała tak elegancko jak przy naszym pierwszym spotkaniu.

Zauważyłem, że za zbiornikiem na węgiel kryje się jeden z członków rady miejskiej. Powiedziałem mu, żeby wraz z kolegami poderwał zwiędłe cztery litery i zabrał się do nawadniania ulic.

— I to już! — wrzasnąłem.

Nie musiałem się martwić o dziewczynki. Wiedziałem, że jak najszybciej zaczną ustawiać domek dla nocnych rozrywek. Do diabła, wszak były zawodowcami!

Mniej więcej w tym czasie, kiedy zastanawiałem się nad przemianowaniem Hi Lo z Our Town na My Town, zdałem sobie sprawę z tego, że umknął mi jeden szczegół. Gradell! Zacząłem kłusować bocznymi alejkami aż do starego domku za sklepem, zabitego od lat deskami. Usłyszałem w środku ogromne zamieszanie. Drzwi się otworzyły, a ze środka wypadła bryczka, na której siedział strasznie gruby facet i kobieta w purpurowej sukni, którą widziałem wiele razy skrytą za welonem.

Uniosłem ramiona i wrzasnąłem:

— Hej! Prrr! Stój!

Ale drań tylko przyłożył koniom batem i usiłował mnie przejechać. Do diabła, nie powinien był tego robić! Kiedy tylko przejechali obok, wyszarpnąłem rewolwer szybciej, niż ludzkie oko jest w stanie zarejestrować, i strzeliłem mu w plecy. Spadł. Kobieta w purpurze schwyciła lejce przestraszonych koni. Dmuchałem w lufę broni, na wypadek gdyby znajdowała się na niej jakaś sadza albo brud, i podszedłem porozmawiać z dżentelmem -jeżeli cokolwiek z niego zostało. Kobieta zatoczyła koło i zatrzymała się obok powalonego mężczyzny. Zeskoczyła i uklękła obok niego. Leżał na boku, odwrócony do mnie plecami.

Przyłożyła palec obok dziury w jego plecach i odezwała się mnie smutno:

— Bobby Jacku Smith, przestrzeliłeś mojego asa!

Zakręciłem stopą w kurzu i odparłem:

— Po prostu jechał w tę stronę, w którą ja strzelałem.

— Strzelanie ludziom w plecy to tchórzostwo — jęknęła.

— Nie, pani szanowna;^ nalegałem. — To po prostu ostrożność.

Mimo oczywistej prawdy tego stwierdzenia, ona wydawała się nie rozumieć. Zaczęła płakać i łkać, i widać się nad nieszczęśnikiem; podszedłem, chcąc ją pocieszyć i jednocześnie przekreśliłem faceta na plecy.

— Witaj, Gravy King! — rzekłem wesoło.

Usiłował splunąć mi w twarz, lecz nie mógł zebrać dość plwociny. Kobieta zrzuciła kapelusz z woalką i zobaczyłem przed sobą moją... pannę Delię Craven, nauczycielkę. Na rany koguta! Gravy... Della — te dwa imiona połączone... dają Gradella! To było tak proste, że mój doskonały umysł musiał to przeoczyć.

Ostrożnie podłożyła mu kapelusz pod głowę i znowu zaczęła płakać. Mam bardzo czułe serce jak na człowieka, który potrafi walczyć i myśleć niczym sześć tygrysów. Te łkania rozdzierały mi serce.

Wycelowałem jej prosto w głowę i powiedziałem: , t— Nie mogę tego znieść. Zamknij się, proszę.

Zachłysnęła się i spojrzała bez strachu na lufę mego rewolweru.

— No, dalej — rzekła. ~ Moje serce należy do Boga.

— Może i twoje serce należy do Boga, kochanie—odparłem. — Ale twój tyłek jest mój — to mówiąc, szarpnięciem przysunąłem ją do siebie i wyszeptalem SŁOWA do jej uszka tak, jak jeszcze nigdy do żadnego na tej ziemi.

Spodziewałem się, że panna Della upadnie na ziemię i rozewrze nogi. Jednak nie. Zamiast tego spojrzała na mnie tak, jakbym był wielką kupą gnoju. Nigdy specjalnie nie zależało mi na tego rodzaju uwadze. Pokręciłem jeszcze butem w piachu i jednocześnie zacząłem się zastanawiać, gdzie po raz pierwszy poniosłem porażkę.

Ponieważ nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi, spytałem:

— Gdzie się podziewałaś, Delio? Jakim cudem, tak ot, zniknęłaś? Co?

Spojrzała na mnie jeszcze paskudniej i odparła:

— To nie twój zasrany interes.

— Jak to nie? Zostawiłaś mnie na tych okrutnych pastwiskach na wpół wyedukowanego! Tak się nie traktuje dobrego ucznia!

Zerknęła na Gravy'ego, a potem z powrotem na mnie. Widziałem, że niespecjalnie się cieszy z ostatnich wydarzeń. Przypomniałem sobie, co powtarzał wielki Napoleon Bonaparte: „Kiedy masz wątpliwości, atakuj!”

— Posłuchaj mnie dobrze— warknąłem, przebierając palcami w butach. — Nie tylko zostawiłaś mnie w potrzebie, choć ci ufałem, ale i wyjechałaś właśnie w chwili, kiedy zaczynałem cię kochać i szanować!

Teraz popatrzyła na mnie nieco inaczej. Widziałem, że ładne słówka znowu działają.

— Cóż... chyba mogę ci to powiedzieć... widząc, że Gravy jest... połączyłam siły z panem Kingiem... zdawało mi się, że to dobry pomysł... miał tyle bydła... i pieniędzy, a także władzy... A ja właśnie tego chciałam.

Wpatrzyła się w stado jaskółek lecących przez moje czyste powietrze i zaczęła jeszcze raz:

— Moi rodzice omal nie zaharowali się na śmierć na małym, twardym skrawku ziemi, żebym mogła zdobyć wykształcenie i zająć się nauczaniem.

— Cóż, odwalili kawał wspaniałej roboty—rzekłem pomocnie.

—Ale to nie było dość, Bobby Jacku. Moi rodzice są schorowani. Teraz są bezradni na swojej farmie. To tylko dwoje zużytych ludzi na zużytej ziemi, którzy czekają, aż ktoś przyjdzie i wykopie im dwie dziury, aby wreszcie mogli umrzeć. A nauczycielka mieszkająca w jednym pokoiku nad szkołą nie jest w stanie zarobić na jedzenie i ubranie dla samej siebie. Nie miałam jak pomóc tym dwojgu ludziom, którzy dosłownie wszystko poświęcili dla mnie... dla mnie!

W jej oczach zebrały się smutne łzy. Zresztą ja sam przelykałem częściej niż zwykle i machałem powiekami nad oczyma

jakieś dziesięć razy szybciej niż zwykle. Miała charakterystyczny głos jednego z tych potężnych kapłanów i na wpół spodziewałem się, że zaraz zaczniesz zbierać na tacę.

— Po prostu nie mogę tego znieść, Bobby Jacku. Musiałam spróbować i zrobić coś, aby ich ostatnie miesiące życia były znośne.

— Rozumiem — odparłem.

— Cieszę się, że rozumiesz moje rozterki. Miło wiedzieć, że w chwili zwątpienia inni się o ciebie troszczą. Koszmarne codziennosc ustępuje pod naporem tej przynoszącej ulgę wiedzy.

Ciągnęła tę tyradę, dopóki nie widziałem nic poza jej oczyma i nie słyszałem nic poza jednostajnym buczeniem. Wreszcie obudziłem się na słowa:

— Więc teraz już wiesz wszystko. Dlatego połączyłam siły z Gravym Kingiem. Gdyby nie ty, wszystko poszłoby jak z płatka. Nie spodziewałam się, że tak szybko, sam dokończysz swego wykształcenia.

— To mogę zrozumieć — mruknąłem, czując się lepiej niż przez ostatnie pięć czy dziesięć minut.

Przechyliła głowę na bok i powiedziała:

-A poza tym, rzecz jasna, nigdy cię tak naprawdę nie zapomniałam, Bobby Jacku. To dlatego pojawiałam się w welonie, żeby cię ostrzec i pomóc ci w tych ciężkich chwilach. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, to widzę, że chciałam wygrać wszystko i jednocześnie nie stracić ciebie.

Oto zupełnie jak stary Runt kradła mi nie tylko myśli z głowy, ale i słowa z języka.

— Ja też! — wrzasnąłem. — To samo chciałem powiedzieć, panno Delio! Zawsze czułem do ciebie wyjątkową słabość... o tu, w sercu.

— Tak mi ulżyło — rzekła i uśmiechnęła się, ukazując tak białe zęby, że nawet aligator dostałby napadu zazdrości.—Bałam się, że zapomniałeś o mnie.

— Po wszystkim, co dla mnie uczyniłaś? — parsknąłem. — Nie, panno Delio. Chcę się teraz tobą dobrze zaopiekować. Twój

mi rodzicami i wszystkim też. A kiedy nadejdzie ich pora, wyślę Runta, żeby wykopał im groby. W końcu to ja wygrywam w tych stronach.

Stary Gravy znowu zaczął coś jęczeć i mamrotać.

— A skoro twoja przyszłość z Gravym ma przed sobą chyba dość krótkie życie, może wskoczysz na siodło ze mną?—spytałem.

Podeszła do mnie, stanęła brzuszkiem w brzusek i spojrzawszy na mnie, powiedziała:

— Co prawda, to prawda, a to, co powiedziałaś, jest prawdą. Byłem tak zadowolony, że oboje rozpoznajemy prawdę na

pierwszy rzut oka, że pochyliłem się i ponownie spróbowałem szczęścia.

Zatrzepotała rzesami, zarumieniła się i przyglądziwszy uczesanie, zapewniła mnie:

— Och, Bobby Jacku, zawsze liczyłeś się tylko ty. Tylko ty. — Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, przycisnęła się do mnie i zaczęła mnie pieścić.—Połączmy siły. Połączmy nasze siły. Tylko ty i ja.

Cóż, połączyłbym się z nią i w tej samej chwili, na ulicy, gdyby nie ból rysujący się w oczach umierającego człowieka. Wreszcie oderwałem się od niej i skupiłem uwagę na Gravym. Uniósł się z trudem i powiedział do mnie:

— Zanim odejdę, wyjaw mi, proszę, te SŁOWA. Spojrzałem na Delię, po czym przykucnąłem obok niego i rzekłem:

— Gravy, ty biedny, głupi sukinsynu! Nie wiesz, że kobiety to nie krowy? Nie możesz zapędzić ich wszystkich do tej samej zagrody i spodziewać się, że się będą jednakowo zachowywać! Mówi się różne rzeczy, różnym kobietom, w różnym czasie.

Spojrzał na mnie tak, jakbym się na niego porzygał.

— I to wszystko? Nie było w tym nic więcej?

— Taak, z wyjątkiem sposobu, w jaki to mówisz! Właśnie tego nauczyłem się z tej francuskiej książki o miłości.

Jęknął rozdzierająco i wyprostował się na ziemi, martwy jak głaz. Ja i Della wstaliśmy i ramię w ramię poszliśmy w kierunku

My Town, które postanowiłem raz na zawsze nazywać Hi Lo, jak zawsze było i będzie. Obejrzałem się na Gravy'ego i zobaczyłem, że na jego twarzy zastygł grymas, jakby coś go zdumiało w drodze do piekła.

Skreśliśmy za róg, tuląc się do siebie i całując. Potem zobaczyłem, że Runt i Mary Lou robią to samo. Ponieważ nigdzie nie było słyhać już żadnych strzałów i wszystko zaczynało lśnić, powiedziałem:

— Chodźcie no, wy dwoje. Idziemy do sędziego, który was ochajtnie jak należy.

— Niby dlaczego? — spytał ten mały idiota, Runt.

Zatrzymałem się, pocałowałem soczyście pannę Delię i objąłem mocno jej zadek, po czym wyjaśniłem:

— Bo to niezgodne z prawem, żeby wiceprezydent spał z kobietą, która nie jest jego prawowitą żoną.

— Naprawdę?

Ano, naprawdę. Wiceprezydent musi robić wszystko zgodnie z prawem — rzekłem, wiedząc, że przynajmniej raz w życiu trzymam małego drania za kark.

:— A co z tobą i twoją damą? — odszczeknął mi się.

— Posłuchaj, Runt, ja jestem prezydentem. I wszyscy wiedzą, że mogę robić, co mi się żywnie podoba. — Na to już nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Zobaczyłem podjeżdżający do nas wóz z wodą, który zraszał ulice, aby powietrze w miasteczku było czyste i świeże, jak wszyscy na to zasługujemy. Obejrzałem się, czy Runt i Mary Lou idą za nami. Szli, lecz z drugiej strony, co mogli innego zrobić — taką mieli naturalną naturę.

Po zabawie — fakty

— Hej, Max, Bobby Jack będzie bestsellerem!

Tak powiedział mi podniecony wydawca w latach siedemdziesiątych, jakieś dwa tygodnie po tym, kiedy wydano Bobby Jack Smith to parszywy tchórz! W pierwszych dwóch tygodniach sprzedano kilka tysięcy egzemplarzy — nawet zanim ukazały się recenzje. I nie było żadnej reklamy. Jediną pomocą, jaką książka otrzymała, był wywiad w radio i cztery minuty, przez które o niej gadałem w telewizyjnym show Mickeya Hargiaty'ego. Był on Mister Universum i mężem Jane Mansfield. Faceci od reklamy dzwonili i błagali, żeby wydawca jakoś książkę rozreklamował, zanim siła rozpędu pryśnie.

Kilka dni później pojechałem do Hollywood i robiłem to wszystko, co robią pustynne szczury, żeby zebrać pieniądze na pisanie kolejnej książki, kiedy zadzwonili do mnie, żebym przyszedł i obejrzał rysunek na reklamę. Zrobiłem to z wielkim podnieceniem.

W latach sześćdziesiątych grupa młodych wydawców z Nowego Jorku przekonała niejakiego pana Nasha, aby założył pionierską firmę wydawniczą w Los Angeles. Zrobił fortunę na nowelach i innych książkach. Była to ambitna, bystra grupka ludzi, która od razu wydała dwa bestsellery. Co dziwne, bestsellery przyczyniły się do ich upadku. Zachęciły ich, żeby wydawać zbyt wiele książek, zbyt wcześnie. Moja była ostatnią z nich.

Moim redaktorem w Nash Publishing była Janet Shepard. Przed przeprowadzką do Los Angeles pracowała w ogromnej firmie w Nowym Jorku i była strasznie podniecona perspektywami rynkowymi opowieści o kowboju, który stał się alfonsem, a jednocześnie był entuzjastą Napoleona i wielkim kochankiem,

Bobby Jackiem Smithem. Mimo to, jako że panna Shepard była szalenie aktywną feministką, spytałem ją, dlaczego tak bardzo podoba się jej ewidentnie szowinistyczna postać Bobby Jacka. Spojrzała na mnie, jakbym się odezwał po raz pierwszy w ciągu naszej znajomości, i odparła:

— Bobby Jack jest głupi, głupi, głupi. Wykorzystuje cudze myśli jako własne.

Gapilem się na nią i nie ośmielałem odezwać po raz drugi. Przyjęła moje spojrzenie bez mrugnienia.

— Poza tym — kontynuowała — kto manipuluje nim od samego początku jego idiotycznych trudów?

Nie miałem innego wyboru, jak tylko oddać głos jej myślom:

— Kobieta... Della — wyrzuciłem z siebie.

Janet zakończyła tę niezwykłą i przerażającą wymianę zdań jeszcze jednym pytaniem do kreatora Bobby Jacka Smitha:

— I kto na koniec wygrał? Kobieta.

— Kobieta — zweryfikowałem pospiesznie.

Przybiła moją książkę i mój ułomny, męski mózdzek do krzyża ostrym gwoździem i wielkim młotem, po czym dodała, prawie szeptem:

— No i ma kilka poziomów humoru.

Tak czy inaczej... siedziałem sobie w biurze na samym końcu biznesowego dystryktu Sunset Boulevard, gapiąc się na rysunek na wielką reklamę dla „Publishers Weekly”, „The New York Times”, „L. A. Times” i kilku jeszcze innych. Dyrektor artystyczny i Janet uśmiechali się jak dwa słoneczka. Ja sam uśmiechałem się szeroko jak szympanś na drzewie pełnym bananów. Teraz nie mogliśmy przegrać. Reklamówka ukaze się dokładnie w tym samym czasie co recenzje. Usiłowałem policzyć zyski, które mogą napłynąć ze sprzedaży 10 000, potem 100 000, a nawet 300 000 egzemplarzy. Może Bobby Jack poradziłby sobie z przeliczeniem tego, lecz mój mały kalkulator na pewno nie.

Potem... usłyszeliśmy, a może raczej poczuliśmy złowrogi hałas, czy też ciszę przesuwaną się w naszym kierunku—biuro za biurem, w dół holu i przez całe piętro Nash Publishing. Nie

rozumiałem dokładnie słów, które zostały wypowiedziane, lecz pan Nash zawołał swego głównego redaktora i zamknął firmę. W tej właśnie chwili. Wszystko się skończyło.

Później, kiedy wyszły recenzje, w większości niezłe, całe mnóstwo osób przegapiło parę spraw, którymi chcę zamknąć tę książkę. Po pierwsze: Fred Engel, producent *Lilies of the Field*, filmu, który zdobył Oscara i uczynił gwiazdę z Sidneya Poitiera, z wielkim zaangażowaniem usiłował przerobić książkę na scenariusz. Później strasznie wściekł się na mnie, że nie chciałem oddać mu za darmo praw autorskich. Sam Peckinpah pracował właśnie nad scenariuszem do *Miasteczka Hi Lo* i wysłał go do starego przyjaciela, reżysera, Toma Griesa; Tomowi ogromnie się spodobał. Bardzo lubiłem Toma i szczerze podziwiałem jego talent. Zrobił film *Will Penny* — pierwszej klasy western z pierwszej klasy aktorem, Charltonem Hestonem. Powiedział mi, że musi wyreżyserować film z Muhammadem Alim, żeby mieć czas dla Bobby Jacka. Następnego dnia po ukończeniu zdjęć z Alim, na Florydzie, Tommy relaksował się, grając w tenisa, aż tu nagle padł trupem. Teraz zapomnijcie o szoku, który przeżyłem, tracąc kogoś bliskiego w wieku pięćdziesięciu lat, i skupcie się na książce. Oczywiście wstrzymałem wydanie jej w paperbacku*, aby zarobić więcej pieniędzy, kiedy ukaże się film. Potem zwyczajnie zapomniałem o tym i zająłem się inną pracą, nigdy, aż do tej pory, nie wracając do wydania książki.

Pozwólcie, że zakończę trzema szczerymi przemyśleniami. Ponieważ byłem wychowywany głównie przez staroświeckich kowbojów • szanowałem ich, pracowałem i bawiłem się z nimi przez wiele lat—mogę wam powiedzieć, że ta książeczka, wedle tych, którzy tam byli, jest bliższa prawdy „Starego Zachodu”, niż wyobraża to sobie większość historyków. Mogę wam powiedzieć z całą pewnością, że pierwsza jej część zrodziła się z autentycz

nego życia na ranchu, pracy i psikusów, które sam przeżyłem. Wypadek z pętaniem ogromnego buhaja przydarzył się naprawdę w latach sześćdziesiątych mojemu kuzynowi Davidowi Evansowi, na ranchu nieopodal Las Vegas, w Nowym Meksyku. Włączyłem go tu wraz z kilkoma własnymi przeżyciami. Humor w tej książce jest równie prawdziwy jak królewskie szmaragdy — musiał być taki wtedy, bo od niego zależało przetrwanie, i pozostał taki do tej pory.

